

POWIEDZIELI,
ŻE ZABIŁA.

ODSIEDZIAŁA
WYROK.

A JEŚLI
KŁAMALI?



TAK CIĘ
STRACIŁAM

JENNY BLACKHURST

ALBATROS

NAZYWAM SIĘ EMMA CARTWRIGHT. NIC WAM TO JEDNAK NIE
POWIE.

CZTERY LATA TEMU NAZYWAŁAM SIĘ SUSAN WEBSTER.
ZABIŁAM SWOJEGO TRZYMIESIĘCZNEGO SYNA.

Kiedy wszyscy – mąż, lekarze, policja – mówią ci, że było tak, a nie inaczej, w końcu zaczynasz im wierzyć.

Ale skoro nic nie pamiętam, to jak mogę mieć pewność, że to, co mi powiedzieli, było prawdą?

Zwłaszcza kiedy tak bardzo pragnę, by okazało się kłamstwem.

Nikt nie miał wiedzieć, gdzie przebywam ani kim jestem. Osądzono mnie za zabójstwo. Wyszłam po kilku latach, zmieniłam tożsamość, ukryłam się. Więc kiedy znalazłam ten list, a w nim zdjęcie chłopca, i potem do drzwi zapukał Nick, dostrzegłam swoją szansę.

Może nie jestem morderczynią, a mój syn żyje. Jeśli tak, zrobię wszystko, aby go odzyskać...

TAK CIĘ STRACIŁAM

JENNY BLACKHURST

Z angielskiego przełożyła
MARIA OLEJNICZAK-SKARSGÅRD

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

JENNY BLACKHURST

Brytyjska pisarka, wychowywała się w Shropshire, gdzie mieszka do tej pory z mężem i dziećmi. Dorastając, godzinami czytała książki i rozmawiała o kryminałach, tak więc było tylko kwestią czasu, kiedy sama zacznie pisać.

Jenny Blackhurst zadebiutowała w Anglii świetnie przyjętą powieścią **Tak cię straciłam**. W Polsce dotychczas ukazały się jej późniejsze książki **Zanim pozwolę ci wejść** oraz **Czarownice nie płoną**, które na dobre zjednały jej fanów thrillerów psychologicznych.

Tej autorki

ZANIM POZWOLĘ CI WEJŚĆ
CZAROWNICE NIE PŁONA
TAK CIĘ STRACIŁAM

Tytuł oryginału:
HOW I LOST YOU

Copyright © Jenny Blackhurst 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2019

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Jose AS Reyes/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-628-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

*Dla Asha i również dla Connora, który nigdy się nie podda i zawsze coś wymyśli.
Kocham Cię, ptaszyno.*

Susan Webster
Osadzona nr 397609
Rada ds. Zwolnień Warunkowych
23 stycznia 2013

Szanowni Członkowie Rady!

Nazywam się Susan Webster. Prawie cztery lata temu, 23 lipca 2009 roku, zabiłam swojego trzymiesięcznego syna. Dopiero teraz potrafię wypowiedzieć te słowa i pogodzić się z tym faktem, niemniej kiedy je piszę, wciąż odczuwam bezmierny ból i żal.

Przebywając w areszcie śledczym i potem przez dwa lata i osiem miesięcy w Oakdale, przestudiowałam niemal wszystko, co napisano o psychozie poporodowej, zwanej również depresją połogową, na którą zapadłam po urodzeniu Dylana. Dzięki tym lekturom uprzytomniłam sobie, że tamtego fatalnego dnia nie panowałam nad swoimi działaniami. Teraz wiem również, że moje wspomnienia niezwyklej dwunastu tygodni z Dylanem były wyidealizowane, powstały wskutek wyparcia wielkiego gniewu, jaki we mnie wzbudzał. Wiem, bo tak twierdzą lekarze. Trudno mi przyjąć fakt, że zabiłam swoje maleńkie dziecko, a jeszcze trudniej pogodzić się z tym, że najdroższe wspomnienia – jedyne, co mam po moim pięknym synku – są wytworem mojego własnego wypaczonego umysłu. W najczarniejszych chwilach żałuję, że nie pamiętam, jak odczuwałam nienawiść czy obojętność wobec istoty, której dałam życie. Może wtedy choć na krótko zaznałabym spokoju, nie dręczyłyby mnie ból i poczucie winy, zatruwające każdy mój dzień. Ale nie chcę snuć takich myśli, bo tylko wspomnienia, autentyczne czy wyimaginowane, łączą mnie z osobą, którą kiedyś byłam. A przynajmniej z osobą, którą wydaje mi się, że byłam. Żoną, matką, może trochę bałaganiarską panią domu,

na pewno beznadziejną kucharką, ale nigdy, nawet w najgorszych snach, nie morderczynią.

Choć pogodziłam się z tym, co zrobiłam, nie oczekuję wybaczenia. Wiem, że nigdy nie wybaczę sobie samej. Proszę tylko, by moja skrucha została uwzględniona podczas przesłuchania w sprawie zwolnienia warunkowego, a wtedy postaram się odmienić swoje życie, zrobić coś dobrego dla świata i zadośćuczynić za popełnione przeze mnie zło.

*Z poważaniem
Susan Webster*

1

24 kwietnia 2013

Wciąż tam jest.

Choć tyle razy wychodzę z kuchni, żeby zająć się codziennymi sprawami, kiedy wracam, wciąż tam jest.

Przyszło dziś rano, przykryte stosikiem kolorowych reklam i niewróżących niczego dobrego rachunków. Generalnie boję się teraz otrzymywać przesyłki pocztowe. Dlatego ze wszystkich dni tygodnia najbardziej lubię niedzielę.

W niedzielę nie dostarcza się poczty. Ale dziś nie jest niedziela. I dziś dostarczono pocztę.

Przypuszczam, że moja niechęć do wszelkich przesyłek w kopertach wynika z masy rachunków, które dostaję dzień w dzień. Mieszkam tu zaledwie od czterech tygodni i mam wrażenie, że wszystkie przedsiębiorstwa użyteczności publicznej w kraju chcą mnie za coś obciążyć. Każdy list zaadresowany „Do najemcy” przypomina mi, że niestety, zapomniałam uruchomić polecenie zapłaty, że jestem bałaganiarą i że cienko u mnie z kasą.

Ale to, co dzisiaj przyszło, nie jest rachunkiem. Poznaję od razu, po odręcznie napisanym adresie. Nie wygląda to jednak na list od osobistego czy korespondencyjnego przyjaciela. Koperta jest zwykła, brązowa, a na niej drobne pochyłe pismo, jakby kobiece. Żadne z tych spostrzeżeń nie wyjaśnia jednak, dlaczego wciąż leży na blacie w kuchni, nieotwarta.

Mogę ją po prostu wyrzucić do kosza. Mogę również poczekać na Cassie i niczym uczennica, która boi się zajrzeć do koperty z wynikami egzaminów, poprosić, żeby ją otworzyła. Znowu staję przy blacie i gdy widzę napisane na niej słowa, zaczyna mi walić serce.

Susan Webster
3 Oak Cottages
Ludlow, Shropshire

Ale Susan Webster nie żyje. Coś o tym wiem. Zabiłam ją cztery tygodnie temu.

Nikt nie miał wiedzieć, gdzie przebywam ani kim jestem. Dlatego zmieniłam oficjalnie imię i nazwisko. Nawet moja kuratorka mówi do mnie „Emmo”. Wciąż zdarza się, że nie reaguję. Teraz nazywam się Emma Cartwright. Ale to nic wam nie powie. Cztery lata temu nazywałam się Susan Webster. Już widzę, jak coś wam świta w głowie... marszczycie czoło, wytężacie pamięć. Jeżeli mieszkacie w północnej Anglii, być może mruczycie pod nosem: „Zaraz, zaraz, czy nie chodzi o tę kobietę, która zabiła swojego syna? Co za koszmar”. Jeżeli mieszkacie w innej części kraju, prawdopodobnie w ogóle nie pamiętacie tej sprawy. Zbiegła się z wiadomością o pewnym celebrycie, którego przyłapano na handlu narkotykami. O moim synu i o mnie napisano na którejś tam stronie gazet ogólnokrajowych.

Zrobię to. Drżącymi rękami otwieram kopertę, starając się nie uszkodzić zawartości. Gdy wydaję mały kartonik, przemyka mi przez myśl, czy nie powinnam włożyć rękawiczek – a jeśli to list z pogrózkami i policja zechce mieć dowód? Normalnemu człowiekowi pewnie wyda się dziwne, że mogę dostać list z groźbą śmierci. Zaręczam wam, że ja też nigdy bym nie sądziła, że znajdę się w takiej sytuacji.

Za późno, żeby się przejmować śladami kryminalistycznymi. Poza tym w środku jest nie list, lecz zdjęcie. Mały chłopiec pięknie uśmiecha się do obiektywu – ma na twarzy szeroki, radosny, szczery uśmiech. Strach ustępuje i pojawia się konsternacja. Kto to jest? Nie znam ani jednego dziecka w wieku tego chłopca: wygląda na dwa, może trzy lata. Mam bratanicę, nie bratanka, a te kilka matek, które poznałam na spotkaniach grupy niemowlęcej, zanim... no, wiadomo, lepiej nie kończyć... więc te matki wołały trzymać się z daleka, wymazać z pamięci to, co się wydarzyło, udać, że Dylan i ja nigdy nie istnieliśmy.

Dlaczego dostałam tę przesyłkę? Robiąc w myślach przegląd znanych mi dzieci, wypuszczam z rąk zdjęcie. Kartonik odwraca się w powietrzu i ląduje na blacie wierzchem do dołu. W jednej chwili cały mój świat kurczy się do wymiarów prostokąta dziesięć na piętnaście centymetrów, który mam przed oczami. Tym samym starannym pismem co na kopercie napisano na odwrocie:

Dylan – styczeń 2013.

2

– To jakiś żart – oświadcza Cassie, rzucając zdjęcie na blat.

I tyle?! Czekam dwadzieścia minut w ciszy, aż Cassie uniesie wzrok, i słyszę, że to żart?! Biorę głęboki wdech.

– Oczywiście, Cass, ale kto to zrobił? Kto oprócz ciebie wie, że tu mieszkam? Czy to ma być pogróżka? Czy też ktoś chce dać mi do zrozumienia, że Dylan żyje?

Odwraca głowę. Już wiem, kto jej zdaniem to zrobił.

– Mark – mówię. – Uważasz, że stoi za tym Mark.

Cassie zaciska zęby na sam dźwięk jego imienia i milczy. Co nie przychodzi jej łatwo. Wysuwa do przodu spiczastą brodę i chyba gryzie się w język, dosłownie. Moja najlepsza przyjaciółka nie cierpi mojego byłego męża. W ogóle nie cierpi mężczyzn, ale Mark przebija pozostałych. Wiem na sto procent, że on też by jej nie lubił, gdyby się znali.

W tym miejscu powinnam powiedzieć kilka słów o Cassie. Jest najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam, wymarzoną, ale nie znamy się od zawsze. Nie byłyśmy onieśmionymi pierwszoklasistkami, gdy się spotkałyśmy, ani koleżankami ze studiów. Poznałam Cassie, słysząc płaczliwe zawodzenie i łoskot zatraskujących się za mną drzwi. Siedziała na górnej pryczy. Miała tlenione włosy, upięte niedbale na czubku głowy, i cienkie czarne brwi, które ściągnęła na mój widok. Zeskoczyła z wyrka zwinnie jak kot i wylądowała obok mnie – potem dowiedziałam się, że gdy próbowała to zrobić pierwszy raz, złamała sobie nogę w kostce. Kości biodrowe odznaczały się pod luźnymi więziennymi spodniami ciemnozielonego koloru, a spod kusej koszulki, jakby wypożyczonej z oddziału dziecięcego, wystawał

śnieżnobiały brzuch. Silny wiatr mógłby ją przewrócić, natomiast miała taką wewnętrzną siłę, jakiej dotąd nie wyczuwałam u nikogo.

– Górne jest moje, ale śpij spokojnie: nie sikam w łóżko, jak niektórzy z tutejszych mieszkańców. I nie ruszaj moich rzeczy.

Znajomość z Cassie zawarłam w dniu, gdy czułam się opuszczona przez wszystkich. Przekonałam się o tym dużo później, co nie zmienia faktu, że Cassie uratowała ten dzień – i mnie.

Spotkałyśmy się, ponieważ popełniła przestępstwo. Jest morderczynią, podobnie jak ja. Natomiast w przeciwieństwie do mnie ona pamięta wszystko co do sekundy. Opowiada o tym, lubując się w detalach, tak jak opowiada się makabryczne historie przy ognisku na obozie harcerskim. Irytuje się, gdy stwierdzam, że jej zobojętnienie jest „mechanizmem obronnym umysłu, który w ten sposób tłumi wspomnienie zbrodni”. Gdy powiedziałam jej to po raz pierwszy, przez tydzień nazywała mnie Freudem i nie zwracała się do mnie po imieniu, dopóki nie obiecałam, że nie będę bawić się w psychologa. Ten jeden jedyny raz niemal przyznała, że właściwie mogę mieć rację.

– No dobrze... – chwilowo idę na ustępstwa – ...założmy, że to robota Marka. Skąd on wie, gdzie przebywam? I dlaczego miałby mi sugerować, że nasz syn żyje?

Ze zniecierpliwieniem wznosi oczy do nieba.

– Pracuje jako informatyk, zgadza się?

– Zgadza. – Kiwam głową. – Ale nie jest hakerem.

Tylko wzrusza ramionami, a ja idę znowu zaparzyć herbatę. Gdy nic nie robię, trzęsą mi się ręce.

– A powód? Niby dlaczego mój niegdyś mąż, a obecnie haker wysyłałby mi zdjęcie chłopca, który, jak wiadomo, w żadnym razie nie może być moim zmarłym synem?

– Może dlatego, że jest dupkiem? Albo chce ci dorzucić jeszcze trochę poczucia winy do tej kupy gówna, którą już dźwigasz na swoich barkach? Albo namieszać ci w głowie? Możliwe, że „styczeń 2013” oznacza nie tyle, że to jest aktualne zdjęcie Dylana, ile że tak mógłby wyglądać, gdybyś... gdyby on... no wiesz...

– Wiem.

– Zachowałaś zdjęcia Dylana? Te z albumu, który dostałaś od swojego taty?
– Gdzieś są – mówię w zamyśleniu. Nie zamierzam ich wyjmować. – Moim zdaniem to nie Mark.

Mark był zdruzgotany po śmierci syna – jak byłby każdy mężczyzna – ale starał się okazać mi wsparcie. Nawet pojawił się dwukrotnie w Oakdale. I za jednym, i za drugim razem trząśł się jak galareta, omijał mnie wzrokiem, ale cieszyłam się, że próbuje mi wybaczyć. A potem przestał przyjeżdżać. Po kilku tygodniach dostałam zawiadomienie o wszczęciu procedury rozwodowej i kartkę od Marka, na której napisał tylko: „Wybacz”. To wtedy Cassie zabrała mi jego zdjęcia i zrobiła z nich tarczę do gry w darta, tylko zamiast lotkami rzucała do niej mokrym ręcznikiem papierowym, zwiniętym w kulkę, byle mnie rozbawić. W Oakdale nie pozwalano grać w darta. Ani mieć zatemperowanych ołówków.

– A więc to po prostu żart. – Staram się mówić z przekonaniem. – Żadna pogroźka. Tyle że „żart” powinien być śmieszny, a ten nie jest.

– W takim razie głupi kawał. Albo, jak mówią ci od przestępstw gospodarczych, machlojka.

Cała Cassie, gdy jest przekonana o swojej słuszności. Bębni po stole długimi paznokciami żelowymi, pomalowanymi na niebiesko, wyraźnie spragniona papierosa. W moich oczach ten manikiur świadczy o całkowitej przemianie, jaka w niej zaszła od opuszczenia Oakdale. Gdy się poznałyśmy, były obgryzione do żywego, z resztkami wiekowego lakieru. To już zamierzchła przeszłość, podobnie jak krótkie drelichowe spódnice i topy do pępka. Teraz zakrywa ciało i zawsze ma wypielęgnowane paznokcie.

– Jasne – przytakuje – to głupi kawał, nie pogroźka.

Możliwie szybko pozbywam się Cassie, udając, że mam sprawy do załatwienia. Wie, że to nieprawda, ale rozumie sugestię i żegna mnie pocałunkiem, zostawiając jaskrawy ślad na moim policzku i wkładając do zlewu niepozorny kawałek wilgotnego ręcznika papierowego.

Po raz setny oglądam kopertę i dopiero teraz widzę coś, co przejmuje mnie dreszczem. Nie ma stempla pocztowego. Koperta musiała leżeć na

wycieraczce, zanim dostarczono pocztę. Czyli ktoś był pod moim domem, stał pod drzwiami, wrzucił kopertę, gdy byłam w kuchni. Ta myśl przyprawia mnie o mdłości i odruchowo przykładam rękę do ust. To nie pogróżka, powtarzam sobie, ale jakaś bezsensowna bzdura. Nie ma w tym żadnej groźby. Najwyżej lekkie ostrzeżenie, że ktoś zna moje nazwisko. Wie, kim jestem. Co zrobiłam. Ten ktoś stał pod moimi drzwiami.

Już nie starcza mi sił, uleciał ze mnie duch walki. Osuwam się na zimną posadzkę i wybucham płaczem.

3

Jack: 23 września 1987

Stopa wylądowała na twarzy, obcas wbił się w żebra. Chłopiec zwinął się w kłębek, stęknął, ale nie uronił łzy, co wzbudziło w Jacku niechętny szacunek. Kiedy popłynęła krew, Riley już robił krok w przód, ale Jack złapał go za ramię – za wcześniej. Jeszcze parę minut, kilka guzów, może złamane żebro. Z odległości półtora metra, gdzie stał oparty o prowizoryczne baraki sraczkowatego koloru, łomot wyglądał niemal fascynująco, niczym balet. Gdy rozległo się chrupnięcie, jakby trzask gałęzi, i ucichło pojękiwanie, Jack wyprostował się, otrzepał rękaw swetra i dał znak Rileyowi, by poszedł za nim w stronę aktorów tego przedstawienia.

– Odwalcie się od niego.

Wszyscy trzej znieruchomieli, ale jeden wciąż przydeptywał złamany nadgarstek piętnastolatka, jakby ten miał prysnąć.

– A wy dwaj co się, kurwa, wtrącacie?

Chłopak numer jeden – Jack w ogóle ich nie znał – podrygiwał, jak gdyby uderzał z główki wyimaginowanego przeciwnika. Popieprzony debil.

– Co on zrobił?

– Nakablował na Harrisa. – Chłopak numer dwa mocniej przydepnął nadgarstek swojej ofiary. – Prawda, Szekspir?

– Nie ja – wydobył się głos spod zakrwawionych ciuchów.

– A kto? – rzucił chłopak numer trzy, pewnie Harris.

Był z nich najwyższy, ale najwyraźniej niezbyt skory do bójki. Chyba nie chciał się pobrudzić. Można zrozumieć.

– Bo ja wiem? Nie ja.

– Zakłamanym padalec. – Chłopak numer dwa już się szykował, żeby znów tamtemu dokopać.

W mgnieniu oka Jack doskoczył do niego, złapał go za bordowy blezer i odepchnął.

– Powiedziałem, żebyś się odwalił. On nie nakablował na waszego kumpla. Mówi prawdę. Nie on.

– Skąd wiesz?

– Wiem wszystko, kretynie. Chcesz się dowiedzieć, kto cię zakapował, pogadaj z Mikiem Petersonem.

Harris zmrużył oczy, podobnie jak Riley, który stał obok Jacka.

– Jesteś pewny? – zapytał Harris.

– Jestem. I zapamiętaj sobie, on jest teraz ze mną. – Jack wycelował palcem w leżącego chłopaka. – Jak ci nabruździ, przyjdź do mnie. Jeżeli znowu mu dołożysz, każę połamać ci kości. Reszcie też. Pomyśl o swojej karierze rugbisty, głupi mięśniaku.

Wstrzymał oddech i usztywnił szczękę. Harris spojrzął na swoich kumpli, machnął ręką i cała trójka oddaliła się jakby nigdy nic.

– Wszystko w porządku?

Riley pomógł chłopakowi podnieść się na kolana. Ten na chwilę zastygł w bezruchu, zwiesiwszy głowę. Jego długie do ramion brązowe włosy były tłuste, zlepione potem i krwią. Usiłował spojrzeć w górę na Jacka, ale skrzywił się i znów wbił wzrok w ziemię.

– Dlaczego tak im powiedziałeś? – wymamrotał. Ledwie dało się zrozumieć słowa, wargi już mu zaczęły puchnąć. – Peterson... nic nie zrobił. To ja.

– Dzięki mnie nie dokopali ci bardziej, prawda? Mam ich zawołać? Powiedzieć, że się pomyliłem? – Spojrzął za tamtymi, wiedząc, że są już daleko.

– Harris! Hej, Harris!

– Nie, nie. Nie chcę. – Chłopak jęknął z bólu.

– Chryste, ale ci dołożyli. Wstawaj, pójdziemy do mnie... Mamy i taty nigdy nie ma w domu. Lucy cię opatrzy.

– Kto to?

– Gospośia. Wkurzyło mnie, jak powiedzieli, że się do nas wprowadzi, bo zatrudnili ją, żeby mnie pilnowała, ale okazało się, że jest w porządku... Ma

jakieś osiemnaście lat i wielkie cycki i robi niesamowite grzanki. Na imię mi Jack, a jemu Matt. Dlaczego mówią do ciebie Szekspir? To ksywka?

Zakrwawiona twarz zmarszczyła się z gniewu.

– Nie znoszę tego. Na teście z anglika dostałem sto punktów i pani Bramall nazwała mnie małym Szekspirem. Przyłgnęło. Ja...

– Podoba mi się – przerwał mu Jack. – Znaczy, że jesteś bystry, a ja lubię bystrzaków. Jeśli chcesz, będę ci mówił William... albo Willy, tak między nami, dla żartu. Bo jesteśmy kumplami, no nie?

– Dlaczego chcesz się ze mną kumplować? Nie jestem taki jak ty i twoja paczka.

– A jaka jest moja paczka?

– Mają forszę... dobrze się ubierają i w ogóle.

Jack spojrział na Matta i obaj parsknęli śmiechem.

– Jesteś pedałem? Podobają ci się moi kumple, tak?

– Nie! Nie o to chodzi. Po prostu...

Jack prychnął. Chryste, ten chłopak naprawdę jest taki porządny? Ale będzie z niego jakiś pożytek.

– Idziemy. Trzeba się tobą zająć.

4

Jak prawie zawsze w sobotę ulice są pełne nastolatków, młodych i starszych par oraz matek, które ciągną swoje nadąsane i marudzące maluchy po nielicznych już tutaj sklepach.

– Recesja mocno uderzyła w miasto – oznajmia Rosie Fairclough, podając mi wielką porcję ciasta czekoladowego na ciepło. – Potrzebujemy świeżej krwi, takich jak ty przybyszów, którzy dorzucą mu kasy.

Niemal wybucham śmiechem. Wścibska Rosie byłaby innego zdania, gdyby miała choć blade pojęcie, kto zamieszkał w jej sennym miasteczku. To dopiero dałoby powód do plotek.

Łakomie wbijając zęby w ciasto, postanawiam zaryzykować i ukradkiem spoglądam przez okno. Nic szczególnego, na brukowanych ulicach pełno ludzi idących na zakupy. Przestań się wygłupiać, mówię sobie, nie jesteś bohaterką niskobudżetowego filmu szpiegowskiego. Nikt mnie nie obserwuje. Muszę zapomnieć o tym, co się wydarzyło dziś rano, o tym głupim „żarcie”. Wobec tego staram się skupić na ludziach, którzy są w pobliżu.

Przy ladzie siedzi jeszcze jedna kobieta, pogrążona w myślach, pochylona nad ciastem marchewkowym, które je powoli, nie tak jak ja swoje. Ma mniej więcej tyle lat, ile miałaby moja mama, ale raczej nie musi dbać o figurę, choć wyraz jej twarzy wskazuje, że coś jest nie w porządku. Długie blond włosy opadają jej na twarz, gdy wpatruje się w rozpostartą gazetę, ale ich nie odgarnia. Zastanawiam się, jak wygląda jej życie. Pokłóciła się z kochankiem? Zdradził ją mąż? A może spotkało ją coś znacznie gorszego?

Nagle podnosi głowę, jakbym wymówiła jej imię, i przechwytuje moje spojrzenie. Odwracam się w stronę drzwi, zawstydzona, że mnie przyłapała. Mama zawsze mi mówiła: „To niegrzecznie się gapić, skarbie”.

– Szybko zniknęło. – Rosie uśmiecha się, widząc już tylko okruszki na moim talerzyku. – Podać jeszcze kawałek?

Boże drogi, o tak, przelatuje mi przez myśl.

– Boże drogi, o nie. – Śmieję się, może trochę za głośno.

Zawsze musiałam walczyć z nadwagą – jedzenie podnosiło mnie na duchu. Jeśli nie miałam apetytu, mama patrzyła na tatę i cmokając, mówiła: „Oho, będą kłopoty, Len”. Droczyła się ze mną, choć to przez nią cała rodzina lubiła sobie podjeść. Jej domowe posiłki, zwłaszcza desery, cieszyły się taką sławą, że moje koleżanki ustawiały się w kolejce, żeby dostać zaproszenie na podwieczorek, a zawartość mojego pudełka z lunchem budziła powszechną zazdrość. Rolada biszkoptowa, ciasto cytrynowe z lukrem, beza z malinami – w podstawówce byłam odpowiednikiem dilerki narkotyków. Mój mąż ogromnie żałował, że nie odziedziczyła talentów kulinarnych matki. Musiał się zadowalać piekielnie smacznym obiadem u teściów w każdą niedzielę.

– Biodra by mi tego nie wybaczyły – dodaję. – Mogę cię o coś zapytać, Rosie?

W oczach starszawej kobiety zapalają się iskierki, jakbym wręczała jej wygrany los na loterię. Rosie jest mianowicie kopalnią informacji.

– Ciekawa jestem, jacy ludzie tu mieszkają. Często dochodzi do awantur?

Rosie kręci głową.

– Raczej nie, kochana. No wiesz, zdarzają się burdy, gdy w sobotę wieczorem dzieciaki ruszają w miasto. Nic więcej. A co, ktoś ci sprawia kłopot?

Natychmiast żałuję, że ją spytałam. Wiedziałam, że Rosie jest plotkarą, i zastanawiam się, czy nie zacznie drążyć tematu, spragniona jakiejś pikantnej historii. Albo wejdzie do internetu, ledwie znajdę się za progiem, i poszuka informacji o tajemnej przeszłości Emmy Cartwright. Aha, wraca moja stara przyjaciółka, paranoja, której mi brakowało przez ostatnią godzinę.

– Drobiazg – rzucam niedbale. – Dziś rano znalazłam na ganku rozbite jajko. Pomyślałam, że miejscowi może nie darzą sympatią nowo przybyłych.

Rosie ma zawiedzioną minę.

– To na pewno dzieci, kochana. Nasze miasto różni się od innych małych miast, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. U nas każdy pilnuje

swojego nosa. Nie masz się czym przejmować.

– Świetnie. – Moje kłamstewko na szczęście nie wywołało dalszych pytań. – Tak myślałam. To był tylko żart.

Po wyjściu stamtąd czuję, że ciasto czekoladowe leży mi na żołądku. Po głowie krążą mi słowa Rosie: „Nasze miasto różni się od innych małych miast, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich”. Zanim opuściłam Oakdale, uprzedzono mnie, że ludzie mogą być do mnie wrogo nastawieni, gdy się dowiedzą, kim jestem. Byłam przygotowana na widły i pochodnie, ale nie na podchody i gierki. Bez względu na to, czy był to głupi dowcip, czy nie, pozostaje faktem, że ktoś zna moje poprzednie nazwisko. A tym samym wie, co zrobiłam.

Kiedy wchodzę do Deli on the Square, odzywa się dzwoneczek nad drzwiami. Słynne z dobrego jedzenia Ludlow szczyli się najpyszniejszą kuchnią domową i regionalną w całym Shropshire i co roku we wrześniu organizuje festiwal kulinarny. Grubaska, która we mnie tkwi, kocha to miasto.

– O, Emma. Miło cię widzieć. – Carole posyła mi promienny uśmiech. – Jak się miewasz?

– Będę się miewać lepiej, zajadając chrupiący chleb z waszym camembertem.

Carole znika i po chwili wraca z brązową papierową torebką, od której biją ciepło i zapach świeżutkiego chleba.

– I poproszę butelkę wina.

Carole unosi brwi.

– Jakaś okazja?

Zmuszam się do uśmiechu.

– Raczej uczta na pocieszenie. Kiedyś ci o tym opowiem.

Taktowna Carole nie ciągnie tematu. Mówimy sobie po imieniu od początku, od dnia, gdy odkryłam ten sklep, ale bynajmniej nie jesteśmy przyjaciółkami. Myślę, że nie zdołam zbliżyć się do nikogo, kto nie zna mojej historii. A jej ujawienie jest po prostu zbyt ryzykowne.

– Smacznego – mówi Carole, przyjmując należność.

Wychodzę ze sklepu. Rozum podpowiada mi, żebym udała się prosto domu i zniszczyła zdjęcie, żebym w ogóle o nim zapomniała, ale po kilku krokach miga mi przed oczami coś nieprawdopodobnego. Widzę kobietę, szczupłą, z ciemnymi włosami, długimi i prostymi. Lekko pochylona, trzyma za rękę chłopca. Małego chłopca, który rano uśmiechał się do mnie ze zdjęcia. Mojego syna.

Chcę krzyknąć, ale nie mogę złapać tchu. Wobec tego robię kilka nerwowych kroków i puszczam się pędem.

– Dylan! – udaje mi się wreszcie wydobyć głos.

To nie on, wykluczone, a jednak stoi tam. Po tak długim czasie na sam jego widok chcę paść na kolana. Jak to możliwe, że jest tak blisko, skoro przez ten cały czas był tak daleko?

Kilka osób odwraca się i patrzy na mnie; mój syn i jego porywaczka nie spoglądają za siebie. Może mi się wydaje, ale kobieta chyba zaczyna iść szybciej. Nie dość szybko, bo w sekundę ich doganiam.

– Dylan. – Chcę go wziąć za ramię, ale łapię za granatowy płaszczyk.

Adrenalina buzuje mi w żyłach. Kobieta odwraca się twarzą do mnie.

– Co pani wyrabia? Proszę zostawić mojego syna!

Bierze Dylana na ręce. Kiedy robi krok w tył, płaszczyk wyslizguje mi się z dłoni. Na twarzy kobiety malują się strach i złość.

– To mój syn... Dylan... moje...

Głos mi zamiera, bo uświadamiam sobie, że to dziecko nie jest moim synem. Mój syn nie żyje, odszedł, a ten chłopczyk kurczowo obejmuje za szyję swoją matkę, sztywny ze strachu przed jakąś zwariowaną panią, która na nich krzyczy. W tej samej chwili dociera do mnie, że on wcale nie wygląda jak chłopiec na zdjęciu, nie jest podobny do mnie ani do Marka, do nikogo z naszej rodziny. Jest dokładnie na swoim miejscu, w ramionach własnej matki. Niepewnie cofam się o krok. Chętnie bym uciekła, ale zawodzą mnie nogi. Kobieta widzi, że jej synkowi już nic nie grozi, i rzuca się w moją stronę.

– Oszalała pani? To jest napaść na moje dziecko. Zaraz wezwę policję!

– Przepraszam, tak mi przykro, ja...

Brak mi słów. Chcę jej wyjaśnić, ale jak? Jak wyrazić to, że masz w objęciach pustkę? Że z żalu pęka ci serce? Że na każdym rogu widzisz

martwe dzieci? W jaki sposób opisać komuś, zwłaszcza obcej osobie napotkanej na ulicy, stratę istoty, którą nosiło się w łonie?

– I powinno ci być przykro, ty wariatko!

Odrząca moją rękę i dopiero wtedy uprzytamniam sobie, że wciąż jest wyciągnięta w stronę dziecka.

– Już przeprosiła. – Z tyłu dolatuje mnie zdecydowany znajomy głos. – To była pomyłka. Może powinna pani przyjąć przeprosiny i zająć się swoimi sprawami.

Z ulgą odwracam się ku mojej wybawczyni. Carole. Za plecami słyszę jeszcze sarkanie, ale zaraz potem rozlega się stuk kroków i kobieta odchodzi.

– Dziękuję. – Dokoła widzę świadków tego widowiska. – O Boże.

– Nie przejmuj się. – Carole bierze mnie delikatnie za ramię i rzuca głośno pod adresem gapiów: – Oni nie mają nic lepszego do roboty.

Niektórzy są zażenowani, jedna kobieta wzrusza ramionami, grupa nastolatków parska śmiechem, ale tłumek się rozchodzi.

– Już dobrze? – pyta łagodnie Carole.

Nie jest dobrze, jej życzliwość mnie roztkliwia. Połykam łzy i kiwam głową.

– W porządku. To było idiotyczne nieporozumienie. Dlaczego poszłaś za mną aż tutaj?

Carole pokazuje mi jakiś papier.

– Wypadło ci, kiedy wyjmowałaś portmonetkę.

Nie wiem, co to jest, ale odruchowo wyciągam rękę. Okazuje się, że to wycinek z gazety, a gdy przyglądam się uważniej, widzę buzię mojego synka na czarno-białym zdjęciu, zrobionym wiele dni po jego narodzinach. Nie ma nagłówka, ale nawet po tylu latach pamiętam, że napisali: MATKA DOSTAJE 6 LAT ZA ZABICIE SYNA.

– Nie wiem, jak... – Chcę zaprzeczyć, że miałam to przy sobie, ale powstrzymuje mnie zatroskana mina Carole. Niby jak inaczej mogło się tu znaleźć? – No tak, to moje. Dziękuję. Jeszcze raz.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Znowu kiwam głową, bardziej zdecydowanie.

– Tak. Dzięki, Carole. Przepraszam, muszę lecieć.

Chyba zamierza coś dodać, ale nie, nie odzywa się. Łaska boska.

– Wiesz, Emmo, że jestem pod ręką, gdybyś mnie potrzebowała.

Z opóźnieniem dociera do mnie sens jej słów.

– Słucham? Jak to?

– Myślałam, że wiesz... – mówi zakłopotana. – Mieszkamy przy tej samej ulicy.

Nie wiedziałam. Jak to możliwe? Chodziłam tymi ulicami przez cztery tygodnie, nie zwracając na nic ani na nikogo uwagi? Skoro Carole mnie dostrzegła... to kto jeszcze?

– Emmo? Na pewno nic ci nie jest? Wyglądasz nie najlepiej.

Jak nigdy dotąd potrzebuję drugiego człowieka, ale to nie czas i miejsce, żeby zapraszać do domu obcą osobę. Nawet ekspedientkę ze sklepu z serem i winem. Niby co powiedziałabym nowej koleżance? „Dziś rano okazało się, że ktoś wie, że jestem morderczynią. I teraz przywiduje mi się mój nieżyjący synek, noszę przy sobie jego zdjęcia, nawet nie zdając sobie sprawy, że je mam. W tej sytuacji filiżanka herbaty byłaby jak najbardziej pożądana. U ciebie czy u mnie?”

– Nie, nic mi nie dolega – odpowiadam. – Jeszcze raz dziękuję.

5

W bibliotece jest pusto, choć to sobota. Bez celu włóczyłam się po mieście, krążyłam po zaułkach, ściskając w dłoni wycinek z gazety, aż odbił mi się druk na skórze, i w końcu zaszłam pod ten wielki kamienny gmach.

Kiedy stoję przy biurku, siedząca tam kobieta o srogim wyglądzie nawet nie raczy unieść głowy. Ma plaketkę z imieniem: Evelyn.

– Słucham – mówi, wciąż mając nos wetknięty w ogromny katalog, a mnie pozostaje patrzeć na jej bujne siwe włosy.

– Hm... chciałabym założyć kartę.

Kobieta podnosi głowę, zaskoczona moim głosem.

– Och, przepraszam, kochana – odpowiada z uśmiechem. Jej surowa mina gwałtownie łagodnieje. – Myślałam, że to tamten pan – wyjaśnia cicho, ruchem głowy wskazując dość dziwnie wyglądającego osobnika w zielonej impregnowanej kurtce i filcowym kapeluszu. Mężczyzna siedzi w rogu sali, wpatrzony w ekran komputera. – Ciągłe głądzi o naszych blokadach na pewne strony internetowe. Aż się boję przejść koło niego i zobaczyć, czego szuka. Na miłość boską, przecież to biblioteka, a nie jakiś cholerny porno-shop.

Nie mogę pohamować rozbawienia. W ustach tej poważnie wyglądającej starszej pani słowo „porno” zabrzmiało absurdalnie. Kobieta znów się do mnie uśmiecha.

– Przepraszam, kochana, w czym mogę pomóc? Chodzi o kartę, tak?

Dziesięć minut później siedzę przed ekranem komputera – jak najdalej od gościa w kapeluszu – i moje palce same wystukują słowa: Dylan Webster.

Zawsze lubiłam zbierać informacje. Pokoik w Oakdale, uchodzący za bibliotekę, nie mógł się równać z tutejszą. Przez pierwsze parę miesięcy w ogóle nie wiedziałam o jego istnieniu. Tygodniami wpatrywałam się

w ściany pokoju, a Cassie robiła co w jej mocy, żeby wciągnąć w rozmowę tę mumię egipską, którą jej przydzielono jako współlokatorkę. Pewnego popołudnia, po powrocie z dyżuru w jadalni, wzięła mnie za rękę. Stało się, pomyślałam, już nie ma do mnie cierpliwości i zaraz mi przyłoży. Może nie przeżyję i w końcu połączę się z Dylanem.

– Masz – powiedziała, odginając mi palce. – Weź to i chodź ze mną.

Zobaczyłam na swojej dłoni trzy błyszczące srebrne monety, równie przydatne w prawdziwym świecie jak żetony, którymi bawią się dzieci, ale w Oakdale cenniejsze od złota. To była tamtejsza forma nagród finansowych za solidną pracę i dobre sprawowanie. Te krążki umożliwiały wymianę dóbr w murach zakładu – na papierosy, nową bieliznę, czasopisma – oraz dostęp do takich luksusów jak siłownia. No i biblioteka. Cassie ściągnęła mnie z łóżka i zawlokła przez wyłożone stalowymi płytami korytarze do skrzydła przeznaczonego między innymi na rekreację. Na lewo od świetlicy znajdowały się drzwi, których dotychczas nawet nie zauważyłam, z tabliczką „Biblioteka”. Przy framudze był otwór z napisem „Trzy nagrody – wstęp na pół dnia” i czytnik kart bibliotecznych. Cassie wyjęła z kieszeni moją kartę – Bóg jeden wie, kiedy ją ukradła, co tylko pokazuje, jak pilnowałam swojego dobytku na początku pobytu – włożyła ją do czytnika i wrzuciła krążki.

– Jazda, masz pół dnia. – Otworzyła drzwi i lekko mnie popchnęła. – Zbieraj informacje na temat tego podłogowego stanu, o którym doktor Dygotek nawija na terapii.

– Połogowego – bąknęłam. To, co naprawdę chciałam powiedzieć, nie przeszło mi przez gardło. – Mówi się „psychoza połogowa”.

– No właśnie. Jak stąd wyjdiesz, może mnie wszystkiego nauczysz.

Właśnie w tej mrocznej, cichej pieczarze, gdzie mieściły się raptem trzydzieści trzy półki i dwa komputery, które ze względów bezpieczeństwa miały tyle blokad, że tylko szczęśliwym trafem dało się znaleźć zdjęcia pluszowych króliczków – właśnie tam zdobyłam całą potrzebną mi wiedzę na temat choroby, którą przeszłam. Im dłużej rozmawiałam potem z Cassie, tym sensowniej to wszystko brzmiało: że zapłodnienie in vitro mogło mieć wpływ na moją psychikę, że cięcie cesarskie bywa tak traumatyczne, iż kobieta może

wpaść w depresję poporodową, objawiającą się wyczerpaniem, roztargnieniem i drażliwością, które przypisywałam niewyspaniu.

Wspomnienia, których tak bardzo chciałam się pozbyć, przenikają do mojej świadomości niczym woda przez skalne szczeliny. Budzę się na szpitalnym łóżku – nie powoli i stopniowo, lecz gwałtownie, od razu całkowicie przytomna.

– Moje dziecko! Ratunku!

Jestem sama. Nikogo tu nie ma. Próbuję usiąść, ale brzuch boleśnie protestuje. Co mi się stało? Co jest z moim dzieckiem?

– Spokojnie, nie ruszaj się. – W sekundę pojawia się przy mnie Mark. Naciska guzik alarmowy obok łóżka. – Wszystko w porządku, kochanie, leż.

– Co z dzieckiem, Mark? Nic mu się nie stało?

Dotykam rękami twardego, wypukłego brzucha i wyczuwam lekkie trzepotanie. Jest pokrzepiająco ciepły, więc oddycham z ulgą.

W pokoju unosi się zapach środków do dezynfekcji, który kojarzy mi się z nudnościami i rakiem, z widokiem mojej ciężko chorej mamy. Mark ma na twarzy uśmiech, ale zanim coś powie, w pokoju pojawia się ktoś jeszcze, jakaś kobieta. Ma ciemnoblonde włosy, zebrane niedbale w kok. Reszta jej twarzy umyka mojej uwadze.

– Chłopcu nic nie jest – szepcze Mark i uśmiecha się jeszcze szerzej, jakbym powinna coś przypuszczać, czegoś się domyślać, ale ja nic nie rozumiem.

– Ma się dobrze, zważywszy na okoliczności. Zobaczy go pani po rozmowie z lekarzem.

– O czym ty mówisz? – Znowu dotykam ręką brzucha. – Miałam jeszcze jedno USG? Powiedzieli ci, że to chłopiec? – Co się stało?

– Kochanie, zaczęłaś rodzić, pamiętasz? – mówi Mark cichym, krzepiącym tonem. – Nastąpiły pewne komplikacje. Trzeba było podać ci narkozę. Nie pamiętasz? Udzieliłaś zgody.

„Udzieliłaś zgody”. Dlaczego mój mąż mówi jak prawnik z telewizji? O co mu chodzi? Dlaczego ta kobieta patrzy na mnie ze współczuciem?

– Było na krawędzi, proszę pani. Dziecko nie reagowało właściwie. Należało jak najszybciej je wyjąć. Czuje się dobrze, ale przebywa na OIOM-ie. Może zawołam lekarza?

– Piękny chłopczyk, Susan. Jestem z ciebie dumny. Chcesz zobaczyć zdjęcie?

Mark wyjmuje telefon i pokazuje mi najmniejsze niemowlę, jakie kiedykolwiek widziałam. Dlaczego on to robi? Chyba nie chce powiedzieć...?

– Mark. – Przybieram bardziej stanowczy ton. Mam dość tych cyrków, pokazywania kretyńskich zdjęć i głupkowatego szczerzenia zębów. – Co to wszystko znaczy? Czyje to dziecko?

Widzę, jak rzędzie mu mina, zmarszczki w kącikach oczu – fałdki szczęścia, jak je nazywam – znikają.

– Ależ, Susan, to nasze dziecko. Miałaś cesarkę i urodził się nam syn. Pokazałem ci jego zdjęcie.

Znowu podsuwa mi telefon. Zirytowana i zdezorientowana, zamaszystym ruchem odtrącam jego rękę. Jest tak zaskoczony, że telefon mu wypada, leci przez pokój i uderza w ścianę.

– Przestań! To nie moje dziecko! Wciąż jest w moim brzuchu, przecież to czuję!

– Chryste Panie! – Mark biegnie po swojego wspaniałego iPhone'a. Czerwienieje i patrzy na mnie zwięzionymi oczami. – Po co to robisz? Posłuchaj, co ty mówisz. To jest nasze dziecko, twoje.

Kłamie. Wiedziałabym, że urodziłam! Mark trzymałby mnie za rękę, a ja bym parła i krzyczała. Usłyszałabym płacz niemowlęcia, czuła, jak leży na mojej piersi. Wiedziałabym, na pewno!

– Wcale nie. To nie moje dziecko. Nie moje.

Trzeba było trzech pielęgniarek, lekarza i potężnej dawki środków uspokajających, żeby stłumić moje wzburzenie, i dopiero po czterech godzinach od wybudzenia z narkozy zobaczyłam dziecko, które jakoby urodziłam. Kiedy do pokoju wjechało małe plastikowe łóżeczko, nie poczułam żadnego związku między maleńkim chłopcem, którego miałam przed oczami, a życiem, które tak troskliwie pielęgnowałam w sobie przez minione osiem miesięcy. Miałam wrażenie, że mnie okradziono, że ci ludzie zabrali mi te bezcenne pierwsze chwile z moim synem. Pozwolono mi wziąć go na ręce, pielęgniarki zrobiły parę zdjęć i wypowiedziały kilka słów zachęty, a we mnie zaczęła odżywać miłość, którą czułam od dnia, gdy okazało się, że będziemy

mieć dziecko, niemniej to poczucie krzywdy nie zniknęło. Zostałam wykiwana – najpierw straciłam możliwość naturalnego poczęcia, a teraz naturalnego porodu. Pamiętam, że dręczyło mnie wtedy pytanie: a jeśli nie było mi przeznaczone zostać matką?

Sądziłam, że doświadczają tego wszystkie młode mamy; zebrane materiały i moce Google'a rozjaśniły mi w głowie. Od tamtej pory wynosiłam śmieci i sprzątałam toalety, byle tylko dostać w nagrodę krążki, które pozwolą mi przesiadywać w bibliotece – i rozliczyć się z Cassie za tamten pierwszy raz – aż pewnego dnia jeden ze strażników przyszedł do mnie i rzucił mi koło ratunkowe: praca, zaledwie kilka godzin tygodniowo, w bibliotece, a w zamian za to mogłabym korzystać z niej bez ograniczeń.

Nigdy jednak nie wpisałam do wyszukiwarki imienia i nazwiska mojego syna. Nawet nie wyobrażałam sobie, co będę przeżywać po wciśnięciu „Enter”, czekając te kilka koszmarnych sekund na pojawienie się wyników.

Teraz kursor stoi przy krzyżyku w rogu ekranu, gotowy zamknąć stronę, gdy ktoś podejdzie za blisko. I oto jest. Cała strona odnośników do śmierci Dylana, a jego nazwisko, jako osoby wyszukiwanej, jest za każdym razem pisane półgrubą czcionką. Kilka pierwszych wyników odsyła do procesu sądowego, opisanego w artykułach, które widziałam w tamtym czasie, ale nawet teraz trudno mi pogodzić się z faktem, że mowa tam o mnie. Kawałki nagłówków – na przykład: MATKA Z DEPRESJĄ POPORODOWĄ SKAZANA NA 6 LAT albo: ZABÓJCZYNI WŁASNEGO DZIECKA MÓWI: NIE PAMIĘTAM – ułatwiają odróżnienie profili innych Dylanów Websterów na Facebooku czy w LinkedIn. We wszystkich artykułach widnieje jednakowe zdjęcie, to, które trzymam w ręce. Serce łomocze mi w piersi, gdy przesuwam wzrokiem po wynikach wyszukiwania, a każdy nagłówek przypomina mi o tym okresie w moim życiu, który usilnie starałam się zepchnąć w najciemniejsze zakamarki umysłu.

Widzę kilka artykułów, które raczej nie mają związku z Dylanem, ale zapewne pojawia się w nich jego imię. Wszystkie teksty drukuję, zamierzając przeczytać je w domu, gdzie w spokoju będę mogła się dołować. Jednocześnie nie przestaję myśleć o wycinku z gazety, który, jak powiedziała Carole,

wypadł mi z torebki. Kto go tam włożył?! Dlaczego? Czy ja oszalałam? Odsuwam od siebie te przykre myśli.

Pod wpływem impulsu wrzucam do wyszukiwarki imię i nazwisko byłego męża: Mark Webster. Wyskakują usługi projektowe – to nie dział mojego Marka. Oraz zawodowy gracz w darta – zdecydowanie nie mój Mark. Dalej natrafiam na artykuł, którego nie znam. Mark z pewną siebie miną patrzy na mnie ze zdjęcia na stronie Uniwersytetu Durham, który chwali się na cały świat sukcesami swoich absolwentów. Pamiętam, jaką Mark miał satysfakcję, gdy ukazał się artykuł w „Guardianie”. Zatytułowany „Wysoko zaszli”, głosił na cały kraj, że Mark Webster jest współnikiem w wiodącej firmie IT, szychą w branży. Uśmiecham się na wspomnienie jego napuszonej miny; zawsze podobało mi się, że ma ambicje, i byłam niesamowicie dumna z jego osiągnięć. Artykuł w „Guardianie” stanowił swego rodzaju dowód uznania, przypiecztowanie sukcesu.

Niezauważenie mijają mi dwie godziny w bibliotece i ciepły do tej pory dzień wyraźnie się ochładza. Gdy wychodzę z budynku, przenika mnie dreszcz, więc szczerzej owijam się swetrem z grubej włóczki i szybkim krokiem zmierzam do samochodu. Nie patrzę, jak idę i co się wokół mnie dzieje, aż w pewnej chwili wpadam na kobietę, która wychodzi zza rogu biblioteki.

– Och, przepraszam. – Unoszę głowę i widzę kobietę z kawiarni, tę blondynkę, na którą się gapiłam.

– Moja wina. – Sprawia wrażenie podenerwowanej tym nagłym spotkaniem i uśmiecha się niepewnie.

Mam ochotę powiedzieć coś zabawnego dla rozładowania sytuacji – kobieta jest cała spięta – jednak nie chcę ryzykować, że weźmie mnie za jakąś zwariowaną stalkerkę, więc mówię po prostu:

– Nic się nie stało.

Wygląda na to, że coś odpowie, ale zapada niezręczna cisza, po czym kobieta zwyczajnie zakłada za ucho pasemko niesfornych włosów i mnie wymija.

Z wielką radością wracam do domu i z kubkiem gorącej czekolady siadam przed kominkiem, rozkładając przed sobą wydrukowane teksty. Relacje

z procesu wciąż są dla mnie przykre, więc sięgam do ostatnich artykułów, mając nadzieję, że wspomniany w nich Dylan Webster nie jest uczestnikiem jakiejś olimpiady.

Nie jest. Pierwszy artykuł mogę wyrzucić do kosza – dotyczy zjazdu absolwentów jakiegoś uniwersytetu. Nagłówek drugiego od razu przykuwa moją uwagę.

ZAGINIONY LEKARZ SĄDOWY BYŁ WSPANIAŁYM OJCEM – MÓWI RODZINA

Tekst: Nick Whitely. Wydanie: 20.11.2010

Trzy dni po zniknięciu doktora Matthew Rileya jego najbliżsi opowiadają o „niezwykle odpowiedzialnym mężu i ojcu”.

Przebywający w domu zaginionego lekarza, w Bradford, jego kuzyn Jeff Atwater, lat 34, mówi: „Rodzina Matthew znalazła się w niezwykle trudnej sytuacji. Matty jest odpowiedzialnym człowiekiem, fantastycznym mężem i kochającym ojcem. W żadnym wypadku nie porzuciłby żony i dwóch uroczych córek, więc nic dziwnego, że wszyscy szalejemy z niepokoju”.

Kristy Riley, żona Matthew, weźmie udział w konferencji prasowej, która odbędzie się jeszcze dzisiaj.

Doktor Riley, lat 36, znalazł się ostatnio w centrum uwagi jako jeden z uczestników procesu Susan Webster, przed trzema tygodniami uznanej za winną uduszenia swego syna Dylana. Ostatni raz widziano go 17 listopada, kiedy wychodził z supermarketu Waitrose w Bradford, niosąc reklamówkę, w której, jak się przypuszcza, były wino i bombonierka, kupione dla uczczenia ósmej rocznicy ślubu państwa Rileyów. Osoby, które mają informacje o miejscu pobytu zaginionego, powinny zadzwonić na gorącą linię policji West Yorkshire, pod numer podany na stronie internetowej.

Matthew Riley... Czy utkwił mi w pamięci? Wracają mgliste wspomnienia z sali sądowej, gdzie byłam obecna tylko ciałem, i nagle mam go przed oczami. Ten lekarz wyglądał zbyt młodo jak na specjalistę w jakiegokolwiek dziedzinie, ale okazuje się, że był starszy ode mnie. Przypominam sobie, że podczas jego zeznań usiłowałam się skupić, wiedząc, jakie będą ważne. Nie wiem, czy to na skutek stresu, niejedzenia, niewyspania czy leków przeciwdepresyjnych, które przepisywali mi lekarze w szpitalu, lecz po śmierci Dylana miałam duże kłopoty z koncentracją. Żal, twierdził mój ojciec; tak samo przeżywał śmierć mamy. Po jej odejściu też byłam pogrążona w żalu, to jasne, ale teraz czułam się inaczej, jakbym wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku jest czarna dziura, która wszystko pochłania, i jeśli podejść za blisko, to do niej wpadnę. Całą swoją energię wkładałam w to, by nie wpaść do tej dziury z własnej woli.

Lekarz został zaprzysiężony i zaczął odpowiadać na pytania oskarżyciela, okropnego niskiego mężczyzny, który tak bardzo przypominał mi wielkiego i potężnego czarnoksiężnika z Oz, że musiałam powstrzymać się od śmiechu, nie chcąc robić z siebie wariatki, którą i tak zapewne byłam w oczach wszystkich. Staralam się uważnie słuchać, co mówi lekarz – Matthew Riley, jak się teraz dowiedziałam.

– ...nie reagował. Sprawdziłem tętno, pracę serca, oddech. Uznałem go za zmarłego o godzinie szesnastej zero sześć, lecz sekcja zwłok wykazała, że zgon nastąpił około dwóch godzin wcześniej.

– A Susan Webster była...?

Od pierwszej chwili składał zeznania, nie odrywając wzroku od ławy przysięgłych, ale po tym pytaniu spojrzał na mnie i odchrząknął nerwowo.

– Personel oddziału ratunkowego zawiózł panią Webster prosto na salę operacyjną. Gdy zobaczyłem ją na parkingu, sądziłem, że nie żyje, lecz dość szybko okazało się, że tylko jest nieprzytomna.

Oskarżyciel milczał przez chwilę, chcąc, by ta informacja w pełni dotarła do członków ławy przysięgłych, choć moim zdaniem nie było to dla nich niczym nowym.

– Jakie były pana pierwsze wrażenia co do okoliczności śmierci Dylana Webstera?

Doktor Riley z powrotem przeniósł wzrok na członków ławy przysięgłych i przybrał profesjonalną postawę.

– Wydawało mi się, że Dylan zmarł z powodu SIDS. – Zerknął na oskarżyciela, a ten kiwnął głową, żeby mówił dalej. – SIDS, czyli zespół nagłego zgonu niemowląt, zwany również śmiercią łóżeczkową.

Mącił mi się wzrok. Ledwie pamiętałam tamten dzień. Dylan był żywy, a później powiedzieli, że jest martwy. Wiedziałam tylko tyle, że umarł, i nienawidziłam tego człowieka. Nie mogłam znieść, że mówi o mnie i o moim synu, że wypowiada słowo „śmierć”.

– Proszę nam wyjaśnić, dlaczego tak się panu wydawało.

– Cóż, SIDS wciąż jest najczęstszą przyczyną zgonu dzieci do roku życia, więc trzeba uwzględnić tę możliwość, gdy niemowlę umiera w łóżeczku i nie ma zewnętrznych oznak przemocy czy wyraźnej przyczyny śmierci.

– A co wykazała sekcja zwłok?

– Przeprowadzając sekcję, znalazłem w ustach Dylana włókna z poduszki na kanapie państwa Websterów. Stwierdziłem ostrą rozedmę i obrzęk płuc.

Nie trzeba było posiadać specjalistycznej wiedzy medycznej, by się zorientować, czego mają dowieść zeznania doktora Riley’a.

– Wziąwszy pod uwagę zebrany materiał, jak określił pan przyczynę zgonu? – z perwersyjnym uśmiechem, o tym jestem przekonana, zapytał oskarżyciel.

Doktor Riley nawet nie spojrzał w moją stronę, gdy wygłaszał pogrążające mnie oświadczenie.

– Wiedza lekarska mówi mi, że Dylan Webster zmarł w wyniku uduszenia zbrodniczego.

– Ujmując prościej?

– Został uduszony poduszką.

Czy znaleziono doktora Riley’a? Czy jego zniknięcie w ogóle ma związek z całą sprawą? Ciężko wzdycham. Pocieram twarz dłońmi i siadam na piętach. Wtedy słyszę jakiś hałas.

Nie mylę się. Na pewno doleciał mnie głośny łomot od ogrodu za domem, jakby ktoś wpadł na pojemniki na śmieci. Zrywam się z podłogi i obrzucam wzrokiem salon, szukając czegoś do obrony. Pogrzebacz. Stereotypowe, wiem, zapewne nie bez powodu, no i lepsze niż zwinięte w rulon wydruki.

Dobre kilka minut stoję przyczajona za drzwiami i już zaczyna mi być głupio, gdy słyszę coś jeszcze. Kołatanie, niemal na pewno przy klamce tylnych drzwi, i zgrzytanie, jakby ktoś usiłował wyłamać zamek. Jasna cholera. Przez ostatnie trzy lata w zakładzie psychiatrycznym starałam się unikać kłopotów, a teraz spotka mnie paskudny koniec w uroczym mieście w Shropshire. Gdybym nie trzęsła się ze strachu, pewnie dostrzegłabym zabawny aspekt tej sytuacji.

W kuchni jest ciemno, żaluzje są opuszczone, więc nie ma szans, żebym zobaczyła, kto stoi za drzwiami. A niech to! Mogę wykorzystać jedynie element zaskoczenia. Włamywacz najwyraźniej nie jest mistrzem – od dziesięciu minut robi raban, a drzwi wciąż są zamknięte. Zastanawiam się, czy ich nie otworzyć i nie dźgnąć pogrzebaczem tego, kto tam stoi – jak w *Piratach z Karaibów* – ale dochodzę do wniosku, że nie mam najmniejszej ochoty być oskarżona o kolejne morderstwo, bo zaciukałam jakiegoś przymulonego pijacznę, który trafił pod niewłaściwy adres i nie mógł włożyć klucza do zamka.

Kołatanie ucichło. Może ten ktoś zrezygnował i poszedł sobie. Z pogrzebaczem w ręce skradam się pod okno kuchenne i zerkam przez żaluzję. Na dworze jest już zupełnie ciemno, więc widzę tylko własne odbicie. Nagły stuk w szybę sprawia, że wrzeszczę z przerażenia, i dopiero po całej minucie uprzytamniam sobie, co to było. Mój krzyk przechodzi w nerwowy śmiech ulgi. Na parapecie siedzi wielki czarny kot i drapie pazurami, żeby go wpuścić – ni mniej, ni więcej znajda Joss, mój współlokator. Biorę głęboki wdech i gdy otwieram okno, on wmaszerowuje do środka.

– Niech cię diabli, ty durny zwierzaku – karczę go czule.

Zalewająca mnie fala adrenaliny przemienia się w falę ulgi. Joss mruczy i ociera się łebkiem o mój policzek, nie zdając sobie sprawy, jak mnie przestraszył. Wystawiam mu miseczkę z karmą – jego ulubioną Weetabix – a potem sprawdzam, czy tylne drzwi są nadal zaryglowane, i wracam do

mojego przytulnego salonu. Joss wiernie podąża za mną, zwija się w kłębek przed kominkiem i natychmiast zasypia.

Jestem zirytowana swoim idiotycznym zachowaniem. Jediną istotą, która czai się w moim ogrodzie, jest kot przybłęda, spragniony swojej działki weetabixu i ciepłego kąta. Skończona debilka. Niemniej sprawdzam wszystkie drzwi i okna: przezorny zawsze ubezpieczony.

6

Jack: 24 września 1987

– Hej, Szekspir, łap. – Jack rzucił czekoladę i roześmiał się, gdy wylądowała na piersi kumpla. – Słaby refleks.

– Dzięki. – Chłopak zmarszczył brwi. – Kiedy przyjdą tamci?

Znowu spojrzął na zegarek, trzeci raz, od kiedy wszedł do tego domu piętnaście minut temu. I znów Jack musiał się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Niedługo. Cały w nerwach?

– Nie.

Choć szybko zaprzeczył, Jack wiedział, że to nieprawda. Wystroił się, to było widać, zapewne w najfajniejsze ciuchy, jakie miał, ale w sneakersach ASICS i niemarkowych granatowych joggerach i tak będzie odstawał od reszty. Tamci, choć dopiero dwunastoletni, nosili ubrania Nike i Freda Perry'ego, a Willy prawdopodobnie sądził, że Fred Perry to gość z kiosku z gazetami.

– Wyluzuj. Oni nie gryzą. Chyba że im każę. – Jack naburmuszył się, gdy jego Street Fighter stracił kolejne życie, i z kwaśną miną cisnął joystickiem w konsolę. – Cholerne nudziarstwo. Musimy skombinować coś nowego – burknął.

– Masz dużo więcej gier niż ja.

Willy wodził wzrokiem po pokoju Jacka, chłonąc każdy szczegół. Wszędzie walały się pozostałości dawnych zainteresowań: gitara, o którą Jack upominał się tygodniami, trafiła do kąta już po sześciu lekcjach; buty do biegania, absolutne „must have” rok temu, leżały zabłocone na kurtce, która zapewne kosztowała więcej niż wszystkie ubrania w szafie Willy'ego. Zabawne.

– Kupa śmieci. Jak przyjdzie Adam, będzie chciał wyjść na dwór i pograć w nogę. Ubrudzisz sobie swoje nowe sneakersy.

Widząc, jak chłopak robi beztroską minę, że niby go to nie rusza, Jack uśmiechnął się drwiąco. Koleś zapewne godzinami szorował te buty, zanim wyszedł za próg. To musi być kompletne dno, gdy rodzice ciągle są w chacie, za każdym razem pytają, dokąd idziesz i z kim się spotykasz. No i jeszcze ten ich dom. Jack go widział – oczywiście z zewnątrz, bo do środka by go nie zaprosili, to pewne – wielkości znaczka pocztowego, wszyscy na kupie.

Kiedy zabrzmiał dzwonek do drzwi, Willy się wzdrygnął. Jack roześmiał się i skoczył na równe nogi.

– Otworzę! – krzyknął, na wypadek gdyby jeszcze ktoś był w domu.

Obudził się o jedenastej i do tej pory nie widział Lucy. Pewnie jest na cotygodniowych zakupach i nie przejmie się, jeżeli po powrocie nie zastanie go w domu. Jego rodzice należeli do tych, co uważają, że nastolatkom trzeba dać swobodę, by mogli się rozwijać – i łudzili się nadzieją, że on nie wie, kiedy Lucy grzebie w jego szkolnym plecaku i sprawdza, czy odrobił lekcje.

Willy siedział w sypialni, gdy chłopcy gramolili się na górę. Pierwszy wszedł Riley. Jack zauważył, że Willy opuścił z ulgą ramiona. Rzucił krótko do Matta:

– W porządku?

Matt uśmiechnął się szeroko.

– Jasne.

W drzwiach stanął drugi chłopak.

– A to kto? – zapytał, marszcząc nos.

Jack trącił go w ramię.

– Zgłupiałeś? To Szekspir. Trzyma się z nami.

– Co to za imię? Twoja mama była naćpana, jak wybierała ci imię?

– Taka ksywka, debilu. Koleś jest dobry z anglika. Szekspir, to Adam Harvey.

Chłopcy skinęli do siebie głowami, bez entuzjazmu.

– Wyglądasz chujowo. Co ci się stało?

Jack znowu nie pozwolił swojemu nowemu kumplowi dojść do słowa.

– Trzeba było widzieć tamtego. Szekspir dał im wycisk.

– Im?

– Trzem koleśiom, z Westlake. Normalnie ich rozłożył. Zabrałem go tu, zanim ściągnęli posiłki. Prawda, Riley?

Matt kiwnął głową. Adam spojrział na nowego z niechętnym szacunkiem.

– Nieźle. Zagrasz z nami w nogę?

– Pewnie, że zagra. Gdzie jest Peterson?

Matt wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Od wczoraj go nie widziałem.

Willy spojrział nerwowo na Jacka, a ten uniósł brwi. Gdy wszyscy szli na dół, Jack odciągnął go na bok i szepnął:

– Spokojnie. Nikomu nie powiem, że wrobiłeś Mike'a.

7

Przez trzy ostatnie niedziele pracowałyśmy jako wolontariuszki w schronisku dla bezdomnych w Telford, oddalonym o jakieś dwadzieścia minut jazdy samochodem od Bridgnorth, gdzie mieszka Cassie. Zgłosiłam się do pomocy, żeby dać coś od siebie, odpokutować za swoje grzechy. Cassie zgłosiła się, ponieważ ją o to poprosiłam. Choć zarzeka się, że nie ma z tego żadnej satysfakcji i przychodzi wyłącznie „z nudów”, jestem przekonana, że w głębi duszy cieszy się, że robi coś dobrego. Tylko starannie to ukrywa. Gdy się spotykamy w tę niedzielę, sprawia jednak wrażenie trochę zakłopotanej.

– Przepraszam za wczoraj – mówi od razu, zanim otworzę usta. – Wcale nie uważałam, że to zdjęcie nic nie znaczy. Po prostu nie wiedziałam, co o nim myśleć.

Zerkam na boki: nikt nie stoi na tyle blisko, by nas usłyszeć. W schronisku jest dzisiaj całkiem pusto. Do przyjścia Cass siedziałam sama przy stole w rogu dużej sali i sortowałam dary, ani na chwilę nie przestając myśleć o wczorajszych wydarzeniach.

Powiedzieć jej, co było potem? I ryzykować, że uzna mnie za wariatkę?

Szybko mówię jej o wycinku z gazety, który miałam w torebce, o rezultatach poszukiwań w bibliotece i o strachu, jaki przeżyłam wieczorem w domu.

– O kurde. Nie dziwię się, że miałaś pietra. Chcesz pomieszkać u mnie?

– Dzięki, ale sytuacja chyba jeszcze nie jest aż tak poważna. W końcu to był tylko Joss.

– No dobrze, ale kto ci włożył do torebki ten wycinek? Taka rzecz szokuje bardziej niż podrzucenie czegoś do domu.

Ku mojej ogromnej radości Cassie nie sugeruje, że sama go tam włożyłam. Nie miałabym jej tego za złe – mnie też to przyszło do głowy. W końcu przydarzały mi się zaćmienia umysłu i robiłam gorsze rzeczy.

Przerywa nam Bernie, kierowniczką ośrodka, która wpada z kolejną partią darów. Od kiedy zaczęłam tu pracować dwa tygodnie temu, nie mogę się nadziwić, że tyle ludzi ofiaruje zbędne im rzeczy. Dawna Susan Webster nigdy by tak nie zrobiła, tylko zwyczajnie wyrzuciła wszystko na śmietnik. Nie znaczy to, że byłam bez serca – po prostu nie przyszło mi do głowy, że można pomagać w ten sposób. Bernie kręci się koło nas trochę za długo i widać, że irytuje to Cassie.

Gdy tylko Bernie odchodzi – obrzucając nas dziwnym spojrzeniem – Cassie podejmuje temat.

– Jeśli nie Mark, to kto inny chciałby cię wpędzić w przekonanie, że świrujesz? Jego przyjaciele? Matka?

– Mama Marka mieszka w Hiszpanii. Nie poznałyśmy się. O ile wiem, Mark nawet nie zawiadomił jej o narodzinach Dylana. Pokłócili się o coś przed śmiercią jego taty. – Wyrzucam spodnie z trzema dziurami. Niektóre rzeczy są niepotrzebne nawet ludziom w potrzebie. – Ale pominęłyśmy kwestię oczywistą: skąd ktoś z nich wiedziałby, gdzie przebywam?

Cassie kręci głową.

– Każdy może się dowiedzieć. Wystarczy mieć dostęp do internetu i kilka szarych komórek.

– A sprawa doktora Rileya? Myślisz, że jest istotna?

– Raczej nie. – Pewnie mam zawiedzioną minę, bo Cassie zaraz dorzuca: – Ale wygląda podejrzanie. Mogę się mylić. Ani razu nie udało mi się zgadnąć, kto zabił w *Morderstwach w Midsomer*.

– Dzięki. – Uroczą próbą poprawienia mi samopoczucia po mojej amatorskiej robocie detektywistycznej. – Choć prawdopodobnie masz rację. Co powinnam teraz zrobić? Boję się własnego cienia. Nie da się jednak zaprzeczyć, że ktoś wsadził mi ten artykuł do torebki.

– Jeżeli to Mark, można przypuszczać, że mieszka gdzieś niedaleko, prawda? Nie będzie jechał trzy godziny z Bradford tylko po to, żeby wrzucić kopertę ze zdjęciem.

Brr. Ciarki mnie przechodzą na myśl, że mój były mąż krąży cichaczem po Ludlow, a ja nie mam o tym pojęcia. Rzucam okiem na drzwi schroniska, jakbym spodziewała się, że tam stoi i obserwuje mnie. Oczywiście nikogo nie widzę.

– W takim razie co? Objedziemy wszystkie pensjonaty w promieniu trzydziestu kilometrów, pytając, czy nie zatrzymał się tam Mark Webster?

– A moooże... zadzwonimy do niego do domu i zobaczymy, czy odpowie. Jaki jest numer? – Wyjmuje swój telefon.

Kątem oka widzę, że Bernie patrzy na nas podejrzliwie.

– Lepiej poczekajmy i zrobmy to u mnie. – Przykrywam ręką telefon i ruchem głowy daję Cassie znak, że jesteśmy w zasięgu wścibskich oczu.

Następne trzy godziny wloką się w nieskończoność i nawet zjawienie się mojego ulubionego bywalca, Larry’ego, nie absorbuje mnie na tyle, bym zapomniała o swoim byłym i o fotografii małego chłopca. Wydaje mi się, że takie działanie nie jest w stylu Marka, ale dawno ze sobą nie rozmawialiśmy. Ludzie się zmieniają.

– Dziękuję za dziś, miłe panie – mówi Bernie, jak zwykle na koniec naszej zmiany.

Coś mi przychodzi na myśl.

– Bernie, czy nie zauważyłaś, żeby w zeszłym tygodniu kręcili się tu jacyś dziwni mężczyźni?

Uśmiecha się szeroko i wskazuje głową Larry’ego.

– To znaczy oprócz tych, którzy bywają tu regularnie? – droczy się.

Larry klepie ją czule po ramieniu.

– Mniejsza o dziwnych mężczyzn, ale te wszystkie zwariowane kobiety... – mówi żartobliwie.

Odpowiadam śmiechem, choć mam poważne wątpliwości, czy on zdaje sobie sprawę, ile prawdy jest w jego słowach.

8

Cassie wraca do siebie, żeby się przebrać – zaręcza przy tym, że powodem nie jest przebywanie z bezdomnymi – a ja jadę do domu sama. Gdy po przyjeździe nie widzę nic na wycieraczce, odczuwam w równej mierze ulgę, jak i zawód. W domu jest zbyt cicho, jakoś tak niesamowicie cicho. Idę do kuchni, nastawiam wodę w czajniku i otwieram puszkę z kawą.

Już nie wiem, czy to zdjęcie Dylana rozdrapało stare rany, ale aromat parzonej kawy sprawia, że swędzi mnie duża jak pięść blizna na ramieniu, i odruchowo zaczynam drapać pomarszczoną skórę. Sący się wspomnienie, które zamknęłam w swoim umyśle jak w stalowym pudełku. Siedzę w stołówce: stoły są z plastikowych listewek, podobne do ławek w parku, ściany są brudnożółte, trudno określić ich pierwotny kolor. Cassie siedzi naprzeciwko mnie, ze wzrokiem wbitym w zimną zapiekankę, jakby siłą woli chciała ją przemienić w pizzę z Domino's. Intuicja mówi mi, że ktoś za mną stoi, ale nie zwracam na to uwagi, aż dolatują mnie słowa wysyczone tak blisko mojego ucha, że do dziś czuję stęchły zapach papierosów i cuchnący oddech.

– Dzieciobójczyni.

Ostry ból biegnie mi po ramieniu w dół. W pierwszej chwili wydaje mi się, że ktoś mnie uderzył, ale z przerażeniem stwierdzam, że ból nie ustaje, tylko narasta. Zlany wrzątkiem uniform przykleja się do ręki niczym druga skóra. „Jasna cholera!”, świdruje mi w uszach głos Cassie, która już przy mnie jest, oblewa mnie lodowatą wodą i odrywa rękaw mojej koszuli. Słyszę wołanie: „Wezwijcie lekarza”, ale jakby z daleka, ze studni.

Wiele dni później, w naszym pokoju – w Oakdale nie mówiło się „cela”; byliśmy pacjentkami, nie więźniarkami – Cassie powiedziała mi, że zwałistej

Netty Vickers (trafiła do Oakdale za usiłowanie zabójstwa kobiety, która spała z jej facetem) na moje szczęście nie chciało się dosypać cukru do wody. Ponieważ rozpuszczonego cukru nie da się zmyć, obrażenia byłyby poważniejsze. Nie pytałam, skąd to wie. Nie interesowałam się również, co spotkało Netty Vickers. Przeniesiono ją, gdy wciąż przebywałam w skrzydle szpitalnym. Natomiast słyszałam pogłoski. O oparzeniu wrzątkiem z czajnika, w którym nie wiadomo jak znalazł się cukier. Od tamtej pory nikt nie nazwał mnie dzieciobójczynią.

Pukanie do drzwi jest cichutkie. Zatopiona we wspomnieniach, w pierwszej chwili myślę, że tylko mi się zdawało. Ale nie, znowu puk, puk, delikatnie, niemal przepraszająco. Z dwóch powodów coś tak zwyczajnego jak pukanie do drzwi napędza mi strachu. Pierwszy jest oczywisty: wczoraj rano dostałam zdjęcie chłopca, który nie żyje od prawie czterech lat. Drugi jest taki, że przez te cztery tygodnie, od kiedy tu mieszkam, nikt mnie nie odwiedzał, oprócz Cassie, która ma klucz. Dzieliłyśmy pokój tak długo, że głupio mi było za każdym razem wpuszczać ją do domu, więc dałam jej klucz, najpierw „na wszelki wypadek”, a potem już tak zostało.

Dlatego nie mam ochoty podchodzić do drzwi. Z łatwością mogłabym nie reagować na to pukanie – z nikim nie chcę się widzieć – ale taka już jestem, że gdy dzwoni telefon, zawsze podnoszę słuchawkę. Teraz też nie mogę dopuścić, żeby ten ktoś za drzwiami odszedł i żeby przez resztę dnia snuła domysły, kto to był. Najlepiej szybko mieć to z głowy.

Kiedy otwieram, stojący na progu mężczyzna robi krok w tył.

– Pani Webster?

Od wczoraj po raz drugi ktoś zwraca się do mnie tym nazwiskiem. Przez chwilę zastanawiam się, czy dobrze usłyszałam, czy też może wydaje mi się, że wszyscy wokół wiedzą, kim jestem.

– Słucham? Jak pan powiedział?

– Przepraszam, powinienem najpierw się przedstawić...

– Nie nazywam się Webster – mówię przez zaciśnięte zęby do wysokiego ciemnowłosego mężczyzny. – Czego pan chce? Prasa, zgadza się? Pan przysłał mi to zdjęcie? Wy, dziennikarze, nie macie tu nic do roboty. Dajcie mi normalnie żyć. – Walę prosto z mostu, ale to nie zraża tego człowieka.

– Bardzo przepraszam. Nie powinienem pani nachodzić. – Czerwieni się ze zdenerwowania. Może dopiero zaczyna w tym fachu i musi przejść chrzest bojowy. Nowicjusz czy nie, jakiś cholerny pismak nie będzie się kręcił koło mojego domu. – Nie jestem...

– Wzywam policję!

– Nie, nie! – Unosi rękę. – Już idę. Przepraszam, nie powinienem był się pojawiać.

Pospiesznie oddala się alejką, a wtedy uświadamiam sobie, że jeżeli pozwolę mu odejść, będę miała więcej pytań niż odpowiedzi. Co on tu robi? Czy przysłał mi zdjęcie? Czego chce?

– Proszę pana! – krzyczę, nim zdąży wsiąść do samochodu. – Niech pan zaczeka.

Nie chcę, by tutaj wracał, więc wybiegam przed dom, nie myśląc, na co się narażam, jeśli zatrzasną się za mną drzwi. Był taki roztrzęsiony groźbą ściągnięcia policji, że chyba nie napadnie na mnie w biały dzień, na oczach wszystkich.

Wsiada do samochodu i wtedy mam chwilę, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Jest całkiem przystojny, gdy przestał się czerwienić – teraz widać ładną opaleniznę. Ma śliczne niebieskie oczy i mniej więcej tyle lat co mój mąż. Były mąż. Muszę się do tego przyzwyczaić.

Szybko stukam w okno, mając nadzieję, że w tej wariackiej sytuacji nie wyglądam na wariatkę. Mężczyzna opuszcza szybę, odrobinę, najwyraźniej nie zamierza mnie zaatakować.

– Po co pan tu przyjechał? Czy to pan dostarczył mi wczoraj przesyłkę?

Nie on; po jego minie widzę, że jest autentycznie zdezorientowany.

– Nie. Dlaczego tak pani sądzi?

– Bo powiedział pan: Webster. Czyli wie pan, kim jestem.

– Ktoś przysłał coś pani?

Poniewczasie uprzytamniam sobie, że wyjawiałam reporterowi za dużo. On nic nie wie – nie wiedział – o zdjęciu, a teraz zwąchał dobry temat.

– Nie. Nieważne, to nie pana sprawa. Nie zamierzam udzielać wywiadu. Czy ja pana gdzieś nie widziałam?

– Byłem na pani... hm... procesie.

A zatem nie jest nowicjuszem, skoro pisał o moim procesie. Ciekawe, jaką wersję przyjął: potworna matka czy nieszczęsna biedaczka.

– Chcę tylko porozmawiać. Znałem...

– Jak panu na imię?

Waha się – może dlatego, że popełniłam przestępstwo. Zna każdy szczegół z mojego życia, więc to dla niego korzystna sytuacja, dopóki nie dowiem się, kim on jest.

– Nick – mówi w końcu.

Wygląda niegroźnie, czarne włosy na jeża i błękitne jak niebo oczy. Żeby oprzytomnieć, powtarzam sobie, że nie cierpię reporterów. Że zwykle „chcę tylko porozmawiać” może się zamienić w sensacyjny materiał na pierwszej stronie, z nagłówkiem: NIE ZNOSZĘ DZIECI.

– Cóż, nadal nie jestem zainteresowana. Niech pan mi da normalnie żyć.

Kiwa głową, ze współczuciem, jak mi się przez chwilę wydaje. Niewiele to lepsze, niż miałyby mnie nienawidzić.

– Gdyby zmieniła pani zdanie... – Wyciąga notes i zapisuje numer telefonu.

– Proszę.

– Nie zmienię – odpowiadam, ale biorę kartkę.

Zamyka okno i odjeżdża. Zostaje po nim ostry męski zapach.

9

Kiedy przyjeżdża Cassie, wciąż jestem przejęta rozmową z tym dziennikarzem i wspomnieniem Netty Vickers. Chrobot klucza w zamku przyprawia mnie o szybkie bicie serca, ale zaraz słyszę głos Cassie.

– Aloha! Jest tu kto? – Idzie do kuchni, gdzie siedzę przy stole. – Cześć, jak tam? Coś się stało? Dostałaś jeszcze jedno zdjęcie?

– Nie, gorzej, pojawił się reporter.

Szybko relacjonuję wydarzenia ostatnich dwudziestu minut. Z każdym moim zdaniem na jej twarzy maluje się coraz większa złość. Cassie jest śliczna, ale gdy wpada w gniew, przypomina mi się, co przeszła, jakie ma na sobie blizny, fizyczne i psychiczne, i na co musiała się uodpornić. Kiedy jeden jedyny raz miałam okazję zerknąć na jej blizny – odsłoniła je, myśląc, że śpię – ja dusiłam w sobie łzy, a ona była wściekła. Latami pracowała na to, żeby stać się zatwardziałą zbrodniarką, za jaką uchodzi. Jestem pewna, że od długiego czasu tylko ja widziałam prawdziwą Cassie, z bliznami i całą resztą.

– Jeżeli znów tu przyjdzie, dostanie więcej, niż się spodziewa – mówi ostro, a ja się uśmiecham.

– Raczej nie przyjdzie. Porządnie nastraszyłam go policją. Myślisz, że to zbieg okoliczności? Wczoraj list, a dzisiaj ten facet?

Rozważa to, wystukując paznokciami, tym razem koralowymi, znany mi rytm na blacie stołu.

– Możliwe. Mówisz, że wydawał się dezorientowany, jak wspomniałaś o zdjęciu. Faktem jest, że gdy cię zwolnili, nie dostałaś ochrony, zmieniłaś imię i nazwisko. Odszukanie cię nie jest pewnie trudne, nie jesteś Osamą bin Ladenem.

– Wspaniale, hurra.

– Może kupimy psa obronnego?

Ledwo mnie wypuścili, Cassie uznała, że powinnam sprawić sobie psa. Dla niej to żaden kłopot, tylko będzie go głaskać.

– Joss się wkurzy.

Cassie się krzywi.

– Kolejny dobry powód. Co to takiego? – pyta, gdy wykładam na blat wydruki z biblioteki.

– Artykuły o doktorze Rileyu i trochę o procesie. Może spojrzysz na nie świeżym okiem i zobaczysz coś, co mogło mi umknąć.

– Jak Jonathan Creek – mamrocze pod nosem, przebiegając wzrokiem po kartkach. – Tylko że ja nie widzę tu nic szczególnego. Człowiek ma rodzinę... dwie piękne córki... Założę się, że żona chciała go rzucić dla ich księgowego czy coś w tym stylu. Przykro mi, Suze, ale to pewnie zbieg okoliczności.

Jestem zawiedziona, ale wiem, że ona ma rację. Naczytałam się za wiele kryminałów.

– Kolejny? Sporo ich w ten weekend.

Przygryza dolną wargę.

– Zauważyłam chyba jeszcze jeden. Patrz.

Podsuwa mi artykuł o Matthew Rileyu i pokazuje nazwisko autora. Nick Whitely.

– O kurde. Myślisz, że to on? Ładny mi zbieg okoliczności.

– A jeśli on coś wie o zniknięciu Riley'a? Może dlatego do ciebie przyszedł.

– Trzeba było go wpuścić? Twierdził, że chce tylko porozmawiać, ale spławiłam go, zanim przeszedł do rzeczy.

– Komu nie można ufać za żadne skarby?

– Mężczyznom, policji i dziennikarzom – recytuję mantrę. – Ale on nie wyglądał zbyt groźnie. A gdybym tak podpytała go, a o sobie nie powiedziała ani słowa?

Cassie udaje, że się zastanawia.

– Dobrze, dzwońmy do gościa. Jeśli nie okaże się pomocny, zakopujemy go pod tarasem.

Jestem prawie pewna, że żartuje, ale nigdy nie wiadomo.

– Może ja. – Bierze kartkę z nagryzmołonym numerem komórki i wyjmuje swój telefon. – Łączy – szepcze.

– Dawaj. – Rzucam się, by przejąć telefon, ale jest szybsza i odskakuje ode mnie.

– Halo, pan Whitely? – Mówi zupełnie innym głosem, prawie obcym, niemal jak zawodowa telefonistka. – Nazywam się Julie Williams. Dzwonię z polecenia Susan Webster. Pani Webster ma do pana kilka pytań i chciałaby wiedzieć, czy może pan umówić się na spotkanie. – Marszczy brwi, potem robi minę do telefonu i podaje mi aparat. – Chce rozmawiać z tobą. – Zasłania mikrofon. – Trzymaj się planu – cedzi przez zęby.

Nie wiedziałam, że mamy jakiś plan.

– Przy telefonie pani Webster?

– Tak. Możemy się spotkać?

– To zależy. Czego pani ode mnie oczekuje?

Jaki miałyśmy plan na taką ewentualność?

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego pan do mnie przyszedł.

– To mogę wyjaśnić przez telefon. Po prostu chciałem porozmawiać, zadać parę pytań. Jak wygląda teraz pani życie, co pani czuła, gdy mąż odwrócił się od pani. Aspekt ogólnoludzki, by tak rzec. Chce pani przedstawić tę historię od swojej strony?

Zamykam oczy.

– Za nic w świecie.

– W takim razie czego pani ode mnie oczekuje?

Przynajmniej jest szczerzy. Może powinnam spróbować.

– Zależy mi na pewnych informacjach. I na pańskiej pomocy.

– Jestem w połowie drogi do Doncaster. Czyżby spodziewała się pani, że w ramach przysługi odbędę całą tę podróż do Ludlow jeszcze raz?

– Skądże. My przyjedziemy do pana. Jutro, jeśli to panu pasuje. Proszę tylko wyznaczyć miejsce.

Umawiamy się w restauracji, pół godziny jazdy samochodem od jego domu – dla nas to dwie godziny. Gdy się rozłączam, Cassie obrzuca mnie pytającym spojrzeniem. Informuję ją o ustaleniach.

– Wyciągaj z szafy najlepszą kieckę, bo musimy przekonać tego gościa, że nie jesteśmy świruskami, za jakie ma nas świat.

Łatwo powiedzieć. Już zachowujemy się jak niespełna rozumu. Cassie, tak jak proponowała, dzwoni do Marka, wystukując numer, który jej podaje. Mark odbiera i tym samym obala moją teorię, jakoby kręcił się po Shropshire i dostarczył mi przesyłkę ze zdjęciem. Cieszę się, że nie musiałam słyszeć głosu byłego męża. Jestem podekscytowana perspektywą spotkania z Nickiem Whitelym, ale jeszcze bardziej przeraża mnie myśl, że zamiast to odpuścić i ułożyć sobie życie na nowo, nieświadomie postanowiłam się zaangażować. Będę grzebać w przeszłości i obym tylko nie wykopała za wiele kościotrupów.

Jack: 18 października 1987

– Posłuchaj, Zołza już trzy razy dzwoniła do moich rodziców ze skargą, że w tym miesiącu urwałem się z lekcji. Nie mam w domu takiej Lucy, która uda, że jest moją mamą.

– Chryste, Willy, wyluzuj. W najgorszym razie co będzie? Powiedz im, że zmusił cię Adam i gdybyś się nie urwał, dałby ci wpierdol.

– Chwila, dlaczego ja? – obruszył się Adam.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Bo jego mama mnie uwielbia i nie uwierzy, że zrobiłem coś takiego, a Mike... – dodał ciszej – jest mięczakiem i nie zdołałby go przekonać.

Adam przyjął to z zadowoleniem: nie jest taki czarujący jak Jack, trudno, ale przynajmniej budzi większy postrach niż Mike.

– Tylko dopilnuj, żeby nie zadzwoniła do szkoły. Dostanę od taty po tyłku, jeżeli znowu powiedzą, że dręczę innych.

– No dobra. – Willy ciężko westchnął. – To jaki mamy plan?

Jack sturlał się z łóżka i wyciągnął spod niego wielki arkusz papieru.

– To jest plan sklepu. Tu mają piwo. – Zakreślił kółkiem regał na lewo od kasy. – Walters, facet, który pracuje na dzienną zmianę, bo jest za stary na nocną, zawsze stoi przy kasie. Kiepsko widzi, ale jest tak blisko, że cię dorwie, jeżeli będziesz się guzdrał. Wchodzimy po dwóch. Najpierw ja i ty, Adam, przeglądamy czasopisma, grzebiemy w cukierkach luzem, generalnie wkurzamy Waltersa i zajmujemy jego uwagę, żeby nie widział, jak wchodzicie wy dwaj i bierzecie procenty. Samą wódkę, ile uniesiecie.

– Dlaczego ja mam kraść? – zapytał Willy. – Możesz powtórzyć? W życiu nic nie ukradłem.

– Taaa, widać. – Mike zarechotał, zerkając na jego lekko przetłuszczoną czuprynę i trzyletnie buty. – Budzimy większe zaufanie niż oni, stary. Facet nas w ogóle nie zauważy, gdy tamci zaczną się kręcić po sklepie. No i nie przyszedł Riley, zwykle to jego zadanie. Nie przejmuj się. Często to robię. Ty masz tylko trzymać torbę.

Jack złożył plan sklepu i wetknął z powrotem pod łóżko. Rozsunął drzwi podwójnej szafy, wyjął obszerną czarną kurtkę i rzucił Willy'emu.

– Włóż ją. Od środka ma wielkie kieszenie, może coś schowasz. Po waszym wyjściu zaczekamy pięć minut i też się wynosimy. Wy idziecie do domów, przebieracie się i o ósmej wszyscy znów się tu spotykamy. – Spojrzał na Mike'a i Adama. – Idźcie przodem, dogonimy was.

Kiedy wyszli, odwrócił się do Willy'ego, który przyglądał się swoim paznokciom.

– Jak się spiszesz, będziesz mógł przyjść do mnie i wybrać sobie jakieś ciuchy na imprezę u mojej kuzynki.

– Dlaczego miałbym...

Jack pokręcił głową, przerywając mu w pół zdania.

– Posłuchaj, przy nas nie musisz udawać, jesteście kumplami, jasne? Wiem, że twoi rodzice nie mają pieniędzy, i mało mnie to obchodzi. Wykonasz zadanie, to pójdziesz na balangę i będziesz wyglądał jak my wszyscy, nikt nie zauważy różnicy. Tam będą dziewczyny. Masa dziewczyn, chłopie. Puknąłeś już dziewczynę?

Odpowiedź malowała się na twarzy Willy'ego.

– Dziś będziesz miał okazję, stary. Tylko załatw procenty. Dasz radę? – Uśmiechnął się szeroko, gdy tamten kiwnął głową. – Ekstra, chłopie, to rozumiem. Spadamy.

Skok się udał, zgodnie z planem. Ich nowy kumpel nie upuścił butelki ani nie pokajał się przed sklepikarzem, choć zrobił w portki, gdy wszedł z Mikiem do środka i zobaczył, że przy kasie stoi nie Walters, lecz jakaś dziewczyna

z doskonałym wzrokiem. W sumie było to nawet korzystne. Jack radził sobie z kobietami dużo lepiej niż ze starcami. Wyglądał znacznie doroślej niż na swoje piętnaście lat, a jego falujące brązowe włosy i czyste niebieskie oczy dodatkowo zmniejszały szanse na to, że ekspedientka Tina zauważy, co się dzieje w innej części sklepu. Najbardziej zaskoczył go jednak Mike: kiedy Tina spojrzała w jego stronę, zwyczajnie wypuścił torbę z ręki i wyszedł. Willy miał szczęście, że akurat pojawił się Matt Riley, szybko zorientował się, co kombinują Jack z Adamem i że Willy stoi tam jak jeleń w świetle reflektorów. Podszedł do niego, włożył butelki do torby i dosłownie wyciągnął go ze sklepu. Kiedy wyszli z za rogu, z trzema podzwaniającymi butelkami wódki w torbie, Mike czekał tam na nich, jakby nic się nie stało.

– Co ci odwalilo? – warknął Jack. – Zostawiłeś biednego Szekspira samego z towarem. A ja musiałem niemal przelecieć na lodzie tę dziewczynę, żeby nie zainteresowała się, dlaczego wypadłeś stamtąd jak burza. Na szczęście zjawiał się Riley.

– Ona coś podejrzewała. Mogła mnie rozpoznać, więc pomyślałem, że lepiej się wynieść i niech Szekspir to robi – bronił się Mike. – Co macie?

Willy już otwierał torbę, żeby pokazać swój imponujący łup, ale Jack zasłonił ją ręką i szturchnął Mike'a w ramię.

– Wal się. Zostawiłeś Willy'ego na lodzie. Jeżeli myślisz, że pójdziesz na imprezę, to nic z tego. Spieprzaj do domu.

– No co ty, stary?! Przepraszam, w porządku?

– Nie w porządku. Spadaj.

– Pieprz się! Ty nigdy nie ubrudziłeś sobie rąk, kurwa! – krzyknął Mike za oddalającymi się kumplami.

Jack tylko parsknął śmiechem.

– Dzięki Bogu. Ten zajob popsułby nam zabawę. U mnie o ósmej, co, Harvey? Adam miał niewyraźną minę, nieswój, że wraca bez przyjaciela, ale w końcu kiwnął głową. Jack uderzył pięścią w powietrze.

– Idziesz tam? – zapytał Willy Matta Riley'a.

– Jasne, czemu nie.

– Dzięki, że mi pomogłeś.

Riley uśmiechnął się szeroko.

– Nie zachowuj się jak pedał. Cześć.

Jack objął Willy'ego i uścisnął, a potem złapał go za rękę i pociągnął za sobą.

– Idziemy, stary, trzeba nad tobą popracować.

11

Nick Whitely jest przystojnym mężczyzną, co dostrzegam wyraźnie, jak już minęła mi złość. Zyskuje, kiedy nie jest podenerwowany. Wstaje na powitanie i widzę, że wyprasowana biała koszula okrywa dobrze zbudowane ciało. Nie wiem, czy zauważył mój wzrok, ale jego intensywnie niebieskie oczy błyszczą z rozbawienia, gdy ściska mi rękę.

– Miło panią widzieć, pani Webster. – Zwraca się do Cassie: – Oraz Cassie Reynolds, jeśli się nie mylę.

Cassie marszczy brwi.

– Sądziłam, że mamy się spotkać z reporterem, a nie z detektywem.

Odruchowo szturcham ją w bok.

Siadamy przy stoliku. Pan Whitely – zastanawiam się, czy powinnam zwracać się do niego po imieniu – już zamówił butelkę cabernet sauvignon i dzbanek wody z lodem. Jak na drugorzędnego dziennikarza z jakiegoś lokalnego szmatławca prowadzi spotkanie dość profesjonalnie. Dopiero po minucie dociera do mnie, że on cały czas coś mówi, a ja gapię się na jego ramiona, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio takie ramiona mnie obejmowały.

– Przepraszam, że co?

Wskazuje na wino.

– Proponowałem, żeby panie się poczęstowały.

Nalewam sobie wody. Cassie woli wino.

– A zatem, panie Whitely? – próbuję przejść do rzeczy.

– Proszę mi mówić Nick.

– Jak wolisz, Nick. Pewnie się zastanawiasz, dlaczego skontaktowałam się z tobą, skoro wczoraj tak obcesowo cię przegoniłam.

Jego niebieskie oczy odrywają się od kieliszka i patrzą w moje, potem obejmują mnie całą i znów spotykamy się wzrokiem.

– Zastanawiam się, Susan... jeśli mogę? – Kiwam głową, gdy zawiesza głos.

– Zastanawiam się, czego aż tak bardzo ode mnie chcesz, że nagle jesteś skłonna rozmawiać z przedstawicielem prasy.

– Dlatego przyszedłeś? Z ciekawości? – pytam. – Znasz już moją nową tożsamość i adres, pewnie zrobiłeś kilka zdjęć. Co będziesz z tego miał?

– Przyznaję, że powodowała mną ciekawość. Jestem dziennikarzem, nic na to nie poradzę. Możesz mnie zastrzelić. – Uśmiecha się przelotnie i mówi do Cassie: – Nie próbuj.

Cassie szyderczo rozciąga usta. Nie jestem pewna, czy Nick tylko tak żartuje.

– W takim razie przechodzę do rzeczy.

Wyjmuję z mojej brązowej skórzanej torebki artykuł. Nick przelatuje wzrokiem tekst i oddaje mi wydruk.

– Czytałem – oznajmia, jakby z nutą rozbawienia. – Trudno nie zauważyć, że jestem autorem.

– No właśnie. – Nerwowo przyciskam do piersi swoją kartę atutową. – Co wiesz o zniknięciu doktora Rileya? Długo guglowałam i wygląda na to, że się nie odnalazł.

Spojrzenie Nicka wydaje się szczere.

– Gratuluję biegłości w guglowaniu. Matthew Rileya nie odnaleziono. Wielu twierdzi, że zadawał się z niewłaściwymi ludźmi i musiał zniknąć. Inni uważają, że popełnił samobójstwo, bo nie mógł spłacić długów. Policja nie znalazła jednak dowodów ani samobójstwa, ani działalności przestępczej. To, co wygrzebaliśmy, potwierdziło, że miał szczęśliwe małżeństwo, piękną żonę i dwie udane córki. Nie zostawił listu.

– Co o tym myślisz?

Kręci głową i już ma odpowiedzieć, gdy pojawia się dziarski kelner z bloczkiem i uniesionym w gotowości długopisem.

– Mogę przyjąć zamówienie?

Patrzę na Cassie i Nicka.

– Poproszę sałatkę z kurczakiem – mówi Cassie. – Bez dressingu.

Nick spogląda na mnie.

– Hm, a ja wezmę *penne al pollo*, do tego porcję frytek i bułeczki czosnkowe.

O rany! Ale jestem głodna.

– Świetny wybór – mówi z uśmiechem Nick. – Dla mnie to samo. Lubię kobiety, które potrafią porządnie zjeść. No więc co chcesz wiedzieć o Rileyu?

Jego łagodny, miękki głos przypomina mi, po co tu jesteśmy.

– Jak myślisz, co się stało? Dlaczego człowiek, który ma dobrą pracę i kochającą rodzinę, nagle znika?

– Ludzie często robią rzeczy sprzeczne z ich charakterem – zauważa Nick, upijając łyk wina.

Czy on mówi o mnie? – przelatuje mi przez myśl.

– Możliwe – rzucam oględnie.

– Wobec tego zapytam: Dlaczego tak bardzo cię to interesuje?

Cassie zawzięcie kiwa głową, wskazując moją torebkę, co chyba oznacza, że jej zdaniem pora pokazać mu to, co w niej mam.

Wyjmuję zdjęcie i bez słowa podaję Nickowi.

– Dostałam to dwa dni temu. Zostało wrzucone przez otwór na listy, gdy byłam w kuchni. Koperta nie miała stempla pocztowego. Potem zjawiłeś się ty.

Spogląda na zdjęcie uważnie, zastanawia się, co mówi mu portret tego pięknie uśmiechniętego chłopaczka. Obserwuję wyraz jego twarzy: najpierw marszczy się w zadumie, potem pojawia się zdziwienie, na koniec olśnienie, gdy Nick odwraca zdjęcie i widzi, co tam jest napisane.

– Teraz rozumiesz, do czego zmierzam?

Pochylam się do przodu, nie mogąc ukryć podekscytowania. Sama nie wiem, dlaczego tak mi zależy, by ten człowiek uwierzył w moją historię. Dopiero teraz uprzytamniam sobie, jak bardzo pragnę, żeby ktoś potwierdził to, co ja sędzę w skrytości ducha. Że mój syn być może żyje.

– Tak, chyba tak.

Nick powoli kładzie zdjęcie na stoliku. Wpatruje się w nie tak intensywnie, jakby samą siłą wzroku mógł je zmusić do mówienia. Nie mam pojęcia, o czym myśli – jego oczy może są piękne, ale nieodgadnione. Zamiast dziennikarzem, chyba powinien zostać prawnikiem. Albo pokerzystą.

– Po pierwsze, zapewniam cię, że nie mam nic wspólnego z tą fotografią, choć wiem, jak według ciebie to wygląda. Po drugie, trudno mi pojąć, że na podstawie fotografii, która może przedstawiać dowolnego chłopca, w dowolnym miejscu, uznałaś, że twój syn żyje i że doktor Riley sfabrykował świadectwo zgonu, żeby wrobić cię w morderstwo... A potem co: popełnił samobójstwo? A może zabiła go dla ciebie mafia? Mimo to on zmartwychwstał i cztery lata później osobiście dostarczył ci zdjęcie twojego syna.

W porządku, jeśli tak to ująć, sprawa jest trochę naciągana, ale za nic w świecie nie przyznam racji temu zadufanemu w sobie typkowi.

– Nigdy tak nie twierdziłam. – Przyjmuję najbardziej buńczuczny ton, na jaki mnie stać. – I nie podoba mi się ta arogancka szpila o zmartwychwstaniu, którą wetknąłeś na koniec. Martwię się, że ktoś zna moją tożsamość i być może chce się na mnie zemścić. W przeciwnym razie po co zadawałby sobie tyle trudu?

Cassie osunęła się na krzesło i ze znużeniem pociera twarz. Z pewnością spodziewała się lepszego rezultatu tego spotkania. Nick Whitely bez ogródek dał nam do zrozumienia, że jesteśmy kretynkami, więc nie widzę powodu, żeby dłużej tu siedzieć, ale właśnie podano nam jedzenie i czekamy, aż kelner przestanie koło nas tańczyć i napełniać kieliszki. Gdy odchodzi, podejmuję temat.

– Dostałam jeszcze to. – Podsuwam mu zdjęcie z gazety. – Tego samego dnia ktoś włożył mi ten wycinek do torebki. Coraz więcej pytań, na które jest coraz więcej nieprawdopodobnych odpowiedzi. – Nick bierze zdjęcie, patrząc mi w oczy. – Zastanawiałam się, nie przeczę, choć to szalona myśl, jak by to było, gdybym dowiedziała się, że mój syn żyje. Ale powiedz mi, szanowny panie: gdybyś każdego dnia przez ostatnie tysiąc siedem dni pragnął umrzeć z powodu tego, co, jak ci powiedziano, zrobiłeś swojemu synkowi, i gdybyś potem dowiedział się, że istnieje możliwość, choćby znikoma, że jednak tego nie zrobiłeś, a twój synek żyje i dobrze się miewa, to czy nie uczepliłbyś się takiej nadziei ze wszystkich sił? Ktoś podsunął mi tę myśl, być może przelotną, bo jest okrutnym człowiekiem albo chce mnie nastraszyć, sama nie wiem. Ale chętnie się dowiem, kto to zrobił i dlaczego.

Ręka, w której Nick trzyma widelec, zawisa w połowie drogi do ust. W jego spojrzeniu jest coś, czego nie było do tej pory. Znikła chęć zaspokojenia ciekawości, ten uśmiezek kota bawiącego się z myszą, aroganckie i pewne siebie spojrzenie. Patrzy na mnie jak człowiek, który doskonale wie, jak to jest pragnąć, by to, co się stało, nigdy się nie stało. Kiedy wreszcie się odzywa, mało brakuje, a bym go ucałowała.

– Jak mogę ci pomóc?

Siedzimy w Dolce Vita do zamknięcia. Kiedy kelnerzy już nie udają, że dobra obsługa gości leży im na sercu, i zaczynają ustawiać krzesła na stolikach, stwierdzamy, że wieczór dobiegł końca.

Przed wyjściem znikamy z Cassie w damskiej toalecie, by wreszcie pogadać o tym, jak przebiegło to spotkanie. Cassie nie jest szczególnie zadowolona.

– Dobrze, że mu się spodobałaś – mówi tak, jakby zmarszczył jej się nawet głos. – Inaczej obie wróciłybyśmy do Oakdale.

Staram się nie rumienić.

– Wydaje ci się.

– Akurat! Facet nie mógł oderwać od ciebie wzroku. Do mnie w zasadzie się nie odzywał po tym błazeńskim wtręcie, żebym nie strzelała. A w ogóle to była pieprzona rama obrazu, a nie żadna broń.

Wstrząsa mną dreszcz.

– Przestań.

Kiedy wracamy do stolika, Nick właśnie odkłada komórkę.

– Rozmawiałem ze swoim szefem. Mam jeszcze parę dni urlopu, więc postanowiłem je wykorzystać.

– Dlaczego? – pyta natychmiast Cassie, robiąc podejrzliwą minę.

Wiem, co pomyślała: czym innym jest wspólna kolacja we włoskiej restauracji i wysłuchiwanie paranoicznych urojeń jakiejś obcej kobiety, a zupełnie czym innym rezygnowanie z wolnego czasu, na który się ciężko zapracowało – po to tylko, żeby uganiać się za wyimaginowanymi geniuszami zbrodni.

– Proszę nie dziękować.

Nick odpowiada żartobliwie na jej nieuprzejmość, a ja czuję się okropnie. Rzucam Cassie ostrzegawcze spojrzenie. Skoro ten wspaniały, inteligentny mężczyzna, mający odpowiednie kontakty i środki, chce nam pomóc, po co drażnić sprawę?

– Pytam poważnie. Dlaczego? – naciska Cassie. – Daj spokój, Susan, nie patrz tak na mnie. Nie ufam mu. Ty też nie powinnaś. Co szanowny pan będzie z tego miał?

Nick nie odpowiada. Przez dobrą minutę przygląda mi się w skupieniu, bez słowa. Jego baczne spojrzenie zaczyna mnie krępować, a on odchyła się na krześle.

– Powiem tak: rzadko się zdarza, by jakaś historia do tego stopnia mnie zainteresowała. – Wciąż patrzy mi w oczy. – Dzień w dzień piszę o sprawach, w których fakty są jednoznaczne. Jestem reporterem, a nie dziennikarzem śledczym. Na moim biurku lądują komunikaty prasowe, protokoły sądowe i oświadczenia policji, z których składam coś, co ludzie będą chcieli czytać. Nudna robota.

Rozkłada ręce w geście, który mówi: możesz to przyjąć albo odrzucić. Przyjmuję. Bez względu na to, co ma do powiedzenia Cassie.

– Skoro tak, to jestem wdzięczna. – Wstaję, Nick też. – Od czego zaczniemy?

– Wrócę do domu, żeby spakować parę rzeczy, i jutro do ciebie przyjadę. Pasuje?

– Ma łatwowierną żonę – stwierdza spokojnie Cassie, gdy pokonujemy dwieście kilometrów dzielących nas od domu. – Albo jest gejem.

– Nie jest gejem. I nie jest żonaty. Nie ma obrączki.

– To o niczym nie świadczy. – Kręci głową. – Takie obleśne typy nigdy nie noszą obrączek. Jim zawsze mówił, że jest za ciasna. Gówna prawda.

– Może nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Jim – odburkuję i Cassie już nic nie mówi o Nicku.

Podróż mija szybciej, niż sądziłam. Ruch jest niewielki i czasem przekraczam prędkość. Podwożę Cassie pod dom, całuję ją w oba policzki,

dziękuję za wszystko i obiecuję zadzwonić rano, gdy się dowiem, o której przyjedzie Nick.

Bez jej nieustannego gadania robi się zbyt cicho. Nastawiam radio tak głośno, jak mogę wytrzymać, i próbuję zagłuszyć gonitwę myśli. Czy powinnam zaufać Nickowi Whitely'emu? Wiem, że Cassie mu nie ufa, bo jest taki przystojny – ona nie cierpi mężczyzn, a najbardziej tych przystojnych – ale może ma rację.

Kiedy skręcam na swój podjazd, od razu czuję, że coś jest nie w porządku, ale dopiero po chwili dociera do mnie, co jest nie tak. Mózg dogania wrażenia wzrokowe i moje serce zamienia się w bryłę ołowiu. Drzwi wejściowe są uchylone. Wykluczone, żebym zapomniała je zamknąć, obojętnie, jak by mi się spieszyło. Zwyczaj chronienia osobistej przestrzeni i własnego dobytku wyrobiłam sobie już po kilku dniach w Oakdale. Bardziej niż uchylone drzwi niepokoi mnie jednak lśniąca czerwona ciecz, która kapie z klamki. Mój ganek jest we krwi.

12

Całą sobą wiem, że nie powinnam wchodzić do domu. W takim razie dlaczego wysiadam z samochodu i idę do drzwi?

Serce o mało nie wyskoczy mi z piersi. Kiedy zbliżam się do zalanego krwią ganku, mój oddech lekko się uspokaja. Krew, która ściekała z klamki i zbierała się w kałużę na betonowej płycie, jest trochę za gęsta i za czerwona. To farba. Ktoś tu był, błyska mi ostrzegawcza myśl, i być może wciąż jest.

Wiem, że powinnam wsiąść do samochodu, odjechać i zadzwonić na policję, mimo to owijam rękę swetrem i otwieram szeroko drzwi.

– Halo! – krzyczę nerwowo.

Szlag trafił element zaskoczenia, mądralo. Nikt się nie odzywa. Uspokojona, że nie dostałam po głowie którąś z moich ozdobnych figurek, robię jeszcze kilka kroków.

Przedpokój jest zdemolowany. Inaczej nie da się określić tego, co mam przed oczami. Połamany stolik, na który odkładałam korespondencję. Wywalone na podłogę szuflady i ich zawartość. Wszędzie czerwona farba, również na ścianach, aż do kuchni. Mam jakieś kuriozalne skojarzenie z demonstracjami przeciwko kobietom w futrach. Wiem, że nie powinnam iść dalej. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Posuwam się krok za krokiem i otwieram drzwi do kuchni.

Tam jest jeszcze większy bałagan, o ile to w ogóle możliwe. Sztućce walają się wszędzie. Wyciskarka do owoców leży rozbita na blacie, roztrzaskany opiekacz do chleba na podłodze. Ściany, blaty i podłoga są umazane farbą. Mój dom wygląda jak z filmu *Teksańska masakra piłą mechaniczną*.

Nagle dolatuje mnie z góry jakieś walenie. Nie mogę opanować krzyku. Z całą pewnością słyszę kroki. Ktoś jest na podeście i zanim zdążę zareagować,

zbiega z tupotem po schodach. Szaleńczo rozglądam się za czymś do obrony. Widzę designerski stojak na noże – pusty – bo wszystkie sześć noży tkwi w ścianie. Są wbite tak głęboko, że żadnego nie mogę wyciągnąć. Zaczynam panikować.

Klucze lecą mi z rąk, gdy rozpaczliwie usiłuję otworzyć tylne drzwi, i wtedy słyszę głośny trzask drzwi wejściowych. Zdyszana i spocona, w końcu wypadam do ogrodu za domem. Wyjmuję z kieszeni telefon, drżącą ręką przewijam listę kontaktów i naciskam „połącz”. Czekam i czekam, Cassie nie odpowiada. Przewijam dalej i zalewa mnie fala ulgi, gdy słyszę głęboki głos pod drugiej stronie.

– Nick? To ja, Susan.

– Wyszła pani tylnymi drzwiami i co pani zrobiła?

Wzdycham jak najciszej, żeby funkcjonariusz nie zauważył, że się niecierpliwie. Już prawie trzy godziny siedzę w komisariacie w Ludlow i po raz czwarty powtarzam swoje zeznania. Wiedzą, kim jestem – sądzę, że służby kuratorskie mają obowiązek informować policję, na wypadek gdyby doszło do takiej sytuacji jak ta – i kiedy się pojawili, miałam wrażenie, jakby na to czekali.

– Zadzwoiłam do Nicka, to znaczy do pana Whitely’ego – mówię po raz kolejny, spodziewając się zaraz pytania, na które nie znajdę sensownej odpowiedzi.

– Widząc, że dom jest zdemolowany, a ewentualny włamywacz wciąż przebywa na terenie, dlaczego zamiast na policję dzwoni pani do reportera, którego dopiero co pani poznała i który na dodatek mieszka niemal trzy godziny jazdy stąd?

– Włamywacz już nie przebywał na terenie – odpowiadam przebiegle. Wiem, że policjantowi nie o to chodziło, ale nie podoba mi się wydźwięk jego pytania, a poza tym tak już mam, że gdy ktoś mnie wkurzy, po mistrzowsku udaję głupa i przybieram sarkastyczny ton. – Najpierw zadzwoniłam do mojej najlepszej przyjaciółki, ale nie odebrała.

– Nie mogła pani wiedzieć, gdzie przebywa włamywacz – zauważyła funkcjonariusz. – Mimo to odbyła pani długą rozmowę z panem Whitelym i dopiero później wezwała pomoc.

Ma rację, ale niech mnie diabli, jeżeli przyznam to głośno. Nie jego sprawa, dlatego najpierw zadzwoniłam do Nicka, a potem na policję, na pewno nie po to, żeby podsunąć mu interesującą historię, jak sugeruje ten policjant. On i jeszcze trzech funkcjonariusze, którzy przesłuchiwali roztrzęsioną nieboraczkę po wyprowadzeniu jej z ogrodu.

– Nie taką znowu długą – protestuję, okopując się na pozycji. – Ponadto nie widzę związku. Zadzwoniłam do człowieka, z którym spędziłam wieczór, do pierwszej osoby, która przyszła mi na myśl. Powiedział, żebym zawiadomiła policję, a on postara się dojechać jak najszybciej. Wtedy zadzwoniłam do was. Minęły nie więcej niż dwie minuty.

Nie chcę mu wyjaśniać, dlaczego ociągałam się z wzywaniem policji, dlatego sam widok munduru przywołuje we mnie straszliwe wspomnienia. Przez cztery lata nie mogłam zapomnieć, co czułam, gdy wyprowadzali mnie w kajdankach. Przekonałam się, że policja nie zawsze stoi po stronie tych dobrych. Że człowiek nie zawsze wie, czy należy do tych dobrych.

– Dwie minuty mogą znacznie opóźnić ujęcie potencjalnego przestępcy. – Patrzy na mnie surowo. – Ale o tym akurat pani nie muszę mówić.

Te słowa odbieram jak policzek.

– Nie wiem, do czego pan zmierza... – Śledczy nie pozwala mi dokończyć.

– W przypadkach takich jak ten staramy się zawęzić krąg poszukiwanych do osób, które być może chcą zaszkodzić domniemanej ofierze...

W tym momencie jestem zbyt zszokowana, by coś wtrącić, nawet we własnej obronie.

– ...ale w tej sytuacji myślę, że łatwiej nam będzie zawęzić krąg poszukiwanych do osób, które nie chciałyby zaszkodzić dzieciobójczyni skazanej prawomocnym wyrokiem. – Policjant przysuwa się i mrozi mnie spojrzeniem. – Mieszkamy w spokojnym miasteczku, pani Cartwright – dodaje z naciskiem. – Przestępcy nie są tu mile widziani.

Już chcę powiedzieć coś na swoją obronę, gdy otwierają się drzwi i moje wzburzenie ustępuje miejsca uldze. Wchodzi policjant o wyglądzie małolata

i nie patrząc w moją stronę, przemierza pokój przesłuchań, pochyła się nad śledczym i coś mówi mu szeptem, na co tamten kiwa głową i podnosi na mnie wzrok.

– Najwyraźniej zjawił się pani rycerz w lśniącej zbroi.

Jestem zszokowana – naprawdę przyjechał? Co ja mu powiem? Gdy już wróciłam do równowagi, jest mi głupio i nie wiem, jak się zachować wobec ledwie poznanego mężczyzny, który na moje wezwanie przejechał dwieście kilometrów, żeby ratować mnie przed włamywaczem. Byłoby szybciej mieć to już za sobą, stwierdzam w duchu, idąc za funkcjonariuszem do poczekalni.

Nick stoi na korytarzu, ze spuszczoną głową, z rękami w kieszeniach jasnoszarych spodni dresowych. Nie wiem, czemu spodziewałam się, że wciąż będzie w spodniach od garnituru i wyprasowanej białej koszuli – jest prawie wpół do czwartej nad ranem, więc najpewniej wyrwałam go z łóżka. Staje mi przed oczami obraz Nicka Whitely’ego w pościeli. Potrząsam głową, by ta wizja się rozwiała, zanim podejść do niego. Gdy wchodzę do poczekalni, Nick ku mojemu zaskoczeniu podbiega i bierze mnie w ramiona.

Nie oczekiwałam uścisków, ale dobrze mi robią. Nic to, że policjanci przyglądają się nam z uniesionymi brwiami, nic to, że znam tego człowieka niecałe dwanaście godzin. Po ostatnich przejściach, z włamywaczem i z koszmarnym policjantem, potrzebuję jedynie ludzkiego ciepła i odrobiny współczucia. Łzy lecą mi z oczu i czuję, że Nick przytula mnie jeszcze mocniej; wstrząsana szlochem, wciskam głowę pod pachę jego granatowej bluzy z kapturem. Gdy mija napad płaczu, delikatnie odsuwa mnie na odległość wyciągniętych ramion i patrzy mi prosto w oczy.

– Wszystko w porządku, Susan?

Jest mi głupio. Pewnie, że w porządku, ostatecznie nikt na mnie nie napadł.

– Tak, tak – bąkam, ocierając policzki rękawem swetra. – Przepraszam.

Nick uśmiecha się dobrotliwie i spogląda na policjantów w recepcji, którzy nie kryją zainteresowania rozgrywającą się przed nimi sceną.

– Możemy iść? – pyta ich lakonicznie.

Funkcjonariusz, który przed chwilą był dla mnie taki okropny, kiwa głową z miną niewiniątka.

– Wiemy już wszystko, proszę pana. Funkcjonariusze zabezpieczyli pani dom. Niestety, nie może pani wrócić dziś do siebie. Będzie pani miała gdzie przenocować?

– Spróbuję porozumieć się z Cassie – mówię do Nicka – i prześpię się u niej.

– Nie dzisiaj – oświadcza Nick. Bierze mnie za łokieć i prowadzi na parking.

– Zrobiłem rezerwację w hotelu niedaleko stąd. – Otwiera drzwi od strony pasażera i niemal sadza mnie na fotelu. – Raz-dwa będziemy w łóżku. – Aż się kuli, widząc moją minę. – Każde w swoim – dodaje szybko. – To znaczy osobne łóżka, osobne pokoje. Nie chcę... a właściwie nie tyle, że nie chcę... – Wzdycha zrezygnowany. – No widzisz, jest późno, język mi się płacze. Chodźmy już do Travelodge i prześpijmy się trochę.

Hotel Travelodge jest zamknięty, ale Nick miał tyle przytomności umysłu, że zawczasu dogadał się z nocnym recepcjonistą, który teraz wpuszcza nas i daje nam klucze do pokoi. Wreszcie spływa ze mnie napięcie i gorąco dziękuję Nickowi za pomoc. Pozostaje mi jeszcze przekonać go, że nie jestem na skraju załamania nerwowego, i kładę się do łóżka, podciągając pościel po same uszy, tak jak to robiłam w dzieciństwie. Mając w głowie wydarzenia ostatnich dni, spodziewam się, że raczej nie zasnę, ale gdy tylko przykładam głowę do poduszki, oczy same mi się zamykają i momentalnie zasypiam.

13

W pokoju jest zimno.

Co to za pokòj? Gdzie ja jestem? A może to tylko mnie jest zimno? Nie otwieram oczu, nie mogę ich otworzyć. Mój świat ogranicza się teraz do wrażeń pozostałych czterech zmysłów.

Zapach. Czuję świeżą cytrusową woń środka do odświeżania dywanów, który stosuję regularnie, żeby stłumić mdły zapach wymiotów niemowlęcia. Czuję coś jeszcze: zapach mężczyzny, ale nie mojego męża. Zapach drogich perfum, które na kimś pachną tandetnie – podobnie pachniał jeden z moich dawnych chłopaków, gdy podkradał ojcu wodę toaletową, ale wtedy byłam o wiele młodsza.

Dotyk. Mam wrażenie, że moje ciało zlewa się z dywanem – moim, sądząc po zapachu – ale gdy próbuję rozłożyć pod sobą dłonie, one nie chcą mnie słuchać; jakbym zapomniała, co się robi, żeby wykonały swoją prostą funkcję: otworzyły się i zamknęły. Co ten mężczyzna mi zrobił? Kto to jest i dlaczego przebywa w moim domu?

Skup się, Susan, co jeszcze? Smak. Kwaskowaty. Coś mnie piecze w tyle gardła, niemal pali, ale nie jest bolesne. Mam sucho w ustach, jak po długim śnie. Próbuję przełknąć, żeby pobudzić wydzielanie śliny, ale nie napływa, czuję się tak, jakbym za dużo wypila poprzedniego wieczoru albo połknęła stęchlą skarpetkę.

Czy ja wczoraj piłam? Nie mogę sobie przypomnieć, co było ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam, i jak to się stało, że zasnęłam na podłodze w salonie, a nie w swoim łóżku, i że pozostał mi dziwny smak w ustach, a w nosie zapach obcego mężczyzny. Próbuję skoncentrować się na dźwięku, ale w pokoju jest cicho – zmysł słuchu też mnie zawiódł. Czyżbym oślepla i ogłuchła? Nie, nie

otacza mnie absolutna cisza – po prostu nic tu nie wydaje dźwięku. A oczy mam z pewnością zamknięte, nie oślepiłam.

„Ona nie żyje. Cholera, ona naprawdę nie żyje”. Minęła może minuta, a może godzina. Mam wrażenie, że na przemian budzę się i zasypiam, jak podczas długiej podróży samochodem, nieświadoma, że tak szybko przejechaliśmy z punktu A do punktu B, choć całą drogę byłam przytomna, słowo daję. Tylko przymknęłam oczy, żeby odpocząły.

Gdy budzę się w Travelodge, czuję się tak, jakbym stoczyła dziesięć rund z Amirem Khanem – głowa mi pęka i wszystko mnie boli. A powinnam już przywyknąć do niewyspania. Kiedy miałam Dylana, czas wyznaczały mi wędrówki w piżamie po domu, kołysanie i uciszanie dziecka oraz modlitwy, żeby przespać choć jedną całą noc. Potem, w szpitalu i w Oakdale, spałam głęboko, nic mi się nie śniło – tak mnie faszzerowano tabletkami, że ledwie zauważałam, kiedy kończy się noc i zaczyna dzień – ale nie budziłam się wypoczęta. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz wstałam rześka i odprężona.

Przeciągam się na królewskim łożu i przewracam na drugi bok, żeby zobaczyć w komórce, która godzina: dziewięta dwadzieścia. Mam trzy wiadomości i cztery nieodebrane połączenia – nie przejmuję się, zostawiam to na później. Wchodzę do przestronnej kabiny prysznicowej i funduję swoim obolałym mięśniom gorący natrysk. Jestem w łazience dłużej niż zwykle, oddzielona solidnymi ścianami od wszystkiego, co mnie czeka na zewnątrz. Wiem, że tylko odwlekam chwilę, kiedy będę musiała iść na dół i stanąć twarzą w twarz z zupełnie obcym człowiekiem, którego wyrwałam ze snu w środku nocy i który jechał trzy godziny samochodem, żeby odprowadzić mnie te kilkaset metrów do hotelu i przespać się dwadzieścia osiem pokoi dalej ode mnie. Bez dwóch zdań czuję się trochę jak ofierma i pewnie dlatego przez pół godziny myję się i maluję. Przynajmniej całkiem nieźle wyglądam, gdy w końcu stwierdzam, że pora udać się na dół i poszukać Nicka. Czekając na windę, zbieram się na odwagę, żeby przejrzeć nieodebrane SMS-y i telefony. Wszystkie wiadomości są od Cassie, która pyta, jaką miałam do niej

sprawę. Dwa połączenia z czterech też są od niej. Pozostałe z zastrzeżonego numeru. Od Nicka? Odszukuję go na liście kontaktów i dzwonię.

– Dzień dobry. – Słyszę ochrypły głos człowieka, który się nie wyspał, i natychmiast znów odzywa się we mnie poczucie winy, ale muszę również przyznać, że chrypka brzmi dość seksownie. – Jak się miewasz?

– Koszmarnie – przyznaję. – I jestem głodna. Dzwoniłeś do mnie? A w ogóle gdzie jesteś? Rezerwując pokoje, wiedziałeś, że tu nie ma restauracji?

– Najmocniej przepraszam. – Śmieje się. – Rzadko się zdarza, żeby hotelarz odbierał telefon w środku nocy i jeszcze przyjmował rezerwację ze śniadaniem. Jestem tuż obok w pubie. Rewelacyjne żarcie. Przyjdiesz?

– Przekonałeś mnie. Będę za pięć minut. Możesz mi zamówić duże angielskie śniadanie.

W pubie jest swojska, przyjazna atmosfera, jak w każdej wiejskiej karczmie w Shropshire. Nick siedzi daleko od baru – przypuszczalnie nie chce, żeby ktoś go podsłuchał. Po jego prawej stronie stoi piec na drewno, tak wielki, że chyba ogrzałby całe Ludlow. Siadam obok Nicka, posyłając mu niewyraźny uśmiech, dziękuję, że zamówił mi herbatę, która już czeka, a potem rzucam się na jedzenie, gdy tylko się pojawia. Nick miał rację: wyśmienite. Doceniam fakt, że powstrzymuje się przed omawianiem wczorajszych wydarzeń, dopóki nie znikną z mojego talerza kiełbaski, bekon, fasola i jajka.

– Pozwól, że najpierw ja coś powiem – odzywam się, widząc, że już otwiera usta. – Bardzo cię przepraszam za ten nocny telefon. Nie rozumiem, dlaczego od razu nie zadzwoniłam na policję. To bardzo miło z twojej strony, że przyjechałeś z tak daleka, zważywszy, że ledwie się poznaliśmy. Czuję się jak kompletna...

– Na miłość boską, przestań przepraszać – wchodzi mi w słowo. – Dość się już tego nasłuchałem w nocy. Przyjechałem tu, bo chciałem się upewnić, że nic ci się nie stało. Taki już jestem, że nie zostawiam nikogo w trudnej sytuacji, nawet osoby, którą znam krócej niż dwadzieścia cztery godziny.

– Serdeczne dzięki.

Kawałkiem grzanki wycieram sos po fasoli, karcąc się w duchu: jasne, że przyjechałby. Przecież nie jesteś taka wyjątkowa, żeby zrobił to tylko dla

ciebie.

– Według mnie to, co się wydarzyło wczoraj, potwierdza twoje przypuszczenia, że podrzucenie ci zdjęcia miało być pogrózką – mówi Nick, podbierając mi z talerza ostatni kawałek grzanki.

Gdy unoszę głowę, jego przenikliwe oczy patrzą na mnie badawczo.

– Jak to? – Zadając to pytanie, już wiem, jaka jest odpowiedź, i kiwam głową.

– Człowiek, który włamał się do twojego domu, chciał cię nastraszyć.

– Może to nie jest ta sama osoba. Może o tych próbach dręczenia mnie wie ktoś jeszcze? Ale jak by się dowiedział o zdjęciu? Tylko z tobą o tym rozmawialiśmy i przypuszczam, że nikomu nic nie powiedziałaś. – Jego uniesione brwi zdecydowanie zaprzeczają. – Bo ja na pewno nie.

– A jesteś przekonana... – Zawiesza głos.

Kręcę stanowczo głową.

– Cassie nikomu nie pisnęła ani słowa. – Tonem głosu daję mu znać, by się nie upierał. – Umie dochować tajemnicy.

Widzę, że nadal ma wątpliwości.

– Jak bardzo możesz jej ufać? Przecież to morderczyni.

Staram się nie okazać gniewu, ale zdradzają mnie płonące policzki.

– Tak jak ja, czyżbyś zapomniał?

Jest zażenowany.

– Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

– Cassie była przy mnie od pierwszego dnia w Oakdale. Ufam jej jak sobie samej i nie zamierzam bronić naszej przyjaźni ani przed tobą, ani przed nikim innym. Musisz pogodzić się z tym, że zrobiła to, co zrobiła, i że najprawdopodobniej to samo można powiedzieć o mnie. Jeżeli nie chcesz się angażować w tę sprawę, potrafię zrozumieć.

– Przepraszam. Nie powinienem tak mówić. Postaram się być miłszy dla Cassie, choć widać jasno i wyraźnie, że ona nie ufa mi ani na jotę.

– Przyzwyczała się, że jesteśmy tylko we dwie. Jeszcze się do ciebie przekona. Jest wobec mnie bardzo opiekuńcza.

– Dobrze, będę miły – obiecuje z uśmiechem. – Skoro nikt z nas nic nikomu nie powiedział, to może ktoś nas podsłuchał. Opowiedz mi jeszcze raz, co

robiłaś po tym, jak znalazłaś to zdjęcie.

Dokładnie relacjonuję swoje czynności od chwili, gdy podniosłam kopertę, do naszego wczorajszego spotkania. Nick słucha mnie uważnie, próbując się zorientować, kiedy ktoś mógł zauważyć, że zbieram informacje.

– Czy rozmawiałaś z kimś w bibliotece? – pyta.

– Właściwie nie. Tylko wyrobiłam sobie kartę biblioteczną, na nowe nazwisko. Rozmawiałam z bibliotekarką, z Evelyn, ale nie mówiłam jej, czego szukam.

– W takim razie uważam – odzywa się z namysłem – że to ta sama osoba, która dostarczyła ci zdjęcie. Bo inaczej byłoby trochę za dużo zbiegów okoliczności.

– Jeszcze ten telefon. – Mam wrażenie, jakby otworzyła mi się w głowie jakaś klapka.

Jak mogłam o tym zapomnieć? Wtedy wydawało mi się to nieistotne. Czy teraz nabrało znaczenia?

– Jaki telefon?

– To było w zeszłym tygodniu, na samym początku, w poniedziałek albo we wtorek. Zadzwoił telefon stacjonarny. Od razu pomyślałam, że to pewnie telemarketer. Nikt inny nie dzwoni pod numer domowy. Sama nie wiem, dlaczego odebrałam.

– Kto to był?

– Nikt. Chyba. Najpierw wydawało mi się, że padła linia, ale wyłowiłam domowe odgłosy, tak jakby kroki, dźwięk telewizora. Potem jakiś dzieciak, może chłopiec, może dziewczynka, zawołał: „Niania” i połączenie zostało przerwane. Uznałam, że ktoś wybrał zły numer.

– Teraz też tak uważasz?

– Sama nie wiem. A ty jak myślisz?

– Ciśnie mi się na usta, że to był zbieg okoliczności. Zastanawiam się tylko, ile razy coś takiego przytrafia się jednemu człowiekowi w ciągu dwóch tygodni. Wycinek z gazety w twojej torebce, zdjęcie, włamanie, teraz jeszcze to... No, nie wiem.

Nie napawa mnie to dumą, ale muszę przyznać, że się boję. Kiedy dostałam zdjęcie, obie z Cassie szybko uznałyśmy, że to żart. Tylko przez chwilę

myślałam, że to może być coś groźniejszego. Czy ktoś naprawdę chce mnie skrzywdzić?

– Sądzisz, że mam podsłuch w telefonie?

Ten domysł robi na nim wrażenie.

– Trzeba to wziąć pod uwagę. Nie chcę dramatyzować, ale podrzucenie zdjęcia jest nieszkodliwym, choć przykrym posunięciem. Natomiast zdemolowanie domu świadczy o tym, że szybko się to nasila. Może ten ktoś wiedział o naszym spotkaniu.

Odchylam się na krzesło, grzejąc dłonie o kubek z herbatą, którą popijam, by dostarczyć organizmowi tak potrzebną mu dawkę cukru.

– Przesłuchujący mnie policjant napomknął, że tutejsi mieszkańcy mogą nie życzyć sobie dzieciobójczyni w swoim miasteczku. Może miał rację.

Nick ze współczuciem zaciska usta.

– Niestety, tak bywa. Niektórzy żywią do innych urazy, bo nie mają w życiu nic lepszego do roboty. W ogóle cię nie znają, wiedzą tylko, co zrobiłaś.

Znowu zaczyna mnie boleć głowa. To wszystko jest nazbyt surrealistyczne. W moim świecie nie dzieją się takie rzeczy. Nie jestem sfrustrowaną panią domu, która potrzebuje atrakcji, by urozmaicić sobie monotonne życie. Ciężko wzdycham i opieram głowę na rękach, zakrywając oczy. Gdy przez pięć minut żadne z nas się nie odzywa, prostuję się, żeby sprawdzić, czy Nick wciąż tutaj siedzi. Przegląda notatnik, który miał rozłożony przed sobą, gdy przyszedł.

– Co tam jest? – pytam z ciekawości, chcąc już przerwać tę ciszę.

Podaje mi notatnik otwarty na stronie z nabazgraną tabelką. Jedna kolumna ma nagłówek: „Dowody”, sąsiednia: „Dalsze działania”. W pierwszej są cztery punkty: podzucone zdjęcie, wycinek z gazety w torebce, zniknięcie doktora Rileya i włamanie do domu.

– Ho, ho, pedancik. – Diabli wiedzą, dlaczego tak mnie to denerwuje. –

Bądźmy szczerzy: najprawdopodobniej sama wysłałam sobie to zdjęcie, bo nadal jestem pomyłona, jak uznali lekarze. – Milknę na widok jego miny. Wyrzuty sumienia. No jasne, jak można być taką debilką? – Przyszło ci to do głowy już wcześniej. – To stwierdzenie, nie pytanie. Nie muszę się upewniać, bo wszystko widać na jego twarzy. – Uważasz, że to zrobiłam. Że jestem pomyłona.

– Pojawiła się taka myśl – przyznaje. – Ale tylko przez chwilę, bo widziałem, jaka byłaś przybita tym włamaniem, i wiem, że nie udawałaś.

– Skąd ta pewność? Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz. – Drocę się, prowokuję go, chcąc się przekonać, czy zaprzeczy, że pomieszało mi się w głowie.

– Po prostu jestem pewny. – Cały czas patrzy mi w oczy.

Nie mam siły dalej się spierać. Mój umysł domaga się tylko jednego: małej białej tabletki, która stłumi poczucie bezradności. Obym miała jeszcze kilka w domu, bo przecież nie poproszę lekarza o receptę zaraz po wyjściu na zwolnienie warunkowe. Nie mogę przyznać, że sobie nie radzę.

Po śniadaniu nie pozostaje nam chyba nic innego, jak jechać do mnie do domu. Na szczęście Nick proponuje kawę w ogródku przy pubie.

– Mogę ci coś powiedzieć?

Nick stara się nie okazać zapału. Ciekawe, jakich wyznań się spodziewa.

– Naturalnie. Co zechcesz.

Skoro już zaczęłam, nie mogę się wycofać.

– Wydaje mi się, że widziałam wczoraj Dylana.

– Co takiego? Gdzie? Nic mi nie mówiłaś.

– Wstydziałam się. Zobaczyłam na ulicy chłopca, który był taki podobny do tego na zdjęciu, że pomyślałam... Oczywiście z bliska w ogóle nie przypominał Dylana, ale z odległości... Poza tym dopiero co oglądałam to zdjęcie...

– Już dobrze, uspokój się. – Mam spuszczone oczy, więc pochyla się, żeby zajrzeć mi w oczy. – Przecież właśnie przeżyłaś szok, a takie pomyłki przytrafiają się ludziom nieustannie. Kiedyś też wydawało mi się, że widzę... Wzrok płata figle.

– Możliwe, ale nie każdy zaraz pędzi za dzieckiem i łapie je za rękę. Byłam przekonana, że to Dylan. Jeśli się myliłam, jeśli nie mogę sobie ufać... – Brakuje mi słów.

Nick milczy przez dłuższą chwilę, a potem spogląda na mnie tak, jakby umierał z ciekawości i musiał o coś zapytać.

– Masz rodzeństwo? – Chyba nie to chodziło mu po głowie.

Uśmiecham się.

– Jak to jest, że ty dowiadujesz się wszystkiego o mnie, a ja nie wiem nic o tobie? Pomijając nie najszcześniejszy wybór zawodu.

Z rozbawioną miną odchyła się na oparcie krzesła.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jesteś żonaty? – wypalam jak z karabinu i zaraz się rumienię. – Przepraszam, to było zbyt osobiste.

Unosi rękę i pokazuje palec serdeczny.

– Stanu wolnego.

– Hm, zdaniem Cassie brak obrączki o niczym nie świadczy.

Nick marszczy brwi. Bierze widelec z kamiennego murka – najwyraźniej długo tam leżał, bo jest brudny i zardzewiały – i wpatruje się w niego, jakby odczytywał sens życia. Nie mogę zrozumieć, co go tak zainteresowało. W końcu się odzywa.

– O co tu chodzi? Mam na myśli Cassie. Skąd ta cholerna podejrzliwość? Jakbym chciał ci ukraść oszczędności całego życia.

Starczyłoby na autobus do Manchesteru.

– Mówiłam ci, nie przejmuj się. Cassie po prostu nie ufa ludziom. Wszystkich tak traktuje.

– Pięknie, bardzo mi to pochlebia – burczy Nick. – Nie ma we mnie nic szczególnego, tak?

Uśmiecham się, mimo podłego nastroju.

– Choć nosi jaskrawe pasemka i używa brzydkich słów, jest najlepszą przyjaciółką, jaką miałam w życiu. W takim miejscu jak Oakdale trzeba pogodzić się z faktem, że twoje dotychczasowe życie się skończyło, nie masz dawnych przyjaciół ani dawnego domu. Uprzytamniasz sobie, że życie, na które cię skazano, nie będzie ani trochę przypominać tego starego. –

Prychnęłam ironicznie. – Mogę sobie wyobrazić minę Marka, gdybym zaprosiła do domu jakąś podobną do Cassie matkę z grupy dziecięcej.

Nick patrzy na mnie tępym wzrokiem. Muszę wykladać kawę na ławę? W gazetach już to wałkowano: typowa stepfordzka żona, której niczego nie brakowało, zabiła kilkumiesięcznego syna. Najgorsze było to, że zgadzało się niemal wszystko, co o nas napisali.

– Mark jest dziany – wyjaśniam, znów purpurowa na twarzy. – Jadaliśmy w najlepszych restauracjach. Ubrania wkładałam raz i wyrzucałam... Wiem, jak to teraz brzmi. – Nick ledwie kryje pogardę, ale nie mam mu tego za złe. Znam siebie z tamtych czasów. – Nie utrzymywałam kontaktów z takimi ludźmi jak Cassie, którzy wygłaszają gniewne tyrady i wypalają czterdzieści papierosów dziennie. Aż trafiłam do Oakdale i tam, pierwszy raz w życiu, spadłam na samo dno, skończyło się niańczenie i rozpieszczanie. Nie miałam przyjaciół, nikt nie chciał się zadawać z... ze mną.

Do tej pory nikomu nie opowiadałam o pobycie w Oakdale, ale chłodne niebieskie oczy Nicka są wycelowane w moją twarz i muszę dokończyć tę historię.

– Cassie miała pecha, że musiała dzielić ze mną pokój. Robiła wszystko, żebym zaczęła z nią rozmawiać. Pożyczała mi czasopisma i kosmetyki... Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tak starała się zaprzyjaźnić... Nie rezygnowała. To nie tak, że czułam się lepsza od niej. Tę fazę miałam już za sobą. Uważałam, że nie jestem warta jej zainteresowania, ani w ogóle niczyjego. Tak naprawdę chciałam, żeby dali mi spokój i pozwolili umrzeć.

– Co sprawiło, że zaczęłaś wracać do równowagi?

– Cassie była uparta. Gdy nie podziałały czasopisma i kosmetyki, przemyślała dla mnie jedzenie. Nie urządzałam strajku głodowego, ale po prostu nie miałam energii ani ochoty, żeby chodzić na posiłki. W ogóle nie chciało mi się wstawać z łóżka, chyba że do toalety. Cassie dzień w dzień przynosiła mi jedzenie, nie stołówkowe, tylko kielbaski w cieście i batoniki. Zawsze zdobywała to, co najlepsze. Miała jakieś układy ze strażniczkami, a czasem pomagały jej inne pacjentki. Pewnego dnia tak mnie skusił zapach kanapki z bekonem, że cichaczem, gdy Cassie nie patrzyła, zaczęłam jeść. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, co robię, aż kanapka zniknęła. Cassie tylko mrugnęła porozumiewawczo. Od tamtej pory, kiedy jest mi trudno, znajduję pociechę w jedzeniu.

– Zdziwił mnie twój monsturalny apetyt. – Śmieje się.

Patrzy na zegarek, dając znak, że pora na nas. Uprzytamniam sobie, że znowu rozmawialiśmy o mnie, a on odpowiedział raptem na jedno pytanie.

Albo z rozmysłem unika rozmów o sobie, albo w poprzednim życiu był domorosłym psychologiem.

Jack: 18 października 1987

To była dobra robota, jego skromnym zdaniem. Willy wyszedł z łazienki wypachniony i wystrojony. Jackowi przeleciało przez myśl, że na te ciuchy rodzice Willy'ego musieliby pracować przez tydzień.

– Nareszcie, kurwa! Chcesz?

Nalał mu wódki, ale Willy się skrzywił.

– Yyy, niekoniecznie.

– Naprawdę? – Jack roześmiał się. – Podwędziłeś ją i nie chcesz się napić? Nie bądź ciapciakiem.

Podsunał mu kieliszek, oblewając sobie palce. Willy wziął szkło i powąchał.

– Do dna. Każdy następny smakuje lepiej – zapewnił go Jack.

Willy odchylił do tyłu głowę i wlał w siebie alkohol. Jack parsknął śmiechem, widząc, jak zakrywa usta i krztusi się, bliski wymiotów.

– Właśnie tak – pochwalił go. Rozległo się pukanie do drzwi. – Wejdz.

Zza futryny wychynęła twarz Lucy. Willy, zasłonięty drzwiami, wykonał nieprzyzwoity gest, na co Jack prychnął drwiąco. Biedaczyna nawet nie wiedziałaby, co robić z taką panną jak Lucy. Miał piętnaście lat, do cholery, i jeszcze nie całował się z dziewczyną. No dobra, może dziś będzie jego dzień.

– Przyszli twoi koledzy – oznajmiła Lucy, patrząc podejrzliwie na Jacka. – Piłeś?

– Tak. Chcesz kielicha?

Weszła do pokoju i dopiero wtedy zauważyła Willy'ego.

– O, cześć. – Widząc w jego ręce kieliszek, powiedziała z uśmiechem: – No proszę, proszę. Nawet Jack nie chla wódki.

Willy zrobił wielkie oczy, a Jack bez cienia zażenowania wzruszył ramionami.

– Straszna ohyda. Jazda, Szekspir, idziemy.

Jack ruszył do drzwi, ale na drodze stanęła mu Lucy. Znalazła się tak blisko niego, że poczuł lekki kwiatowy zapach jej perfum. Choć był o trzy lata młodszy, przerastał ją co najmniej o pięć centymetrów.

– Nie zaprosisz mnie na imprezę? – spytała.

– Obejdę się bez niańki. – Objął ją w tali, lekko przyciągnął do siebie i odsunął na bok. – Spadamy, Willy.

15

Z odrazą myślę o swoim domu, ale nie mogę w nieskończoność mieszkać w hotelu. Idziemy na posterunek, żeby odebrać klucze i dostać pozwolenie na powrót. Kiedy zbliżamy się do domu, widzę, że ktoś siedzi na schodach. Nick wydaje jęk.

– Co jest, kurwa, grane? – Ostry manchesterski akcent Cassie świdruje mi uszy, ledwie wysiadamy z samochodu. – Skąd on się tu wziął? Dlaczego ganek jest zalany czerwoną farbą?

Opowiadam, co się wydarzyło wczoraj wieczorem, i z każdym moim słowem jej twarz coraz bardziej posępnieje.

– Daj sobie z tym spokój, Suze. Sprawa jest poważna. – Unosi ostrzegawczo palec. – Ktoś cię obserwuje. Śledzi. Wchodzi do twojego domu. Odpuść sobie.

– Nie mogę. Zwyczajnie nie mogę. Nawet zakładając, że to miejscowi prowadzą jakąś wrogą kampanię, nie potrafię żyć w oczekiwaniu na kolejne włamanie czy napaść na ulicy.

Nadal stoimy na dworze, więc staram się mówić cicho. W przeciwieństwie do Cassie.

– Jeżeli jakiś świr szuka zemsty, nie ma powodu, żebyś sama to znosiła. Przeprowadź się do mnie albo ja zamieszkać tutaj. Zapomnijmy o tym zdjęciu i żyjmy normalnie.

– Czyli jak? Dla nas rzeczą normalną...

Nie przechodzi mi to przez gardło. Nie wyduszę z siebie, że dla nas rzeczą normalną są trzy solidne posiłki dziennie, podane na plastikowej tacy z zaskorupiałymi resztkami wczorajszej kolacji. Rzeczą normalną jest dwuosobowy pokój wielkości pralni w moim poprzednim domu, dzielony

z kobietą, która rozmawia o czynnościach fizjologicznych równie swobodnie, jak moje dawne przyjaciółki rozważały walory świec marki Yankee Candle.

Skoro już weszłam na tę drogę, nie zejść z niej tak łatwo. Jakaś część mnie ciągle miała wątpliwości – ta mała część, która pamięta wędrówkę na przystanek autobusowy, podczas gdy w domu moje małe dziecko zanosilo się płaczem – i postanowiła poznać prawdę. Teraz już muszę brnąć po kolana w gównie i zagłębiać się w przeszłość, żeby zobaczyć, co się tam kryje. Czy zasłużyłam na to? Czy zwariowałam?!

Kiedy wnoszę do salonu kawę, zastaję Cassie i Nicka pogrążonych w milczeniu. Podaję Nickowi kubek i siadam przy Cassie na kanapie. Mam wrażenie, że przerwałam ich kłótnię.

– No co? – pytam, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. – O co chodzi?

– Ten dziennikarz chce wetknąć nos tam, gdzie nie trzeba. – Głos Cassie jest nie tyle zabarwiony jadem, ile nim nasycony.

Spoglądam na Nicka.

– Zastanawiam się, czy nie byłoby dobrze, gdybym... hm... gdybym obejrzał... gdybyś mi pokazała...

– On chce zobaczyć zdjęcia Dylana.

Czuję gorzki posmak w ustach. Zdjęcia? Mam je, oczywiście. Leżą na dole sosnowej komody, w albumie z brązowej skóry, którego nikt nie otwierał od prawie trzech lat. Mój ojciec przyniósł go pewnego razu do Oakdale, ale nigdy nie zdobyłam się na odwagę, żeby tam zajrzeć. Przez te kilka tygodni po narodzinach syna zrobiłam niemal trzysta zdjęć: Dylan ze swoim pierwszym misiem, pierwszy odruchowy uśmiech Dylana, Dylan w którąś środę. Objętość albumu świadczy o tym, że nie ma wszystkich trzystu. Nigdy nie chciałam sprawdzić, które wybrał mój tato.

– Po co? Niczego się z nich nie dowiesz, przecież to nie może być on. Poza tym wszystkie niemowlęta wyglądają tak samo.

To nieprawda. Moje dziecko różniło się od innych niemowląt. Tamte były wykrzywione i pomarszczone jak nie wiadomo co. Moje było piękne, miało idealnie gładką buzię i wielkie oczy, raz ciemnoniebieskie, raz intensywnie

brązowe, jak oczy jego ojca, w których zakochałam się przed laty. Ciemny meszek na główce rósł tak szybko w pierwszych tygodniach, że co rano musiałam czesać włoski miękką białą szczoteczką, którą podarowali mi brat i bratowa. Miał zachwycający jęczyczek, nawet gdy wydawał swój przenikliwy okrzyk bojowy późno, późno w nocy.

– Masz rację, przepraszam, i tak nic by to nie dało.

Wiem jednak, że jego zdaniem właśnie by dało. Nick uważa, że będzie z tego korzyść, a zatem jeżeli zgadzam się znosić te katusze, jeżeli zamierzam kiedyś przeżyć ponownie te krótkie dwanaście tygodni życia Dylana, to równie dobrze mogę zacząć od razu. Wstaję, a Cassie gwałtownie nabiera powietrza.

– Nie musisz tego robić, Suze – odzywa się. – Dość już przeżyłaś.

– Ale jeśli chcesz to zrobić – nalega Nick – lepiej, żebyśmy byli wtedy przy tobie.

– W porządku, Cassie, chcę.

Oboje przyglądają się w milczeniu, jak otwieram dolne drzwiczki komody i wydaję idealnie zachowany album. Podaję księgę Nickowi, ale gdy chce ją wziąć, nie mogę wypuścić jej z rąk.

– Nie musisz tego robić – powtarza jak echo za Cassie.

Powoli zabieram album i siadam obok niej, kładąc go sobie na kolanach. Cassie przykrywa ręką moją dłoń i razem unosimy okładkę.

Na pierwszej stronie, pod błyszczącym przezroczystym pergaminem, jest tylko jedno zdjęcie. Przedstawia mnie, jak siedzę na łóżku szpitalnym, podparta poduszkami, wymęczona jak nigdy w całym swoim życiu. Na twarzy nie mam śladu makijażu, blond włosy są zaczesane do tyłu, na rękach trzymam całkowicie rozbudzonego syna – wtedy już przyznawałam, że to moje dziecko. Pamiętam tę chwilę jak dzisiaj – nasze pierwsze zdjęcie rodzinne. Dylan się wiercił, niczym śliska rybka wymykająca się z rąk, tak że z trudem zrobiliśmy to zdjęcie, a rozpromieniony Mark nie przestawał powtarzać: „Mam syna, mam syna”. Łzy napływają mi do oczu na to wspomnienie i nasuwają mi się pytania. Czy już wtedy miałam depresję? Pielęgniarki twierdziły, że wiele kobiet przeżywa smutek poporodowy – tak

się wyraziły, ale to było coś dużo gorszego. Czy nie powinny od razu zareagować?

Cassie ściska moją rękę. Nie mam siły odwzajemnić tego uścisku.

Mija chyba godzina, zanim przewracam kartę albumu. Widok pustej strony szokuje mnie niemal tak mocno jak zdjęcie na poprzedniej. Pod folią samoprzylepną jest kartka, a na niej słowa: „Obyś dzięki temu zrozumiała”, napisane z zawijasami, charakterystycznym pismem mojego taty. Wypowiadał je na głos, ale gdy niosą się w powietrzu, są dla mnie równie niezrozumiałe jak przed chwilą, gdy tkwiły w mojej głowie.

– Obym zrozumiała? Co to znaczy? – Nie zwracam się do nikogo konkretnie. – Co to ma być? – Podnoszę głos do poziomu między histerią a dźwiękami słyszalnymi tylko dla psów. – Dlaczego on to napisał?

Podrywam się z kanapy i odsuwam od siebie album na odległość wyciągniętych rąk, jakby mnie parzył.

– Uspokój się – mówi Cassie.

Nie wpadłam w aż taką histerię, by nie dostrzec spojrzenia, jakie rzuciła Nickowi, jednoznaczne „Zobacz, co narobiłeś”. Po trzech latach ciężkiej pracy w Oakdale znów jestem w rozsypce.

– Prawdopodobnie chciał, żebyś zrozumiała, jak bardzo kochałaś Dylana – sugeruje Nick.

Serce zaczyna mi zwalniać. To w stylu mojego taty. Mam zrozumieć, jak bardzo kochałam swojego syna. Tak, na pewno o to chodzi.

– A nie sądzicie, że chciał powiedzieć: „Zrozum, co zrobiłaś? Zrozum, co straciłaś?” – pytam prawie szeptem.

Cassie gwałtownie kręci głową.

– Nie. Na sto procent. Jest tak, jak ten tu mówi. Twój tato stał przy tobie od początku do końca procesu. Codziennie odwiedzał cię w szpitalu, zanim trafiłaś do aresztu. On cię uwielbia... Dlaczego miałby podrzucić ci coś tak perfidnego?

Tępo kiwam głową. Mają rację. Cassie wyciąga rękę, żeby odwrócić stronicę, i patrzy na mnie, upewniając się, że jestem gotowa. Gdy nie reaguję, powoli przewraca kartę.

Na następnej stronie Dylan ma na sobie śnieżnobiałe śpioszki i spokojnie leży w moich objęciach – zdjęcie pokazuje tylko mój łokieć i przedramię. Tak to jest, kiedy zostajesz matką: od tej pory stanowisz tło, nogi albo ręka, ale już nie cała ty w centrum zainteresowania. Nikt z rodziny Marka nie mieszkał w pobliżu; zawsze żyliśmy tylko we dwoje, aż postanowiliśmy żyć w trójkę. Czy chciałam czasem, żeby Mark przestał się wpatrywać w Dylana i pozmywał? Tak. Czy byłam zazdrosna o swoje dziecko? Nigdy tak nie myślałam.

„Wciąż mnie kochasz?” Słyszając moje pytanie, Mark uniósł z wolna brwi, zaniepokojony, że skołuję go i powie coś niewłaściwego, to pewne.

„Naturalnie, dziecinko”. Przeciągał słowa, próbując mnie przytulić. Skrzywiłam się, gdy dotknął mojego zwiotczalego brzucha, niegdyś jędrnego i umięśnionego.

„Bardziej niż Dylana?”

Poczułam, że się spiął. Czy przyszło mu na myśl, co za matka zadaje takie pytanie? A ja chciałam tylko wiedzieć, czy on nadal mnie pragnie, czy mnie potrzebuje.

„Kocham was tak samo, skarbie”.

Nick wciąż wpatruje się w album, w każde kolejne zdjęcie, jakby szukał podobieństw między tym ostatnim a starymi, a może chce sprawdzić, jak zareaguję na widok fotografii syna. Coraz szybciej przewracam stronicę. Czarno-białe zdjęcie malutkich rączek na moich wielkich palcach – to udało mi się dopiero za siódmym razem. Na piątej stronie są czarne atramentowe odciski stópek, najwyżej pięciocentymetrowych. Kolorowa fotografia, osiemnaście na dwanaście centymetrów, przedstawiająca mojego szkraba w bujaczku, obok siedzi miś, dwa razy większy od śpiącego dziecka. Jedno z ostatnich zdjęć, jakie zrobiłam. Jeżeli mój tato wybrał właśnie te zdjęcia, żebym zrozumiała, jak bardzo kochałam syna, to osiągnął cel.

Natrafiamy na to przy końcu albumu. Po zdjęciach Dylana, którego z dumą trzymają na rękach mój tato i Mark. Nick i Cassie na zmianę przewracają strony, żebym się nie facygowała, i właśnie gdy to robi Nick, nagle pojawiają się zdjęcia na zupełnie inny temat. W gruncie rzeczy na wiele różnych tematów. Z karty albumu patrzy na mnie pięciu ciemnowłosych brzdąców,

a miejsce na szóste zdjęcie jest puste. To, które tam było, zostało wyjęte i dostarczone mi do domu dwa dni temu. Wsunęty między stronicę, leży kawałek gazety z artykułem, z którego starannie wycięto zdjęcie. Nad tekstem jest nagłówek: MATKA DOSTAJE 6 LAT ZA ZABICIE SYNA.

Cała krew odpływa mi z ciała i czuję gorycz w ustach. Kręci mi się w głowie, gdy z trudem dociera do mnie sens tego, na co patrzę. Zdjęcia to rozmazują się, to wyostwiają. Cassie marszczy brwi, zdeorientowana. Kiedy odwracam się do Nicka, oczekując, że coś mi wyjaśni albo jakoś mnie wesprze, ucieka wzrokiem.

– Muszę wyjść na powietrze.

Na miękkich nogach udaje mi się dotrzeć do tylnych drzwi. Opieram się ręką o futrynę, żeby utrzymać równowagę. Drobny deszcz miłe chłodzi moją rozpaloną twarz.

– Susan?

Słyszę spokojny, cichy głos Cassie. Przypominają mi się słowa: „Nie wykonujmy żadnych gwałtownych ruchów ani nie wydawajmy głośnych dźwięków. Nie chcemy, że ta szalona kobieta się wystraszyła”.

– Nie mam pojęcia, jak one się tam znalazły. Nigdy w życiu ich nie widziałam, Cassie.

Czuję na ramieniu lekki dotyk jej ręki.

– Wiem. Wejź do środka, bo zmokniesz.

Drzwi frontowe otwierają się i zatraskują. Obie zastygamy w bezruchu, nasłuchując warkotu samochodu, ale nic się nie dzieje. Czy Nick odchodzi? Ucieka od nie zrównoważonej psychicznie kobiety i zostawia ją w ogrodzie? Jednak zza płotu dobiega jego głos i wyławiam trzy słowa: „jest coś więcej”. Nick rozmawia przez telefon, nie zdając sobie sprawy, że stoimy tak blisko.

Odwracam się, by wejść do środka. Niech sobie gada, z kim chce, ale nie zamierzam słuchać, jak mówi, że odleciałam. Cassie łapie mnie za ramię.

– Stój.

Nicka raz słyhać, raz nie, jakby chodził po ganku, tam i z powrotem. Dolatuje mnie tylko: „obiecuję” i ciszej: „ty też”. Znow otwierają się drzwi frontowe i zapada cisza.

– No widzisz. – Kiwam głową w stronę salonu. – On wie, co to znaczy. Te fotografie są w moim domu. Zdjęcie, które znalazłam na wycieracze, pochodziło z tego albumu i tylko ja miałam do niego dostęp. Jak mogłam to zrobić? Zebrać zdjęcia małych chłopców, jedno z nich wysłać do siebie i w ogóle tego nie pamiętać? Cassie, ja nawet nie pamiętam, że zabiłam własnego syna! Skąd masz pewność, że tego nie zrobiłam?

– Bo cię znam, Susan. Wyzdrowiałaś. Nie jesteś wariatką.

Śmieję się, bez krzty rozbawienia, krótko i gorzko.

– Wcale mnie nie znasz. Nigdy nie widziałaś, jak zalewam się łzami o trzeciej nad ranem, bo mam za mało pokarmu, a mój syn wkrótce obudzi się głodny. Wyobrażasz sobie: nawet nie mogłam nakarmić swojego dziecka! Wiesz, jakie to uczucie? Wiesz, czym jest samotność, gdy siedzi się po ciemku, a w telewizorze leci powtórka serialu *Prawo i porządek*, bez fonii, bo wszyscy śpią? Kiedy w końcu udaje mi się go uspić, sterczę z gołym lodowatym cyckiem przytkniętym do laktatora, żeby odciągnąć wystarczającą ilość mleka, zanim za dwie godziny mój syn znów się obudzi. Czasem ściąganie trzydziestu mililitrów trwało czterdzieści pięć minut, a ja spałam na kanapie, bo nie chciało mi się iść do wygodnego łóżka, skoro za godzinę znów miałabym się z niego zwlekać. Nadszedł czas, żebym wreszcie spojrzała prawdzie w oczy. Jestem chora. Nie moja wina, że zachorowałam, ale muszę żyć, ponosząc tego konsekwencje. Zabiłam syna, a teraz usiłuję przekonać samą siebie, że jestem niewinna i Dylan żyje. I robię to tak dobrze, że sama już w to wierzę! Chciałam tylko... musiałam...

Musiałam uwierzyć, że nie jestem zdolna zrobić krzywdy dziecku, własnemu dziecku, choć najpotworniejsze było to, iż gdzieś tam w głębi duszy wiedziałam, że jestem do tego zdolna. Umysł potrafi na różne dziwne sposoby radzić sobie z problemami, do których zbyt trudno jest się człowiekowi przyznać.

Ciężko wzdycham, wystraszona i przegrana.

– To wytłumaczenie, Cassie, jest nie tylko najbardziej prawdopodobne, ale też jedyne. Im szybciej pogodzę się z tym, co zrobiłam, tym większe są szanse, że wyzdrowieję.

Tyle że sama nie wierzę w to, co mówię. Nie wierzę, że wyzdrowieję.

16

Dzisiaj, w środę, przypada dzień, kiedy muszę zgłosić się do mojej kuratorki, Tamary Green. Mam obowiązek robić to regularnie: co dwa tygodnie spotkanie na przemian z telefonem. W tym tygodniu wypadło zadzwonić, co bardzo mnie cieszy, ponieważ przez ostatnią godzinę sprzątałam po wczorajszym i chyba nie dałabym rady stawić się przed Tamarą. Wykręcam numer, siedząc na wytartej brązowej kanapie, gdzie spędziłam całą noc, gapiąc się na zdjęcia w albumie i usiłując przypomnieć sobie, jak wyklejałam ostatnią stronę. Chyba przysnęłam, przynajmniej na krótko, bo nie pamiętam, kiedy wskazówki zegara przesunęły się z drugiej czterdzieści pięć na trzecią pięćdziesiąt dwie, natomiast resztę nocy po prostu przesiadałam.

Gdy dostałam przesyłkę ze zdjęciem, przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Tamary. Jest sympatyczna i w miarę możliwości na pewno by mi pomogła. Teraz jestem zadowolona, że się na to nie zdobyłam; przy całej swojej życzliwości chyba nie przymknęłaby oka na to, że robię jakiś chory album z wizerunkami dzisiejszych Dylanów, wyjmuję jedno zdjęcie i wkładam do koperty, pisząc na niej swojej nazwisko i adres. Zanim skończyłabym z nią rozmawiać, dobrotliwi lekarze w Oakdale już szykowaliby mi mój dawny pokój. Najlepsze, co mogę teraz zrobić, to nie wychylać się, odpowiadać na jej pytania i powstrzymać się od krzyku.

– Co słyhać, Emmo? – pyta przyjaźnie i serdecznie.

Jak ona może mówić tak normalnie, gdy cały mój świat się wali?

– Wszystko dobrze, dziękuję.

Wyduszam z siebie słowa, ale zdradza mnie ton głosu. Tamara nie zwraca na to uwagi i kontynuuje według schematu.

– Szukasz pracy? Jak ci idzie?

Pada zwyczajowa seria pytań, ale tym razem wciąż czekam. Czekam, kiedy mi oznajmi, że wie, co zrobiłam i do czego jestem zdolna. Nie mówi tego. Czy tak będzie wyglądało teraz moje życie? Będę się ciągle spodziewała, że ktoś nagle oświadczy, iż zna moją tajemnicę? Będę się ciągle zastanawiała, kiedy dotrze do mnie, co ja takiego znowu zrobiłam?

Ni stąd, ni zowąd okazuje się, że odpowiedziałam już na wszystkie pytania, najwyraźniej zadowolająco, ponieważ Tamara mówi, że zobaczymy się za tydzień, i kończy rozmowę.

Nie mam dzisiaj nic w planach. Cassie nie dzwoniła, Nick też.

Wczoraj wieczorem, gdy wychodzili, pożegnałam ich prawie bez słowa, ledwie skinęłam głową. Nick oznajmił, że zostaje w Travelodge na jeszcze jedną noc i że się odezwie. Wiem jednak, że tak nie będzie. Nie napisze swojego artykułu, przestał interesować się moim losem, gdy poznał prawdę. Współczuł mi i tylko dlatego chciał mi pomóc, mówię sobie. Cały czas wiedział, że ja za to odpowiadam.

Szczerze mówiąc, ja też wiedziałam. Choć ze zmęczenia i płaczu szczypią mnie oczy, jest mi lżej na duszy. Przestałam się martwić, zastanawiać, okłamywać samą siebie. W ostatnich dwóch dniach udało mi się stawić czoło wspomnieniom trudnych pierwszych dni z Dylanem – do czego nie zmusiły mnie nawet trzy lata w Oakdale – i przeżyłam, choć nienawidzę siebie.

Zniosę to. Nienawidzę siebie od dnia, gdy umarł mój syn.

Kiedy o szóstej wieczorem rozlega się dzwonek przy wejściu, myślę, że to Cassie. Odchyłam zasłonę w pokoju od frontu i widzę Carole z Deli on the Square, która nerwowo wpatruje się w drzwi. Trzyma coś w ręce, jakby brązową papierową torbę. Przyniosła ser? Na myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Houston, mamy problem.

Tak czy owak, muszę jej otworzyć.

– O, Carole, cześć. Jak się miewasz?

Nie mam ochoty na pogawędkę, akurat dzisiaj, ale nie chcę być nieuprzejma. Oby tamten mój wybuch, który widziała kilka dni temu, nie

skłonił jej do myślenia, że może wpadać do mnie, kiedy zechce. W gruncie rzeczy uważam, że była wobec mnie nie w porządku, wyraźnie zatajając fakt, że mieszka w sąsiedztwie. Często zaglądałam do jej sklepu, więc dlaczego nigdy o tym nie wspomniała? Zamiast zaprosić ją do domu, wychodzę na ganek. Wiem. To nieuprzejme.

– Przepraszam, Emmo, za to najście. Nie chcę się narzucać...

– Nie przyszłoby mi to do głowy – kłamię jak z nut, bo właśnie tak sobie pomyślałam.

– Ale rano ktoś zostawił to dla ciebie u mnie na ganku. – Pokazuje mi brązowe pudełko. – Tak się spieszyłam do pracy, że zapomniałam ci podrzucić przed wyjściem. Mam nadzieję, że to nic ważnego.

Patrzy na mnie, jak gdyby czekała na wyjaśnienia, ale ja nie odrywam wzroku od pudełka. Ponieważ się nie odzywam, wręcza mi je z zakłopotaniem.

– Widziałaś tego kogoś? – pytam ostro, więc już ma odpowiedź: Tak, to ważne, bardzo ważne.

– Nie. Jak wstałam rano, już leżało na ganku. Ten cholerny doręczyciel zostawił to pod trzydziestym trzecim zamiast pod trzecim. Pora była wczesna, rozumiem, ale jak można być takim idiotą.

Odwracam pudełko i serce mi zamiera.

– Zaszła pomyłka. Ta paczka nie jest zaadresowana do mnie.

Carole spogląda na pudełko, na którym widnieje wypisane czarnymi literami nazwisko: Susan Webster, po czym przenosi wzrok na mnie i patrząc ze współczuciem, dotyka mojego ramienia.

– Ale jest dla ciebie, prawda?

– Lepiej wejdź do środka.

Carole siedzi na brzydkiej brązowej kanapie, skubiąc brzeg kolorowej narzuty, którą staram się zakryć podejrzane plamy po poprzednich lokatorach. Ja wolę stać – nie usiedziałabym spokojnie. Przez kilka minut żadna z nas się nie odzywa.

– Skąd wiesz, kim jestem? – Mój nerwowy ton sprawia, że Carole unosi głowę.

– Gdy zobaczyłam nazwisko na paczce, weszłam w Google i w końcu znalazłam twoje zdjęcia jako Susan Webster.

Jakie to proste. Zdawałam sobie sprawę, że można się dowiedzieć, kim jestem, ale nigdy bym nie pomyślała, że sąsiedzi zaczną grzebać w internecie i wynajdywać jakieś moje zamazane zdjęcia. W swojej głupocie i naiwności sądziłam, że ludzie są zbyt zajęci własnym życiem, by interesować się moim.

– Będę milczeć, bez obaw. Co to takiego?

– Nie wiem.

Jestem tak oszołomiona tym zdemaskowaniem, że zapominam o paczce.

– Przepraszam, wtykam nos w nie swoje sprawy. Chcę cię tylko zapewnić, że nie zdradzę twojej tajemnicy. Nie dam ogłoszenia do prasy na całą stronę ani nic takiego. – Podnosi się z kanapy.

– Zostań. – Uświadamiam sobie, że nie chcę na razie otwierać paczki i nie chcę być sama. – Może napijesz się herbaty?

Pewnie odmówi. Już wie, kim jestem, i myśli tylko o tym, żeby uciec stąd jak najszybciej i jak najdalej.

– Chętnie, dziękuję.

Spędza u mnie prawie godzinę. Rozmawiamy. Mówię jej, że nadal nie pamiętam, co się działo w dniu, gdy zmarł Dylan, natomiast słowem nie napomykam, że przeraża mnie myśl, iż mam lukę w pamięci, ponieważ mój umysł chce mnie ochronić przed świadomością, że jestem winna. Szczerze ujawniam swoje obawy, że mogę nigdy nie poznać prawdy o tym, co stało się z moim synem. Nie wspominam o zdjęciu, które dostałam, ani o innych wydarzeniach ostatnich kilku dni. Potem Carole dzieli się swoją historią.

– Też miałam depresję poporodową. – Podnoszę na nią oczy, jednak ona patrzy w bok. Mówi nie do mnie, lecz do amplii, wazonu na półce, do czegokolwiek, ale nie do mnie. – Gdy urodziła się moja córka i spojrzałam na nią, myślałam, że poczuję gorącą miłość, o której tyle się czyta. Dziecko spało, wcale nie było piękne, miało pomarszczoną buzię i stożkową główkę, bo użyli wyciągacza próżniowego. Nie chciałam wziąć go na ręce, jak chce tego każda prawdziwa matka. Dla mnie ta dziewczynka wyglądała potwornie. –

Wreszcie kieruje wzrok na mnie i widzę w jej oczach łzy. – Nikomu o tym nie mówiłam. Choć otrzymałam pomoc i poprawił mi się nastrój, choć bardzo kocham swoją córkę, do dziś nie powiedziałam nikomu, że wtedy wydawała mi się najbrzydszym niemowlakiem, jakiego w życiu widziałam.

– Ktoś to zauważył? – pytam cicho.

– Mój mąż. – Zawzięcie szarpie nitkę na narzucie. – Ale nie od razu. Wszyscy twierdzili, że córka jest idealna, zachwycali się, że jest taka spokojna. A dla mnie... Kiedy brałam ją na ręce, od razu płakała i płakała. Potem dowiedziałam się, że wyczuwała zapach mojego mleka i będąc blisko mnie, chciała jeść i dlatego płakała. Wtedy jednak myślałam, że mnie nie znosi. Spojrzenie tych wielkich niebieskich oczu budziło we mnie wyrzuty sumienia, że nie kocham jej tak jak inni.

– I co było potem?

Znów odwraca głowę i upija łyk herbaty.

– Pewnego razu mój mąż musiał wyjść z domu na cały dzień. Ledwie zostałyśmy same, ona zaczęła wrzeszczeć. W żaden sposób nie mogłam jej uspokoić. Byłam bardzo zmęczona: nie spałam całą noc, co dwie godziny musiałam ją karmić. Ten ryk mnie wykańczał. Położyłam ją do łóżeczka w pokoju dzieciennym, a sama opadłam na podłogę pod drzwiami wejściowymi i tylko słuchałam tego płaczu. Gdy wrócił mąż, nie mógł się dostać do domu, bo leżałam pod drzwiami, zwinięta w kłębek. Próbował wejść przez tylne drzwi, ale zostawiłam klucz w zamku, tak że musiał je wyważyć. Natychmiast zawiózł mnie do lekarza domowego, który stwierdził depresję poporodową.

Patrzy mi w oczy.

– Też tak miałaś?

– Naprawdę nie pamiętam. – Wreszcie siadam, starając się nie patrzeć w stronę paczki, która leży na brzegu stolika. – Lekarze zadawali mi potem rozmaite pytania: czy byłam zmęczona, drażliwa, nerwowa? Kiwałam głową. Tak, byłam wyczerpana i często zachowywałam się opryskliwie. Po narodzinach Dylana mieliśmy mnóstwo gości, przychodziły moje ciotki i sąsiadki, jakby nigdy dotąd nie widziały kobiety, która urodziła dziecko. Ludzie pojawiali się o najróżniejszych porach, bez zapowiedzi, a ja miałam

ochotę wrzasnąć, żeby się odpieprzyli i dali nam spokój. Nie mogłam ich znieść. Natomiast nigdy nie było tak, żebym nie mogła znieść Dylana. Dziwne, bo nieraz mówiłam: „Zamknij się wreszcie! Nie znoszę cię!”. Ale nic takiego nie czułam, to były tylko słowa.

Pierwszy raz komuś o tym mówię. Może dlatego, że Carole właśnie powiedziała coś najgorszego, co człowiek może o sobie powiedzieć. Mam wrażenie, że jeśli ktoś w ogóle potrafi mnie zrozumieć, to właśnie ona.

– Zdarzało się, że Dylan nie chciał zasnąć. Na rękach spał spokojnie, jak aniołek, ale gdy kładłam go do łóżeczka, od razu budził się z płaczem. Pewnego dnia tak właśnie było, a ja marzyłam tylko o jednym: żeby wziąć prysznic po nieprzespanej nocy. Płakałam, prosiłam, bez skutku. I powiedziałam wtedy: „Byłoby lepiej, gdybyś się nie urodził”. A przecież wcale tak nie myślałam. Czy nie brzmi to głupio?

– Nie. – Carole kręci głową. – Ja też później czułam coś podobnego.

– Bywało również, że kiedy bawiliśmy się razem albo on mocno spał, siadałam przy łóżeczku i wpatrywałam się w niego, jakby w strachu, że gdy tylko się odwróczę, on rozplynie się jak sen. Z miłości do niego niemal pękało mi wtedy serce.

– Zaburzenia dwubiegunowe.

– Właśnie to stwierdzili. Ale nie tylko. Również psychozę poporodową. Ciężką chorobę, w której ma się halucynacje. Raz jesteś w euforii, raz w depresji. Reagujesz paranoicznie, nieufnie, jakbyś żyła w świecie fantazji.

Brzmi to jak cytaty z internetowych stron medycznych. I rzeczywiście stamtąd pochodzi. Mogę recytować te informacje na wrywki.

– Tak było z tobą?

– Nie przypominam sobie. Jest jeszcze jeden objaw. Wierzysz, że twoje dziecko to diabeł, wcielone zło, i czyha na ciebie. Robisz mu krzywdę, ponieważ jesteś przekonana, że nie masz wyboru. Bo inaczej to ono ciebie skrzywdzi.

– Miałaś takie myśli?

– Chyba nie. Dopiero później. Pamiętam, że czułam to wszystko, o czym mówisz. Chęć, by ktoś go zabrał. Wyrzuty sumienia, że nawet mój własny syn mnie nie kocha, bo jestem głupia, gruba, beznadziejna, leniwa... To czułam,

ale nie przypominam sobie, żebym pragnęła jego śmierci. Pragnienie, żeby się nie urodził, nie jest równoznaczne z pragnieniem, żeby umarł, prawda?

A może jest?

Paczka ma wielkość pudełka na buty i jest zawinięta w papier pakowy. Serce mi wali, w piersi mnie kłuje, krew uderza mi do głowy.

Biję się z myślami, czy jednym ruchem rozedrzeć papier, czy też wrzucić pudełko do kominka i patrzeć, jak się pali. Nie robię ani tego, ani tego, tylko idę do kuchni i włączam czajnik.

Moja mama powiedziała mi kiedyś, że po wypiciu herbaty widzi się wszystko w jaśniejszych barwach. To było chyba wtedy, gdy miałam złamane serce. Jeden z moich nielicznych chłopaków, jeszcze zanim poznałam Marka, zdradził mnie z dziewczyną ze starszego roku, która miała większe cycki i dawała dupy. Na szczęście mama nie musi patrzeć, jak się przekonuję, iż pewnych spraw nie da się załatwić filiżanką herbaty czy całusem.

W dzieciństwie – pierwsze wspomnienie pochodzi z czasu, gdy miałam pięć albo sześć lat, choć tato powiedział, że zaczęło się to dużo wcześniej – mama i ja zjeżdżałyśmy na pupach ze schodów. Na każdym stopniu mówiłam do niej: „Teraz całus”; wtedy zatrzymywałyśmy się, dawałyśmy sobie buziaka i zjeżdżałyśmy na następny stopień. Kiedy nam się spieszyło, mama brała mnie na ręce i szybko schodziła, a na dole spoglądała na mnie z udawanym przerażeniem i wołała: „Ojej, a całusy?!”, po czym zasypywała mnie pocałunkami, po jednym na każdy stopień, a ja zaśmiewałam się, wierciłam i wyrywałam – bez przekonania – z jej objęć.

Zawsze się dziwiłam, jak bardzo mama i tato różnią się od rodziców moich koleżanek i kolegów. Moi rodzice wciąż całowali się na do widzenia każdego ranka; trzymali się za ręce, gdy chodziliśmy do parku, a ja wtedy łąpałam mamę za drugą rękę i wymachiwałam nią w przód i w tył. Tato nieustannie przynosił do domu kwiaty, nawet gdy nie zrobił nic złego, z kolei mama

wstawiała – wydawało mi się, że w środku nocy – i szykowała mu kanapki do pracy.

Tamtego dnia, gdy powiedziałam mamie, że staramy się z Markiem o dziecko, siedziałyśmy w ogrodzie i przeglądałyśmy niedzielne gazety. Mama tylko się uśmiechnęła i odparła: „W samą porę, kochanie”. Dużo później okazało się, że już wtedy wiedziała o chorobie, która doprowadziła do jej śmierci.

Po dwóch latach starań uznaliśmy, że coś jest nie w porządku, i poszliśmy do lekarza. Wtedy mama przeszła już dwie kuracje, z bardzo dobrym skutkiem, jak się wydawało. Trzykrotnie przycięła swoje pomidory w ogrodzie i wybrała się ze mną do sklepu, żeby kupić sobie kilka nowych sukienek na zaplanowaną wycieczkę. W tamten weekend, gdy tato zabrał mamę do Włoch, ja miałam zabieg pobrania komórek jajowych. Trzy miesiące później byłam w ciąży, a po kolejnym miesiącu znów byliśmy u naszego lekarza domowego, który poinformował nas, że mama ma nawrót raka.

Walczyła jeszcze dzielniej niż do tej pory, ale tym razem przeczuwałam, że nie doczeka narodzin naszego dziecka. Teraz pocieszam się myślą, że przynajmniej nie doczekała również jego śmierci. Natomiast mojemu ojcu przyszło przeżywać stratę żony, jedyne wnuka i jedynej córki, wszystko w ciągu dwóch lat.

Tato był obecny na sali każdego dnia procesu. W pierwszym dniu popełniłam błąd i zerknęłam na galerię. W chwili gdy wyłowiłam go wśród publiczności, siedzącego między moim bratem a bratową, tato podniósł głowę i zobaczył, że na niego patrzę. Miał zaciśnięte szczęki, powstrzymywał łzy i starał się nie pokazywać, jak bardzo jest przybity. Przez moment wyobrażałam sobie, że zbiega po schodach z galerii, bierze mnie w ramiona i nie puszcza, dopóki nie pozwolę mi wrócić do domu. Pierwszy raz tato nie mógł mi w niczym pomóc. Siłą woli zmuszałam się, żeby na niego nie spojrzeć przez całe cztery tygodnie procesu, do dnia, gdy ława przysięgłych uznała mnie za winną. Kiedy przysięgli wrócili z obrad, oczy dziennikarzy były skierowane na mnie i mojego męża, ja zaś wpatrywałam się w ojca. Ostatni raz, gdy go widziałam, szlochał jak dziecko.

Szybkim spojrzeniem obrzucam przedpokój – paczka nadal leży na stoliku, tam gdzie ją zostawiłam. Stoję, patrząc tępo na ten martwy przedmiot i usiłując mentalnie przeniknąć jego zawartość, gdy rozlega się stukanie do drzwi wejściowych, tak donośne, że krzyczę.

– Susan? – To Nick. Mimo tego, co zaszło, na dźwięk jego głosu oddycham z ulgą. Czym prędzej idę do drzwi, znowu przestając myśleć o paczce. – Wszystko w porządku? – pyta.

Wskazuję głową na stół i widzę, że do Nicka coś dociera. Natychmiast uprzytamniam sobie, jaki wyciągnął wniosek.

– Wiem, co myślisz – mówię. – Że mam doskonale wycucie czasu. Że sama położyłam tutaj tę paczkę. Ale to nie tak.

Nie wiem, dlaczego tak bardzo chcę, żeby mi uwierzył. Może dlatego, że jeśli on mi uwierzy, to ja uwierzę sobie.

– Nie wiesz, co myślę – oświadcza Nick.

Mam wrażenie, że on sam nie wie, co myśleć. Podejmuję atak.

– Myślisz, że położyłam tę paczkę po wczorajszym, żebyś znowu zaczął traktować mnie poważnie. Otóż nie. Carole przyniosła mi ją godzinę temu. Weszła, pogadałyśmy. Zadzwoń do niej i sprawdź. Masz. – Wygrzebuje komórkę, w której zapisałam jej numer. – Dzwon.

Nick nie zwraca uwagi na moją gadaninę. Nawet nie interesuje go, kim jest Carole.

– Jeszcze nie otworzyłaś?

Głupie pytanie – przecież widać, że papier jest cały. Powstrzymuję się jednak od komentarza i tylko kręcę głową.

– Masz rękawiczki?

Pewnie zmarzł, przemyka mi przez głowę, ale zaraz dociera do mnie, że on chce wziąć do ręki tę paczkę. Łaska boska, że nie zaproponowałam mu kałesonów.

– Winyłowe, w łazience. – Na wszelki wypadek dodaje: – Do czyszczenia ubikacji.

Niczym technik kryminalistyczny Nick wciąga rękawiczki i podaje mi drugą parę. Bierze paczkę i stawia ją na kuchennym blacie. Wsuwa nóż pod zagięcie papieru. Chryste, on naprawdę ją otworzy. Wstrzymuję oddech, tak

jakby tylko wtedy jej zawartość nie mogła zrobić mi krzywdy, nie mogła mną wstrząsnąć. Wieko pudełka zostaje uniesione, a ja wypuszczam powietrze.

– Szczoteczka do włosów. – Jak ta głupia stwierdzam fakt.

Wyjmuję z pudełka niebieską szczoteczkę. Jest na niej pełno włosów, nie włosków niemowlęcia, jakie miał mój syn, lecz dużo starszego dziecka. Pierwszy raz widzę tę szczoteczkę.

– A to? – Nick unosi złożoną tkaninę. – Coś ci to przypomina?

Rozpoznaję natychmiast, nawet nie biorąc tego do ręki. To dziecięcy kocyk, szyty ręcznie przez całą ciążę i z miłością podarowany synkowi w dniu jego narodzin. Zrobiłam go sama, z kawałków własnego niemowlęcego kocyka i kwadratów jasnoniebieskiego i zielonego materiału o luźnym splocie. Na jednym z kwadratów naszyłam aplikację z maszerującymi żołnierzami, którą kupiłam w sklepie charytatywnym w Devonie, dokąd pojechaliśmy z Markiem w ostatni weekend przed narodzinami Dylana. Inny kwadrat, beżowy w białe groszki, jest resztką materiału na zasłony do pokoju dziecięcego. No i jeszcze kwadrat z żyrafą i słoniem. Całość wykończyłam jasnoniebieskim atłasem, co sprawiło mi tyle trudności, że niewiele brakowało, bym się poddała i wyrzuciła wszystko do śmieci. Ten kocyk jest absolutnie unikatowy, bez dwóch zdań. Gdzie on był, wie tylko jeden człowiek na świecie.

Moje szare komórki zaczynają intensywnie pracować. Czy to on przysłał kocyk? Czy wie o fotografii? Czy ją podrzucił? Powinnam do niego zadzwonić, zażądać wyjaśnień, w co on, do diabła, się bawi i dlaczego przysłał mi tę paczkę – ale to mnie przerasta. Przynajmniej poznałam prawdę: Dylan nie żyje, umarł cztery lata temu, jak wszyscy mi mówili, jak usłyszeli przysięgli na procesie.

Czy to oznacza koniec mojej męki? Teraz pozostaje mi już tylko znowu pozbierać strzępy swojego życia i spróbować zapomnieć – a w tym jestem już właściwie profesjonalistką.

Nie odezwałam się słowem od chwili, gdy Nick wyjął kocyk. Trzeba mu przyznać, że na mnie nie naciska, czeka, aż wszystko przetrawię. Słowa więzną mi w gardle. Nie chcę wypowiedzieć ich na głos.

– To kocyk Dylana – mamroczę. Zwlekam z przejściem do sedna, ale Nick jest bystry, już się domyślił. – Uszyłam go dla niego. – Po chwili brnę dalej: – Rzeczy Dylana, te, których nie nosił ani nie używał, trafiły do organizacji charytatywnej, ale te ważne poszły na przechowanie. Nie mogłam oczekiwać, że Mark będzie je trzymał w naszym domu, więc przekazałam je osobie zaufanej, która nigdy by mnie nie zawiodła, byłam tego pewna.

– Komu?

Mówi jak najłagodniej, ale w jego głosie słycać zniecierpliwienie. Wie, że ta wiadomość może przyczynić się do zamknięcia całej sprawy, a wtedy on wróci do swojego normalnego życia. Uprzytamniam sobie, że ja wcale nie chcę tego zakończyć, nie z powodu osoby, która za tym stoi, i nie dlatego, że zaprzeczam śmierci mojego syna, tylko dlatego, że nie mogę znieść myśli, które chodzą mi po głowie. Nie będę jednak udawać, że nie wiem, co to za osoba, więc odpowiadam głosem tak mocnym, jaki tylko mogę z siebie wydobyć.

– Mojemu tacie. – Biorę głęboki wdech, żeby się nie rozpłakać. – Przekazałam te rzeczy mojemu tacie.

Jack: 18 października 1987

Z Mattem i Adamem spotkali się na imprezie u kuzynki Jacka. Jej mama i tato wyjechali na cały weekend, a ona miała się przenieść do babci, co oznaczało, że poczeka do ósmej wieczorem, aż babcia zaśnie, po czym przemknie się z powrotem do siebie i wpuści swoje towarzystwo. Była klasę niżej od kumpli Jacka, a zatem jej koleżanki miały najwyżej czternaście lat, dostatecznie dużo, by spodziewać się na imprezach czegoś więcej niż lodów i galaretki.

– Cześć, Jack! – Kuzynka rzuciła się Jackowi na szyję i pocałowała go w policzek. Już trochę wypita, czyli babcia musiała położyć się wcześniej. – Wchodź.

Zaprowadziła ich do salonu, gdzie jej koleżanki stały w grupkach z dala od kilku chłopców, chichocząc i zerkając na nich ukradkiem. Adam i Matt zanieśli wódkę do kuchni, a Jack skinął na Willy'ego, żeby poszedł za nim.

– Cześć, Szekspir, miło cię znowu widzieć. – Posłała mu uśmiech. – Napijesz się?

Willy kiwnął głową. Jest zdenerwowany, pomyślał ciepło Jack. Biedaczek! Kuzynka zniknęła w kuchni i po paru minutach wróciła z Mattem, niosąc drinki dla nich wszystkich.

– No to chlup, stary. – Jack wskazał na szklaneczkę, którą Willy już trzymał w ręce. – Strzel sobie.

Matt kątem oka zerknął na Willy'ego.

– Może to byś wolał – rzucił cicho. Jack patrzył, jak Matt podaje Willy'emu piwo w miejsce wódki. – Jak nie masz wprawy, będzie lepsze.

– Nie jest dzieckiem, Riley – warknął Jack. – Niech sam wybiera.
– Mnie tam wszystko jedno. – Matt wzruszył ramionami.
– Na razie piwo – powiedział Willy. – Procenty odłożę na później.
Jack skrzywił się.
– Jak chcesz.

– Hm, chyba ktoś tu powinien się położyć. – Jack poprowadził dziewczynę w stronę Willy’ego, który wciąż był pogrążony w rozmowie z jego kuzynką. Dziewczyna... jak jej było: Vicky? Nicky?... kurczowo obejmowała go w pasie, ale i tak mocno chwiała się na nogach. Jeszcze pięć minut temu, gdy zaproponował, żeby się przewietrzyli, było z nią wszystko w porządku. Wystarczył łyk powietrza i zaczęła się zataczać. Upadłaby na posadzkę, gdyby jej nie złapał. – Zabiorę ją na górę.

Willy zerwał się z miejsca.

– Nie rób... no wiesz... chyba nie... Ona jest zalana.

– Za kogo ty mnie masz? – Jack się zaśmiał. – Zaprowadzę ją na górę, żeby się przespała. Jak będzie miała szczęście, może zdołam ułożyć ją w pozycji bocznej bezpiecznej.

Kuzynka z uśmiechem dotknęła ramienia Willy’ego.

– Nie martw się. Z Vicky tak już jest. Wyśpi się i będzie dobrze.

Aha, więc jednak Vicky. Warto pamiętać jej imię, skoro zamierza ją bzyknąć. A kuzynka wyraźnie leci na Szekspira. Jak to możliwe, że nie zauważył wcześniej?

– Zresztą on ma w domu swoją flirciarę gosposię.

Wredna małpa! Jeszcze ten uśmiech i triumfalny błysk w oku. Od kiedy ona wie o Lucy?

– Jak to? – Willy zmrużył oczy. – Śpisz z Lucy?

– Nie bądź idiotą, Willy. – Jack wskazał na zadowoloną z siebie kuzynkę. – Ona cię podpuszcza. Lucy jest dla mnie za chuda. Wolę panny, które lubią zjeść.
– Z szerokim uśmiechem uszczypnął dziewczynę uwieszoną jego ramienia. – Pora, żebyś znalazł sobie jakąś laskę, co, Willy?

Przesunął dziewczynę, by poprawić chwyt, a ona, nie otwierając oczu, zachichotała. Chciał czym prędzej zaciągnąć ją do którejś sypialni – najlepiej cioci i wujka – ale najpierw trzeba zepsuć kuzynce wieczór w rewanżu za to, że go wrobiła. Odwrócił się w stronę trzech dziewczyn, które dzieliły się papierosem, usiłując nie pokazać po sobie, że palą pierwszy raz, i kiwnął na jedną z nich.

– Sally – odezwał się.

– Mam na imię Samantha.

Posłał jej swój najbardziej ujmujący uśmiech.

– Oczywiście, przepraszam, Samantha. To jest Willy. Jeszcze nie widział stawu. Pokażesz mu?

– Jasne, Jack. Chodź, Willy. Tam jest super.

Willy nie zdążył się sprzeciwić, gdy pociągnęła go do drzwi ogrodowych.

– Dupek – syknęła kuzynka do Jacka.

– Dobra, dobra. Na przyszłość trzymaj, kurwa, język za zębami.

Odszedł, ale doleciał go jeszcze jej głos:

– Obyś złapał od niej mendi.

19

Nick szybko dochodzi do siebie, ja znacznie wolniej. Sama nie wiem, jak i kiedy jestem już w ogrodzie za domem i drżącą ręką próbuję zapalić papierosa, jednocześnie trzymając w drugiej drżącej dłoni kubek z kawą. W Oakdale paliłam jak komin, trochę z nudów, a trochę dlatego, żeby złapać łyk świeżego powietrza – wiem, wiem, jak to brzmi – i choć po wyjściu stamtąd rzuciłam palenie, na wszelki wypadek zawsze mam w domu paczkę. Herbata na kłopoty, kawa i papierosy na kryzysy.

Mija dobre dziesięć minut, zanim Nick się odzywa, a nawet wtedy jest ostrożny, jakby starał się nie denerwować mnie jeszcze bardziej.

– Kiedy widziałaś ojca ostatni raz?

Prawie zapomniałam, że dopiero co się poznaliśmy i on nic nie wie o mojej sytuacji rodzinnej.

Biorę głęboki wdech.

– Tato wielokrotnie próbował odwiedzić mnie w Oakdale. – Gdy to mówię, już mam wyrzuty sumienia. – Ani razu nie zgodziłam się na widzenie i nie wyszłam ze swojego pokoju.

Nick jest zdezorientowany, co mnie wcale nie dziwi. Zapadł już wieczór, pewnie się ochłodziło – widzę, że ma gęsią skórkę na ramionach – ale ja nie czuję zimna, a on nie narzeka. Może zamyka się mój organizm, zmysły wyłączają się jeden po drugim, aż pewnego dnia po prostu stanę w miejscu.

– Mówiłaś chyba, że on cię wspierał, stał przy tobie... tak? Dlaczego nie chciałaś go więcej widzieć?

– Bardzo mnie wspierał. – Znow mam przed oczami twarz taty, załamane, gdy przewodniczący ławy przysięgłych ogłosił werdykt. Winna. – Bardziej, niż na to zasługiwałam. I nie wycofał się, nawet gdy mnie zamknęli.

Tygodniami tkwił pod zakładem. Wreszcie, po jakichś sześciu tygodniach, przestał przychodzić.

Poczułam ulgę, ale i zawód. Tato wytrwał dłużej niż mój mąż, ale w końcu zrobił to, co wiedziałam, że robi, to samo, co zrobili wszyscy dawni znajomi. Ustąpił i zostawił mnie, prosząc dwóch strażników o przekazanie mi albumu ze zdjęciami.

Nie opowiadam Nickowi wszystkiego. Nie mówię mu, że strażnik, któremu ojciec dał album, nie spełnił jego prośby – nie byłam wobec niego dostatecznie „miła”, żeby zasługiwać na przywileje. Znajdowałam się między młotem a kowadłem: gdy się nie skarżyłam, wiedział, że może mnie traktować, jak chce; jeśli nie będę świadczyć usług seksualnych, nie zobaczę rzeczy od ojca. Jeśli się poskarżę przełożonemu strażników, dostanę etykietkę zrzędy i donosicielki i niejednen funkcjonariusz będzie się nade mną pastwić. Nie zamierzam mówić Nickowi, jak to się stało, że album trafił do mnie; jak pewnego ranka Cassie weszła do pokoju i bez słowa mi go wręczyła, a potem ani razu nie skomentowała tego, że przez następne trzy lata nie zdobyłam się, żeby go otworzyć. To kolejna historia, o którą nigdy jej nie pytałam, i kolejny raz, gdy zaciągnęłam wobec niej dług – większy, niż mogłabym kiedykolwiek spłacić.

Chciałam, żeby tato o mnie zapomniał, żył tak, jakby nigdy nie miał córki ani wnuka. Dobijała mnie myśl, że co tydzień będzie mnie odwiedzał, że za każdym razem będą go rewidować ci osławieni strażnicy więzienni, którzy w większości byli parszywymi draniami. Wyobrażałam sobie, ile przykrości będzie miał z mojego powodu w pracy, w pubie, w klubie golfowym, codziennie słysząc, że jego córka jest morderczynią. Już samo to będzie dostatecznie trudne, więc lepiej oszczędzić mu krępującej sytuacji, kiedy siedziałby naprzeciwko mnie i prowadził banalną rozmowę o pogodzie albo o begoniach swojej sąsiadki Jean.

Przez ostatnie cztery lata myślałam o tacie przynajmniej dwa razy dziennie. Zastanawiałam się, jakie ma plany, jak daje sobie radę, jak się czuje. Po śmierci mamy bardzo się o niego troszczyłam: żeby nie wpadł w przygnębienie, żeby nie doskwierała mu samotność. Gdy mnie zabrakło, czy ktoś zadbał o niego? A może zamknął się w swoim małym świecie,

w którym to ja ponosiłam winę za wszystko, co poszło nie tak w jego życiu? Czy zaczął mnie nienawidzić? Nie zasługuję na nic innego.

Nick słucha tej historii w milczeniu i bierze mnie za rękę, kiedy ciche łzy spływają mi po policzkach.

– Jeśli tato pomagał ci przejść przez to wszystko, dlaczego teraz miałby tak cię dręczyć? – mówi bardziej do siebie niż do mnie.

– Nie wiem. Ale pamiętam, że przed procesem poprosiłam go o przechowanie dla mnie różnych rzeczy, między innymi tego kocyka. Nie chciałam, żeby został przekazany na cele dobroczynne albo, co gorsza, wyrzucony na śmietnik. Nikt inny nie mógł mi go przysłać, nikt.

– Twój tato zdawałby sobie z tego sprawę – stwierdza Nick. – Wiedziałyby, że gdy dostaniesz ten kocyk, zorientujesz się, że jest od niego. Mało wiem o twojej rodzinie, ale załamany starszy pan raczej by tak nie postąpił. Poza tym skąd miałby twój adres? Nie wygląda mi na człowieka, który zaczyna się w twoim ogrodzie.

– Nie wiem – mówię znowu, jak zacięta płyta, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Może twój tato dał komuś ten kocyk? Zastanów się, Susan, to ważne.

Wyczuwam w jego głosie nieprzyjemne naleganie i zaczynam myśleć, czy on nie angażuje się zanadto w nie swoją sprawę. Czy nie będę miała na sumieniu kolejnego zrujnowanego życia? Jeszcze jednej złamanej kariery? Następnego przybitego człowieka?

Po chwili milczenia naciska na mnie mocniej.

– Sądzę, że powinnaś się spotkać z ojcem, Susie.

Słyszę jego radę i wiem, że jest słuszna, ale myślę jedynie o tym, że nazwał mnie „Susie”. Tak mówił do mnie tylko Mark. W ustach obcego człowieka brzmi to dziwnie. Dlaczego mam wrażenie, że rozmawiając z innym mężczyzną, zdradzam męża? Nie widziałam Marka od czterech lat. Zabroniłam sobie pisać do niego i dzwonić; potrzebowałam dużo silnej woli, by zachować resztki własnej godności w sytuacji, gdy pragnęłam jedynie tego, żeby przyszedł do mnie i powiedział, że nie jestem zupełnie sama. Utraciwszy Marka, w pewnym sensie przeżywałam jeszcze jedną żałobę; był tam, gdzie już nie mogłam go zobaczyć, odezwać się do niego, ułożyć głowy w zgięciu

jego ramienia i podzielić się bólem po stracie Dylana. Równie dobrze mógł być teraz z inną kobietą, powtórnie się ożenić i – Bóg świadkiem, jak często o tym myślałam – mieć drugie dziecko. To ja byłam odpowiedzialna za trudności z poczęciem, nie Mark. Setki razy katowałam się, wyobrażając sobie mojego eksmeża u boku ciężarnej żony. Dlaczego nie mogę zająć się własnym życiem i poszukać szczęścia? Dlaczego pragnienie, by ten mężczyzna wziął mnie w ramiona i pocieszył, wydaje mi się takim występkiem?

– Teraz? – Uprzytamniam sobie, że Nick patrzy na mnie wyczekująco. – Mam do niego teraz zadzwonić?

– Przecież chcesz to załatwić, tak? Chcesz wiedzieć, dlaczego tak postąpił?

Właściwie nie chcę. Uważam, że nie może być żadnego słusznego powodu, że nie wyjdzie mi to na dobre. Co on napisał w moim albumie? Obym dzięki temu zrozumiała? Zrozumiała, co zrobiłam ze swoim życiem? Co zrobiłam swojej rodzinie? Moje gratulacje, tato. Dziś rozumiem to lepiej niż kiedykolwiek.

Już nie muszę niczego wyjaśniać Nickowi, ponieważ otwierają się drzwi wejściowe. Jestem pewna, że to Cassie – a przynajmniej spodziewam się – bo tylko ona ma klucz.

– To jaaaa... – Na widok Nicka głos jej zamiera i uśmiech schodzi z twarzy. – Co tu robisz? – rzuca ostro, po czym zwraca się do mnie: – Czy on spędził tu cały dzień?

– Ciebie też miło widzieć – odpowiada Nick, przybierając równie zaciętą minę. – O to samo mógłbym zapytać ciebie.

– Nie mógłbyś. Nie masz prawa pytać mnie, co tu robię. Byłam tu mnóstwo razy. Dostałam klucz. – Prezentuje go zamaszystym ruchem. – Ja jestem tu potrzebna, ty jesteś zbędny.

– Przestań, Cassie – mówię ostrzegawczym tonem, a ona jak pies, który broni właściciela, chowa zęby, ale nie całkiem.

– Myślałam, że już pojechał do domu.

Albo mi się wydaje, albo ona rzeczywiście się dąsa.

– Coś się wydarzyło.

Cassie stoi zmieszana.

– Znowu zdjęcie? Myślałam...

Wiem, co miała na końcu języka. Że pierwsze zdjęcie to moje dzieło. Że wszystko zostało wyjaśnione. Że Nick wrócił do Doncaster. Tak myślała.

– Tym razem nie zdjęcie. – Biorę ze stolika pudełko. – Przyniosła to Carole, ekspedientka z delikatesów. Paczka była zaadresowana do Susan Webster, ale doręczyciel przez pomyłkę zostawił ją u Carole.

– O cholera. Ona nikomu nie powie? Co było w paczce?

Ruchem głowy wskazuję kanapę.

– Lepiej usiądź. To może trochę potrwać.

Starając się ani na jotę nie podzielać zdania Nicka, Cassie namawia mnie, żebym zadzwoniła do swojego taty. Gdybym miała to zrobić, wolałabym, żeby oboje byli wtedy ze mną, i dlatego w końcu biorę od niej telefon. Po pierwszym, drugim, trzecim sygnale mam ochotę się rozłączyć, ale jakoś udaje mi się utrzymać słuchawkę w ręce i poczekać, aż tato odbierze, po piątym sygnale. Na dźwięk jego głosu, zwykłego „halo”, prawie panikuję. Musi znów się odezwać, żeby dotarło do mnie, że teraz moja kolej coś powiedzieć.

– Cześć, tato.

Zapada cisza, kiedy tato przetwarza w umyśle brzmienie głosu, którego nie słyszał od czterech lat. Zastanawiam się, czy liczył na to, że zadzwonię, czekał na słowa, które nie nadchodziły. Cassie posyła mi krzepiący uśmiech, gładzi mnie po ręce.

– Susan – szepcze tato po dłuższej chwili.

Nie potrafię odgadnąć, czy jest zadowolony, że mnie słyszy, czy też zamierza rzucić słuchawkę.

– To ja, tato. – Uprzytamniam sobie, że nie mam pojęcia, co powiedzieć, i w swojej głupocie bąkam: – Wypuścili mnie.

– Wiem. Dzwoniła do mnie Rachael.

Rachael do niego dzwoniła? Moja prawniczka Rachael? Kiedy? Utrzymywali kontakty? Ona nakłoniła go, żeby wysłał mi ten kocyk? W głowie mam gonitwę myśli, ale wiem, że to nie jest właściwy moment, żeby go wypytywać.

– Mogłabym się z tobą zobaczyć?

Wstrzymuję oddech, spodziewając się, że odmówi, oświadczy, że to niedobra pora, ale ku swojemu zdziwieniu słyszę:

– Oczywiście, Suze. Tęskniłem za tobą.

Łzy kręcą mi się w oczach, gdy powraca do mnie wspomnienie zgarbionego ojca po ogłoszeniu werdyktu przez ławę przysięgłych. Tamtego dnia życie osób, które kochałam najbardziej, legło w gruzach.

– Dziękuję. – Tylko tyle mogę wykrztusić. – Ja też tęskniłam.

Mamy się spotkać jutro. Nie przyjąłam zaproszenia do jego domu, ponieważ nie chciałam dawać sąsiadom tematu do plotek. Umówiliśmy się w znanym nam obojgu pubie pod Bradford. Oznacza to dwie godziny jazdy samochodem, ale nie narzekam. Widzę, że Nick jest ze mnie dumny. Gdy Cassie nie widzi, ściska mnie za ramię.

Doskonale wiem, że nie mam co namawiać Cassie, żeby zanocowała w pokoju gościnnym; od czasu pobytu w Oakdale nie chce spać nigdzie indziej, tylko we własnym łóżku, nawet gdy wypijemy u mnie drinka. Choć pół godziny taksówką kosztuje ją krocie, zawsze wraca do domu, bez względu na porę. Na mnie, szczęśliwie, Oakdale tak nie podziałało i mogę wskoczyć do łóżka byle gdzie – choć to wcale nie jest takie ekscytujące, jak się wydaje. Proponuję nocleg w pokoju gościnnym Nickowi. Czuję się bezpiecznie, gdy jest w pobliżu. Zależy mi, żeby przyjął zaproszenie. Tak miło było posiedzieć w trójkę i pogadać. Nawet Cassie zapomniała na te parę godzin, że nie cierpi Nicka, ale wciąż nie używa jego imienia, tylko mówi o nim „ten reporter”, nawet w jego obecności. Nick grzecznie odmawia i zamawia taksówkę do hotelu.

– Dobranoc, kochanie. – Cassie całuje mnie w policzek i mocno ściska. –

Wszystko się ułoży, zobaczysz. Zadzwoń do mnie zaraz po spotkaniu z tatą.

Kiwam głową, zdziwiona, że mam łzy w oczach. Cassie tyle razy stąd wychodziła i nigdy nie zbierało mi się na płacz.

– Dziękuję – mówię cicho.

Chciałabym powiedzieć, jaka jestem jej wdzięczna za wszystko, co robi, żebym znów nie wpadła w depresję, która doprowadziła mnie do Oakdale, ale

te słowa nie padają. Właśnie podjeżdża taksówka Nicka i nagle ogarnia mnie przekonanie, że ich wzajemna wrogość jest udawana, że wsiądą każde do swojej taksówki, żeby dojechać w to samo miejsce. Wyobrażam sobie, jak Cassie wsuwa palce we włosy Nicka i mówi szeptem, że być może jest morderczynią, ale przynajmniej nie wariatką. No i jak tu nie podejrzewać mnie o paranoję?

Dom opustoszał. Zapada niczym niezmacona cisza – kiedy w takim małym salonie jak mój przebywają trzy osoby, można się czuć jak na zebraniu w wiejskiej świetlicy – i przenoszę się myślami tam, gdzie nie chciałam być przez cały wieczór. Doskonale wiem, że nie zdemolowałam swojego domu i nie uroiłam sobie włamywacza. Jestem też przeświadczona, że nie był nim mój sześćdziesięcioletni tato. Wobec tego jak wygląda moja teoria? Czy to był przypadek? Szykany sąsiada, który wie, kim jestem? A może ktoś mnie obserwuje? Wzdrygam się na samą myśl i robię kilka kroków w stronę kanapy, byle dalej od drzwi i okien, jakby tam już nie mógł dosięgnąć mnie ten ktoś, kto czyha na zewnątrz. Nastawiam głośno telewizor i zagłuszam dźwięki, wydawane w mojej wyobraźni przez człowieka, który chce mnie dopaść i naprawdę się ze mną policzyć. Jak widać, trzy lata w Oakdale to za mało. Zawsze wiedziałam, że kara za mój czyn była zbyt lekka. Dopiero ten ktoś każe mi naprawdę cierpieć. Mój tato? Nie wiem. Natomiast jestem absolutnie pewna, że koniec jeszcze nie nadszedł. Nadejdzie dopiero wtedy, gdy się dowiem, kto mi to robi.

20

Budzę się i przez kilka sekund nie pamiętam, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Każdego ranka, od dnia, gdy odszedł Dylan, pobudka jest udręką. Zanim otworzę oczy, chwilę jestem wciąż w swoim śnie: znów trzymam mojego synka na rękach, kąpię go albo karmię. Czasem budzę się z przekleństwem na ustach, bo nadal mam obolałe piersi, ciężkie od mleka, które wyschło dawno temu. Kiedy dociera do mnie prawda, czuję kamień w sercu, niezmienny ból wspomnień. Teraz przypomina mi się coś jeszcze. Głos ojca, sylwetka Nicka, gdy wyjmuje kocyk z brązowego pudełka po butach. Silny lęk, jaki mnie przepełnia, stanowi zapowiedź tego, co ktoś zamierza mi zgotować.

Chcę zamknąć oczy, przewrócić się na drugi bok i śnić o moim synku, ale nie mogę. Ktoś jest za drzwiami, jego natarczywe dzwonięcie wyrwało mnie ze snu. Znów muszę zmierzyć się z prawdziwym światem.

– Chciałem tu być, gdy wstaniesz. – Na progu widzę Nicka, ma zatroskaną minę. – Na wypadek gdybyś...

Zawiesza głos, ale wiem, co ma na myśli. Boi się, że zrobię coś głupiego. Przesuwam się i wpuszczam go do środka, omiatając wzrokiem schody, trawnik i krzewy przed domem. Nick podaje mi papierowy kubek z parującą kawą.

– Która godzina?

– Wpół do dziesiątej – odpowiada, wciąż zatroskany. – U ciebie wszystko w porządku?

– Oczywiście, że tak. – Sztywnieję. – A co? Stało się coś?

– Nic się nie stało. Spokojnie.

Siada na kanapie. Jego skrępowana mina uprzytamnia mi, że mam na sobie cienki bawełniany szlafrok, a pod nim podkoszulek i wielkie majtasy.

– Przepraszam, pójdę się ubrać, zaraz wrócę.

Nick jest zażenowany. Oby ten szlafrok za bardzo nie prześwitywał. Majtasy są naprawdę okropne.

– Naturalnie, nie spiesz się. Przyszedłem za wcześnie.

Czy naprawdę jest ze mną tak źle? Czy zachowuję się tak impulsywnie, że musiał tu przyznać bladym świtem i przekonać się, czy nie zamierzam połknąć garści tabletek? Chryste, on chyba jest przerażony tym, w co się wpakował.

Wkładam dzinsy, koszulkę bez rękawów i żakiet, przeczesuję włosy i pociągam rzęsy tuszem. W rezultacie sprawiaam wrażenie bardziej ogarniętej, niż się czuję. Gdybym tylko dołożyła starań, żeby wyglądać na poczytalną, może ludzie by uwierzyli. Kiedy schodzę do salonu, zastaję Nicka nad wczorajszą gazetą. Na mój widok z uśmiechem podnosi wzrok.

– O, teraz wyglądasz lepiej. Chciałem powiedzieć, że chyba czujesz się lepiej. To znaczy... – Wzdycha z rezygnacją. – Dasz radę spotkać się z ojcem?

Bez entuzjazmu kiwam głową.

– Będę musiała. Chcę, żeby to wszystko już się skończyło...

Wcale nie jestem tego pewna. Kiedy to się skończy, Nick wróci do swojego życia w Doncaster, a ja będę musiała radzić sobie z tatą, który wymierzy mi karę. Może lepiej nie wiedzieć?

Nick znowu wzdycha, widząc moje przygnębienie.

– O cholera, przepraszam...

– Już sam jego głos...

– Mam zadzwonić do Cassie?

Założę się, że nie proponuje tego z ochotą. Na szczęście dla niego rozlega się brzęczenie komórki.

– Odbiorę – mówi, grzebiąc w kieszeni.

Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, kto mógłby do niego dzwonić, nic nie wiem o jego życiu poza tym, że zajmuje się moimi sprawami. Czy ma rodzinę? Czy co niedziela gra w piłkę nożną, czy uczy się jakiegoś języka na kursach wieczorowych? Czy korzysta z Facebooka, czy woli Twittera, chodzi

do McDonalda czy Burger Kinga, ogląda *EastEnders* czy *Coronation Street*? Co za porąbana sytuacja: liczę na jego wsparcie psychiczne, a nawet nie wiem, gdzie dorastał.

– To mój kolega. Muszę oddzwonić i upewnić się, że w pracy wszystko gra. Dasz sobie radę?

Potwierdzam gestem, bojąc się, że zdradzi mnie głos. Nick zmierza do kuchni. Powstrzymuję się, żeby nie pójść za nim i nie podsłuchać zapewne niewinnej rozmowy, która w ogóle nie jest moją sprawą.

Staralam się wbić sobie do głowy, że Mark słusznie wolał trzymać się ode mnie z daleka i że nie dałam tacie wyboru: musiał ustąpić i zostawić mnie samą. Ale tak naprawdę nie wybaczyłam tego ani jednemu, ani drugiemu. Mam świadomość, że to ja odwróciłam się do nich plecami. Gdybym dopuściła ich do siebie i pokazała, jak cierpię, sprawy może potoczyłyby się inaczej. Muszę się nauczyć otwierać na ludzi, znów im ufać. Przelatuje mi przez myśl, czy Nick nie jest tym, kto mnie tego nauczy.

21

Ruszam w drogę. Gdy parkuję pod pubem, dociera do mnie, jak ważne będzie te kilka następnych godzin. Do tej pory starałam się nie myśleć, co będę mówić i czuć, spotykając się z tatą po tak długim czasie. Ale teraz jest to nieuniknione. Zawsze uważałam, że łączy mnie z nim nierozzerwalna więź. Był bohaterem moich młodych lat, a po śmierci mamy nasza bliskość tylko się pogłębiła. W każdą niedzielę przychodził na obiad do mnie i Marka. Do niego zadzwoniliśmy najpierw, gdy urodził się Dylan, i po kilku minutach już był przy moim łóżku. Rozbawiła i wzruszyła mnie wiadomość, że przez cały mój poród siedział w samochodzie pod szpitalem.

Tato stracił głowę dla naszego synka od pierwszej, ściskającej za serce chwili, gdy wziął go na ręce. Ten niezdarny i czasem burkliwy człowiek, jakiego znałam, na moich oczach przemienił się w ckliwego, słodkiego dziadka, który nie krył łez, gdy Dylan swoją malutką rączką złapał go za mały palec i z poczuciem absolutnego bezpieczeństwa natychmiast zasnął w jego ramionach. Śmierć Dylana zdruzgotała tatę tak samo jak mnie i Marka. Wiem, dlaczego nie pozwoliłam mu na wizyty w Oakdale: ilekroć stawałby w drzwiach, miałabym przed oczami obraz, jak trzyma Dylana mocno w ramionach, jakby w obawie, że ktoś w tym szpitalu mu go zabierze. Jak patrzy na tę maleńką buźkę i szepcze, że będzie go kochał po wieczność, nie wiedząc, że wieczność nadejdzie tak szybko.

Mam gułę w gardle i szybko mrugam, żeby powstrzymać łzy. Chwytam kocyk Dylana, również na dowód, że to wszystko nie jest wytworem mojej wyobraźni. Widzę, jak tato siedzi przy stole w kuchni i składa równo ten kocyk, a potem zanosi go na pocztę i nadaje paczkę. Myślę o tym bez gniewu, lecz ze smutkiem. To przeze mnie tak wyglądają nasze stosunki. Pozostaje

tylko pytanie, czy uda mi się je naprawić. Czy jest za późno, żebyśmy znowu byli ojcem i córką? Mogę mu wybaczyć te kilka dni piekła, ale czy on zdoła mi wybaczyć cztery lata?

Jeśli będę dłużej zwlekać, nigdy tam nie wejść. Gaszę silnik, zamykam samochód i podchodzę do drzwi Talluah Arms, by szukać odpowiedzi.

W pubie jest tłok, rozglądam się dłuższą chwilę. Naprzeciwko wejścia ciągnie się długi mahoniowy kontuar. Stojący za nim młody mężczyzna, który wyciera blat, przelotnie spogląda na mnie i wraca do pracy. Wodzę wzrokiem od stolika do stolika: rodziny przyszły tu na lunch, jest również trochę młodych ludzi, pewnie studentów. W końcu moje spojrzenie pada na stolik, przy którym siedzi tato z kuflem nietkniętego guinnessa.

Życie odcisnęło na nim swoje piętno. Tato wygląda na swoje sześćdziesiąt dwa lata, ani minuty mniej. Zaczął się starzeć po śmierci mamy, młodniał tylko w obecności Dylana, ale teraz sprawia wrażenie zniszczonego w innym sensie: jest wyczerpany, zdruzgotany i – szukam właściwego słowa – przegrany. W dzieciństwie, gdy rodzice myśleli, że jestem w łóżku, wspinałam się czasem na moją skrzynię z zabawkami i lekko rozchylałam zasłony. Okna mojego pokoju wychodziły na ogród za domem; gdy słyszałam znajomy trzask ognia w palenisku na dworze, biegłam do okna. Przyglądałam się, jak mama i tato siedzą na huśtawce, jego silne ramię obejmuje jej wąskie ramiona, i wtuleni w siebie patrzą na ognisko. Wydawało się, jakby byli jednym ciałem. Mama się uśmiechała, a jej usta układały się w jedno słowo; tato śmiał się serdecznie, tak jakby mówił, że mogą się porozumieć bez słów. Pewnego razu zebrałam się na odwagę i wyszłam tylnymi drzwiami do ogrodu, oznajmiając, że jestem głodna. Mama nie wysłała mnie z powrotem do łóżka, tylko udała się do kuchni i po chwili wróciła, trzymając coś w rękach, a na jej twarzy irytacja mieszała się z miłością. Przyniosła pianki marshmallow, które nadziałyśmy na patyki i zaczęłyśmy opiekać nad ogniskiem; powiedziała mi, że tak robiła ze swoją mamą. Tato uśmiechał się, jak zawsze, gdy na nią patrzył. Tak samo uśmiechał się do niej w dniu jej śmierci i nikomu prócz mnie nie pokazywał swojej rozpacz.

Biorę głęboki oddech i podchodzę do stolika.

– Cześć, kochanie – odzywa się tato, kiedy przed nim stoję.

Nie spuszczał ze mnie wzroku od chwili, gdy pojawiłam się w drzwiach. Jego twarz, brzmienie głosu sprawiają, że na parę sekund odbiera mi mowę. Siadam naprzeciwko niego, wciąż nie mogąc wykrztusić słowa.

– Nie przywitasz się? – pyta.

– Cześć, tato. – Pilnuję, żeby nie załamał mi się głos. – Jak się miewasz?

Idiotyczna odzywka, gdy tyle pytań, wyjaśnień i przeprosin przelatuje mi przez głowę z szybkością błyskawicy, ale tylko to przechodzi mi przez gardło. Nie da się siedzieć w milczeniu i patrzeć sobie w oczy, myśląc, jak to możliwe, że wszystko potoczyło się nie tak.

– Chodźmy stąd – mówi tato.

Opuszczamy duszne wnętrze i idziemy na spacer nad rzekę, jak to bywało zaraz po śmierci mamy. W miarę jak mój ciężowy brzuch rósł, spacerowały coraz krócej. Co za ironia losu, że straciłam najlepszą przyjaciółkę, dostając jednocześnie nasze upragnione dziecko. Wstrząsa mną dreszcz i szczerzej owijam się żakietem dla ochrony przed zimnym wiatrem. Tato patrzy na mnie z troską.

– Schudłaś.

– Ważę tyle, ile trzeba – zapewniam go. – Nie martw się, dbam o siebie. Ty też?

– Staram się, kochanie.

Znów mam poczucie winy. Muszę doprowadzić to do końca i wynieść się stąd. Choć cieszę się, że go widzę, to spotkanie zaczyna mnie dobijać.

– Tato – odzywam się i widzę, jak jego twarz pochmurnieje.

– Oho, zaczyna się – mówi. – Teraz dowiem się, dlaczego tu jesteśmy.

– Nie będziemy do wieczora omijać tematu.

– Racja. – Ma poważną minę. – Całą noc zastanawiałem się, dlaczego zadzwoniłaś do mnie akurat teraz.

– Dostałam od ciebie zdjęcie – mówię powoli, obserwując jego twarz.

Spodziewam się zobaczyć poczucie winy, ale widzę, że jest zdezorientowany.

– Jakie zdjęcie?

On chyba naprawdę nie wie, o co mi chodzi. Jestem oszołomiona. Mój ojciec nigdy nie umiał kłamać. Sądziłam, że wystarczy wspomnieć o zdjęciu, a on zaraz się przyzna. A jeśli się mylę? Podaję mu zdjęcie chłopca. Czyta, co jest napisane na odwrocie, i zamiera. Już wiem, że popełniłam ogromny błąd.

– Skąd to masz? – pyta i nie czeka na odpowiedź. – Myślałaś, że ja to wysłałam? Dlaczego tak uważasz?

– Ja... hm... ktoś dostarczył mi to zdjęcie na nowy adres, wrzucił przez szparę w drzwiach – dukam słowo po słowie, zaskoczona urazą w jego głosie. – Wcale nie myślałam, że to ty. Aż znalazłam album ze zdjęciami, a potem dostałam kocyk...

– Kocyk? – Ojciec naskakuje na mnie. – Jaki kocyk? O czym ty mówisz?

Zatrzymuję się, on też. Stoimy obok siebie i spoglądamy na rzekę. Nabieram powietrza i zaczynam opowiadać, od początku, co się wydarzyło od dnia, gdy dostałam zdjęcie.

Tato mi nie przerywa, choć na pewno tysiące pytań kłębi mu się w głowie. Ma coraz bardziej ponurą i zatroskaną minę, gdy mówię mu, że Nick jest dziennikarzem i że ktoś włamał się do mojego domu. Wreszcie mówię o kocyku. Wyjmuję go z torby i podaję tacie. Obserwując jego reakcję, wyjaśniam, że paczkę wysłano pocztą, ale trafiła do mojej sąsiadki. Tato zaczyna pojmować, jak wyglądał bieg wydarzeń.

– Dostałaś ją wczoraj? – pyta, a ja potwierdzam. – I wtedy do mnie zadzwoniłaś. Ponieważ to mnie powierzyłaś rzeczy Dylana.

– Tak. Bardzo cię przepraszam. Wcale nie chciałam podejrzewać, że miałeś z tym cokolwiek wspólnego. A potem zadzwoniłam do ciebie i powiedziałeś mi o swojej rozmowie z Rachael...

– To ona zatelefonowała do mnie. Oznajmiła, że czuje się w obowiązku powiadomić mnie, że opuszczasz Oakdale. Myślałam, że sama ją o to prosiłaś, dopóki nie spytała, czy z tobą rozmawiałem.

– Tato, co do kocyka... Skoro nie ty go wysłałeś, to kto?

Na jego twarzy maluje się cierpienie.

– Nie widziałem tego kocyka, kochanie. Spakowałam rzeczy Dylana, tak jak chciałaś, ale kocyka wśród nich nie było. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby go szukać. Powinienem był zwrócić na to uwagę.

Wyobrażam sobie, jak tato w milczeniu zbiera pamiątki po swoim ukochanym wnuku, i ściska mi się serce. Na jakiej podstawie sądziłam, że jemu będzie łatwiej? W żadnym wypadku nie należało go o to prosić.

– To się działo wieczorem, w przeddzień pogrzebu Dylana – mówi półgłosem.

Ma ściągniętą twarz, jakby wspomnianie sprawiało mu fizyczny ból. Nie patrzy na mnie, tylko wolnym krokiem podąża dalej brzegiem rzeki. Idę tuż przy nim, żeby nie uronić ani słowa.

– Poszedłem na pogrzeb, wiesz? – Nie czeka na odpowiedź. Chyba nie zauważyłby, gdybym się odwróciła i odeszła. – Nie miałem pewności, czy będę mile widziany, ale Mark zadbał o to, żeby nikt nawet nie pomyślał niczego złego. Byłem mu naprawdę wdzięczny. – Wpycha ręce głęboko do kieszeni. –

Poprzedniego wieczoru wybrałem się tam, żeby zrobić to, o co mnie prosiłaś. Usiadłem na podłodze w jego pokoju i wkładałem do worków wszystkie misie i ubranka, ale w ogóle nie pomyślałem o tej jednej rzeczy, bez której się nie obywał. Przykro mi, Susan, ale nie wiem, skąd się wziął ten kocyk.

Biorę go pod ramię, by go uspokoić.

– W porządku, tato. Nie powinnam była cię o to prosić.

Kręci głową.

– Chciałem to zrobić. Chciałem w jakiś sposób być ci pomocny. Ale nie widziałem tego kocyka, ani w domu, ani podczas pogrzebu. Więc gdzie on, do diabła, się podział? Jak to się stało, że znowu trafił do ciebie?

Jack: 24 stycznia 1990

– *Nie uwierzysz, kurwa.*

Jack od wieków nie widział Willy’ego w takim stanie, a przynajmniej od czasu, gdy wszyscy zaczęli składać podania o przyjęcie na uniwersytet. Może przeleciał jakąś laskę.

– *Co takiego?*

– *Firma mojego taty ma nowego inwestora. Dzięki niemu podpisała nowe kontrakty, aż cztery tylko w tym miesiącu. Tato będzie mógł zapłacić za moje studia.*

– *Super!* – *Jack poderwał się z kanapy i uderzył pięścią w powietrze. Robił wszystko, żeby jego przyjaciel starał się o przyjęcie na Uniwersytet Durham: zaproponował, że pokryje czynsz, sprawdził, jakie są możliwości uzyskania stypendium. Nigdy nie przyznawał tego głośno, ale dobijała go perspektywa wyjazdu bez któregoś z kumpli: Adama, Matta, Willy’ego czy nawet Mike’a. Willy, ze swoimi ocenami, miał największe szanse, żeby się dostać. – Złóżysz podanie do Durham, no nie?*

Willy spochmurniał, opuścił głowę, popatrzył na swoje dłonie i zaczął skubać paznokcie – jak zawsze, gdy był zdenerwowany.

– *Wychowawca uważa, że z takimi stopniami mogę iść do Cambridge... Tato powiedział, że zapłaci chesne, gdziekolwiek będę chciał studiować, teraz go na to stać. Pomyślałem sobie...*

– *Pomyślałeś sobie, że jesteś lepszy od nas. Zdolny i dziany. Pękasz z dumy, co?* – *Jack nie przebierał w słowach, jego niebieskie oczy płonęły gniewem.*

– *Chłopie, nie mów tak...*

– Chłopie? Dostałeś ode mnie wszystko, co chciałeś, pożyczałem ci ubrania, żebyś nie wyglądał jak menel, poznałem cię z moimi przyjaciółmi... przedtem byłeś sam jak palec! Od trzech lat jestem najlepszym kumplem, jakiego miałeś w życiu, i co? Teraz mnie, kurwa, zostawiasz? Chciałem zapłacić za wynajęcie ci zasranego pokoju! Spójrz na siebie: odlotowa fryzurka, trochę kasy i już wybierasz się do Cambridge, żeby zostawić nas w tyle.

Willy zwiesił głowę. Widać było, że przyznawał mu rację. To jego zasługa, że ten prymusik zwany Szekspirem stał się atrakcyjnym i popularnym chłopakiem. Dzięki kremom Lucy wygładziła się jego krostowata twarz. Mama Jacka zabrała go do najlepszego fryzjera w mieście, żeby z tej grzywy przetłuszczonych włosów zrobił coś w miarę przyzwoitego. Nawet swoje pierwsze bzykanko zawdzięczał forsie Jacka – Willy nie miał pojęcia, że Jack zapłacił dziewczynom, które tamtego wieczoru ściągnęli do domu. A teraz on chce wybyć do Cambridge, nie licząc się z człowiekiem, który go stworzył. Jack był bystry, ale zbyt leniwy, by zasłużyć na oceny wymagane w Cambridge, i nawet gdyby tato opłacił mu przyjęcie na uczelnię, długo by się tam nie utrzymał. Poza tym co jest nie tak z Durham? Przecież to jeden z najlepszych uniwersytetów w kraju.

– Posłuchaj, myślałem, że ucieszysz się razem ze mną. Nie przypuszczałem, że weźmiesz to do siebie. Mój tato powiedział...

– Gównu mnie obchodzi twój tato. Złapie parę kontraktów i co? Myśli, że jest Donaldem Trumpem? Chrzań się, spadaj do Cambridge.

Willy już chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i wyszedł. Niech się, kurwa, buja. Za kogo on się ma?

Jack usłyszał trzask zamykanych drzwi. Wstał i poszedł do gabinetu ojca. Jeśli Willy'emu się wydaje, że zostawi wszystkich, którzy stworzyli go takim, jaki jest, to się, kurwa, myli. Jack nie zamierzał pozwolić, żeby jego najlepszy przyjaciel dostał się do Cambridge.

Zapukał do drzwi gabinetu.

– Tato, chcę porozmawiać.

23

Przez dwie godziny spacerujemy nad rzeką i rozmawiamy. Jest tak, jakbyśmy nigdy się nie rozstali. Można powiedzieć, że moja decyzja, by zabronić mu odwiedzin i praktycznie usunąć go ze swojego życia na cztery lata, nie pozostawiła śladu, niczym banalna sprzeczka o to, kto będzie trzymał w ręce pilota do telewizora.

– Mam rozdartą duszę, tato – przyznaję, gdy swoim najbardziej ojcowskim tonem pyta mnie, jak sobie radzę w tej sytuacji. – Nikomu tego nie mówiłam, sama ledwie dopuszczam do siebie tę myśl, ale jakaś częśćka we mnie bardzo chce wierzyć, że ktoś daje mi znak, iż Dylan żyje i to wszystko jest pomyłką, okrutnym żartem. A potem wracam na ziemię, bo jakiś wstrętny głos mi szepcze, że w prawdziwym życiu tak się nie dzieje. Ludzie są wrogo nastawieni do skazanych zabójców. Człowieka wcale nie obchodzą prawda, sprawiedliwość czy resocjalizacja. Interesują go zemsta, wymierzenie kary i osądzenie.

– Nawet jeśli ten ktoś chce cię ukarać, czy to coś zmieni? – pyta tato. – Czy poczujesz, że byłaś zdolna odebrać życie Dylanowi? Jeżeli chcesz dojść do prawdy, Susan, przestań wątpić w siebie. Zanim trafiłaś do zakładu, wiedziałaś, kim jesteś i do czego jesteś zdolna, a do czego nie. Posłuchaj, co ci teraz powiem: ani przez chwilę nie wierzyłem, że zabiłaś syna. Nie dlatego, że jestem twoim ojcem i że cię wychowałem, ale dlatego, że widziałem cię z Dylanem, dlatego że kochałaś go bez miary. Nie twierdzę, że wiem, czy ten chłopaczek żyje, czy nie. Wiem tylko tyle, że ty nie zrobiłaś mu krzywdy. Chcę wierzyć, że będąc trzydzieści dwa lata twoim ojcem, znam cię lepiej niż jakiś tam lekarz, który rozmawiał z tobą, gdy straciłaś syna. Jesteś równie poczytalna jak ja. Zaświadczyłbym o tym przed każdym sądem, gdyby tylko

chciano mnie wysłuchać, ale nikogo to nie obchodziło. Najwyższy czas, żebyś uwierzyła w siebie choć po części tak, jak ja wierzę w ciebie. Takie jest moje zdanie, jeśli ma ono jakiegokolwiek znaczenie – kończy, zażenowany tym emocjonalnym wybuchem.

– Ma, tato. – W oczach pieką mnie łzy. – Ogromne.

Przy pożegnaniu obiecuję dzwonić codziennie, żeby wiedział, że jestem cała i zdrowa. Mam wrażenie, że oprócz ojca odzyskałam znacznie więcej. Wreszcie zaczęłam sobie przypominać, jak to jest być Susan Webster.

Tato miał rację. Zanim trafiłam do Oakdale, wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że nie zabiłam Dylana – bez względu na to, kto przekonywał mnie, że było inaczej. Mogłam polegać na swoim rozumie, byłam pewna, że jestem przy zdrowych zmysłach, wierzyłam w swoją miłość do syna. Z czasem tak zwani eksperci zaczęli podważać we mnie tę pewność. Uznali, że skoro ława przysięgłych orzekła moją winę, to rzeczywiście byłam winna. W końcu sama zaczęłam w to wierzyć. Dopiero gdy zobaczyłam, jaką wiarę pokłada we mnie ojciec, przypomniało mi się, że kiedyś wierzyłam w swoją niewinność. I znów zaczęłam wierzyć. A skoro jestem niewinna, to mój syn być może żyje.

24

Otwieram drzwi, tak wyczerpana psychicznie, że nadaję się tylko do łóżka. Jest dopiero siódma, ale myślę wyłącznie o tym, żeby wślizgnąć się pod koc i przespać całe życie.

W domu jest zbyt cicho i pusto, gdy nie ma Cassie czy Nicka. Rzucam torebkę na krzesło i szybko wysyłam do nich takiego samego SMS-a: Z tatą poszło dobrze. Nie jestem bliżej prawdy. Zadzwonię jutro. Robię sobie herbatę i biorę jakąś babską książkę, lekturę do łóżka. Kiedy czytam, zapominam o wszystkim; zatopiona w słowach nie pozwalam myślom zajmować się niczym innym.

Pupą popycham drzwi sypialni, starając się nie rozlać herbaty. Najpierw uderza mnie w nos smród, potem mój wzrok pada na łóżko. Kubek wypada mi z ręki, gorąca herbata leje się na spodnie i stopy. Wydaję przeszywający krzyk.

Czuję podmuch zimnego powietrza, ale dopiero gdy mam mokrą ziemię na rękach, uprzytamniam sobie, że klęczę na trawie przed domem. Jak ja się tu znalazłam?

Na łóżku, przypomina mi mój wewnętrzny głos, coś leży na twoim łóżku.

– Emma?

Słyszę kogoś dobrze mi znanego. O Boże. Co robić? Co mam powiedzieć? W jednej chwili jest przy mnie Carole. Nie potrafię wymyślić sensownego powodu, dla którego siedzę skulona na trawniku o siódmej wieczorem. Bez wątplenia nie wygląda to tak, jakbym pracowała w ogrodzie.

– Co się stało? Wezwać lekarza? Jesteś ranna?

Pytania padają jak seria z karabinu. Oszołomiona, próbuję się odsunąć.

– Nic mi nie jest – bełkoczę, co oczywiście nie brzmi przekonująco.

– Chodź, zaprowadzę cię do domu.

– Nie! – krzyczę tak, że obie aż się wzdrygamy. – Przepraszam, Carole. Nie mogę tam wejść.

Na jej twarzy widzę troskę i zakłopotanie.

– Ktoś ci coś zrobił? No to chodźmy do mnie. Nie możesz tu zostać, kochana.

Carole jak najdelikatniej sadza mnie na kanapie.

– Czy to ma związek z... no wiesz, z tym, kim jesteś? Czy wie o tym ktoś jeszcze? Co mogę dla ciebie zrobić? Zadzwoń do przyjaciółki, do kogoś z rodziny?

Natychmiast myślę o Cassie. Nie ma mowy, żebym czekała tu pół godziny na jej przyjazd, i w żadnym wypadku nie będę czekać u siebie w domu.

– Mogłabyś zadzwonić do Travelodge? Zatrzymał się tam pewien mężczyzna, przyjaciel z dawnych lat. Nazywa się Nick Whitely. Przyjedzie po mnie.

Carole kiwa głową.

– Tymczasem napijesz się czegoś?

Wykluczone. Cokolwiek bym teraz przełknęła, od razu zwrócę. Na myśl o tym, co zobaczyłam na swoim łóżku, żółć podchodzi mi znowu do gardła i boję się otworzyć usta, żeby nie wymiotować w salonie tej sympatycznej kobiety.

– Już dzwonię. Powiedzieć mu, że to nagła sprawa?

– Tak, powiedz – mamrocę.

Wiem, że należało ostrzec Nicka, co tam zobaczy, ale gdy się pojawił, zabrakło mi słów. Podziękował Carole, pomógł mi wstać z kanapy i wsiąść do samochodu, który zaparkował przed domem. Siedzę więc teraz w jego samochodzie i czekam, aż Nick wróci i powie, co leży na moim łóżku.

Wychodzi z domu blady jak trup. Wsiada i bierze mnie w ramiona. Pozwalam mu na to, powstrzymując łzy. Po chwili uwalniam się z jego objęć i pytam cicho:

– Co tam jest?

– Kot, a właściwie to, co z niego zostało. – Jemu chyba też zbiera się na mdłości. – Jest... oskórowany.

Mimo woli znów widzę małego zwierzaka na zakrwawionym prześcieradle. Odór wciąż tkwi mi w nosie. Jak to możliwe, że nic nie czułam, idąc po schodach?

– O Boże. – Nagle uderza mnie potworna myśl. – Miał obrózkę?

Nick wygląda tak, jakby wolał spędzić noc na łóżku obok martwego kota, niż odpowiadać na moje pytanie. Kiwa głową.

– W szkocką kratę? – wyduszam z siebie.

Wolałabym, żeby z litości zaprzeczył, ale wiem, że powie prawdę, choćby najgorszą. Ponownie kiwa głową. Nie, błagam, nie. Jeszcze jedna ofiara tego całego szaleństwa, ktoś mi bliski.

– Joss.

Nie pytam, tylko stwierdzam fakt; Nick wie, że nie musi odpowiadać. Wyciekają ze mnie resztki energii i znów wpadam w jego ramiona, zalewając się łzami. Głupi kot, głupie, durne zwierzę. Dlaczego nie trzymał się z daleka? Dlaczego był taki ciekawski i przyjacielski? Dlaczego wybrał akurat mnie? Podobno koty są mądre; powinien wyczuć, że wisi nade mną klątwa, która dotyka ludzi na tyle szalonych, że się o mnie troszczą.

– Idź już – szepczę, odsuwając się od Nicka. – Zajmę się tym. Przenocuję w hotelu.

Patrzy na mnie zdezorientowany.

– Co ty mówisz? – odzywa się ostrym tonem. – Wzywamy policję, a potem jedziesz ze mną.

– Nie, nie rozumiesz.

Chcę go ostrzec, że same złe rzeczy spotykają tych, którzy angażują się w moje życie. Marka, Dylana, tatę, nawet kota. Musi wiedzieć, że źle się to skończy tak dla niego, jak dla tamtych.

– Niby czego nie rozumiem, Susan? Tego, że cztery lata temu zrobiłaś coś, z czym wciąż się nie pogodziłaś? Że ktoś wykorzystuje to przeciwko tobie i chce, byś myślała, że twój syn żyje? A może nie rozumiem, że ten ktoś bacznie cię obserwuje od chwili, gdy wyszłaś z zakładu, i że ledwie się ze mną skontaktowałaś, zdemolowano ci dom, a potem zabito ci kota i położono go na twoim łóżku? Czy coś mi się pomyliło?

– To nie był mój kot. – Nic innego nie przychodzi mi na myśl, a tyrada Nicka gasi we mnie ducha sprzeciwu.

– Susan, spotkała cię potworna rzecz, ale już czas, żebyś przestała rozczulać się nad sobą i pozwoliła sobie pomóc. Jestem dużym chłopcem i sam potrafię stwierdzić, czy jesteś przeklęta, pechowa czy po prostu pomyłona. A teraz, jeśli nie możesz znieść mojej obecności, powiedz to, a ja zawiozę cię do twojego taty i przekażę w jego niewątpliwie dobre ręce. – Patrzy mi w oczy i wnika w moje myśli, jakby przeglądał je wszystkie po kolei. – O to ci chodzi? Chcesz się mnie pozbyć?

Tępo kręcę głową. Wcale nie. Krótko się znamy, ale on i jeszcze tylko dwie osoby wiedzą, kim jestem, i jedynie przy nich mogę być sobą.

– Nie chcę – mówię cicho. – Ja...

– Nie – przerywa mi ostrym tonem. – Nie przepraszaj po raz kolejny. Skończ z tym, Susan. Nie zostawię cię samej. Chcę ci pomóc. Nie zachowuj się tak, jakbym był Markiem.

Jestem zszokowana, jak gdybym dostała w twarz. Nim zdążę odzyskać głos, Nick wysiada z samochodu. Chodząc tam i z powrotem po trawniku, wyjmuje komórkę i dzwoni, prawdopodobnie na policję. Czy ja porównywałam go z Markiem? Czy starałam się odepchnąć go od siebie, ponieważ bałam się, że postąpi dokładnie tak jak mój były mąż – ucieknie, gdy tylko zacznie być ciężko?

Przez szybę dolatuje mnie głos Nicka. Siedzę w środku, rozdygotana. O Boże, biedny Joss.

Po godzinie przyjeżdża policja, a po następnych czterdziestu minutach kończę składać zeznania. Bardzo uprzejmy funkcjonariusz kiwa głową kiedy

trzeba, obiecuje, że Joss zostanie zabrany jako dowód i że policja będzie się ze mną kontaktować w miarę postępów śledztwa, tymczasem bardzo pani dziękujemy.

– Czy mogę zabrać trochę rzeczy tej pani? – pyta Nick.

Funkcjonariusz odmawia: lepiej nie wchodzić do domu, dopóki są tam technicy.

– Wynajmę pokój w Travelodge – oznajmiam i już zamierzam wysiąść z samochodu. – Na teraz mogę sobie coś kupić. Nie chcę mieć rzeczy, których ten człowiek mógł dotknąć...

Nickowi nie podoba się ten pomysł.

– Nie musisz przebywać w tej okolicy. Martwię się o ciebie. Najlepiej jedź do mnie.

– Wykluczone – protestuję natychmiast. – Nie mogę się zgodzić... Przecież właściwie się nie znamy...

– Nie zaczynaj. Ostrzegam cię – przybiera poważny ton. – Policja zamknie dom. Klucze odbierzemy potem z komisariatu. Ruszamy.

25

Kiedy podjeżdżamy pod bliźniak w Doncaster i Nick parkuje na podjeździe, jestem pozytywnie zaskoczona. Spodziewałam się zobaczyć kawalerskie mieszkanie, a widzę dom, jaki mógłby posiadać mężczyzna mający żonę o doskonałym zmysle dekoratorskim. Natychmiast jawi mi się ubrana w garsonkę kobieta, która otwiera drzwi i całuje Nicka na powitanie. Szybko potrząsam głową, żeby pozbyć się tej wizji. Nieważne, czy jest żonaty. Pomaga mi, bo chce prężyć swoje dziennikarskie mięśnie. Przy domu jest niewielki, ale wypielęgnowany ogród; choć gospodarza nie było przez kilka dni, trawa wciąż jest krótka, a ogromne donice są pełne kwiatów. Kto dba o to wszystko?

Nick wysiada z samochodu. Na jego znak też wysiadam i wydaję swój bagaż. Nie popędza mnie, bym szybciej weszła do środka – nie obawia się, że ludzie mnie rozpoznają?

– Sąsiedzi nie będą gadać? – pytam od niechcienia, ciągnąc torbę podróżną pod drzwi wejściowe.

– Mam nadzieję, że będą – odpowiada buńczucznie. – Te wścibskie staruchy już plotkują, że jestem gejem.

– Przestań stroszyć pióra jak kogut na podwórku i wejdźmy wreszcie.

Posłusznie otwiera drzwi i przepuszcza mnie przodem. Rozglądam się ciekawie. Przedpokój jest duży, otwarty na inne pomieszczenia, wyłożony miękkim kremowym dywanem, który ciągnie się daleko w głąb, aż po posadzkę w kuchni. Ściany są w dziewczęcym kolorze magnolii; stare sosnowe meble stoją dokładnie tam, gdzie powinny; przy drzwiach wisi wielkie lustro w złoczonej ramie. To wszystko przypomina mi dom, który niegdyś urządziłam dla swojej rodziny, i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że za ten wystrój

odpowiada jakaś kobieta. Szukam na ścianach śladów po fotografiach, ale ich nie znajduję.

Kuchnia też budzi podziw. Wszędzie gładkie czarne blaty i chromowane wyposażenie, jakby prosto ze sklepu. Zdecydowanie nie widać tu kobiecej ręki – nie ma książki kucharskiej, kalendarza z uroczym kotkiem ani półeczki z przyprawami.

– Na pewno nie jesteś gejem? – pytam żartem.

Nick jest trochę skrępowany, widząc moją zdumioną minę.

– Niestety, to nie moje dzieło – przyznaje niechętnie. – Gdy kupiłem ten dom, wynająłem projektanta wnętrz.

– Nieźle jak na dziennikarza z lokalnego szmatławca – rzucam bez zastanowienia i natychmiast ogarnia mnie wstyd, że ordynarnie główkuję, jak to możliwe, że stać go na takie lokum.

Nick nie przejmuje się moim brakiem ogłady.

– W młodych latach wygrałem trochę pieniędzy i zainwestowałem, gdy ceny domów były niskie. Łut szczęścia, zważywszy na obecną sytuację.

– Przepraszam – zaczynam się kajać. – Nie chciałam sugerować, że nie stać cię na taki dom.

Nick wzrusza ramionami.

– Masz rację. Gdyby nie szczęśliwy traf, nigdy bym nie mógł go kupić. No dobrze, teraz wstawię wodę, a potem zaniemiemy twoje rzeczy na górę.

– Świetnie, dzięki.

Muszę przyznać, że czuję się trochę dziwnie – wprowadzać się do ledwie poznanego faceta? Nie wprowadzasz się, mówię sobie, tylko zatrzymujesz się u niego do czasu, aż uporządkujesz swoje sprawy. Cassie wie, gdzie jesteś.

O cholera! Cassie.

– Nie uprzedziłam Cassie, że tu jadę. – Nagle uprzytamniam sobie, jak bardzo jestem przyzwyczajona do jej obecności, i dlatego zapomniałam jej powiedzieć, że nie ma mnie w domu. – Muszę ją zawiadomić, na wypadek gdyby chciała do mnie przyjechać...

Mam gęsią skórkę, widząc oczami wyobraźni, jak wchodzi do środka i zastaje pozostałości tego, co tam się dzisiaj wydarzyło. W duchu dodaję: „I na wypadek gdybyś to ty był psychopatycznym mordercą”.

Wyjmuję telefon i krzywię się, czytając odpowiedź na mój poprzedni SMS. Nie obchodzi mnie że jesteś zmęczona. Chcę wiedzieć jak poszło z tatą. Masz zadzwonić!!

– Nie ucieszysz się, że tu jesteś – mówi Nick, gdy przechodzę do listy kontaktów.

– Spokojnie. Jest za daleko, by przejść do rękoczynów.

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? – naskakuje na mnie już po pierwszym sygnale. – Dzwonię do domu, wysyłam esemesy, a ty nie odpowiadasz! Martwię się! Na miłość boską, Susan!

Długo mogłaby tak się pieklić, ale wpadam jej w słowo i mówię, co się działo. Już się nie złości, jest zatroskana, dopóki nie informuję jej, gdzie przebywam.

– Dlaczego nie przyjechałaś do mnie? – pyta wyniośle.

– Nick był bliżej, tuż obok w hotelu. Trzęsłam się ze strachu, Cass. Ktoś dostał się do mojego domu i zostawił na łóżku martwego kota! Chciałam jak najszybciej wynieść się stamtąd. Powiedz jej, że nic mi nie jest, Nick.

Włączam głośnik. Nick potwierdza, że jestem cała. W odpowiedzi słyszę pomruk. Opowiadam, jak przebiegło spotkanie z tatą.

– A jutro spotkam się z Markiem – oznajmiam, ku własnemu zdziwieniu.

Nie wiem, kiedy tak postanowiłam, ale gdy słyszę swoje słowa, stwierdzam, że to logiczne posunięcie. Teraz pozostaje mi już tylko udać się do domu.

Cassie i Nick nie podzielają mojego przekonania. Oboje mówią jednocześnie. Głos Cassie przebija się, choć dochodzi z odległości stu sześćdziesięciu kilometrów. Jednak żadne z nich nie odwiedzie mnie od tego zamiaru. Poprawia mi się nastrój na myśl, że podjęłam taką decyzję; uporu dawna Susan zawsze miała w nadmiarze.

– Naprawdę myślisz...

– Suze, skarbie, uważam, że to nie jest najlepszy pomysł. Minęły cztery lata. On nie będzie chciał cię widzieć. A jeśli wezwie policję? Wpadniesz w kłopoty albo przeżyjesz rozczarowanie.

Od kiedy Cassie Reynolds przejmuje się policją? Przez trzy lata naszej znajomości ani razu nie porzuciła powziętego planu, nawet kompletnie bezsensownego.

– Cassie ma rację – oświadcza Nick. Już widzę chmurną minę Cassie, choć ma wsparcie Nicka, i uśmiecham się pod nosem. – Tylko pogorszysz sprawę. A jeśli on nic o tym nie wie?

– Jadę. – Odzywa się we mnie uparciuch, bo mam wrażenie, że oni zmawiają się przeciwko mnie. Nie zamierzam się wycofać. – To moje zmartwienie. Jadę.

– Dobrze – ustępuje Cassie. – Jadę z tobą.

– Nie tym razem, Cass. Muszę to zrobić sama. Ty przyjedź tutaj i pomóż Nickowi.

– Jaja sobie robisz? Nie ufam mu tak bezgranicznie.

– Ho, ho, jak na morder...

– Nie każ mi udowadniać, gdzie są moje granice.

– Nie jestem taki głupi. – Nick zwraca się do mnie: – Ma prawo odmówić współpracy. Sam wygrzebię, co się da, o twoim procesie i o doktorze Rileyu, a potem spotkamy się tutaj.

Cassie uświadamia sobie, że wobec tego będzie siedziała w domu i czekała. Sama.

– Dobra, pomogę. Będę miała tego reportera na oku. Przyjadę jutro rano.

Całe szczęście, że ustąpili tak szybko; teraz nie muszę ich okłamywać. Jestem zdenerwowana i więcej niż trochę wystraszona na myśl, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny spotkam się z mężczyzną, z którym dzieliłam życie. I któremu zniszczyłam życie.

Jack: 13 stycznia 1991

Jak było do przewidzenia, kiedy Willy'ego nie przyjęto do Cambridge, poczuł się zdruzgotany, a Jack już czekał, żeby podnieść go na duchu. Na szczęście dostał się na uczelnię drugiego wyboru, co oznaczało, że cała paczka pojedzie na studia do Durham. Willy na okrągło przeproszał, że chciał ich zostawić, ale Jack powiedział, że nic się nie stało – w końcu są kumplami, a kumple sobie wybaczą, no nie?

Minęły cztery miesiące od przyjazdu do Durham i Willy zdążył już zapomnieć, że chciał studiować w Cambridge. Teraz to dopiero było życie. Każdy wieczór zapisywał się w zamroczonej narkotykami pamięci imprezowaniem i bzykaniem. Dziewczyny wprost rzucały się na nich. Niesamowite, kurwa. Nawet Szekspir pieprzył się na lewo i prawo; w istocie bił na głowę Mike'a, Adama i Matty'ego. Przez ostatni rok Willy zmienił się nie do poznania. Firma jego taty przynosiła takie zyski, że mógł żyć na poziomie, jakiego zawsze pragnął: nosił modne markowe ciuchy i dostawał miesięczne kieszonkowe, które dorównywało zapisanym w budżecie kraju środkom pomocowym. Ostatnio to jego nazwisko było dla nich przepustką do stref dla VIP-ów. I wszystko grało – Jack chętnie pozwalał swojemu przyjacielowi błyszczeć, byle ten pamiętał, kto jest przywódcą paczki. Kto podejmuje decyzje i dzięki komu to się dzieje. Niepokoiło go jedynie, że Willy i Matt tak się do siebie zbliżyli. Nie po to tyle czasu pracował nad przemianą Szekspira, by teraz oddać go Rileyowi, który to zepsuje.

Trzeciego miesiąca w Durham Willy przyprowadził do ich mieszkania Tanyę. Cycki na dwóch nogach. Była ciasna w odpowiednich miejscach, ale o dziwo,

umiała czytać i pisać bez błędów. Szekspir oczywiście wpadł. Przez następne trzy tygodnie Tanya go nie odstępowała. Gdzie on, tam i ona. Jakby tego było mało, chodziła w szortach wielkości chusteczki do nosa i w podkoszulkach tak obcisłych, że wyglądały jak nadmuchane, a jej długie ciemne loki muskały spód potężnych piersi. Jack ciągle widział ją w ich mieszkaniu; gdy się pochylała, biorąc do ręki pilota, jej sutki mogłyby ciąć szklany blat stolika. Parę razy mignęła mu nieopodal St Chad's College, ale nie zwrócił na nią uwagi, dopóki za sprawą Willy'ego nie pojawiła się w ich życiu. Teraz myślał tylko o tym, żeby jej dotknąć. Chyba zauważyła, jak na niego działa? Na pewno, i co więcej, sprawiało jej to przyjemność. Wyświadczy Willy'emu przysługę, pokazując mu, jaka naprawdę jest ta mała podpuszczalska.

Jak na ironię, był akurat piątek trzynastego, gdy wszystko poszło nie tak.

– O, to ty – powiedział z niezadowoleniem Jack, otwierając drzwi. – Czego chcesz?

Z uśmiechem podniosła firmową torbę z Waitrose, w której zadzwoniły butelki, i zerknęła mu przez ramię.

– Niespodzianka. On jest w domu?

Zwracając się do Willy'ego, Tanya zwykle używała jego prawdziwego imienia i dlatego jej wizyty jeszcze bardziej nie podobały się Jackowi. Swoją obecnością stwarzała taką atmosferę, jakby ostatnie cztery lata w ogóle zniknęły, jakby wszystko działało się w roku zero, a ona była jedyną ważną osobą na tym świecie.

– Nie ma go – odparł Jack, stojąc twardo w progu. – Siedzi w bibliotece Billa Brysona i uczy się.

– W piątek? W bibliotece? Dziwne. Pójdę tam i...

– Lepiej nie – wtrącił szybko. – Wejź i zaczekaj.

Wpuścił Tanyę do przestronnego mieszkania, po czym wziął od niej torbę z alkoholem i zaniósł do kuchni.

– Napijesz się, zanim on przyjdzie?

Otworzył wino, które przyniosła, nalał do kieliszka i wciąż stojąc do niej tyłem, na wszelki wypadek dodał kieliszek wódki. Nie zaszkodzi. Sobie nalał pół kieliszka wina.

– Proszę. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że się poczęstowałem.

Uśmiechnęła się, biorąc kieliszek.

– Dzięki. Wypiję ten jeden i pójdę do biblioteki. Może spodoba mu się wspólna nauka.

– Posłuchaj... – Usiadł obok niej i postawił butelkę na stoliku. Przeczesał palcami swoje krótkie ciemne włosy i posłał jej przepraszające spojrzenie. – Nie robiłbym tego. Lepiej zaczekaj tutaj.

– Dlaczego nie... Aha, rozumiem. – Tanya upiła duży łyk i skrzywiła się. – Boże, ale świństwo. – W dwóch haustach opróżniła kieliszek. – Skoro nie ma go w bibliotece, to gdzie jest?

Jack odchylił się do tyłu i potarł twarz.

– Niestety, nie wiem. Gdybym wiedział, powiedziałbym ci, ale...

– Do jasnej cholery – sięgnęła po butelkę – jeśli chciał się z kimś spotkać, mógł mi po prostu powiedzieć.

– Zaraz, zaraz – Jack uniósł ręce – wcale nie twierdzę, że się z kimś spotyka. Może naprawdę jest w bibliotece...

Tanya uśmiechnęła się i znów wypiła łyk wina.

– Wielkie dzięki, ale nie jestem głupia. Masz to wypisane na twarzy. Nikt ci nie mówił, że nie umiesz kłamać?

Jack zrobił zawstydzoną minę.

– Nigdy mi to nie wychodziło, w przeciwieństwie do Willy'ego. On jest mózgiem naszej paczki, ja jestem tylko gościem od dobrej zabawy. Nie widzę powodu, żeby okłamywać kobiety; niczego nie ukrywam. Taka drobna wada charakteru, Niestety. Proszę. – Sięgnął po jej kieliszek, wyciągając rękę i przez ułamek sekundy opierając się piersi o jej pierś.

– Nie uważam, że to wada. Pochwalam twoją szczerość. – Wzięła od niego napełniony kieliszek. Czy tylko mu się zdawało, czy jakby dłużej dotykała palcami jego palców? Uniosła kieliszek jak do toastu i wtedy dostrzegł łzy w jej oczach. – Nie myślałam, że już po paru miesiącach na pierwszym roku studiów chłopak będzie chciał mieć stałą dziewczynę, ale jemu tak zależało. Powinnaś wiedzieć, że będą inne. Tylko dlaczego mi nie powiedział? No wiesz, mnie też kiedyś zdarzyła się przelotna przygoda, dałabym sobie z tym radę. – Pociągnęła nosem. – Naprawdę go polubiłam.

Jack położył rękę na jej kolanie.

– Myślę, że nie porzuciłby takiej pięknej dziewczyny. Nie oceniaj go zbyt surowo: nic dziwnego, że chciał cię tu mieć. To znaczy, żebyś tu przychodziła... Przepraszam, nie powinienem tak mówić. To pewnie wino.

– Nie przepraszaj. – Przysunęła się tak blisko, że niemal ocierała się piersiami o jego ramię. Był ciekaw, czy ona zdaje sobie z tego sprawę. Może robiła to celowo, a może nie, w każdym razie miał wzwód i wiedział, że musi wykonać następny ruch. Nawet Willy nie siedział nad książkami aż tak długo w piątek wieczorem. – Mów dalej.

– Po prostu rozumiem, dlaczego Willy chciał cię tu mieć. Jesteś wspaniała, mądra i zabawna. Ma chłopak szczęście.

Tanya zmarszczyła swój perkaty nosek.

– Miał – uściśliła. – Nie lubię, gdy ktoś mnie okłamuje. I on nie powinien stawiać cię w tej sytuacji. Byłeś kochany, Jack, ale muszę już iść. – Odstawiła kieliszek i na widok pustej butelki zrobiła wielkie oczy. – Czyżbym... ho, ho. –

Wstając, zatoczyła się i opadła z powrotem na kanapę. – Zakręciło mi się w głowie. Za szybko wstałam. Nic mi nie jest.

– Pozwól. – Podał jej rękę i pomógł wstać. – Nie musisz się spieszyć. Willy pewnie jeszcze długo nie wróci. – Skulił się. – O cholera, przepraszam.

Niepewnie zrobiła krok do przodu i przyłożyła obie dłonie do piersi Jacka, żeby utrzymać równowagę.

– Wszystko w porządku. Po prostu za szybko piłam. Miało starczyć tego wina na cały wieczór! Muszę skorzystać z łazienki.

– Jasne.

Patrzył, jak idzie w stronę łazienki, z rozmysłem, niczym człowiek, który stara się wmówić sobie, że nie jest pijany. Gdy zamknęła drzwi, przelał swoje wino do jej kieliszka i dopełnił wódką. Nie za dużo, Jack, będziesz musiał ją stąd wyprowadzić. Kiedy skończy się zabawa.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy wyszła z łazienki.

Kwiecista szyfonowa bluzka, wyciągnięta ze spodni i rozpięta u góry na dwa guziki, odślaniała łuk opalonej piersi. Rozpuszczone loki były w nieładzie, tak jakby z braku szczotki zostały w pośpiechu przeczesane palcami. Zapowiadało się obiecująco.

– Tak, dzięki. Jesteś taki miły. Przykro mi, że zostałeś w to wplątany.

Zdusiła łkanie. Jack skorzystał z okazji i podał jej kieliszek.

– Masz, dopij, a potem odprowadzę cię do drzwi.

Tanyi zrzęda mina.

– Chcesz się mnie pozbyć?

Pokręcił głową i podszedł do niej jeszcze bliżej.

– Skądże. – Ujął ją za rękę. – Tylko obawiam się tego, co może się stać, jeżeli zostaniesz. Willy jest moim przyjacielem i...

Upiła łyk wina i odstawiła kieliszek.

– Willy zabawia się teraz z jakąś panienką, a tobie przyszło zaopiekować się jego dziewczyną. To chyba nie w porządku, co?

Pogłaskała Jacka po twarzy, przesunęła dłoń na jego szyję i lekko go przyciągnęła. Pochylił się, a ona dotknęła ustami jego ust, najpierw delikatnie, a potem mocniej, gdy nabrała pewności, że on nie zamierza się wycofać. Nie przestając się całować, zmierzali do sypialni. Tanya doskonale wyczuwała kierunek, jaki nadawał Jack. Gdy wymacał klamkę i pchnął drzwi, opadła na łóżko, cały czas wyciągając mu T-shirt ze spodni.

– Nie robię tego, żeby się na nim odegrać – wydyszała.

Jej dłonie wędrowały po jego ciele. Palce przez chwilę mocowały się z twardą skórą paska, aż pokonały sprzączkę, odpięły guzik, potem suwak dżinsów i zsunęły je z bioder.

– Nie powinniśmy tego robić – szepnął Jack.

Zręcznie rozpiął jej bluzkę, odsłaniając te rewelacyjne piersi. Nie potrafił pojąć, że tak długo wytrzymał, gdy ona paradowała po mieszkaniu, wystawiając na pokaz swój tyłek. Willy sam jest sobie winny – nie stawia się skrzynki piwa przed alkoholem. Wsunął kciuk pod cieniutki stanik i wodził palcem wokół sutka, rozkoszując się jękami Tanyi. Gdy sutek nabrzmiął, Jack zaczął go ssać, z początku delikatnie, a potem mocniej, aż zaczęła wzdychać.

– Ten drań zasłużył sobie. Nie myśl o nim, Jack. – Tanya rozpięła swoje dżinsy i zrzuciła je na podłogę. – Wyobraź sobie, że on mnie przestrzegał przed tobą. Mówił, że będziesz zazdrosny o to, co nas łączy, i będziesz chciał to zniszczyć. A tak naprawdę zależało mu tylko na tym, żebyś trzymał się z dala ode mnie i nie wygadał się, że ma inne panienki.

– Wredny kutas – burknął Jack. – Dostanie za swoje.

Tanya uniosła się na łokciach.

– Ale czy my nie postępujemy źle, tak jak on? Może nie powinniśmy...

Do jasnej cholery!

– Ciii.

Zsunął jej koronkowe majtki i rzucił je w kąt pokoju. Zdjął swoje bokserki i przyciągnął ją do siebie, zakrywając jej dłonią usta, po czym wszedł w nią, patrząc z uśmiechem, jak rozszerzają się jej oczy.

– Słonko, już jestem.

Jack usłyszał stuk zamykanych drzwi i z przedpokoju doleciał go głos Willy'ego.

– Wreszcie, kochany. Jak było w bibliotece?

Willy pchnął drzwi plecami, bo w rękach miał stos książek.

– Piekielnie nudno. Nie pozwól mi nigdy więcej odkładać zadanej pracy na ostatnią chwilę. A ty co robisz w domu w piątek wieczorem?

Jack wzruszył ramionami; siedział na kanapie, trzymając nogi na podłokietniku.

– Zapraǳnęłam spokoju. Przynieś nam piwo, dobrze?

Willy położył książki na swoim łóżku i wyjął dwie butelki z nieskończonych zapasów, jakie mieli w lodówce. Podał jedną Jackowi i usadowił się w swoim fotelu.

– Mam rozumieć, że nic nie robiłeś dziś wieczorem?

No, nie całkiem. Jack przybrał zatroskaną minę.

– Posłuchaj, stary, muszę z tobą pogadać. Chodzi o Tanyę.

Willy westchnął i pokiwał głową.

– Wiedziałem, że tak będzie. Jesteś wkurzony, że ona spędza tu tyle czasu, zgadza się? Przykro mi, stary, ale naprawdę ją lubię. Będziemy częściej chodzić do niej, znikniemy ci z oczu...

– Nie w tym rzecz – przerwał mu Jack. – Miałem na myśli... hm, to krępujące, ale... no wiesz, ona mnie zarywa.

Willy jakby dostał w twarz.

– Że co? Tanya? Kiedy?

Jack spuścił oczy.

– Od pierwszego dnia, gdy ją przyprowadziłeś. Czuję się fatalnie, ukrywając to przed tobą, szczerze, stary, ale myślałem, że jej przejdzie. Zostawiła to. – Wyjął koronkowe majtki, które Tanya miała dziś na sobie. Gdy skończyli, zgodziła się, bez większych protestów, żeby ją ubrał i wezwał taksówkę. Była jakby trochę otumaniona. Okazało się, że nie gustuje w ostrym seksie aż tak, jak sądził. – Pod moją poduszką, któregoś wieczoru. Uznałem, że po prostu to zignoruję, ale przyszła tu dzisiaj...

– Co? Ona tu była?

– No, stary, kompletnie zalana, z daleka jechało od niej wódka. Powiedziałem jej, że cię nie ma w domu, a ona na to, że wie, że widziała cię w bibliotece. Praktycznie rzuciła się na mnie, zaczęła się rozbierać, gędziała, że spotykasz się z innymi dziewczynami. Musiałem ją wypchnąć za drzwi, w niedopiętej bluzce. Nie martw się, wezwałem taksówkę. Było mi przykro, że jestem taki szorstki i każę jej się wynosić, ale nie chciałem, żebyś odniósł mylne wrażenie. Wiem, że twoim zdaniem nie jestem człowiekiem szczególnie godnym zaufania...

Willy'emu opadły ramiona; był zdruzgotany.

– Wcale nie. Dzięki, stary, bardzo mi przykro. Jasna cholera! A to suka! Naprawdę ją lubiłem, wiesz? Nawet powiedziałem jej... hm, myślałem, że może ty... A tymczasem to na nią powinienem uważać.

Jack wstał i klepnął Willy'ego po ramieniu.

– Nie przejmuj się, chłopie. Wyszło kijowo, ale przecież nie zamierzałeś brać z nią ślubu. Zapomnij o tym. Mamy całe trzy lata, żeby przelecieć wszystkie Tanye w Durham. Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu? Nawet bym do niej nie zadzwonił. Zerznij tę blondyneczkę z St John's, która tak na ciebie leciała w zeszły weekend.

– Masz rację. Chrzanić Tanyę.

Jack uśmiechnął się. Sytuacja wróciła do normy.

Stoję przed dużym lustrem w przebieralni i włączam reflektorek, żeby obejrzeć się z przodu i z boków. Jestem całkiem zadowolona. Czarne dzinsy przylegają do szczupłych bioder, na których od dawna nie widać śladu ciąży, a guziki nie rozchodzą się na obwisłym pociążowym brzuchu. Niegdyś długie blond włosy są teraz ciemniejsze i krótsze, spływają gładko do ramion, okalając znacznie smuklejszą twarz. Jedyne w oczach, zwanych oknami duszy, widać – ale tylko gdy uważnie spojrzeć – że moje życie zmieniło się na gorsze. Gdy spojrzeć bardzo uważnie, można dopatrzeć się, że nie są już tak świetliste jak dawniej. Można dostrzec, że nos nie marszczy się po obu stronach, gdy się śmieję – jeśli w ogóle się śmieję – że czasem moje oczy są szkliste, jakbym przeniosła się w inne miejsce i w inny czas, co często się zdarza. Zwykle jestem z Dylanem, śpiewam piosenki z *Księgi dżungli*, gdy zmieniam mu pieluszkę albo pluskam się z nim w łazience, ale niekiedy, od czasu do czasu, jestem z Markiem. Znów spędzamy miesiąc miodowy w Sorrento, ja wyleguję się nad basenem, a on gra w piłkę wodną albo siedzi przy barze, sącząc mrożone margarity. Bywa, że wędrujemy wokół starego zamku, ja biegnę podekscytowana do przodu, wspinam się po ukrytych schodach i wyskakuję na Marka z mrocznych wnęk. Najczęściej jednak, kiedy tak się rozmarzę, po prostu siedzimy na kanapie w niedzielne popołudnie; ja jestem w ósmym miesiącu ciąży, usiłuję wytrwać przy nim, gdy oglądamy jakiś okropny program w telewizji. Potem wyobrażam sobie tę samą kanapę i obok niej kosz dla niemowlęcia; budzę się na szpitalnym łóżku, wystraszona i zdezorientowana, widzę dwóch policjantów, którzy stoją nade mną i tylko czekają, żeby zanotować każde moje słowo.

Tak, Mark zna mnie – znał – na wylot. Natychmiast zauważy każdą zmianę, co do jednej. A jego oczy, jak przypuszczam, będą wyglądały tak samo.

Wybrałam biały top bez rękawów i do tego szary sweter, luźny i odsłaniający ramię – mam nadzieję, że nie wygląda, jakbym się wystroiła. Nie chcę sprawiać wrażenia, że próbuję odzyskać Marka ani że, co gorsza, jestem obłąkana. Nadal.

– Mogę w tym zostać? – pytam pracownicę sklepu.

Kobieta ma taką minę, jakby chciała odmówić po to tylko, by utrudnić człowiekowi życie, ale na myśl, że nie sprzeda towaru, szybko się zgadza.

– Oczywiście, trzeba tylko zanieść metki do kasy. I proszę powiedzieć, żeby zdjęli zabezpieczenie przed kradzieżą. Na pewno nie chciałyby pani wylądować w areszcie.

Śmieje się z własnego żartu, nie mając pojęcia, gdzie jej klientka spędziła ostatnie kilka lat. Jasna sprawa, że nie chcę tam wracać.

Dwadzieścia minut później wrzucam torebkę do samochodu i siadam za kierownicą, układając sobie w głowie, co powiem Markowi, gdy otworzy drzwi i ujrzy swoją przeszłość.

Nick był wściekły, kiedy zobaczyliśmy się z samego rana.

– Naprawdę chcesz pojechać? – spytał z niezadowoleniem. – I w ogóle nie boisz się, co on zrobi?

– Nie robi nic głupiego – odparłam. – Znam swojego eksmeża.

Wtedy byłam o tym prawie przekonana. Teraz, gdy jestem osiemdziesiąt kilometrów od jego domu, nie czuję się tak pewnie.

Nie wiem, kiedy robi mi się sucho w ustach i język mam szorstki jak papier ścierny. Nie pomaga przełykanie, jakbym w ogóle przestała produkować ślinę. Czuję ucisk w klatce piersiowej i nagle uprzytamniam sobie, że bije mi serce i krew uderza do głowy, a to dzieje się tylko w takich sytuacjach jak ta.

Rzut oka w lusterko – choć płonie mi twarz, jestem biała jak ściana. No pięknie, wyglądam, jakby dotknęła mnie zaraza. Mark pewnie zatrzaśnie mi drzwi przed nosem i wezwie policję.

Kilka kroków do wejścia pokonuję na miękkich nogach, dzwonek rozbrzmiewa mi w uszach niczym dzwon kościelny, wzywający na niedzielne nabożeństwo. Albo na pogrzeb. Trzy minuty czekania, aż Mark otworzy drzwi,

trwają godzinę. I oto jest. Mężczyzna, którego kochałam bardziej, niż mogłam to sobie kiedykolwiek wyobrazić, stoi w progu. Przez te parę sekund, zanim mnie rozpozna, uświadamiam sobie z bolesną jasnością, że tak naprawdę nie przestałam go kochać. Jak można przestać kochać kogoś, kto był dla nas wszystkim? Choć opuścił mnie, kiedy potrzebowałam go najbardziej, wciąż widzę te ramiona, teraz założone na piersi, które mocno obejmowały mnie, gdy opłakiwałam utratę mamy, i których tak dotkliwie mi zabrakło, gdy straciliśmy syna. Te oczy, teraz gniewnie przymrużone, uśmiechały się do mnie z rozbawieniem, gdy „wygadywałam głupoty jak blondynka” – jego słowa. Odzywa się takim samym głosem, jakim codziennie mówi: „Kocham cię”. Tyle że teraz mówi co innego, innym tonem, i przemyka mi przez głowę myśl, czy nie popełniłam błędu, przychodząc tutaj. Podsycalam w sobie nienawiść do tego człowieka, żeby nie poddać się w pełni rozpacz po jego utracie.

– Co ty tu robisz, Susan?

Nie wiem, czego właściwie oczekiwałam. Od chwili, gdy postanowiłam spotkać się z Markiem, wyobrażałam sobie tę scenę: jak mnie przeprosza, mówi, że wszystko będzie dobrze, że razem ustalimy, co się stało z naszym synkiem. Najwidoczniej nie przebiegnie to tak lekko, jak mi się wydawało.

– No więc... hm, musiałam cię zobaczyć... porozmawiać. – Słowa, które sobie ułożyłam, ulatują mi z głowy na sam jego widok.

Podczas naszego pierwszego spotkania było tak samo. Jacyś życzliwi i gorliwi ludzie zaciągnęli mnie na proszoną kolację. Czułam się jak Bridget Jones i już miałam powiedzieć, że dostałam pilny telefon, gdy wszedł Mark. Pięć godzin później, przyklejona do swojego krzesła i oczarowana, słuchałam tego pięknego, zabawnego, ciepłego człowieka, z którym, byłam pewna, pójdę do ołtarza albo przynajmniej do łóżka. Tamtego wieczoru, trochę wstawieni i zakochani po uszy – ja bez wątplenia – wylądowaliśmy razem w łóżku i nie wychodziliśmy z niego przez cały weekend. Z perspektywy czasu wciąż czuję, że to wspomnienie jest od początku do końca oszustwem, historyjką, którą powtarzałam tyle razy, że czasem zastanawiam się, czy rzeczywiście miałam tak wiele szczęścia, czy też wyidealizowałam cały nasz związek, zapamiętując te fragmenty, gdy stanowiąłam centrum świata Marka.

– To nie jest dobry pomysł.

Już chce zamknąć drzwi. Ucieka moja jedyna szansa.

– Poczekaj... chodzi o... Dylana. – Słyszając imię naszego syna, kuli się, ale nie domyka drzwi. – Dostałam to.

Niezdarnie wciskam mu do ręki zdjęcie i kiedy je ogląda, obserwuję jego minę. W jego pięknych brązowych oczach widzę zamęt, gdy patrzy na chłopca, a potem szok, gdy patrzy na odwrotną stronę.

– Skąd to masz? – Wyraźnie pobladł. – Nieważne, wejdz. Nie chcę, żeby ktoś cię tu widział.

Otwiera drzwi na tyle, żebym mogła przejść. Czuję się tak, jakbym uczestniczyła w jakiejś brudnej sprawie, jakbym była jego kochanką, o której nie mogą się dowiedzieć sąsiedzi. Wchodzę do holu, całą siłą woli opanowując emocje. Korytarz, wciąż nieskazitelnie kremowy, z ekskluzywną dębową podłogą i krętymi dębowymi schodami, wygląda pusto i zimno bez wielkich fotografii oprawionych w czarne ramy, przedstawiających historię naszego związku. Przez dwa dni wymierzałam odległości między fotografiami, żeby jak najlepiej pokazać światu nasze wspaniałe chwile: ślub, miesiąc miodowy w Sorrento, pierwsze zdjęcie Dylana, jeszcze w szpitalu. Wszystko zniknęło, jakby nigdy się nie wydarzyło.

– Zachowałeś lustro – mówię drętwo, matowym głosem.

To był mój pierwszy samodzielny zakup do nowego domu. Mark przypominał mi przy każdej sposobności, że jego zdaniem jest za duże i za drogie.

– Kosztowało niemal tyle co ten cholerny dom – mówi znowu. – Dlaczego miałbym się go pozbywać?

Tak jak ty pozbyłaś się nas, dodaję w myślach.

Przechodzi do salonu, zanim otworzę usta, żeby palnąć coś głupiego o usuniętych fotografiach. Zdecydowanie czuję się niezręcznie, ale trudno, idę za nim. Jeszcze nie zdążę rozejrzeć się wokoło, gdy on nagle odwraca się i podtyka mi zdjęcie.

– Co to ma być? Jakiś żart? – naskakuje na mnie.

Cofam się za próg, zaskoczona jego gniewem.

– Oczywiście, że nie, do kurwy nędzy – odpowiadam ostro, czując, że we mnie też wzbiera złość. Mark wzdryga się, słysząc przekleństwo. – Myślisz, że tak bardzo mi odbiło?

Natychmiast żałuję tych słów. Ale jest za późno. Dostrzegłam ten wyraz jego twarzy i on to wie. Jest przekonany – jak cały świat – że zabiłam jego syna. Fakt, że stanęłam w drzwiach jego domu, przynosząc zdjęcie chłopca, którego zamordowałam, świadczy dobitnie, „jak bardzo mi odbiło”.

– Siadaj – wydaje polecenie.

Przemierza pokój i znika za drzwiami kuchni. Nie mam siły się spierać. Wchodzę i bezmyślnie spełniam jego polecenie. Ledwie opadam na kremowy fotel, coś ściska mnie w gardle. Kiedy tu mieszkałam, ten komplet wypoczynkowy też stał w salonie. Przede mną jest trzyosobowa kanapa, na której leżałam, gdy ostatni raz widziałam swojego syna żywego. Mój były mąż trzyma w domu tę samą poduszkę, którą, według sądu, zamordowałam naszego syna, przelatuje mi przez myśl.

W popłochu zrywam się na równe nogi. Huragan myśli wiruje mi w głowie, ciemnych i zgubnych. Dlaczego on to zrobił? Jak mógł? W tym momencie Mark wchodzi do pokoju i widzi, że stoję pod ścianą, wbijając wzrok w kanapę. Rozumie, co się dzieje.

– Boże, Susan, przepraszam. Co za koszmarny brak wyczucia z mojej strony.

Stawia dwa kubki na stoliku obok tego odpychającego mebla, idzie przez pokój, bierze mnie za ramiona i przyciąga do piersi. Padam w jego objęcia i uginają się pode mną nogi. Mark sadza mnie na podłodze i sam siada naprzeciwko, patrząc mi w oczy i każąc powoli oddychać.

– To nie jest ta sama kanapa, Susie – mówi. – Tylko wygląda tak samo. Wymieniłem ją po twoim odejściu. Nie wiedziałem, co kupić. Ty zawsze zajmowałaś się wystrojem wnętrza. Cztery godziny łąziłem po sklepie DFS i w końcu wziąłem niemal identyczną kopię tamtego cholerstwa.

Słowa docierają do mnie powoli. To nie jest nasza kanapa. Oczywiście, że nie. Nasza była bardziej owalna, trochę dłuższa, lepiej się komponowała. Jak wszystko, co kupowałam do domu.

Widząc, że nie zemdleję ani nie dostanę ataku nerwowego, Mark wstaje. Sięga po swój kubek z herbatą i podaje mi drugi. Wciąż nie mam odwagi usiąść na kanapie, nawet kopii tamtej, więc zostaję na podłodze.

– No to o co tu chodzi? – pyta trochę cieplejszym głosem.

Bierze ze stolika zdjęcie. Uprzytamniam sobie, że nie chcę dać mu tego zdjęcia, nie chcę, żeby nawet go dotknął. Szybko po nie sięgam, a Mark bez słowa je oddaje.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Kilka dni temu ktoś wrzucił mi je przez szparę w drzwiach, bez żadnego listu, bez słowa wyjaśnienia. Zastanawiałam się, czy to nie ty. – Nie mogę spojrzeć mu w oczy, gdy wypowiadam to ostatnie zdanie, zwłaszcza że nie wspomniałam o tamtych innych zdjęciach w moim albumie.

– Ja? – Jest zdziwiony. Patrzą na niego prowokacyjnie. Zostawił kanapę, podszeptuje diabelski głos w mojej głowie. Nie, nie „tamtą kanapę”, tylko w ogóle kanapę, która przypadkiem wygląda podobnie jak tamta. I kropka. –

To szaleństwo. – Znowu ten podtekst. Mark też to zauważa i dodaje pospiesznie: – Susie, wiem, jak wielką karę wymierzyłaś sobie za to, co się stało. Nigdy bym... – Urywa.

Czyżby... mi wybaczył?

– Więc kto? – pytam cicho. – Kto zrobiłby mi coś takiego?

Raptem na jego twarzy widać zmęczenie. Po raz pierwszy od przyścia tu zauważam, że się zmienił, że te lata odbiły się na moim silnym, silnym mężu. Zmarszczki wokół oczu, nie te od śmiechu, które uwielbiałam, lecz oznaki stresu, przedwczesnej starości. Jest bledszy, niż pamiętam; niezmiennie ogorzałą skórę, której zazdrościli mu wszyscy nasi znajomi, przykrywa szarość – z początku myślałam, że tak zareagował na mój widok, ale wciąż nie wygląda zdrowo. Zniknęło pyszałkowane spojrzenie, które urzekło mnie, gdy pierwszy raz zerknął w moją stronę. Widzę, co uczyniłam człowiekowi, który niegdyś czuł, że ma świat u swoich stóp: wspaniałą pracę, piękny dom, promienną ciężarną żonę, a później rozkosznego synka.

– Nie wiem. Ale na świecie są wredni ludzie. Jeśli ktoś chce cię zranić, nie wiem, kto ani dlaczego, jednak zaręczam ci, że to nie ja.

Wierzę mu. I dlatego mówię mu wszystko. O doktorze Rileyu, spotkaniu z Nickiem, kocyku Dylana, choć pomijam to, że mieszkam z niemal obcym mężczyzną. Z każdym moim słowem twarz Marka chmurzy się coraz bardziej. Kiedy opowiadam o włamaniu do domu, wygląda, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– W co ty się, do diabła, bawisz?! – wykrzykuje, chodząc tam i z powrotem po salonie, czego dawniej nie robił, gdy był wzburzony. – Nie zdajesz sobie sprawy, na co się narażasz?

Tym mnie zaskoczył. Liczyłam na współczucie, zrozumienie, może odrobinę tęsknoty. Spodziewałam się nawet gniewu, ale nie obawy o moje bezpieczeństwo. Nie wiem, jak zareagować. To znaczy on ma słuszość, ale jego troska jest spóźniona o cztery lata.

– Nie przyszedłam tu wysłuchiwać kazania – pryham.

– W takim razie po co?! – Mark niemal wrzeszczy. – Co ty sobie wyobrażasz, do jasnej cholery, ot tak zjawiając się pod moimi drzwiami po czterech latach? Czy pomyślałaś, jak się będę czuł, kiedy otworzę drzwi i znowu cię zobaczę? Przez cztery lata robiłem wszystko, żeby o tobie zapomnieć, a ty przychodzisz tu sobie i rozgrzebujesz sprawy, które starałem się wyrzucić z pamięci.

– No cóż, przykro mi. – Wstaję i podchodzę do niego, by oddać mu kubek. – Wracaj do swojego spokojnego, ciepłutkiego życia, z którego nas oboje usunąłeś! Gdy znajdę naszego syna, mam cię zawiadomić?

Mark jest rozgoryczony. Niewątpliwie posunęłam się za daleko.

– Gdy znajdziesz naszego syna? – cedzi przez zęby. – Ja już go znalazłem, Susan. Miał poduszkę na twarzy, był zimny jak lód, ostatnie tchnienie odebrała mu kobieta, która, jak sądziłem, była miłością mojego życia. Nie mogę sobie pozwolić na złudne nadzieje, że on żyje. Pamiętam, jak na parkingu przed szpitalem trzymałem go na rękach, błagając, by zaczął oddychać, wołając o pomoc, o ratunek dla mojego pięknego synka, którego imię ledwie przechodzi mi przez gardło. Dylan. Nazywał się Dylan Lucas Webster. I już nie żyje. Nie żyje, bo go zabiłaś, i żadne fotografie uśmiechniętych chłopaczków tego nie zmienią. Idź stąd, Susan.

28

Jestem cała roztrzęsiona, ale odjeżdżam stamtąd jak najszybciej, by przy pierwszej okazji zatrzymać się na poboczu. Opieram głowę na kierownicy i wybucham płaczem, który dusiłam w sobie od chwili, gdy ujrzałam Marka. On wie więcej, niż mi powiedział. O tym, jak znalazł Dylana, mówił z przejęciem, które z pewnością nie było udawane, ale na bank jest jeszcze coś, czego za nic nie mogę rozgryźć.

Wreszcie biorę się w garść i dzwonię do Nicka.

– Susan? – odpowiada po pierwszym sygnale. – Wszystko w porządku? Rozmawiałaś z nim?

– Tak, rozmawiałam. – Powstrzymuję się od płaczu i opowiadam, jak było. Po wysłuchaniu mojej relacji Nick milczy. – Jesteś tam?

– Jestem. Po prostu nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

– On coś wie – mówię z przekonaniem. – I zamierzam dowiedzieć się, co ukrywa. Wracam tam.

– Czy to rozsądne? – W jego głosie słyszę niepokój. Zdaje się, że mężczyźni, których spotykam na swojej drodze, coraz częściej przyjmują zatroskany ton, kiedy ze mną rozmawiają. – Dopiero co rozgrzebałaś bardzo bolesne rany. Może lepiej daj mu spokój.

– Nie mam zamiaru ponownie go denerwować – odpowiadam, lekko urażona, że tym razem troszczy się o mojego byłego, a nie o mnie. – Wrócę tam, gdy nie będzie go w domu.

– Wykluczone. Nie ma mowy, Susan. Natychmiast tu przyjeżdżaj, proszę cię.

– O co ci chodzi? Nie będę się włamywać. Mam klucz. Chyba nie przyszło mu do głowy zmieniać zamki. Ostatecznie to jedno, co zagrażało mu w życiu,

siedziało za kratkami. – Nie jestem pewna, czy te słowa są przejawem elokwencji, czy rozgoryczenia.

– A jeśli cię nakryje? Nie wiesz, do czego on jest zdolny.

Słucham?

– Co to ma znaczyć? Mark nigdy w życiu nie zrobił nic choćby minimalnie strasznego. Kiedyś zaniósł z powrotem do sklepu pasek, bo kasjer nie nabił go na kasę, a on nie chciał być nieuczciwy.

– Jak dobrze go znasz, Susan? Co wiesz o jego przeszłości?

– Co ty gadasz? Mark nie ma tego rodzaju przeszłości. Nie ośmieszaj się. Jeżeli jest szansa, żeby odkryć, co on wie, muszę to zrobić teraz, zanim przypomni sobie, że nadal mam klucze do jego domu.

– Widzę, że nie zdołam cię przekonać. – Nick ustępuje. Choć tak niedawno się poznaliśmy, najwyraźniej zna mnie lepiej niż ja jego. – Zaczekasz do mojego przyjazdu?

– Nie. Muszę to zrobić sama – mówię stanowczo. – Gdy tylko zobaczę, że odjeżdża swoim samochodem, zajrzę na chwilę do domu i jak najszybciej się wyniosę.

– A jeśli on nie wyjdzie? – pyta Nick, ale zapewne zna odpowiedź.

– Zaczekam. Nie będzie tkwił tam w nieskończoność.

29

Może Nick słusznie przypuszczał, że Mark zostanie w domu przez cały wieczór. Co robić? Siedzieć w samochodzie? Nawet nie mogę się zdrzemnąć, bo go przegapię i będę tu tkwić jak ta głupia. Tylko tędy można gdzieś dojechać – do miasta czy do sklepu – więc na pewno go zauważę, chyba że wybierze się na wycieczkę po okolicy. Zakładając, że w ogóle wyjdzie z domu. Po dziesięciu minutach ten świetny pomysł wydaje mi się absurdalny. A jeśli Mark mnie przyłapie? No i co miał na myśli Nick, pytając, jak dobrze znam jego przeszłość? Czyżby odkrył coś na temat Marka i mi o tym nie mówi albo uważa, że wolałabym nie wiedzieć? Nie chcę się zastanawiać, do czego to doprowadzi, i skupiam się na przejeżdżających samochodach, wymyślam historie o ludziach, którzy w nich siedzą, o ich życiu i celu podróży.

Okazuje się, że wcale nie muszę długo czekać. Za ledwie czterdzieści minut. Widzę, jak srebrny mercedes mija zatoczkę, w której się zaciąłem, dojeżdża do końca drogi i skręca w prawo, do miasta. Na wszelki wypadek, gdyby postanowił wrócić, odczekuję jeszcze kilka minut, a potem zapalam silnik.

Parkuję w dzielnicy przemysłowej, kilkaset metrów od domu, i w nerwach pokonuję resztę drogi pieszo. Gdybym została przyłapana na gorącym uczynku – choć nie zamierzam niczego zniszczyć – miałabym duże kłopoty. Może musiałabym wrócić do Oakdale na resztę kary. Czy oni mogą wydać taki nakaz? Należało zapytać Cassie.

Po dziesięciu minutach, cały czas rozglądając się ukradkiem, jestem na miejscu. Jeśli ktoś mnie zauważy, na pewno zamelduje o tym na następnym zebraniu straży sąsiedzkiej. Oczami wyobraźni widzę, jak pani Taylor z domu obok, ubrana w tę swoją flanelową koszulę nocną, rozwiesza na latarniach list gończy.

Choć byłam przekonana, że Mark nie zmienił zamków, jestem lekko zdziwiona, gdy klucz gładko się obraca i otwieram drzwi. Szybko wchodzę do środka. Stało się, popełniam przestępstwo. Znowu.

Ze wszystkich pomieszczeń, które dotychczas zobaczyłam, kuchnia zmieniła się najbardziej. Blaty są te same, ale ze ścian zniknęła piękna zieleń w odcieniu szaławii – efekt kilku godzin spędzonych w sklepie B&Q, dopóki nie zmieszali mi farby tak, jak chciałam – i pojawiła się obrzydliwa żółć. Brakuje tylko kawałków marchewki.

Kiedy widzę, jak łatwo poszło mi włamanie, przepełnia mnie euforyczna pewność siebie. Spenetruję gabinet Marka, gdzie leży na biurku brązowa teczka z napisem ŚCIŚLE TAJNE, w której na pewno znajdę wszystkie informacje o moim synu. „Pobożne życzenia”, mruczę pod nosem, zaburzając panującą tu ciszę.

Gabinet niewiele się zmienił. Jest urządzony tak samo jak za moich czasów: biurko na prawo od drzwi i wytarty czerwony fotel – jedyna rzecz przeniesiona z dawnego życia Marka do naszego wspólnego – pod przeciwległą ścianą. W miejscach, gdzie były rodzinne zdjęcia, jest kilka nowych dzieł sztuki i nie wiedzieć czemu, zniknęły jego dyplomy uniwersyteckie. Dziwne. Te arkusze A4 z godłem Uniwersytetu Durham były jego dumą i radością. Prawdopodobnie dał je do oczyszczenia czy oprawienia albo coś takiego.

Stara szafka kartotekowa nadal stoi przy biurku, ale nie wiem, gdzie jest do niej kluczyk. Zastanawiam się, od czego zacząć. W szufladach biurka panuje porządek, nic ciekawego tam nie znajduję.

Kiedy mieszkaliśmy razem, właściwie nigdy nie myślałam o tym, jak mało wiem o pracy mojego męża. Szczerze mówiąc, nudziły mnie jakieś pierdoły o dziale IT, ale na firmowych przyjęciach zawsze uśmiechałam się i uprzejmie kiwałam głową. Chodziliśmy na te imprezy tylko ze względu na darmowe drinki; Mark też nie cierpiał swoich współpracowników. Całkowicie różnił się od większości z nich. Tamci byli tak pochłonięci swoim własnym małym światem, że nie docierały do nich nawet najprostsze głupoty, na przykład dowcip. Nie mogłam tego zrozumieć. W moim świecie ciasteczka jadło się do herbaty, oglądając *Coronation Street*. Teraz żałuję, że choćby sporadycznie nie

wpadałam do jego gabinetu, przynajmniej wiedziałabym, gdzie co jest. Pamiętam, że jedyny raz zajrzałam tu, kiedy Mark pracował do późna i chciałam, żeby wreszcie się położył. Miałam na sobie jego ulubiony peniuar, który lekko rozchyliłam, gdy Mark gapił się w ekran komputera. Jego determinacja wyczerpała się po trzech minutach i skończyło się seksem na biurku. Śmialiśmy się jak małolaty, gdy nogą strąciłam ze ściany korkową tablicę, a Mark nawet nie wypadł z rytmu. Wciąż widzę tę tablicę na podłodze i mały kluczyk przyklejony od spodu kawałkiem taśmy...

Nie, to byłoby zbyt proste. Zdejmuję ze ściany tablicę, może zbyt energicznie, odwracam ją, przekonana, że nic tam nie zobaczę, że tylko tęsknota i nadzieja przywołały to wspomnienie, i oto co widzę: srebrny kluczyk przyklejony taśmą. Nie jestem Sherlockiem Holmesem, ale mój mąż też nie jest Jimem Moriartym.

Wsuwam kluczyk do zamka górnej szuflady szafki kartotekowej i przekręcam zdecydowanym ruchem, wypuszczając z płuc powietrze, gdy rozlega się cichy trzask. W szufladzie leżą dziesiątki teczek, ułożonych alfabetycznie według nazwisk. Szybko się orientuję, że wszystkie są mi obce – nie ma tu nic jednoznacznie oczywistego, ani teczki Dylana, ani doktora Rileya. Zmniejszają się moje nadzieje na łatwy sukces. Wyjmuję pierwszy skoroszyt, z etykietką „Andrews”. Pospiesznie przeglądam zawartość. Jak można było przewidzieć, dotyczy biznesowych spraw, opisanych żargonem komputerowym. Wsuwam skoroszyt na miejsce, starannie, żeby nie zostawić po sobie śladu. W dolnej szufladzie, pod teczkami, leży niebieski skórzany notes ze złotym napisem „Adresy” na wierzchu. Wkładam notes do torebki, przekonana, że jego zniknięcie wcale nie będzie świadczyć o mojej obecności w tym miejscu.

Druga szuflada od góry jest niewątpliwie przeznaczona na rachunki. Etykietyki „Media” i „Telefon” mówią, że chodzi głównie o rachunki za wodę i telefon. Gdybym mogła tu siedzieć cały dzień, być może spróbowałabym dowiedzieć się czegoś z billingów telefonicznych, ale są dla mnie bezużyteczne, bo nawet nie wiem, jakich numerów miałabym szukać. Zapewne najczęściej powtarzałyby się numery Domino’s Pizza i pobliskiej restauracji z daniami na wynos. Otwieram skoroszyt z etykietą „Bank”

i wyjmuję brązową księgę, na której czarnym atramentem jest napisane „Rozliczenia”.

Księga ma trzy działy: rachunki, wydatki i „Różne”. O tym koncie nigdy nie słyszałam, co nic nie znaczy. To Mark zajmował się naszymi finansami. Nauczył mnie zarządzać książeczką czekową, czyli pieniędzmi na moje wydatki, ale poza tym nie miałam o niczym pojęcia. Z perspektywy czasu sędzę, że to było pożałowania godne; o naszej sytuacji finansowej wiedziałam tylko tyle, ile zaproponowali mi prawnicy w postępowaniu ugodowym, a przyjął ich ofertę chętnie, bo i tak uważałam, że nic mi się nie należy. Wystarczy rzut oka na księgę rachunkową, by zorientować się, że zostałam oszukana. Oczywiście wiedziałam, że mąż dobrze zarabia – mieszkaliśmy w pięciopokojowym domu, kupowałam markowe buty, ilekroć szliśmy na przyjęcie – ale nawet sobie nie wyobrażałam, że zgromadził takie oszczędności. Ogromne kwoty regularnie wpływały na konto od założenia księgi w 1990 roku do roku 1993. Mając tyle pieniędzy, Mark mógł żyć jak król. Na pierwszej stronie widnieje kwota znajdująca się na koncie, gdy zaczął prowadzić tę dokumentację – na dobrą sprawę przypomina to coś w rodzaju funduszu powierniczego. Wiem, że ojciec Marka był zamożny; zmarł na atak serca, zanim się poznaliśmy. Od lat nie utrzymywali kontaktów, a Mark w ogóle nie chciał o tym rozmawiać. Zastanawiam się teraz, czy odziedziczył ten majątek legalnie i dlaczego nigdy się o nim nie dowiedziałam.

Szkoda mi czasu na zastanawianie się, czy sytuacja finansowa Marka jest dla mnie istotna. Nie zamierzam domagać się więcej pieniędzy. Przypuszczam jednak, że Nick będzie chciał to zobaczyć, więc szybko fotografuję kilka stron komórką, również kartki z numerami kont, i kładę księgę dokładnie tam, gdzie była. Muszę się spieszyć: Mark może wrócić lada chwila.

W ostatniej szufladzie jest bałagan, co tak nie pasuje do Marka, że dziwi mnie bardziej niż jego zasoby pieniężne. Leży tam stos kartek, wrzuconych byle jak, jedna na drugą. Serce bije mi szybciej. Jak wśród tych śmieci mam cokolwiek znaleźć? Są tam listy i karteczki z numerami telefonów, jakieś broszury i rachunki. Wsuwam rękę na chybił trafił, mając nadzieję, że nie opuści mnie szczęście, które dotąd mi sprzyjało. Trzymam w palcach zdjęcie.

Gorąco pragnę, żeby to było zdjęcie Dylana, a na odwrocie najlepiej adres i pełne wyjaśnienie, jak to się stało, że on żyje. Wyciągam rękę.

Jest takie stare powiedzenie: „Uważaj, czego pragniesz, bo może się spełnić”. Rzeczywiście wyjmuję zdjęcie syna. Wyraźnie jest zadowolony i dobrze się czuje w ramionach promiennie uśmiechniętej kobiety, która niewątpliwie darzy go miłością. Ta sama kobieta, dwanaście tygodni od zrobienia tego zdjęcia, weźmie poduszkę i będzie ją przyciskała do twarzy chłopca, aż on przestanie oddychać. Chce mi się krzyczeć, wrzeszczeć na nią, żeby szukała pomocy, zanim będzie za późno, ale kto wie, czy już nie było za późno. Mogę patrzeć wstecz, trzymać przeszłość w rękach, ale nie mogę jej zmienić. Odwracam zdjęcie: nie ma adresu ani żadnej rewelacji, nic, czego bym nie wiedziała.

Susan z Dylanem, który ma 3 dni.

Coś mnie dusi w gardle. Bardzo długo nie chciałam oglądać zdjęć swojego syna, a teraz, przez te kilka dni, patrzę na jego wizerunek tak często, że niemal przekracza to moją wytrzymałość. Widzę go nie tylko na papierze, tkwi również w mojej głowie. Miłość, którą darzyłam go przez trzy miesiące, nie osłabła i dziś dałabym wszystko, co mam i co kiedykolwiek miałam, żeby wejść w to zdjęcie i pogłodzić mięciutką skórę, pocałować maleńkie usteczka.

Nabieram głęboko powietrza i odrywam wzrok od zdjęcia. Na jego widok uleciał ze mnie duch walki. Straciłam ochotę dociekać, o co tu chodzi. Chcę wrócić do domu. Wsuwam zdjęcie tam, skąd je wyciągnęłam, tak by nie zostawić po sobie żadnych śladów, i spychając te bolesne obrazy gdzieś głęboko w zakamarki umysłu, zamykam szafkę i przyklejam kluczyk do tablicy. Przechodząc przez podest, staram się nie patrzeć na drzwi do pokoju Dylana.

Zamieram, gdy dolatuje mnie z dołu jakiś hałas. Czyżby Mark wrócił tak szybko? Nie, nikogo tam nie ma, to tylko zwykłe domowe odgłosy. Wiedząc, że druga taka okazja może się nie zdarzyć, postanawiam zajrzeć na poddasze. Pierwotny strych, zamykany klapą w suficie, kiedy kupiliśmy ten dom, potem przerobiłam własnymi zręcznymi rękami – wspierana przez zastępy

budowlańców – na piękną sypialnię dla Dylana, gdy podrośnie. Zamiast drabiny pojawiły się schody, a w dachu świetlik. Każdy nastolatek byłby zachwycony; serce ściska mi żal, że mój synek nigdy nie będzie się cieszył tym pokojem.

Szybko wchodzę po schodach i gdy otwieram drzwi, zapiera mi dech. Pokój nie jest wykorzystany na sypialnię. Pełno w nim kartonów, a na każdym napis, na przykład „Zdjęcia” czy „Rzeczy ciężowe”, oraz inne pudła, z mniej przykrą zawartością, dwa z etykietkami „Czasopisma”, a dalej jeszcze cztery z etykietkami „Uniwersytet”. Otwieram jedno z tych ostatnich. Są w nim trzy segregatory, pełne notatek z wykładów i prac pisemnych. Wiem, jakim kujonem był mój eksmąż, więc ani obfitość notatek, ani wysoko ocenione prace nie budzą we mnie zdziwienia. W drugim pudle uniwersyteckim jest jeszcze więcej segregatorów z notatkami. Już mam zostawić te pudła, gdy na wierzchu w trzecim dostrzegam dyplomy Marka. Nadal w ramach, nieuszkodzone, więc nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wiszą na ścianie. Odkładam je na bok i pod spodem widzę zdjęcia: Mark z przyjaciółmi w pubach, na różnych balach i uroczystościach. Sporo z nich przedstawia piękną rudowłosą dziewczynę o świeżej twarzy i ujmującym uśmiechu. Ma piegi na nosie i na policzkach, nie widać ani śladu makijażu, ale zachwycają mnie jej oczy. Są intensywnie szmaragdowe i emanują autentycznym szczęściem – zazdrozczę jej, kimkolwiek jest. To odczucie nasila się, gdy przeglądam następne fotografie. Dziewczyna obejmuje Marka, mojego Marka! Całują się, trzymając aparat w wyciągniętej ręce i robiąc zdjęcie, oboje szeroko uśmiechnięci. Z każdym kolejnym zdjęciem przekonuję się coraz bardziej, że są w sobie zakochani po uszy – tylko dlaczego nigdy o niej nie słyszałam? Dlaczego Mark ukrywał to przede mną? Te dwie sprawy – zagadkowa dziewczyna i tajemnicze pieniądze – wskazują, że najwyraźniej nie znałam męża tak dobrze, jak mi się wydawało.

Odwracam każde zdjęcie, lecz nie ma tam żadnych napisów. Mnóstwo fotografii szczęśliwej pary. Oglądam je ze ściśniętym sercem, ale nie mogę przestać. Dziewczyna na plaży, Mark z plecakiem i ekwipunkiem na wędrowkę, chyba w jakimś ciepłym kraju. Muszę się stąd wynosić. Chowam

zdjęcia do pudełka, na wierzch kładę dyplomy, za parę sekund już mnie tu nie będzie – i wtedy słyszę chrobot klucza w drzwiach wejściowych.

Jack: 27 listopada 1992

Nie znosił mieć zabłoconych butów.

Nie znosił chodzić po błocie i kurewsko nie znosił lasu. Las jest dla niedźwiedzi i ludzi przytulających drzewa, a on nie był ani jednym, ani drugim. Dla niedźwiedzi, dla ludzi przytulających drzewa i dla trupów.

Zostawili ją na brzegu, w pasie młodych drzew, podczas gdy dopiero sto metrów dalej las stawał się gęstszy. Debile! Gdyby weszli głębiej, zwierzyna prawdopodobnie znalazłaby ją wcześniej niż policja. Może natrafiliby na nią dopiero po wielu dniach. Albo i tygodniach, gdyby ta larwa Whitaker nie zaczęła się denerwować i od razu nie zgłosiła zaginięcia.

Za cholerę nie zamierzał jej przenosić. Wystarczy, że będzie musiał spalić ubranie, choć nawet nie dotknął ciała. Szkoda, kurwa, takiego drogiego garnituru.

Wiedział, że nie powinno go tu być, ale wolał sam zobaczyć. Na nikim nie można polegać; nie zaszedłby tak daleko, gdyby się tego nie nauczył. Człowiek robi to, co trzeba zrobić, i nie powierza ważnych spraw przygłupom, którzy do niczego w życiu nie dojdą.

Było już zupełnie ciemno, lecz światło księżyca spływało między rzadkimi drzewami i rozlewało się po ziemi. W ciszy szeleściły jedynie liście pod jego stopami. Gdy wydychał powietrze, tworzył się przed nim obłoczek pary. Za kilka godzin błoto stwardnieje na kamień, pokryje się szronem i będzie chrzęścić przy każdym kroku. A ona zamarznie na sopel.

Podszedł do zwłok na tyle blisko, na ile starczyło mu odwagi. Nawet po śmierci była oszałamiająco piękna. Przeleciał mu przez głowę obraz jakiejś

dziewczyny, która się stoczyła, ćpunkki, która zmarła z wyziębienia. Ta w niczym nie przypominała tamtych szumowin. Choć w jej długich rudych włosach tkwiły grudy błota i liście, wciąż widać było, że są zadbane. Ubranie miała czyste, dobrej jakości. Nie różniłaby się od innych dziewiętnastolatek, gdyby nie otwarta krwawa rana na gardle i szklista martwota w oczach.

Poczuł lekkie ukłucie żalu. Sprawy mogłyby potoczyć się dla niej zupełnie inaczej, ale prowadziła z nim gierki: ilekroć wchodził do pokoju, uczepiała się Szekspira, udając, że on, Jack, jej nie pociąga. Willy był nie lepszy, stroszył pióra i rozpościerał ogon, dumny jak paw. Beth musiała boleśnie przekonać się, jaki Jack jest naprawdę. Odrzucała kwiaty od niego, biżuterię, nawet dzieła sztuki, ale nie zdołała się oprzeć chustce nasączonej chloroformem i przyłożonej do ust. Wreszcie sprawił, że ugięły się pod nią nogi, choć nie w tym sensie, w jakim by sobie życzył.

Ubrali ją z powrotem; był trochę niezadowolony, ale przypuszczał, że to zrobią. Policjanci i tak zorientują się, co ją spotkało. Wkrótce ją znajdą, więc lepiej pospieszyć się z tym, co miał zrobić.

Włożył rękę do kieszeni, gdzie wciąż była portmonetka Beth, a obok strzykawka. Podeszedł bliżej, ale tak, by nie dotknąć ciała, wbił igłę z tyłu pod jej kolanem i pociągnął tłok. Od jej śmierci nie minęło tak wiele czasu, żeby krew zmieniła się w galaretę albo wyschła – strzykawka przybrała piękny kolor bordo.

Choć bardzo chciał tu zostać i patrzeć, jak ją znajdą, musiał zająć się swoją robotą.

31

Drętwieję. Boję się ruszyć, żeby nie zdradzić swojej obecności. Może się pomyliłam – w końcu jestem dwa piętra wyżej – ale słyszę, jak otwierają się drzwi wejściowe i na stolik w holu padają klucze, a potem rozlega się szelest plastikowych toreb i kroki w stronę kuchni. Więc to koniec. Z powrotem do Oakdale. Nie ma szans, żebym się z tego wyplątała; na pewno nie zadziała tłumaczenie: „Zostawiłam portmonetkę i poszłam poszukać jej na poddaszu”.

Może jest jeszcze trochę czasu. Mam do wyboru: schować się i liczyć na to, że Mark znowu wyjdzie, zanim odkryje, że tu jestem, albo przemknąć się do gabinetu i wyjść przez okno na przybudówkę, ryzykując, że ktoś mnie zobaczy. I że złamię kark. To nie jest wymarzona alternatywa, ale nic innego nie umiem wymyślić. Jak najciszej otwieram drzwi i nasłuchuję. Stuki w kuchni świadczą o tym, że przebywająca tam osoba chowa zakupy do szafek. Mam zaledwie kilka kroków schodami w dół do gabinetu. Pokonuję je w sekundę i teraz, zamiast tkwić na poddaszu, grzęznę w gabinecie. Niewiele lepiej, to pewne, ale zawsze bliżej parteru.

Skok z okna nie wydaje się taki trudny. W duchu dziękuję temu cwaniakowi z firmy remontowej, który przekonał Marka, żeby postawić kosztowną, ale solidną ceglana konstrukcję na fundamentach, ze wszystkimi pozwoleniami, a nie cztery tafle szkła, jak miałam w planach. Powinna z łatwością utrzymać mój ciężar. Miejmy tylko nadzieję, że nie stoczę się z dachu.

Cichutko uchylam okno i wystawiam głowę. Przybudówka jest prosto pod mną, obok kuchni. Urządziłam tam pralnię, którą uwielbiałam. To pewnie wyda się lekką głupotą, żeby przeznaczать tyle pieniędzy na dodatkowe pomieszczenie, w którym mają stać pralka i suszarka, ale teraz jestem z tego

cholernie zadowolona. Tak szybko, jak pozwalają mi buty na obcasach, wchodzę na biurko i otwieram szeroko okno. Będzie kiepsko, jeżeli Mark postanowi akurat teraz rozwiesić pranie.

Otwierają się drzwi kuchni, słychać kroki na schodach. Nie mam chwili do stracenia. Torebka wylatuje na zewnątrz i uderza o dach. Przekładam nogi przez parapet, gdy dobiega mnie stąpanie na szczycie schodów. Okazuje się, że do ziemi jest dość daleko, więc mało powiedzieć „skaczę” – po prostu spadam i ląduję z głuchym łupnięciem. Nawet nie oglądam się, żeby sprawdzić, czy Mark wszedł do gabinetu, czy też udał się do łazienki albo do toalety. Stoję na dachu mojej dawnej pralni – cała, na szczęście – i muszę stąd zniknąć, zanim ktoś mnie zobaczy.

Padam na kolana, skulona, i czołgam się do krawędzi dachu. Jestem na wysokości jakichś trzech metrów, o dwa i pół metra za dużo, bym była spokojna, ale i tak nie mam wielkiego wyboru. Wciąż myślę, że ten skok może mnie drogo kosztować, jednak nie wiem, ile czasu Mark spędzi na piętrze, a gdy znów wejdzie do kuchni, będę miała kłopoty. Owijam pasek torebki wokół nadgarstka, siadam na brzegu dachu, spuszcza powoli nogi i skaczę.

Nie będę udawać bohaterki – upadek bolał jak diabli. Gdy tylko zaczynają działać mi kolana, odpełzam jak najdalej od okna kuchennego. Do tej pory nawet nie pisnęłam z bólu, co napawa mnie dumą. Nagle słyszę chrobot klucza w zamku tylnych drzwi i nie myśląc o kolanach, uciekam.

Przystaję na końcu ulicy, bez tchu, widząc wszystko jak przez mgłę. Opieram się o mur ogrodu McKinleyów, żeby odpocząć i sprawdzić, czy z okna salonu nie obserwują mnie jakieś ciekawskie oczy. Nikogo nie ma i nikt mnie nie goni.

Resztę drogi do samochodu pokonuję spacerem, z każdym krokiem dziękując Bogu za nowo nabytą sprawność fizyczną. Cztery lata temu prawdopodobnie nie zdołałabym dźwignąć się na parapet okna w gabinecie, a co dopiero skoczyć z dachu pralni i uciec. Jestem rozemocjonowana sukcesem – od lat tak się nie czułam. Samochód stoi tam, gdzie go zostawiłam, nie mam mandatu ani blokady na kołach. Otwieram drzwi i wykończona, zwałam się na siedzenie.

– Jak poszło? Dorwali cię? Czy to jest ten „jeden telefon”? – Nick odzywa się po pierwszym dzwonku i od razu mnie znieważa.

– Nie jestem aresztowana. I nie wiem, czy coś znalazłam. Pozostawiam to do twojej oceny, gdy się u ciebie zjawię. O ile nadal mnie zapraszasz.

– Jasne. – Wyraźnie się odprężył na wiadomość, że nie musi wpłacać za mnie poręczenia. A tak w ogóle ciekawe, ile obecnie zarabia dziennikarz? – Jedź ostrożnie – dodaje na koniec.

Z krzywym uśmiechem chowam telefon i uruchamiam silnik. Już spokojniejsza i jeszcze bardziej zadowolona, jadę z powrotem do Nicka, czując pulsowanie w obu kolanach.

Po czterdziestu minutach wjeżdżam w ulicę, przy której mieszka Nick. Kiedy opadła adrenalina po śmiałym napadzie i udanej ucieczce, wróciły słowa Marka o znalezieniu naszego synka i poczułam się tak, jakbym dostała pięścią w brzuch – dwa razy musiałam zjechać na pobocze, żeby odzyskać oddech.

– Dzięki Bogu.

Choć słowa oznaczają, że odczuwa ulgę, nie widać tego po jego minie. Moja euforia ulatnia się w jednej chwili. Nick trzyma jakąś kopertę.

– Co to? Skąd się wzięło?

– Znalazłem na wycieracze, gdy poszedłem otworzyć drzwi. Dziesięć minut temu nic tam nie leżało.

Tym razem nie przedstawiają dziecka. Na zdjęciach, które wsunięto Nickowi przez drzwi, widać znajomą postać. Choć jest odwrócona plecami do obiektywu, od razu wiem, że to ja. Mam krótkie ciemne włosy, jestem w luźnym szarym swetrze i stoję przed moim byłym domem, czekając, aż mój były mąż otworzy drzwi. To jest świeże zdjęcie, a konkretnie zrobione dziś rano.

Na następnym Mark otwiera mi drzwi, na kolejnym wychodzę z domu, na czwartym wracam, na piątym zsuwam się z dachu pralni. Zanosiłabym się śmiechem, gdyby to nie było takie straszne; wyglądam komicznie, zawieszona na krawędzi dachu jak nastolatka na gałęzi drzewa. Myślałam, że jestem taka sprytna, że uciekłam niespostrzeżenie, niczym Dickensowski Cwaniak, ale to nieprawda. Ktoś mnie śledził i pstrykał zdjęcia, jedno po drugim, potem zrobił odbitki i dostarczył je Nickowi do domu. Po co? Jako ostrzeżenie? Czy te

zdjęcia leżą już na biurku w jakimś komisariacie, gdy ja tutaj gratuluję sobie, że mnie nie złapano?

Słyszając walenie do drzwi wejściowych, z piskiem wracam do rzeczywistości. Policja już tu dotarła? Nie zdążę zwać; zapewne obstawili tylne drzwi, spodziewając się kolejnej śmiałej ucieczki. Wpycham zdjęcia do torebki, gotowa wypić piwo, którego nawarzyłam. Nick otwiera drzwi i oboje przybieramy miny niewiniątek. Za pierwszym razem nic z tego nie wyszło, a wówczas naprawdę uważałam, że jestem niewinna.

Na schodku stoi Cassie, trzyma torby z zakupami i wygląda jak prawdziwa stepfordzka żona.

– O rany, tak się cieszę, że cię widzę. – Oddycham z ulgą. Nick zaprasza ją do środka. – Co tu robisz?

– Mieliśmy zająć się procesem – przypomina mi Cassie. Zapomniałam, że dlatego miała przyjechać do Nicka pod moją nieobecność. – Byłam na zakupach. Jak ci poszło?

– Spodziewałam się, że będzie lepiej – odpowiadam posępnie. Niemrawo podaję jej zdjęcia. – Właśnie wrzucono to przez drzwi.

Cassie przegląda zdjęcia, wydaje stłumiony okrzyk i wręcza je Nickowi, którego zatroskane spojrzenie pogłębia mój strach. Przechodzimy do salonu; Nick idzie przodem, zaciąga kotary i zapala lampy.

– A to po co? – rzuca Cassie.

Przeginasz, stwierdzam w duchu, ostatecznie nie jesteśmy Bondem i Moneypenny.

– Dostarczono te zdjęcia tutaj. Zanim ona zdążyła tu dojechać. Czyli ten ktoś wiedział, że Susan nie wraca do domu.

Cassie natychmiast spogląda przez ramię, jakby chciała się upewnić, czy z tyłu nie stoi ktoś z aparatem albo magnetofonem.

– Nikogo nie zauważyłaś?

– A widać, żebym komuś machała do obiektywu? – Z nerwów robię się agresywna i złośliwa. – Przepraszam.

– No cóż, ktokolwiek to był, dzisiaj nic już nie możemy z tym zrobić. – Nick jest tak miły, że nie zwraca uwagi na moją kąśliwość. – Co wyciągnęłaś od Marka?

Relacjonuję wszystko po kolei. Nasza rozmowa dokładnie wryła mi się w pamięć, więc powtarzam ją niemal słowo w słowo. Mówię też o pieniądzach i o zdjęciach, nawet o kanapie. Cassie piekli się, gdy napomykam, że mój były mąż ma tak naprawdę mnóstwo kasy.

– Że co? Jak mu się udało nie ujawnić tego podczas rozvodu?

– Nie pytałam – przyznaję po prostu. – Jego adwokat zaproponował mi przyzwoite pieniądze, więc się zgodziłam.

– Zaskarżymy decyzję – oświadcza Cassie.

W ogóle nie słyszy, co mówię. O nic nie spierałam się podczas rozvodu. O nic nie prosiłam. Byłam wdzięczna za to, co mi dają.

– Niczego nie będę zaskarżać – odpowiadam stanowczo. – Nie przywiązywałam wagi do pieniędzy. Wpłaty ustały na długo przed tym, zanim się poznaliśmy. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mi o nich nie powiedział. I o niej...

Nie wyjawiam, że zdjęcia Marka z dziewczyną wytrąciły mnie z równowagi dużo bardziej niż ukrywane pieniądze. Mark nigdy na ten temat nie kłamał, fakt – po prostu nic nie mówił. Jej olśniewająca uroda nie jest tu bez znaczenia, to jasne.

– Musimy się zastanowić, czy te informacje mają dla nas znaczenie – wtrąca z namysłem Nick.

Powiedział „dla nas”, czyli uważa, że ta sprawa jest równie ważna dla niego, jak i dla mnie, a przecież oboje wiemy, że gdyby tylko chciał, mógłby dać sobie z tym spokój. Przenoszę wzrok na Cassie, ciekawa, o czym przez cały dzień rozmawiała ta dziwna para, choć jeszcze wczoraj skakali sobie do gardeł. Podaję Nickowi swoją komórkę ze zdjęciami kont oraz notes z adresami, który zabrałam z gabinetu. Lekko marszczy brwi, jakby nie aprobował kradzieży, ale tego nie komentuje.

– A wy odkryliście coś? – zwracam się do Cassie, gdy Nick wciąż tkwi w zadumie.

– Popatrz. – Podekscytowana wręcza mi plik kartek. Na pierwszej, u góry, widnieje logo Kancelarii Adwokackiej ZBH, czyli te papiery przyszły z biura mojej prawniczki. – To są skopiowane akta procesowe. Kancelaria robiła nam trudności na każdym kroku. Ta zołza w recepcji zgodziła się przysłać to

mailem dopiero wtedy, gdy podałam się za ciebie i zagroziłam krokami prawnymi. Nick kazał mi wymienić całą masę paragrafów, na podstawie których masz prawo wglądu w akta.

Przeglądałam wydruki i coraz mniej rozumiem.

– O co chodzi z tymi badaniami toksykologicznymi? – pytam, wbijając wzrok w kartkę. – Co to jest ketamina? Nie podaje się tego koniom?

– Narkotyk, który wykryto w twoim organizmie, gdy przyjęto cię do szpitala w dniu śmierci Dylana – wyjaśnia Cassie.

To dla mnie coś nowego i od razu jej to mówię. Nick, jak na złość, ślęczy nad notesem i nie odzywa się.

– Tak przypuszczaliśmy. Zdaje się, że na procesie nie padło słowo na ten temat – ciągnie Cassie. – Ketamina to środek używany jako pigułka gwałtu. Powoduje, że ofiara ma zawroty głowy, jest oszołomiona i nie wie, co się dookoła niej dzieje. Doprowadza również do utraty przytomności. – Przybiera ton pomocy aptecznej, dumna ze swoich zdolności śledczych.

– Co takiego? Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam? Dlaczego Rachael Travis nie poruszyła tej kwestii na procesie? Sądziłam, że spisała się dość dobrze jako mój obrońca. Mark wynajął ją, gdy wyglądało na to, że są niezbite dowody przeciwko mnie, ale ona i tak broniła mnie, a przynajmniej tak myślałam. Może nie miała wglądu w moją dokumentację medyczną?

– Miała, miała – odzywa się wreszcie Nick. – Kiedy ją wynajęliście, podpisałaś pełnomocnictwo, dając jej pełny dostęp do swojej dokumentacji. Jest gdzieś w tych papierach.

– W takim razie wiedziała, że stwierdzono u mnie obecność ketaminy, i nie użyła tego jako dowodu w mojej obronie? Czy policja widziała tę dokumentację?

Nick wzrusza ramionami.

– Dobre pytanie. Dotarliśmy tylko do zeznań i informacji udostępnionych prasie. Nie możemy zobaczyć konkretnych akt policji, chyba że włamiemy się do ich systemu. Albo ktoś z prowadzących śledztwo nie wykonał należycie swojej roboty, albo wiedziano o tej substancji i pominięto ten fakt w dochodzeniu.

Zaczyna mnie boleć głowa.

– Co to wszystko znaczy?

– Być może nic nie znaczy – przyznaje Nick. – Matthew Riley był sumiennym lekarzem i nie miał powodu kłamać. Nie umiem wyjaśnić obecności ketaminy, ale w wypadku takiej oczywistej sprawy... och, przepraszam – dodaje szybko, widząc moją minę – ...tak się wówczas wydawało. Znalaziono cię przy zwłokach Dylana, wciąż trzymałaś w rękach poduszkę, którą został uduszony, a na niej wszędzie były fragmenty twojego naskórka i ślina dziecka...

– Nie zapominaj, że byłam na tym procesie – prychnam i natychmiast się reflektuję: Nick i Cassie chcą mi pomóc, a ja tylko stwarzam problemy. – Przepraszam. – Pochyliłam się, pocieram oczy, całą twarz, i nagle ogarnia mnie zmęczenie.

– Na pewno czujesz się na siłach, Suze? – pyta łagodnie Cassie, kładąc rękę na moim ramieniu. – Ciągłe wywlekanie tych rzeczy musi być dla ciebie trudne.

– Nie wiem. – Rzeczywiście trochę tego za wiele i nie jestem aż tak dumna, by się z tym kryć. – Chyba mnie to przerasta.

Ciężko jest słuchać, jak osoba postronna gładko relacjonuje przebieg dnia, w którym straciłam syna. Z niezadowoleniem dostrzegam, że Cassie rzuca spojrzenie Nickowi. Robi to szybko, ale i tak widzę, co ono oznacza. Niewątpliwie spodziewali się, że tak zareaguję. Dochodzę do wniosku, że wolałam, gdy nie mogli się ścierpieć.

– Przypuszczaliśmy, że tak może być – oznajmia wciąż łagodnym tonem, jakby zwracała się do dziecka.

Chyba to „my” ostatecznie wytrąciło mnie z równowagi. Który raz słyszę „my to”, „my tamto”, chyba setny, od kiedy weszła do domu?

– Aha, „przypuszczaliśmy”, no proszę – naskakuję na moją przyjaciółkę, zapominając, że chwilę wcześniej przyznałam, iż sobie nie radzę.

– Sądziliśmy, że może ci być trudno, no wiesz, przeżywać to na nowo.

– Patrzcie państwo, co za komitywa. A jeszcze wczoraj chciałaś rozwalić mu głowę ramą obrazu. Może ma pani jeszcze jakieś spostrzeżenia na temat mojego zdrowia psychicznego, doktor Reynolds?

Cassie jest zaskoczona i więcej niż trochę dotknięta. Nick tylko przygląda mi się z zaciekawieniem. Brak reakcji z jego strony wkurza mnie jeszcze bardziej. O co w tej sytuacji nietrudno.

– Nie denerwuj się, Susan – prosi Cassie. – My... to znaczy ja... po prostu się martwię, sama rozumiesz, twoja przeszłość...

Zna mnie tak dobrze, że błyskawicznie zauważa swój błąd.

– Moja przeszłość?! – niemal wrzeszczę. – Co konkretnie masz na myśli, Cassie? Że wpadłam w depresję? A może to, że jestem morderczynią? No cóż, to powinno być ci znajome, prawda? Skoro mówimy o przeszłości. Ostatecznie to nie ja ułożyłam plan, by z zimną krwią zabić męża, ponieważ spał z inną.

Cassie i Nick milczą, oszołomieni. To powinno mi uprzytomnić, że jestem wredna i że Cassie nie zasługuje na takie traktowanie. Świadomość obu tych faktów wcale mnie nie powstrzymuje. O nie, nakręciłam się na maksa.

– Więc chodzi o to pierwsze czy o to drugie, moja droga przyjaciółko? Co jest powodem twojego zmartwienia? Bo myślałam, że staramy się udowodnić, że nie zabiłam syna w napadzie depresji! A może po prostu chcesz mnie rozbawić?

– Przestań, Susan.

Głos Nicka ucina moją tyradę. Czuję się jak niegrzeczna uczennica skarcona przez dyrektora szkoły. Gdy widzę, że Cassie zaraz się rozpłacze, nagle ogarnia mnie wstyd.

– O Boże, przepraszam, Cass. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam.

Cassie posyła mi uśmiech jak prawdziwa przyjaciółka. Aż trudno uwierzyć, że ta życzliwa i lojalna kobieta zrobiła to, co zrobiła.

– To ja przepraszam. – Podchodzi do krzesła, na które się osunęłam, i bierze mnie w ramiona. – Nie powinnam tak mówić. Ciągniemy to czy na dzisiaj dosyć?

– Nie, nie – odpowiadam stanowczo. – Oboje zadaliście sobie dużo trudu. Chcę wiedzieć, do czego jeszcze doszliście. Bóg mi świadkiem, wolałabym, żeby to się skończyło, ale nie ma wyjścia, trzeba brnąć dalej.

Cassie wyraźnie czuje ulgę, że się uspokoiłam, a Nick milczy. Zastanawiam się, czy coraz łatwiej mu uznać, że mam psychozę maniakalno-depresyjną. Zdecydowanie tak się zachowuję. Stoi chwilę w bezruchu, prawdopodobnie

chcąc się przekonać, czy znowu nie zeświruję, po czym przewraca kilka kartek i pokazuje mi orzeczenie lekarskie.

– Co tam jest napisane? – Przebiegam wzrokiem tekst, a Nick w milczeniu czeka, aż doczytam do końca.

Mam przed sobą oświadczenie mojego dawnego lekarza domowego, doktora Choudry’ego, z datą trzynasty sierpnia 2009 roku, trzy tygodnie po śmierci Dylana. Niektóre zdania biją w oczy.

„Pani Webster okazuje typowe zaniepokojenie niskim przyrostem wagi syna... brak objawów sugerujących depresję... psychoza poporodowa wątpliwa... nie ma oznak halucynacji ani zaburzeń procesów myślowych...”

Spoglądam na Nicka.

– O co chodzi? Dlaczego nie wykorzystano tego w procesie? On tu pisze, że nie miałam depresji.

Nick przewraca jeszcze kilka kartek i wyciąga kolejne orzeczenie lekarskie, podpisane przez jakąś nieznaną mi doktor Ingrid Thompson. Rzut okiem na tę opinię wywołuje we mnie spory niepokój.

„Pacjentka wykazuje objawy silnej depresji poporodowej... nie odpowiada na bodźce, czasem jest w stanie katatonii... pacjentka nie pamięta zdarzenia... jest poruszona i przygnębiona na wspomnienie syna... nie chce rozmawiać o swoim dziecku...”

Na oświadczeniu widnieje data trzydziesty lipca, zaledwie siedem dni po śmierci mojego syna.

– Co o tym sądzisz? – Nick próbuje skłonić mnie do jakiejś reakcji.

– Ta opinia została wygłoszona podczas procesu. – Już sobie przypominam.

– Ona tam była, doktor Thompson, zeznawała na wniosek oskarżyciela. Dlaczego nie powołano doktora Choudry’ego? O ile pamiętam, jego tam nie było.

– Twoja adwokatka stwierdziła, że doktor Choudry jest niewiarygodnym świadkiem, że oskarżyciel najprawdopodobniej uzna, że lekarz ratuje własną skórę, chcąc ukryć fakt, że nie zauważył objawów depresji podczas badań kontrolnych. Uznała, że to by ci tylko zaszkodziło.

– Chyba miała rację – mówię powoli, znowu czytając orzeczenie doktor Thompson. – Ale ta opinia... Wiadomo, byłam w szoku, straciłam syna. Niby

jak mogłabym się zachowywać?

– Dość powierzchowna opinia – przytakuje Cassie. – Nam też... mnie też się tak wydawało. No i jest to jedyna specjalistyczna diagnoza po zaledwie jednym badaniu. Pospiesznie sformułowana, jak się zdaje.

– Niemniej to tylko poszlaki – zauważa Nick. – Nie ekscytujmy się. Jaki jest nasz kolejny krok?

– Nic więcej tam nie ma? – pytam, przeglądając resztę wydruków.

– Chyba nie, ale sama będziesz musiała sprawdzić. Zaraz, zaraz, mamy jeszcze to. – Cassie z przejęciem podaje mi cienką teczkę, na której jest napisane ołówkiem „Dr Riley”.

Teczka zawiera dziennikarskie materiały na temat zniknięcia lekarza, wywiady z jego przyjaciółmi i krewnymi, zeznania żony i informacje o stanie jego finansów. Wszystko sprowadza się do jednego: nie znaleziono powodu, dla którego mógłby zniknąć czy popełnić samobójstwo. Był szczęśliwym człowiekiem, miał udane małżeństwo (ani śladu romansu), dwie córeczki, komfortową sytuację finansową. W ostatnich tygodniach był może trochę małomówny, powiedziała dziennikarzowi żona, ale nic nie wskazywało, że coś takiego się wydarzy. Jego zniknięcie było całkowitym zaskoczeniem.

– Sądziłam, że tobie przydzielono tę sprawę – mówię trochę niepewnym tonem. – To nie są twoje materiały.

– Ja tylko napisałem tekst – wyjaśnia Nick. – Nie chodziłem po ludziach. Może należałoby teraz. – Obrzucam go pytającym spojrzeniem. – Myślę, że powinniśmy się spotkać z panią Riley.

Kręcę głową.

– W żadnym wypadku. Dość ran już rozgrzebałam. Pani Riley nie ma najmniejszej ochoty wysłuchiwać naszych szalonych teorii spiskowych o śmierci swojego męża.

– Rozmawiałem z nią – oznajmia niespodziewanie Nick. – Chętnie się z nami zobaczy. Uważa, że ktoś powinien wreszcie poważnie zainteresować się zniknięciem jej męża.

– Jej zdaniem kryje się za tym coś innego niż samobójstwo? – pytam. Taka ewentualność nie przyszła mi do głowy. – Jeżeli go zamordowano, narażamy się na niebezpieczeństwo, gdy zaczniemy węszyć.

– Myślę, że etap „węszenia” mamy już dawno za sobą. Ale nie w tym rzecz. Pani Riley chyba uznała, że mąż popełnił samobójstwo, tylko nie wie dlaczego.

– I sądzi, że dzięki nam się dowie?

– Według mnie – wtrąca się Cassie – tej kobiecie doskwiera samotność, a twój przyjaciel, obecny tu pan Whitely, umie zbajerować rozmówcę.

– To prawda? – zwracam się stanowczym tonem do Nicka. Zauważam jednocześnie, że Cassie powiedziała „twój”, a nie „nasz”. – Flirtowałeś z nią, żeby zgodziła się na spotkanie?

– Na wszelkie możliwe sposoby. – Nick przykłada prawą pięść do serca i unosi lewą rękę, salutując trzema palcami. – Takie motto przyświeca dziennikarzom.

– Kiedy do niej jedziemy?

– Jutro.

No tak, im prędzej, tym lepiej.

– To nie wszystko, Susan – mówi Cassie i bierze mnie za rękę. – Jest jeszcze jedna sprawa. Poważna. – Spogląda na Nicka, ale on nie patrzy ani na nią, ani na mnie.

– Co takiego? Co się stało?

Zaczynam panikować i czuję, jak zółć podchodzi mi do gardła.

– On to zrobił. Mówiłam mu, że się wściekniesz. Zezłościłam się, gdy mi powiedział, ale teraz widzę, że może wyszło na dobre, choć bez twojej wiedzy, co jest nefajne.

– Teraz mnie zaniepokoiłaś... Co tu się, do diabła, dzieje?

– Rzeczywiście, to przeze mnie – wtrąca Nick. – Pamiętasz tamtą szczoteczkę do włosów?

– Jaką szczoteczkę?

– Tę w pudełku z kocykiem Dylana.

Wprost nie mogę uwierzyć, że o tym zapomniałam. Niebieska szczoteczka leżała na wierzchu, na kocyku mojego syna. Byłam taka oszołomiona, gdy zobaczyłam ten kocyk, że odłożyłam ją na bok, niezainteresowana przedmiotem, który widzę pierwszy raz. Po co miałabym się nim zajmować, skoro dręczyła mnie myśl, że dostaję od taty jakieś paskudne zagadki?

– Co zrobiłeś?

Mówię powoli, wyważonym tonem, starając się głęboko oddychać i nie wpadać w panikę – już się domyślam, co zrobił. Zrobiłabym to samo, gdyby nie zamąciło mi się w głowie i gdybym nie była taka podejrzliwa wobec ojca.

– Tylko spokojnie. Kiedy byłem u ciebie wczoraj wieczorem, wziąłem tę szczoteczkę oraz szczotkę z twojej łazienki. Pojechałem z nimi do mojego kuzyna, który jest kierownikiem laboratorium w niezależnej placówce, gdzie przeprowadza się testy na ustalenie ojcostwa. Człowiek poświęcił całą noc, żeby dać mi dzisiaj wyniki. Odebrałem je po południu.

Mam przyspieszony oddech, wszystko wiruje mi przed oczami. Twarze Nicka i Cassie są zamazane. Fala gorąca uderza mi do głowy. Jestem pewna, że zaraz się rozpłaczę.

– Jak mogłeś nic mi nie powiedzieć? – szepczę z trudem.

Cassie trzyma mnie za rękę i każe mi powoli oddychać. Nick przeprosza, ale prawie go nie słyszę. Wpatruję się w kolejną kopertę, która może zmienić całe moje życie. Do tego to się sprowadza: jeśli wynik jest negatywny, to koniec; jeśli jest pozytywny...

– Posłuchaj, Susan, posłuchaj mnie. – Nick mówi wolno i spokojnie, a ja staram się skupić. – Nie musisz otwierać tej koperty. Możemy ją spalić i zapomnieć, co zrobiłem. Ale jeżeli naprawdę chcesz ją otworzyć, lepiej, żebyś wiedziała o paru rzeczach.

– W porządku. O czym? – słyszę swój głos.

Nick spogląda na Cassie, a ona kiwa głową.

– No dobrze. Przede wszystkim materiał nie jest doskonały. Tylko kilka włosów miało korzeń, w większości były złamane. Co więcej, sama je zanieczyściłaś, wyjmując szczoteczkę z pudełka. Zmierzam do tego, że wynik badania nie mógłby posłużyć jako dowód w sądzie. Jest tylko informacją dla ciebie.

Słyszę jego słowa, ale się nimi nie przejmuję. Dla mnie to nieistotne, jak sąd potraktuje tę informację. Nie jestem na rozprawie i nie rozumiem, co to znaczy „zanieczyszczony materiał”. Chcę otworzyć kopertę. I zarazem bardzo tego nie chcę.

– Co ty na to, Suze?

Cassie gładzi mnie po ramieniu. Uprzytamniam sobie, że na kilka minut zamilkłam.

To są złudne nadzieje. Co powiedziałby doktor Nelson? – szydzi ze mnie nieprzyjemny wewnętrzny głos. Chrzanić doktora Nelsona, odpowiadam w duchu, przypominając sobie jednego z wielu psychiatrów w Oakdale. Był pulchnym łysym hipokrytą w tweedowej marynarce, trzęsła mu się ręka, co było widowym znakiem uzależnienia od alkoholu – a radził mi zaakceptować moje własne demony. Podjęłam decyzję. Jaką byłabym matką, gdybym nie dążyła do prawdy?

Taką, która... Nie, nie będę do tego wracać.

Spoglądam na Nicka.

– Ty już wiesz? Kuzyn cię poinformował? Wiesz, czy to są włosy mojego syna?

Nick kręci głową.

– Dobrze. Jestem gotowa.

Mam mokre oczy, gdy rozrywam kciukiem kopertę. Drżącymi rękami wyjmuję kartkę i zaciskam powieki: łzy ciekną mi po policzkach, skapują na kartkę. Powoli zaczynam czytać.

Dobłą minutę staram się zrozumieć, co tam jest napisane – nerwowo przeskakuję od słowa do słowa, nie rozumiem specjalistycznego języka. Wreszcie wyłapuję wzrokiem czarne literki, zbyt małe, by zawrzeć ogrom treści w słowach: „Nie wyklucza się, że Susan Webster jest biologiczną matką dziecka. Potwierdza to zgodność DNA, wynosząca 99,999 procent”.

Mam to czarno na białym. Mój syn żyje.

33

Przez następną godzinę Nick i Cassie chyba z piętnaście razy powstrzymują mnie, gdy chcę zadzwonić na policję albo do Marka. Wszystko wokół mnie wiruje; nastrój zmienia mi się co kilka minut: jestem to w euforii, to wściekła, to załamana. Nie mogę powstrzymać łez, spływają mi po twarzy, na T-shirt, we włosy.

Mój syn żyje!

Skłamałabym, mówiąc, że od początku to wiedziałam. W trakcie ostatnich czterech lat ludzie, którzy dysponowali jakąkolwiek władzą i mieli wgląd w moje życie, umieszczali je w kategorii „zmarowane możliwości”; nikt nigdy nie napomknął, że mogła nastąpić pomyłka, że być może jestem niewinna. Wiele razy śniło mi się, że Dylan żyje, ale nawet w snach nie wyobrażałam sobie, że tamtego dnia nie byłam sama z Dylanem albo że lekarze nafaszerowali mnie lekami, żebym nie zwariowała – że to wszystko było obrzydliwym kłamstwem.

Już nie wnिकam, kto ani dlaczego. Nie odstępuję mnie pytanie: jak? Jak to mogło się stać? Czy Dylanowi coś grozi?

– Ile lat?

Cassie podrywa głowę i uprzytamniam sobie, że odzywam się po długim milczeniu.

– Włosy na szczoteczce. Czy twój kuzyn wie, ile lat ma ta osoba?

Nick kręci głową.

– Nie da się tego określić. Powiedział tylko, że to nie jest trzymiesięczne niemowlę. Na pewno znacznie starsze dziecko.

– A zatem ta szczoteczka była używana na przykład pół roku temu, rok? Od tamtej pory mogło się z nim dziać cokolwiek. Wszystko mogło mu się

przytrafić przez te cztery lata! On powinien być przy mnie, a ja siedzę tu i piję pieprzoną herbatę!!!

Zrywam się z miejsca, rzucam kubkiem w ścianę naprzeciwko i wybucham płaczem; jasnobrązowa ciecz spływa łukiem na podłogę. Cassie podbiega, chwytając mnie w ramiona i przytula do swojego miękkiego kaszmirowego swetra. Szlocham rozpaczliwie w jej mocnych objęciach.

– Co teraz zrobimy, Susan?

To są jego pierwsze słowa od godziny, gdy siedzimy w kuchni. Pozwolił mi się wypłakać na piersi Cassie, zaparzył nam kawę i nie narzekał, że palę w pokoju gościnnym, jednego papierosa za drugim. Jest druga w nocy. Godzinę temu Cassie zasnęła na podłodze w tym pokoju, bo za nic nie chciała wracać do swojego domu. Nie wiem, czy obudziłam Nicka, idąc na dół, czy też w ogóle się nie kładł. Bez słowa zrobił mi gorącą czekoladę i usiadł naprzeciwko mnie przy stole. Przez cały czas miał taką minę, jakby chodziło mu po głowie coś, o czym za żadne skarby nie wspomni.

Jestem taka wyczerpana, że nawet nie mam siły wzruszyć ramionami.

– Przepraszam, że zabrudziłam ścianę.

– Któregoś dnia ją pomalujesz. Nie uciekaj od tematu. Trzeba podjąć decyzję, co robimy w tej nowej sytuacji.

– Chodzi ci o Marka?

Kiwa głową. Mam wrażenie, że minęły wieki od chwili, kiedy zajechałam pod swój dawny dom, gdy jeszcze sądziłam, że Dylan nie żyje, że go zabiłam.

– Teraz widzę to zupełnie inaczej – mówię z namysłem. – On starał się jak najszybciej wpuścić mnie do domu. Przypuszczałam, że ze strachu przed sąsiadami. Ale teraz zastanawiam się, czy nie ze strachu, że ktoś inny zauważy moją obecność.

Nick nie odrywa ode mnie wzroku. Wygląda na okropnie zmęczonego: ma opuchnięte i podkrążone oczy, zmarszczki w kącikach.

– Myślisz, że on wie? – pyta w końcu. – Wie, że nie zabiłaś Dylana? Do czego twoim zdaniem on jest zdolny?

Mówi spiętym głosem. Pochyla się ku mnie i mocniej zaciska dłoń na kubku. Co mam mu powiedzieć?

– To chyba niemożliwe. – Cały czas zadaję sobie tylko to pytanie. – Tak przekonująco wygłaszał mowę, jak znalazł Dylana... ale przecież nie mógł go znaleźć, tak? Skoro Dylan żyje.

Nick nie przypomina mi, że wyniki badania DNA są niepewne, że próbka może być zanieczyszczona. Ja z kolei nie wspominam o tym, ponieważ wiem, że mój syn żyje i że jestem niewinna.

– Chyba że się pomylił, stwierdzając, że dziecko nie oddycha – podsuwa inną ewentualność. – Przeżywał ogromny stres. Kiedy znalazł Dylana, mógł być przekonany, że on nie żyje. Myślał, że ty też. A jeśli coś się wydarzyło, gdy oboje już byliście w szpitalu?

Zastanawiam się nad tym.

– Na przykład ktoś go wykradł, a my oboje mieliśmy sądzić, że Dylan nie żyje? – O wiele bardziej wolałabym zaakceptować tę możliwość, niż podejrzewać choć przez chwilę, że Mark jest w to zamieszany. – Szalona koncepcja, ale cała ta sprawa nie mieści się w głowie.

– Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy twoim zdaniem mąż cię okłamał? Co wiesz o jego przeszłości? O jego rodzinie?

Wszystko, odpowiadam w duchu. Dopóki nie znalazłam jego zdjęć z tą tajemniczą kobietą, byłam przekonana, że o Marku Websterze wiem wszystko, co tylko można wiedzieć. Czy to cokolwiek zmienia, że nie wiedziałam o jego dziewczynie z czasów studenckich?

– Nie mam siły już o tym myśleć – mówię z ciężkim westchnieniem. – Muszę z nim porozmawiać, zapytać go... – Nadal chcę, żeby Mark objął mnie i powiedział, że razem sobie z tym poradzimy.

– To nie jest dobry pomysł. – W głosie Nicka pobrzmiewa stanowczy ton, może nawet natarczywy. – Skąd wiesz, czy to nie on dostarczył nam dzisiaj te zdjęcia? A jeśli kazał cię śledzić? Gdybyś zawiadomiła policję, mogliby...

– Mogliby uznać, że znowu oszalałam. I zamknąć mnie w zakładzie.

– Moim zdaniem i tak powinniśmy spotkać się jutro z panią Riley. W końcu to jej mąż wystawił kartę zgonu Dylana i to on zaginął cztery miesiące później. Ale teraz musimy odpocząć.

Wydaje mi się, że tej nocy już nie zasnę, ale gdy kładę się na łóżku, mając od strony nóg wyciągniętą na podłogę Cassie, powieki same mi opadają. Nie mogę sobie przypomnieć, o czym myślałam jeszcze przed paroma minutami, więc najwyraźniej zapadam w sen. W ciszy słyszę głos, tak wyraźnie, jakby mówiąca do mnie kobieta stała tuż obok: „Przyszłam ci pomóc”.

W głowie mam obraz, jak rzucam się do przodu, odpycham coś, kogoś. Bronię się, chcę kogoś przegnać, odpędzić daleko od siebie i mojego dziecka. Czyjeś ręce wyciągają się w moją stronę, upadam do tyłu i krzyczę. Potem obraz się zmienia: jestem na widowni w teatrze. Patrę na lewo i widzę człowieka w kasku rowerowym, z aparatem fotograficznym w ręce; na prawo widzę to samo; również z przodu. Cała sala jest pełna anonimowych ludzi, którzy robią mi zdjęcia. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdołam się od nich uwolnić.

Jack: 1 grudnia 1992

Zwłoki znaleziono trzy dni temu, a policja nadal wszędzie się kręciła. Dziewczyny wpadły w taką paranoję, że nie dało się wytrzymać. Pierwszego wieczoru po zaginięciu Beth było rozrywkowo – każda bała się o swoje życie. Ze strachu zachowywały czujność. Chciały, żeby odprowadzać je do domu, pod drzwi pokoju; dziękowały, że towarzyszy im ktoś, z kim czują się bezpiecznie. Teraz jednak, gdy rzeczywistość walnęła je między oczy, tak się przerażyły, że nie chciały już nigdzie chodzić. Każdy budził podejrzenia – oczywiście poza takimi ludźmi jak on.

Najlepsze były plotki. Dotarły do niego wszystkie: Beth spała z każdym, poczynając od wykładowców, a kończąc na facetach, którzy płacili jej za seks. Nikt nawet się nie domyślał, jak było naprawdę. Jack przypuszczał, że gdyby poszedł na policję i opowiedział, co się stało z Bethany Connors, ze śmiechem wyrzucono by go z komisariatu.

Kiedy Szekspir usłyszał, że znaleziono zwłoki Beth, kompletnie się załamał. Nie byli wtedy razem – mało prawdopodobne, że pocałowaliby się i szybko pogodzili – ale Jack widział z drugiego końca pokoju, jak zszarzała mu twarz i na czoło wystąpiły kropelki potu. Riley musiał go podtrzymywać – wprost niewiarygodne, zważywszy, jak bardzo sam się trząsał. A teraz Willy zwił do tatusia – żalosne. Richard Webster był wpływowym człowiekiem, ale nawet on nie mógł ściągnąć zamordowanej narzeczonej z zaświatów.

Jack musiał pogadać z Willym, upewnić się, że ten nie poleci na policję. Ludziom ciągle przydarzają się złe rzeczy; trzeba było wbić Szekspirowi do głowy, że z tego powodu nie warto pakować się w kłopoty. Przeboleje Beth, tak

jak przebolał Tanyę; znajdą mu jakąś nową laskę i znów będzie szczęśliwy jak świnia w błocie. To nie koniec świata.

35

Pani Riley mieszka pod Bradford, w fantastycznym nowoczesnym domu, z którego rozciąga się taki widok, że tylko pisać wiersze. Nie stoi na uboczu, więc denerwuję się, co pomyślą o naszej wizycie dość liczni sąsiedzi, choć nie podejrzewam ich o zdolności parapsychiczne. Ciągłe oczekuję, że zaraz ktoś wyłoni się z krzaków. Wrażenie, że jestem śledzona, nasiliło się po pobycie u Nicka, po moim wczorajszym śnie i po ostatnich informacjach. Od kiedy wiem, że syn żyje, przepełniają mnie zapał i determinacja – ciekawe, czy mój prześladowca wyczuwa tę zmianę? Czy obudził się dziś rano, wiedząc, iż pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła na myśl, było to, że go dopadnę, że już idę po mojego syna?

Doktor Riley niewątpliwie miał przyzwoite dochody albo małżonkowie odziedziczyli majątek. Jestem przekonana, że nawet przy wysokich zarobkach nie mogliby sobie pozwolić na taką perełkę i stojącego na podjeździe range rovera. Oczywiście nie mam pojęcia, z czego utrzymuje się pani Riley, ale możliwe, że nie doceniam biedaczki – kto wie, czy nie jest chirurgiem albo prawnikiem. Tak czy inaczej, cieszę się, że Cassie pojechała rano do siebie, bo to miejsce na pewno nie przypadłoby jej do gustu.

– Ładny dom – mówi pod nosem Nick. – Ciekawe, skąd mieli tyle pieniędzy?

Ten człowiek w każdej sytuacji pozostanie dziennikarzem śledczym. Widzę, że zaczynam myśleć jak on. Gdy zmierzamy do drzwi, pełna obaw, co nas czeka, mam ochotę wziąć Nicka za rękę, ale zwalczam pokusę i staram się iść trochę dalej od niego, na wszelki wypadek, gdybym odruchowo wyciągnęła rękę i kompletnie się poniżyła. Muszę sobie powtarzać, że jest ktoś, kto wierzy we mnie na tyle, żeby tu być.

– Gotowa? – pyta Nick.

Kiwam głową, mając nadzieję, że nie będę musiała często się odzywać. Zanim Nick zdąży zapukać, drzwi się otwierają, a my nie kryjemy zaskoczenia.

– Och, przepraszam – mówi natychmiast pani Riley, widząc nasze miny.

Ale to nie otwarcie drzwi nas zaskoczyło, lecz osoba, która w nich stała.

Pani Riley wygląda, wypisz wymaluj, jak gwiazda ekranu. Określenia „pani doktorowa” czy „opuszczona żona” kojarzą się z biedną starszą panią, a tu otwiera nam drzwi olśniewająca młoda statystka z serialu *Żony piłkarzy*. W duchu wyrzucam sobie, że uleciało mi z pamięci, ile lat miał doktor Riley – trzydzieści kilka, napisano w artykule – i że w swojej głupocie nie pomyślałam, iż wątpła starsza pani nie będzie jeździła range roverem, i że nie chciało mi się zmyć wczorajszego makijażu i nałożyć świeżego, ale tylko poprawiłam to, co zostało.

Wchodząc za panią Riley do domu, szybko przeczesuję palcami włosy, żeby choć trochę je okiełznać, i pocieram palcem skórę pod oczami, gdyby przypadkiem rozmazała się konturówka. Mark nigdy nie przejmował się tym, że nie jestem najbardziej wytworną kobietą, jaką kiedykolwiek znał. Krąży mi w głowie obraz pięknej rudowłosej, która oplata ramionami mojego byłego męża. Ona raczej nie musiała dbać o urodę. Jakież przeciwieństwo jego późniejszej żony, nieco pulchnej kobiety, której włosy nie poddawały się szczotce i prostownicy. Czy celowo dokonał takiego wyboru? Nie chciał, żebym w jakikolwiek sposób przypominała mu dawną kochankę? Czy zabrał mojego syna i do niej wrócił?

– Pomyślałam, że zaproponuję państwu lekki poczęstunek na werandzie. –

Pani Riley prowadzi nas do przestronnej oszklonej przybudówki, gdzie stoi nakryty śnieżnobiałym obrusem duży stół, a na nim są pięknie podane kanapki z ogórkiem, bajgle i dzbanki z zimną wodą.

– Bardzo pani dziękujemy, ale naprawdę nie trzeba było – mówi z pewnym zażenowaniem Nick.

Zastanawiam się, jak intensywnie ją kokietowałam, by zasłużyć na takie przyjęcie. A może ona chce odwrócić od czegoś naszą uwagę.

– Proszę, mówcie mi Kristy. – Gestem zaprasza nas do stołu. – Czego się napijecie?

Siadamy i częstujemy się kanapkami. Jak było do przewidzenia, Kristy – zapewne skrócona forma imienia Kristabelle albo Krystal, przez K – ledwie coś skubie i głównie sączy wodę z eleganckiej i niewątpliwie kosztownej szklanki.

– Mówiłeś, że mamy rozmawiać o Matthew – przechodzi w końcu do sedna.

Zwraca się wyłącznie do Nicka. Jestem zirytowana, że jak dotąd ledwie na mnie zerknęła i zachowuje się tak, jakby Nick przyszedł sam. Jej mąż zniszczył mi życie, więc mogłaby obdarzyć mnie, do cholery, spojrzeniem.

– Bardzo byśmy chcieli – odpowiada grzecznie Nick swoim najbardziej współczującym tonem. – Oczywiście jeśli to nie jest dla ciebie zbyt trudne.

Kristy milczy i dopiero teraz kieruje całą uwagę na mnie.

– To ty. Jesteś Susan Webster.

Nie pyta, tylko stwierdza fakt. Chyba lubiłam ją bardziej, gdy mnie ignorowała. O ile wiem, Nick użył mojego nowego nazwiska, gdy umawiał się z nią na spotkanie; powiedział, że zbieramy materiały do artykułu o stresie wśród personelu medycznego, i podobno mu uwierzyła. Najwyraźniej nie jesteśmy tacy sprytni, jak nam się wydaje.

– Tak – potwierdzam. – Przepraszam, że cię okłamaliśmy.

– Nie szkodzi – rzuca obojętnie. – Domyśliłam się, jak tylko zobaczyłam was w drzwiach. Gdybym nie chciała z wami rozmawiać, po prostu bym was nie wpuściła.

– Co cię skłoniło?

– Ciekawość – przyznaje bez żenady, a ja czuję się jak aktorka drugiego planu. – Osławiona Susan Webster staje na moim progu w towarzystwie reportera i chce rozmawiać o Mattym. Na twoim procesie mój mąż po raz ostatni składał zeznania. – Kristy mówi to z bólem i być może nie udaje. Może nie ma pojęcia, że jej mąż był kłamliwym draniem. – Od początku zastanawiałam się, czy te sprawy nie są powiązane. Nieustannie miałam w pamięci twoją twarz; ilekroć zamknęłam oczy, wracała. Przez lata obarczałam cię winą za jego zniknięcie.

A to dobre.

– Teraz już nie? – pyta Nick.

– Nie. – Unika mojego spojrzenia. – Im dłużej o tym myślałam, tym mniej to miało sensu. Matthew nieraz zajmował się trudnymi i przykrymi sprawami i nigdy nie oddziaływały na niego tak jak ta. Powodem musiało być coś jeszcze, o czym nie wiedziałam. Być może obarczyłam cię winą, żeby zrzucić winę z siebie. Może nie dostrzegłam tego, co miałam przed nosem.

– A zatem uważasz, że zniknięcie twojego męża nie miało związku z procesem? Choć nastąpiło niedługo potem?

– Nie mogło mieć związku. On tylko zeznał prawdę, zgodnie ze swoją wiedzą. To, co cię spotkało, to znaczy wyrok skazujący, nie zależało od niego. Ale wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego Matthew nas zostawił. Policja badała naszą sytuację finansową, wypytywała o nasze wzajemne relacje i nic nie odkryła. Matthew odziedziczył duży majątek po pradziadku, co zapewniło nam, jak widać, dostatnie życie. Wiedziałam, że śledztwo idzie niewłaściwym tropem, ale byłam tak wstrząśnięta, że nie zadawałam pytań, i nawet dzisiaj nie wiem, o co mogłabym pytać.

– Nie miałaś nigdy wrażenia, że twój mąż wie o śmierci Dylana Webstera więcej, niż przyznaje? – pyta łagodnym tonem Nick.

Kristy czerwienieje na twarzy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że miał coś wspólnego ze śmiercią dziecka?

– Nie sugeruję...

– Dokładnie to sugerujesz! Co ona ci nagadała? – Wymierza we mnie oskarżycielski palec. – Cokolwiek wydaje się tej kobiecie, jest nieprawdą. Ona kłamie.

Teraz ja dostaję wypieków. Krew uderza mi do głowy i czuję świdrujące spojrzenie Nicka, które nakazuje mi zachować spokój. Niczego nie obiecywałam temu facetowi.

– A cóż tobie się wydaje, Kristy? Chcesz mi powiedzieć, że nie masz pojęcia, dlaczego twój mąż dał nogę?

Kristy wstaje z krzesła.

– Nadal nie pojmuję, co tu robicie, ale jeśli próbujecie insynuować, że mój mąż był w jakiś sposób zamieszany w śmierć tego dziecka, lepiej sobie idźcie.

Przykro mi z powodu tego, co panią spotkało. Depresja poporodowa nie jest powodem do wstydu. Szkoda, że nie otrzymała pani należytej pomocy w odpowiednim czasie. Ale jeśli wydaje się wam, że będę wysłuchiwać, jak szargacie imię Matthew, to jesteście w błędzie. – Sięga po moją torebkę i wciska mi ją do ręki. – Wynoście się.

36

– Jedziemy do kancelarii Rachael – zarządzam, gdy już siedzimy w samochodzie. – Skoro tu jesteśmy, szkoda byłoby nie skorzystać z okazji i nie porozmawiać z panią mecenas.

– To na pewno dobry pomysł? Biorąc pod uwagę, w jakim jesteś nastroju.

Znowu patrzy na mnie z troską. Początkowo spoglądał tylko przelotnie, ale jeśli zaczniesz się tak gapić, będę musiała ostro zareagować.

– Masz lepszy? – pytam. – Spotkanie z panią Riley było kompletną katastrofą! Spodziewałaś się, że ona, ot tak, przyzna, że wie, co się stało z Dylanem? A może umyśliłaś sobie, że ja będę złym gliną, a ty dobrym?

Bez słowa skręca w lewo.

Kancelaria Adwokacka ZBH mieści się w wysokiej starej kamienicy, natomiast wewnątrz, jak wiem, wygląda zupełnie inaczej. W przestronnej, wyłożonej marmurem recepcji stoi lśniące białe biurko, za którym siedzi wyniosła blondyna, równie nieskazitelna jak całe umeblowanie.

– Chcemy się zobaczyć z Rachael Travis – oznajmiam.

Kobieta rozpoznaje mnie w jednej chwili, choć nigdy się nie spotkałyśmy. Wiedzieli, że przyjdę?

– Pani Webster, prawda? Jest pani umówiona? – pyta.

– Nazywam się Cartwright – odwarkuję. – Nie, nie jestem umówiona. Byliśmy w pobliżu i postanowiliśmy zajrzeć do starej znajomej. Mogłaby pani ją powiadomić?

Spodziewam się słownych przepychanek, ale kobieta podnosi słuchawkę i wystukuje numer wewnętrzny. Z kilku jej słów wnioskuję, że Rachael nie jest zaskoczona tą wizytą i nie wyraża sprzeciwu. Zapewne zaalarmował ich telefon od Cassie, która podając się za mnie, poprosiła o akta procesowe. Brak

oporu ze strony Rachael upewnia mnie, że nic od niej nie wyciągnę. Jak ją znam, zacznie recytować przygotowane zawczasu oświadczenie.

– Pani Travis przyjmie państwa – oświadcza mała sztywniara i wraca do swoich papierków.

Gabinet Rachael mieści się na czwartym piętrze. Na górze wita nas ciepłym uśmiechem Tamsin, asystentka Rachael.

– Dzień dobry, Emmo. – Używa mojego nowego imienia, co od razu mnie ujmuje. Rozmawiałam z nią jedynie przez telefon, ale zawsze była naturalnie ciepła i przyjaźnie nastawiona, nigdy nie przybierała moralizatorskiego tonu, jak to miało w zwyczaju wielu pracowników kancelarii. – Miło wreszcie poznać cię osobiście. Co słychać?

– Wszystko w porządku, dziękuję. A u ciebie, Tamsin?

– Jakoś leci – odpowiada swobodnie. – Pani Travis oczekuje was.

– Dzięki.

Gabinet Rachael jest cały w drewnie – szyk i elegancja. Regały z równiutkimi rzędami książek prawniczych, zapewne w ogóle nieczytanych, za ciężkim drewnianym biurkiem wygodny fotel. Rachael stoi przy oknie, odwrócona plecami do drzwi, choć na pewno słyszała, że weszliśmy. Mija chyba minuta, zanim spojrzy na nas, bez śladu uśmiechu. Jej twarz wygląda inaczej, niż to zapamiętałam. Rysy są takie same – ostre i kanciaste – wystające kości policzkowe, doskonale zrobiony makijaż, duże brązowe oczy o migdałowym kształcie. Fryzura się zmieniła – jest krótsza, ma ostrzejszą, trochę skośną linię. Najbardziej uderza mnie wyraz twarzy. Kiedy byłam w Oakdale, Rachael przynosiła mi czekoladowe muffinki i papierosy, nową bieliznę i notatniki. Mam w pamięci, jak się uśmiechała, jak brała mnie za rękę, oparta o plastikowy blat stołu w rozmównicy, przypalony petami i pełny bazyli, jak z zapalem opowiadała o wniesieniu apelacji, co nic nie dało z braku świeżych dowodów. Pamiętam, jak ścisnęła mnie za ramię, cicho i pokrzepiająco mówiła mi, że dobrze wyglądam, że jestem taka dzielna, a było to jeszcze w początkowym okresie, kiedy nie odpowiadałam jej ani słowem.

– Cześć, Susan. Jak ci się wiedzie na wolności? – Mówi takim tonem, jakby w ogóle jej to nie interesowało; rzuca słowa i nie czekając na odpowiedź,

odwraca się do Nicka i wyciąga wymanikiowaną dłoń. Przelatuje mi przez głowę pytanie, ile kobiet chce mi dzisiaj pokazać, jaka jestem zaniedbana i nieatrakcyjna. – Rachael Travis – przedstawia się. – Z kim mam przyjemność?

– Nick Whitely.

Ściska jej rękę, ale nie odpowiada uśmiechem na jej fałszywy uśmiech. Puszę się z zadowolenia.

– Whitely. – Rachel zastanawia się chwilę. – Nazwisko brzmi znajomo, ale nie przypominam sobie pana, o ile spotkaliśmy się wcześniej.

– Zajmowałem się procesem Susan. Ale chyba nie robiłem z panią wywiadu.

– To musiało być wtedy. – Odwraca się gwałtownie w moją stronę. – Co mogę dla ciebie zrobić? Chyba nie potrzebujesz znów karnistki, tak szybko? – Uśmiecha się, jakby mówiła żartem, ale żartobliwie to nie brzmi.

– Nie, jeszcze nie. – Mam nadzieję, że w tych słowach da się wyczuć groźbę. Jeśli Rachael ją wyczuła, nie daje tego po sobie poznać, więc zmierzam do sedna sprawy. – Przeglądałam akta procesowe i jest kilka kwestii, które chcę omówić z tobą osobiście.

– Gemma wspomniała mi, że wnioskowałeś o te dokumenty. – Aha, to recepcjonistka na mnie nakablowała. – Co cię trapi?

Gestem wskazuje nam krzesła, a sama przysiadła na krawędzi biurka, co większości ludzi może wydawać się przejawem swobody i bez troski, ale ja wiem lepiej. Dzięki temu nadal patrzy na nas z góry, dominuje nad nami, pozostaje karnistką.

– Gdy umarł mój syn, miałam w organizmie narkotyk. – Biorę wdech i spoglądam na Nicka, a on kiwa głową na znak, żebym mówiła dalej. – Ketaminę. Dowiedziałam się, że ten środek mógł mnie obezwładnić, ale o jego obecności we krwi w ogóle nie wspomniano na procesie.

Rachael nie wydaje się zaskoczona moim odkryciem. No jasne, przecież wiedziała o tym.

– Ketamina jest narkotykiem imprezowym. Gdybym powiedziała, że stwierdzono jego obecność w twoim organizmie, kiedy umarł Dylan, oskarżyciel natychmiast by uznał, że zabiłaś dziecko, będąc na haju. – Staram

się nie marszczyć i nie krzywić, gdy to słyszę. – Powinnaś dziękować szczęśliwej gwiazdzie, że prokurator nie natknął się na tę informację. Dzieciobójczyni cierpiąca na depresję brzmi o niebo lepiej niż dzieciobójczyni naćpana.

Tylko spokój. Licz do dziesięciu. Nie płacz. Nie rzuć się na nią.

– Ale to mogło wskazywać, że ktoś jeszcze był wpłątany w tę sprawę.

Rachael nabiera głęboko powietrza.

– A zatem dlatego złożyłaś mi wizytę, Susan. Wiem, że trudno ci pogodzić się z tym, co zaszło. Jeden Bóg wie, jakim ciężarem jest świadomość, że skrzywdziło się własne dziecko. Ale nikt inny nie był zamieszany w sprawę śmierci Dylana.

I pomyśleć, że uważałam tę kobietę za swoją sojuszniczkę. Gdy taka zimna i opanowana stoi teraz naprzeciwko mnie i tak swobodnie wypowiada imię mojego syna, zaczyna się we mnie gotować. Jak ona śmie mówić w taki sposób, jakby знаła Dylana? Całą siłą woli powstrzymuję się, by nie krzyknąć i nie rzucić jej w twarz wyników badań DNA, które mam w kieszeni. Przez chwilę boję się odezwać. Rachael najwyraźniej przyjmuje moje milczenie jako przyznanie jej racji i śmiało serwuje nam swoją amatorską psychologię.

– Ludzie, którzy doświadczyli takiej traumy, nieraz przechodzą przez fazę intensywnego zaprzeczenia. Szukają winnego poza sobą. Może ci się wydawać, że sabotowałam twój proces... nie tobie pierwszej, to całkowicie naturalne odczucie. Musisz jednak pamiętać, że prowadziłam tysiące spraw i jeśli w twoim wypadku pominęłam jakąś kwestię, miałam po temu powód.

Ten jej protekcyjny ton, wywyższanie się, to „ja wiem lepiej, jesteś podręcznikowym przestępcą”, nie pomaga mi stłumić gniewu. Staram się niezauważenie uspokoić oddech. Jeśli się wścieknę, nie będzie z tego żadnego pożytku.

– A orzeczenie doktora Choudry’ego? – pytam spokojnie. – Nie warto było o tym napomknąć? Kiedy tamta kobieta opowiadała przed całą salą o mojej ostrej depresji poporodowej, nie warto było wspomnieć, że mój lekarz domowy, który znał mnie od dziecka, stwierdził, że nic mi nie jest?

Pani mecenas również na to jest przygotowana. Spogląda błagalnie na Nicka, niewątpliwie przekonana, że jej kobiecy urok na niego podziała silniej.

– Doktor Choudry był skompromitowany. Jedna z jego pacjentek cierpiała na psychozę poporodową, a on ani nie zdiagnozował jej stanu, ani nie podjął skutecznego leczenia, co skończyło się tragicznie. Można było się spodziewać, że zaświadczy o dobrym stanie zdrowia Susan, bo po prostu będzie chciał ukryć własne błędy. Gdybym wezwała go na świadka, nic by to nie dało. Co więcej, przesłuchanie przez oskarżyciela byłoby końcem jego kariery zawodowej. – Rachael przenosi na mnie wzrok. – Tego byś chciała, Susan?

– Skądże – przyznaję niechętnie.

Nie przyszło mi do głowy, jak mój czyn zaważył na karierze doktora Choudry’ego. Mark, doktor Choudry, doktor Riley i jego rodzina... Ile jeszcze osób ma zrujnowane życie? Staram się myśleć o tym, co nas tu sprowadziło. Wiem, że Dylan żyje, że go nie zabiłam i że nie jestem odpowiedzialna za nieszczęścia, które spotkały tych ludzi. Boże, tak bardzo chcę wierzyć, że to prawda!

– To nie wszystko – ciągnie Rachael. – Staraliśmy się udowodnić, że naprawdę byłaś w depresji. Gdybyśmy powołali świadków, którzy zeznaliby, że nic ci nie dolegało, i tak orzeczono by twoją winę, ale trafiłabyś do więzienia na dwadzieścia lat.

– Słuszna uwaga, pani mecenas. – Nick mięknie.

Przez chwilę mam wrażenie, że poddaje się i chce stąd iść. Istotnie, Rachael ma słuszość. Może rzeczywiście szukam winnego. Zanim dostałam zdjęcie z imieniem mojego syna na odwrocie, sądziłam, że wywiązała się ze swojego zadania jak najlepiej. Może po prostu jest gównianą prawniczką. Ale Nick ma jeszcze coś do powiedzenia.

– Skoro zechciała pani poświęcić nam czas, czy moglibyśmy prosić o wyjaśnienie jeszcze jednej kwestii?

Teraz Rachael jest zaskoczona – i ja też, choć staram się tego nie okazać. Nie rozważaliśmy żadnych innych „kwestii”.

– Słucham – mówi przez zęby.

– Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego dzwoniła pani siedemnaście razy do domu państwa Websterów w tygodniu poprzedzającym proces, kiedy pani Webster przebywała w szpitalu i poddawała się leczeniu rzekomej depresji?

Szczęka mi opada. Rachael mruga kilkakrotnie i spogląda na mnie. Nick ma ją w garści!

– Pojawiły się jakieś problemy... hm, finansowe – odzywa się po chwili Rachael. Honoraria adwokackie były opłacane z naszego wspólnego konta i nie słyszałam o żadnych „problemach”. – Pan Webster uważał, że lepiej nie kłopotać Susan sprawami finansowymi, i załatwiał te sprawy bezpośrednio ze mną.

– Naprawdę? – Nick udaje zdziwienie. – Pan Webster wyjaśnia to inaczej. Powiedział nam, że starała się pani wszelkimi sposobami gromadzić dowody, aby pomóc Susan.

Czy on rozmawiał z Markiem? Dlaczego nic o tym nie wiedziałam? Rachael, na swoje szczęście, szybko się reflektuje, ale widzę, że w duchu pluje sobie w brodę.

– Oczywiście. To też było powodem moich telefonów. Nie rozumiem, dlaczego tak się pan tym interesuje. Mówił pan, że kim jest?

Wyraźnie daje do zrozumienia, że nasza pogawędka się skończyła. Nick, nie tracąc zimnej krwi, podnosi się z krzesła i mówi to głośno. Jestem taka oszołomiona, że ledwie mogę wydukać „Do widzenia”.

– Skąd ci to, kurwa, przyszło do głowy? – naskakuję na niego, gdy tylko zamykamy za sobą drzwi i Tamsin z całą pewnością nas nie słyszy.

Zanim Nick zdąży cokolwiek powiedzieć, otwierają się drzwi naprzeciwko nas i pojawia się w nich twarz, która mogłaby wyprawić w morze tysiąc okrętów.

– Zdaje się, że słyszałem głosy. – Mężczyzna uśmiecha się, a mnie serce zaczyna szybciej bić.

– Nie nasze – odpowiada Nick, bardzo nieuprzejmie.

Widzę, że nie dogaduje się z innymi ładnymi chłopcami. Facet marszczy czoło.

– Dziwne. Zaraz, zaraz, czy to Susan Webster?

Nim zdążę otworzyć usta, Nick staje przede mną.

– Kim pan jest?

Tamten zerka na Nicka i przenosi wzrok z powrotem na mnie.

– Rob Howe. – Wyciąga rękę, a gdy podaję mu dłoń, przytrzymuje ją ciut dłużej, niż wypada. – Jestem literą „H” w ZBH. – Ruchem głowy wskazuje wielkie litery na ścianie. – Proszę mi mówić po imieniu.

– Szef Rachael? – pytam, a on reaguje śmiechem na moje zdziwienie. – Myślałam, że to będzie ktoś...

– Nie aż tak zabójczo przystojny?

Nick odchrząkuje. Ja się rumienię, Rob się nie rumieni.

– W starszym wieku – kończę zdanie.

– Musimy już iść, Susan. – Nick trąca mnie w ramię.

– Miałabyś czas zamienić ze mną kilka słów? – Rob Howe patrzy znacząco na Nicka. – W cztery oczy.

Czuję, że Nick zamierza się sprzeciwić, więc szybko mówię do niego:

– Zobaczymy się przy samochodzie.

– Wiesz, co robisz?

– Nie żartuj, Nick. Co może mi się stać na korytarzu w kancelarii adwokackiej?

Wzrusza ramionami, jakby mógł wymienić milion rzeczy, ale wie, że nie odniosłoby to skutku.

– Dobrze, będę czekał przy samochodzie.

Odprowadzamy go wzrokiem.

– On jest trochę nadopiekuńczy – stwierdza Rob. – Kto to taki? Brat? Przyjaciel?

Nie chcę wyjawiać zbyt wiele, więc tylko kręcę głową.

– Przyjaciel. Po prostu czuwa nade mną. Przepraszam za jego zachowanie.

– Nie ma powodu przepraszać. – Mówi półgłosem, muszę więc podejść bliżej, żeby go słyszeć. Pachnie ekskluzywnymi perfumami i tak też wygląda w doskonale skrojonym garniturze od Armaniego. Chyba nie przekroczył jeszcze czterdziestki, jest dobrze zbudowany, ma idealnie ogoloną twarz i rysy jak wyrzeźbione wprawną ręką. – Świetnie, że ktoś się tobą opiekuje. Proszę, wejdź, moja asystentka poszła na lunch. – Popychając drzwi swojego gabinetu, kiwa głową w stronę pokoju Rachael, przy którym wciąż stoimy.

– Naturalnie.

W środku jest tak jak u Rachael: dużo eleganckiego drewna, oprawione w skórę tomy i dodatkowo świadectwa na ścianach, z wykaligrafowanym imieniem i nazwiskiem: „Robert Lewis Howe, sp. z o.o.”.

– Żałuję, że nie miałem sposobności poznać cię, gdy rozpoczął się proces. – Choć pomieszczenie jest obszerne, nadal stoi blisko mnie. – Kiedy twój mąż skontaktował się z naszą kancelarią, chciałem wziąć tę sprawę, ale Rachael nalegała, a twój mąż ją poparł. Odniosłem wrażenie, że się znają.

– Jeżeli tak było, nigdy mi o tym nie mówił.

Rob kręci głową.

– Tego się obawiałem. Może nie powinienem się wtrącać, ale od początku czułem, że o czymś nam się nie mówi w twojej sprawie. Pan Webster coś przed nami ukrywał. Jeśli opowiadam bzdury, proszę...

– Nie – odzywam się, może trochę za szybko. – To znaczy, jeżeli uważasz, że powinnam o czymś wiedzieć, wolałabym to usłyszeć.

– Nie wiem, o co konkretnie chodziło. Mam tylko takie wrażenie. Żadnych dowodów. Jeśli się zgodzisz, mogę ponownie przejrzeć twoje akta i zobaczyć, czy coś zwróci moją uwagę. Chyba że wolisz do tego nie wracać. Doskonale rozumiem, że chcesz zacząć od nowa, zapomnieć o tych wydarzeniach.

Jak mu powiedzieć, że to nie jest możliwe, i jednocześnie nie wyjawić mu, że wiem, iż Dylan żyje? Zamiast tego mówię:

– Dobrze, przejrzyj. Jeśli coś znajdziesz... – sięgam po długopis na biurku, chwytam Roba za rękę i na spodzie jego dłoni piszę cyfry – ...to mój numer telefonu.

Patrzy w dół i uśmiecha się od ucha do ucha.

– Tu są tony papieru, a ty piszesz mi na rękę? Przypominają mi się szkolne lata.

Czuję, że się rumienię.

– Przepraszam, głupio z mojej...

– W porządku. – Łaska boska, że to go bawi. – Może pójdziemy któregoś dnia na drinka? Zrozumiem, jeśli nie... To znaczy...

Wali mi serce. Nie wiem, czy to na myśl o drinku z Robertem Howe'em, o prawdziwej randce – wino, pogawędka, potem może spacer do domu... pocałunek? – czy też na myśl, że nie przyjmę zaproszenia. Choćby był

najatrakcyjniejszym mężczyzną na świecie, moje życie jest teraz zbyt poplątane, żebym zaprzętała sobie głowę takimi zwykłymi sprawami jak umawianie się z facetem na randki. Jak by to wyglądało? „Miałaś udany dzień, kochanie?” „Świetny, skarbie, rano porozmawiałam sobie z żoną tego zaginionego lekarza, a po południu szukałam mojego syna, który wcale nie umarł”.

Nie, z całą pewnością nic by z tego nie wyszło.

– Przykro mi – mówię, uprzytamniając sobie, że on czeka na odpowiedź. – Tyle się u mnie dzieje. Staram się na nowo przystosować do realnego świata... To nie jest dobry moment na randki.

Rob przyjmuje to bez mrugnięcia powieką. Może wcale nie jest zawiedziony? A może składa taką propozycję każdej napotkanej kobiecie, na wszelki wypadek?

– Oczywiście. – Uśmiecha się. – Ale gdybyś zmieniła zdanie... – Bierze ode mnie długopis, odwraca moją rękę i pisze na spodzie numer telefonu. – Mój jest taki. Dzwon. O dowolnej porze.

Czuję mrowienie w miejscu, gdzie mnie dotknął. Oj, czas się wynieść.

– Dziękuję za gotowość do pomocy. Muszę iść. Mój przyjaciel zapewne obstawił już cały budynek. Dzięki, wielkie dzięki.

Kompromituję się, bełkoczę trzy po trzy, a Rob znów się uśmiecha. Niemal wypadam z gabinetu i pędzę w dół schodami. Mam nieodparte wrażenie, że Rob nie ruszył się z miejsca.

– O co chodziło? – pyta Nick, gdy siadam obok niego w samochodzie.

– Chce pomóc. – Na tyle mogę się zdobyć.

– Nie powiedziałaś mu...

– Nie, nic. – Jak na prawdomówną osobę odpowiadam trochę za szybko. Nie wiem, czy zauważył numer telefonu na mojej ręce, ale nic o tym nie mówi. – Powiesz mi, skąd wiedziałaś, że ona dzwoniła do Marka?

– W jego notesie z adresami był jej numer. Zarzuciłem sieć i dała się złapać. Te siedemnaście telefonów wymyśliłem, ale najwyraźniej dzwoniła wielokrotnie, bo inaczej powiedziałyby, że nie wie, o co mi chodzi. Łut szczęścia.

– A kiedy rozmawiałaś o tym z Markiem?

– W ogóle nie rozmawiałem. – Patrzy na mnie jak na tępaka. No cóż, nie jestem inspektorem Morse'em. – To był blef. Mogę się założyć, że ona dzwoni teraz do niego, wściekła, że dała się nabrać. Chciałbym zobaczyć jej minę.

– Jak myślisz, po co tak naprawdę do niego telefonowała? Z jej honorariami nie było żadnych problemów. – Zważywszy na wpisy w księdze rachunkowej Marka, to wytłumaczenie wydaje się absurdalne. – Poza tym nie powinna chyba rozmawiać z człowiekiem, który jest jednym z głównych świadków.

– Bez dwóch zdań – przytakuje Nick. – Może to trochę kłopotliwe pytanie, ale czy myślisz, że...

– Nie wiem – mówię ze smutkiem, zgadując, o co mu chodzi. – Pytasz, czy spali ze sobą. Odpowiedź brzmi: nie wiem. Ja już w ogóle nic nie wiem.

– Może twój były mąż nie jest taki święty, jak ci się wydawało.

Zaledwie przez ułamek sekundy zastanawiam się, co to ma, do licha, znaczyć. Nick nic nie wie o Marku, o naszym wspólnym życiu. Ja znam swojego byłego męża. Dobrze go znam.

Jesteśmy z powrotem u Nicka. Od przyjazdu tutaj czuję, że coś go dręczy. Nie może znaleźć sobie miejsca, porządkuje różne rzeczy, choć nie ma takiej potrzeby, poza tym trzy razy gdzieś dzwonił, ale z kuchni, więc słabo go słyszałam. Oddycham z ulgą, kiedy w końcu mówi:

– Posłuchaj, muszę coś załatwić.

– Jasne, nie ma sprawy. Chcesz, żebym poszła na zakupy albo coś w tym rodzaju?

Silę się na swobodny ton, ale wolałabym wiedzieć, co takiego ważnego ma do załatwienia. Z egoistycznych pobudek chcę go mieć przy sobie (czy może być coś ważniejszego niż to, co teraz przeżywam?), ale zdaję sobie sprawę, jakie to głupie, i nie zamierzam wyjść na rozkapryszonego dzieciaka. Nie wolno mi zapominać, że już poświęcił mnóstwo czasu kompletnie obcej osobie i na pewno ma inne obowiązki. Zgadza się? Tylko dlaczego nie powie jakie?

– Nie, zostań. Jeśli wolisz. Czujesz się tu bezpiecznie, prawda?

Czy on nie ruszy się stąd, jeżeli powiem „nie”? Nie chcę wystawiać go na próbę, więc mówię „tak”. Nie będę udawać mimozy.

Po wyjściu Nicka krążę po domu, jakbym szukała zajęcia, staram się nie patrzeć na kocyk Dylana, który włożyłam do torby po tym, jak przyniosła go Carole. Wyobrażam sobie, że Dylan ma cztery lata, radośnie buja się na huśtawce w jakimś nieznanym mi miejscu. Odpycham od siebie myśl, że wychowuje go ktoś inny, że on do kogoś innego mówi „mamusiu”; wolę planować, co będziemy razem robić, kiedy go odnajdę. Bo na pewno tak się stanie.

Dzwoni moja komórka. Cassie.

– Cześć. Jak się czujesz po wczorajszym wieczorze?

Nie mówię jej, że bolą mnie oczy, twarz mam ściągniętą od łez i głowa mi pęka od nawalu myśli. Żeby jej nie martwić, przemilczam, że czuję się jak samochód, który jedzie na luzie autostradą. Mówię tylko:

– W porządku, naprawdę. Widzieliśmy się dzisiaj z Rachael.

– No i? Jak poszło z Cruellą?

Uśmiecham się. Ta nigdy nie przebiera w słowach.

– Dobrze. Całkiem dobrze, choć przygnębiająco. Gorzej było u pani Riley.

Kiedy jej relacjonuję przebieg wydarzeń, wyczuwam, jaka jest sfrustrowana, przebywając tak daleko i nie mogąc w niczym pomóc.

– Obiecuję, że będę cię informować na bieżąco. Codziennie. Poczujesz się, jakbyś tu była.

Pociąga nosem.

– Czyli nie przyjdiesz jutro do schroniska, tak?

Cholera, już sobota? Połowie mojego umysłu wydaje się, że dostałam tę małą brązową kopertę wieki temu, a drugiej połowie, że było to zaledwie wczoraj. Ten tydzień po prostu przeleciał mi przed oczami jak migawka z jakiegoś hitu kinowego.

– Przepraszam, Cass, możesz mnie usprawiedliwić? Widzisz, jaka jest sytuacja, prawda? Muszę to doprowadzić do końca. Nie wrócę do domu, dopóki nie znajdę Dylana. Gdy już będzie po wszystkim, zaproszę cię do restauracji na pieczeń wołową, obiecuję.

– No tak, jasne. Oby do takiej, gdzie pieką i kroją mięso na moich oczach – burczy. – Jutro koniecznie zadzwoń. Chciałabym być tam z tobą, ale chyba zawadzam.

– Nie gadaj głupot. Wczoraj byłaś rewelacyjna. Wiem jednak, że musisz pomieszkać w swoim domu.

Ledwie się rozłączyłyśmy, sięgam po pióro i kartkę. Sporządzanie list zawsze pomagało mi w życiu – kiedy jeszcze je miałam. Oby teraz też pomogło. Spisuję wszystkie fakty dotyczące śmierci Dylana. W aktach sprawy znajduję dokładnie to, czego mój umysł nie pozwala mi sobie przypomnieć, dokładnie to, co się działo w lipcu 2009 roku. Choć nie, wcale nie dokładnie.

Nigdzie bowiem nie znajduję wyjaśnienia, w jaki sposób można było znaleźć ślady DNA mojego syna na tej szczoteczce, cztery lata po jego śmierci.

Pamiętam, że byłam bardzo wyczerpana, przygnębiona. Czym? Co mnie tak przybiło tamtego dnia? Coś w związku z wizytą pielęgniarki środowiskowej... powiedziała coś, co mnie zirytowało, świadczyło, że jestem złą mamą, ale za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć, co to było. Wróciłam do domu i położyłam się razem z synem, żeby się zdrzemnąć. Zaraz, zaraz, najpierw zrobiłam sobie herbatę, w tym czasie on leżał na materacyku, szturchając nóżkami biedronkę, która wisiała na pałku nad nim. Nakarmiłam Dylana, poczekałam, żeby mu się odbiło... Już wiem! Pielęgniarka zapytała, dlaczego przeszłam na butelkę. Zachowała się naprawdę bezdusznie, zważywszy, co przeżywałam, starając się karmić piersią. Aż gotowałam się ze złości, gdy tamtego dnia dawałam Dylanowi butelkę... potem położyłam go w koszu przy kanapie i... biała plama. Pierwsze, co następnie do mnie dotarło, to przebudzenie się w szpitalu, dwóch policjantów pod drzwiami mojego pokoju i tłum dziennikarzy przy wejściu.

Nic więcej? Majaczą mi się mgliste sceny ze snu, który nieraz się powtarzał, rozmowy i kłótnie jakichś ludzi. Czy to mi się śniło, czy też działo się naprawdę? Mogło dziać się naprawdę: Mark był przy nas pierwszy; gdy zobaczył martwego syna w koszu i mnie z poduszką w ręce, zapewne wybuchnął płaczem, uznał, że ja zabiłam dziecko. Ta sytuacja jest opisana czarno na białym w aktach sądowych, ale coś się nie zgadza, tylko nie wiem co. Dlaczego nie potrafię sobie tego dokładnie przypomnieć? Dziwne. Inne dni pamiętam jasno i wyraźnie. Jak pokazałam Dylanowi robotników, którzy robili porządki w pobliskim parku. Jak poszłam na grób mojej mamy, żeby położyć tam zdjęcie Dylana i taty. Przede wszystkim na tej podstawie lekarze zdiagnozowali u mnie psychozę: całkowity zanik pamięci, jeśli chodzi o śmierć syna. Co nie zmienia faktu, że panią doktor Thompson ciągle dręczyła myśl – czułam to – że symuluję, licząc na okoliczności łagodzące.

Wyjmuję z torebki aspirynę, żeby powstrzymać pierwsze objawy migreny, i łykam parę tabletek. Później, bez wahania, biorę butelkę wina z niewyczerpanych zapasów Nicka. Po tym, co przeszłam, niewątpliwie

zasługuję na kieliszek, no i przestanę mi się trząść ręce. Nick powinien wkrótce wrócić i dopijemy wino razem.

Jack: 16 grudnia 1992

Trzymaj się, Jack. Tyle masz już za sobą, więc teraz niczego nie spieprz.

Widział, że sytuacja się pogarsza, i musiał coś zrobić. Szekspir nie wracał do Durham – po historii z Beth kompletnie się załamał, więc jego ojciec pociągnął za sznurki, żeby syn zrobił dyplom zaocznie. Jack przebywał w komisariacie, gdzie miał być przesłuchany w sprawie zabójstwa. Boże, te gliny błądziły po omacku, to pewne.

Nie jestem tu jako podejrzany. Przyszedłem z własnej woli.

Powtarzanie tych dwóch zdań jak mantry pozwoliło mu zachować spokój, lepiej panować nad sobą. Oficer dochodzeniowy, który prowadził sprawę, zaproponował, że przyjdzie i przesłucha go na uczelni, zważywszy na pozycję jego rodziny, ale Jack stanowczo odmówił, twierdząc, że nie chce korzystać z żadnych przywilejów. Obok niego siedział adwokat, zarazem najbliższy przyjaciel jego ojca. Śledczy powiedział, że obecność prawnika nie jest potrzebna, ale ojciec nigdy by nie pozwolił Jackowi przestąpić progu komisariatu policji bez Jeremy'ego u boku.

– A zatem dobrze znałeś Bethany Connors, tak?

Jack spojrzał na Jeremy'ego, a ten kiwnął głową.

– Właściwie niezbyt dobrze. Była dziewczyną mojego przyjaciela...

– Narzeczoną – poprawił go policjant.

Pieprzony debil, co za różnica?

– Tak. Oczywiście. – Jack uśmiechnął się oschle. – Widziałem ją zaledwie parę razy.

Sledczy odpowiedział mu uśmiechem. Ilekroć pochylał się do przodu, swoim tłustym brzuchem popychał stół w stronę Jacka. Miał ciemne włosy, ulizane i przetłuszczone, najwyraźniej niemyte od kilku dni, i nieogoloną twarz. Facet pracował po godzinach, ale nic więcej z niego nie wydobydzie, Jack dawał za to głowę.

– Kilka koleżanek Beth napomknęło, że się w niej podkochiwałeś.

Jack westchnął. Hysteryczki zawsze będą, kurwa, melodramatyzować.

– Uważałem, że jest atrakcyjna. Pan ją przecież widział, no nie? Wąska talia, cycki takie, że można by na nich stawiać miski z płatkami śniadaniowymi... –

Jeremy odchrząknął. – Przepraszam – bąknął Jack, udając skruszonego i powstrzymując się od szerokiego uśmiechu na widok zde gustowanej miny policjanta. – Tak, atrakcyjna dziewczyna.

– Zapewne byłeś niezadowolony, gdy zaczęła się umawiać z twoim najlepszym przyjacielem.

Umawiać się? Czy ten facet jest z innej epoki? Raczej „pieprzyć się” – ona się pieprzyła z Willym; ten związek by nie przetrwał, Jack był tego pewny. Ilekroć spojrzała na niego, w jej zielonych oczach widział żądzę pieniędzy; tak naprawdę to na niego miała ochotę.

– Wcale nie – odparł. – Na uczelni jest dużo takich dziewczyn jak Beth. Nie mam żadnych kłopotów z umawianiem się. – Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem, dając policjantowi do zrozumienia, jak bardzo jest oderwany od rzeczywistości.

– To znaczy, że nie wysyłałeś jej prezentów?

Nie było sensu kłamać. Jennifer z pewnością już poinformowała gliniarzy o jego podarunkach dla Beth.

– Kiedy się poznaliśmy, powiedziała mi, że interesuje się sztuką, więc wysłałem jej jakąś pracę. Nie miałem pojęcia, że zaczęła się spotykać z moim najlepszym przyjacielem. Gdy się o tym dowiedziałem, natychmiast ją przeprosiłem i zaproponowałem, żeby uznała te podarunki za przejaw mojej szczerzej skruchy i zatrzymała je. On jest mi bliski jak brat. Nigdy bym nie zabiegał o względy jego dziewczyny.

Nie mógł słuchać swojego żalowanego gadania, tyle że działało – ten debil kupił „mojego najlepszego przyjaciela” i „brata”. Jack zerknął na Jeremy’ego,

a ten znów kiwnął głową. Chryste, ile ojciec płaci mu za siedzenie tu i kiwanie głową?

– Dobrze, w takim razie...

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł młody funkcjonariusz. Miał wybałuszone oczy, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że wolno mu chodzić po komisariacie bez nadzoru. Zwracając się do śledczego, nie wiedział, co zrobić z rękami.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale... no więc... mamy go.

Tłusciuch skrzywił się z niezadowoleniem.

– David, do diabła, nie widzisz, że prowadzę przesłuchanie?

– Przepraszam – bąknął młody policjant, oblewając się rumieńcem. – Nadinspektor Barnes chce, żeby pan tam zaraz przyszedł. Powiedział...

Śledczy spojrzał na Jacka.

– Przykro mi, ale muszę cię prosić, żebyś chwilę zaczekał.

Serce Jacka zaczęło łomotać. Czyżby znaleźli tego włóczęgę? Za policjantem przymknęły się drzwi. Jack wstał i uchylił je trochę bardziej. Nic nie słyszał.

– Muszę do kibla. Zaraz wracam – powiedział do Jeremy’ego.

Prawnik nie śmiał oponować. Jack otworzył szeroko drzwi i ruszył w stronę dwóch funkcjonariuszy. Podniesione głosy kazały mu się zatrzymać. Po wszystkim, kurwa. To pewnie koniec sprawy.

Minęła godzina, a Nicka wciąż nie ma. Wobec tego nalewam sobie drugi kieliszek wina i dalej czytam akta. Oficer dochodzeniowy zeznał na procesie, że Mark, gdy tylko znalazł mnie i Dylana, natychmiast zawiózł nas do szpitala. Policjanci przeprowadzili rewizję u nas w domu i znaleźli krytyczną poduszkę na podłodze – Mark wyrwał mi ją z rąk i odrzucił na bok – oraz puste opakowanie po aspirynie, leżące w kałuży krwi, w miejscu, gdzie upadłam nieprzytomna i uderzyłam się w głowę. Na parkingu przed szpitalem Mark natknął się na doktora Rileya, który orzekł, że i ja, i mój syn jesteśmy martwi. Gdy wnoszono nas do szpitala, jakiś ratownik, ku przerażeniu wszystkich wokoło, zauważył, że oddycham. Psychiatra sądowy potwierdził, że bezpośrednią przyczyną utraty przytomności była prawdopodobnie trauma po tym, jak zabiłam syna w następstwie psychozy poporodowej. To orzeczenie biegłego praktycznie zamykało sprawę. Przyjęto mnie na oddział i dzień później obudziłam się w szpitalnym łóżku.

Spoglądam ze zdziwieniem na pusty kieliszek i z jeszcze większym na pustą butelkę. Jak to możliwe? Dawniej w butelce wina mieściły się co najmniej trzy kieliszki. Otwieram drugą butelkę i wracam na kanapę. Po kilku łykach mam ochotę wyciągnąć się i przymknąć zmęczone oczy – na moment.

40

– Susan! Susan, obudź się!

Coś się wydarzyło, ktoś krzyczy, gorączkowo potrząsa mnie za ramiona. Gdzie jest Dylan? Nic mu się nie stało? Powoli dociera do mnie, gdzie jestem. Wraca mi pamięć: Dylan nie żyje, nie przebywam w swoim domu, mężczyzna, który mną szarpie, nie jest moim mężem – to Nick.

– Nick, czego chcesz? – Siadam półprzytomna, głowa mi pęka, mam sucho w ustach. – Pali się czy co?

Wtedy widzę, co się stało. Salon wygląda tak, jakby przeszedł tajfun. Podłoga jest zasłana strzępami papieru i dopiero po chwili uprzytamniam sobie, że wszystko – notatki, protokoły z rozprawy, orzeczenia lekarskie i artykuły – wszystko do ostatniej kartki zostało zniszczone.

– Coś ty zrobił?! – krzyczę i zrywam się z kanapy.

Nick milczy, więc sięgam wzrokiem dalej. Na podłodze walają się trzy butelki po winie, obok leży przewrócony kieliszek, a na poręczy kanapy pudełko aspiryny tylko z dwiema tabletkami w środku.

– To twoja robota? – pytam.

Po jego minie widać, że nie.

– Moja też nie. Ktoś...

– Jak, u licha, ktoś mógł tu wejść, wypić trzy butelki wina, opróżnić pudełko aspiryny i podrzeć te papiery, a ty nawet się nie obudziłaś?

Wiem, jak to możliwe: wino.

– Wypiłam trochę wina. Jedną butelkę, ale nie trzy.

– To już coś wyjaśnia – prychna Nick. – Na przykład dlaczego nie zamknęłaś na klucz drzwi wejściowych i poszłaś spać.

– Sądziłam, że wychodząc, sam je zamknąłeś! Poza tym nie zamierzałam spać, chciałam tylko na moment przymknąć oczy.

Nick wzdycha i opada ciężko na fotel.

– Przez chwilę myślałem, że ty... – Zawiesza głos, ale wiem, co mu przyszło do głowy: że przedawkowałam aspirynę, że się zabiłam.

– Oni chcieli, żebyś tak pomyślała! Że jestem obłąkaną pijaczką. Po co opróżniliby dwie butelki wina i opakowanie aspiryny? Żeby zrobić ze mnie wariatkę. Uważasz, że powinnam zadzwonić na policję?

– I co powiesz? Że ktoś wszedł do mojego domu, kiedy spałaś...

– ...wypił dwie butelki wina, opróżnił pudełko aspiryny i podarł papiery, a ja nawet się nie obudziłam – dopowiadam z przygnębieniem. – Racja, lepiej nie dzwonić. Wyciągną takie same wnioski jak ty. Na nieszczęście straciliśmy wszystkie materiały, i to akurat wtedy, gdy myślałam, że do czegoś dochodzimy.

– Nie przejmuj się. Skserowałem wszystko. Oprócz...

Oprócz wyników DNA. Sama otworzyłam kopertę i cały czas miałam je przy sobie. Leżały na stole, gdy zasnąłam.

– Nie ma ich. – Jestem przybita. – Zniknęły. Jedyne dowód...

– Spokojnie. – Nick mocno mnie obejmuje. – Poprosimy, żeby w laboratorium wydali nam kopię. Cieszę się, że tobie nic się nie stało.

– Myślisz, że nic nam tu nie grozi? Może lepiej przenieść się do hotelu?

Gdy minął początkowy szok i już nie muszę zapewniać Nicka, że nie chciałam ze sobą skończyć, dociera do mnie przerażająca myśl, że ktoś znowu wszedł do domu, tym razem kiedy spałam. Całe szczęście, że skończyło się na zasypaniu podłogi podartymi papierami.

– Tak naprawdę nie chcę już mieszkać w hotelu. – Nick sprawia wrażenie, jakby sama myśl o tym napawała go niepokojem, a to przeraża mnie jeszcze bardziej. – Jeśli tylko będziemy zamykać drzwi na klucz – patrzy na mnie wymownie – a ja będę przy tobie, nic nam się nie stanie. – Z pewnością wyczuwa, że nie podzielam jego przekonania, i dlatego dodaje: – Jeszcze jeden drobny kłopot, a obiecuję ci, że się wyniesiemy.

Bez wątplenia czuję się przy nim bezpiecznie. Chociaż ktoś chce mnie zmusić, bym zostawiła przeszłość w spokoju, i dotarł za mną aż tutaj, żeby

napędzić mi strachu, czuję się bezpiecznie przy Nicku.

41

Niedziela była moim ulubionym dniem tygodnia od dawna, jeszcze nim zaczęłam obawiać się listonosza. W czasach małżeńskich nigdy nie pracowaliśmy w weekendy – rano wylegiwaliśmy się w łóżku, a potem ruszaliśmy na spacer albo na przejażdżkę po okolicy. Bardzo lubiłam wyprzedaże garażowe, mogłam godzinami łązić wśród staroci. Kiedy urodził się Dylan, zabieraliśmy go do pobliskiego parku i karmiliśmy te kilka kaczek, które wciąż tam żyły. Dylan był za mały, żeby docenić te przechadzki, natomiast w naszym odczuciu taka wspólna wycieczka zacieśniała więzy rodzinne.

W Oakdale pozwalano nam w niedzielę poleżeć godzinę dłużej w łóżku – a to było prawdziwą rozkoszą w miejscu, gdzie rzadko doświadczało się nawet drobnych przyjemności – a potem prowadzono nas do kaplicy na nabożeństwo. Nigdy nie byłam religijna, ale chodziłam tam z radością, ponieważ było to zwyczajną niedzielną praktyką i utwierdzało mnie w przekonaniu, że wciąż jestem normalną osobą. Zachęcała mnie również myśl, że Bóg być może wybaczy mi to, co zrobiłam. Po zwolnieniu z zakładu zamieniłam niedzielne nabożeństwa na wolontariat w schronisku, uznając, że Bóg to zaaprobuje.

W tę niedzielę sprowadza mnie na dół zapach śniadania. Nick, w swoim włochatym granatowym szlafroku, widząc mnie w drzwiach, uśmiecha się szeroko.

- No co?
- Nic. Zrobiłem ci śniadanie.
- Cieszę się, że nie dla tej kobiety, którą trzymasz w suterenie.

To miał być żart, ale Nick wcale się nie uśmiecha, tylko wbija wzrok w podłogę i szybko się odwraca. Coś jest nie w porządku. Nie śmiem zapytać, o co chodzi. Nie chcę dowiedzieć się czegoś przykrego. Nie chcę usłyszeć, że zmienił zdanie i mam się wyprowadzić. Wolę nie pytać; jeśli postanowi mi powiedzieć, w porządku, ale nie będę mu tego ułatwiać.

Nic nie mówi.

Podaje mi śniadanie. Rzucam się na bekon, jakbym od tygodni nie jadła. Parskam śmiechem, gdy Nick podsuwa mi dużą łyżkę zamiast widelca. Nie śmiałam się od tak dawna, że brzmi to obco w moich uszach.

– Coś mnie zastanawia.

Yyy, zaczyna się. Nie chce jeszcze bardziej komplikować sobie życia, musi wracać do swojej pracy.

– Myślałaś o tym, jaką rolę odgrywa Mark w tej sprawie?

Och, ta diabelska paranoja. Z ulgą przełykam dumę i odpowiadam zgodnie z prawdą. Pewnie, że myślałam – niemal bez przerwy.

– Sądziłam, że wiem o nim wszystko. Rozmawialiśmy na każdy temat, i to nie tylko na początku naszego związku. Gdy byłam w ciąży i nie mogłam spać, bywało, że budził się, masował mi plecy i godzinami gadaliśmy. – Nick słucha z uwagą. – Opowiadał mi o swoich relacjach z ojcem, które zawsze były napięte, o swoim dzieciństwie i o niepokoju, że będziemy bezdzietni. Nawet wyznał kiedyś, że może Bóg chce go ukarać za jakiś uczynek z przeszłości.

Zaskoczony, unosi głowę znad talerza z fasolą. Natychmiast dociera do mnie, jak to mogło zabrzmieć, i szybko się wycofuję.

– Nie sądzę, żeby dopuścił się czegoś okropnego – wyjaśniam. – Raczej chodziło o to, że każdego prześladowają różne złe rzeczy, które zrobił w życiu. –

Myślę o dziewczynie na zdjęciach i o zatajonych pieniądzech. – Chociaż możliwe też, że nigdy tak naprawdę nie poznałam męża, prawda? – Robi mi się smutno, jakby wszystko, co razem przeżyliśmy, na skutek kłamstw nabrało pewnej goryczy. – Wiele razy zastanawiałam się, kim jest ta dziewczyna na zdjęciach i dlaczego Mark nigdy mi o niej nie mówił – przyznaję po dłuższej chwili.

– Może nic dla niego nie znaczyła? Może miał z nią przelotny romans w studenckich czasach i uważał, że nie warto o tym wspominać. – Wydaje mi

się, że Nick mówi to niechętnie, z jakimś niesmakiem.

Patrząc na te zdjęcia, miałam zupełnie inne wrażenie. Już samo to, jak wyglądali razem, dokąd jeździli. Słyszałam mnóstwo jego opowieści z czasu studiów, ale nigdy nie przedstawił mi ani jednego kolegi z tamtych lat czy też w ogóle z przeszłości. Wtedy mnie to nie dziwiło – pewnie wyjechali i rozpoczęli dorosłe życie gdzieś indziej – teraz jednak gorąco pragnę dowiedzieć się, jakie było życie Marka, zanim mnie poznał. Nawet jeśli ta dziewczyna nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Dylana – niby dlaczego miałyby mieć – wiem, że nie odpuszczę, dopóki się nie dowiem, dlaczego Mark jakoś nigdy o niej nie wspomniał. Mówię to Nickowi, a on ku mojemu zdziwieniu kiwa głową.

– Spodziewałem się, że będziesz ciekawa, kim ona jest – przyznaje. – Nawet byłem zdziwiony, że tak szybko zostawiłaś ten temat. Jeżeli ona знаła twój męża w czasie studiów, może coś wie o tych równie zagadkowych pieniądzach.

– Mam po prostu zapytać o nią Marka?

Wiem, że nadal go obchodzę. Gdy widzieliśmy się ostatnio u niego w domu, była taka chwila, kiedy pomyślałam, że chyba wciąż go kocham. Jeżeli nie jest zamieszany w to wszystko, powinien się dowiedzieć, że Dylan żyje. Czy chcę zwrócić się teraz do niego?

Nick podchodzi do tego sceptycznie.

– Za pierwszym razem wyrzucił cię z domu. Nie przypuszczam, że za drugim razem przyjmie cię z otwartymi ramionami i odpowie na wszystkie pytania o swojej dziewczynie z czasów studenckich.

– Ale powinien wiedzieć...

– Kiedy się przekonamy, jak było, o wszystkim mu powiesz. Jeżeli pójdziesz do niego teraz, przyjmie postawę obronną.

No dobrze.

– Wobec tego co pan dziennikarz proponuje? Ma pan jakieś praktyczne rady dotyczące tropienia obywateli?

Nick uśmiecha się szeroko.

– Myślałem, że nigdy nie zapytasz.

Idzie po laptopa i stawia go przed sobą na stole. Wstukuje kilka słów i po paru minutach odwraca ekran w moją stronę. Otworzyła się strona absolwentów Uniwersytetu Durham, plus okienko Facebooka.

– Jak na specjalistę z branży IT, Mark trzyma się dziwnie z daleka od serwisów społecznościowych – zauważa Nick. – Na LinkedIn znalazłem jego profil, również kilku innych absolwentów Durham, ale nie ma tam dziewczyny, którą opisałaś. Na Facebooku Mark się nie udziela.

To mnie wcale nie zaskakuje. Mark nie znosił Facebooka, ciągle powtarzał, że Facebook zniszczył życie wielu ludziom. Czułam się pewnie i bezpiecznie, wiedząc, że mój mąż nie ma potrzeby udzielać się w mediach społecznościowych, nie chce gonić za przeszłością ani „zaprzyjaźniać się” z przypadkowymi kobietami czy je zaczepiać. Sądziłam, że to sprawa pokolenia. Mark twierdził, że Facebook i Twitter są przeznaczone dla nastolatków: dzieciaki mogą sobie ponarzekać na szkołę i wkręcić się na czyjąś imprezę. Teraz zastanawiam się, czy to jednak nie dziwne, że on nie chce utrzymywać kontaktów z ludźmi, z którymi łączą go lata studiów na jednej z najlepszych uczelni w kraju.

– Co dalej? – odzywam się z namysłem.

Nick posyła mi uśmiech, jakby cieszył się, że pytam.

– Mamy numer telefonu do sekcji absolwentów Durham. – Już zdążył wejść na odpowiednią stronę internetową. – Tu pomagają odszukać studentów tego uniwersytetu.

– Nie wiadomo, czy ona tam studiowała.

– Miejmy nadzieję, że tak.

Nick wyjmuję komórkę i wybiera numer.

– Dzień dobry. Mówi Nick Whitely. Pracuję dla „Star”, gazety w Bradford.

Trochę się dziwię, że podaje prawdziwe nazwisko, ale ostatecznie nie robimy nic złego, a poza tym najlepsze kłamstwa zwykle zawierają dziewięćdziesiąt procent prawdy. Mówi, że pisze artykuł o mediach społecznościowych i poszukiwaniu dawnych znajomych i zamierza porównać nowe techniki ze starymi. Chce się dowiedzieć, w jaki sposób mógłby kogoś odszukać, mając do dyspozycji wyłącznie fotografię. Milknie i słucha

odpowiedzi rozmówcy – lub raczej rozmówczyni, zważywszy na zalotny ton jego głosu.

– Hm, chwileczkę. – Zasłania ręką głośnik i pyta mnie: – Kiedy Mark skończył studia?

– Pięć lat przede mną... W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

Nick przekazuje kobiecie informację i czeka na odpowiedź.

– Dziękuję za ogromną pomoc... A gdzie się tego dowiem?... Doskonale, Meredith. Dobrze zapamiętałem imię? Nie omieszkam podziękować ci w artykule... Ja tobie też.

Odkłada telefon, a ja robię krzywą minę i rzucam z lekką ironią:

– Meredith bardzo starała się pomóc.

– Daj spokój. – Uśmiecha się szeroko. – Naprawdę pomogła. W bibliotece Billa Brysona są księgi pamiątkowe każdego rocznika, poczynając od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, ze zdjęciami absolwentów każdego college'u. Biblioteka jest czynna w niedzielę.

– Ile czasu zajmie nam dojazd? – pytam.

– Parę godzin. – Nick uderza w klawisz laptopa i na ekranie pojawia się zdjęcie biblioteki uniwersyteckiej. – Będziemy na miejscu koło południa. Jeśli szybko się ubierzesz.

Okoliczności nie sprzyjają urządzaniu pikniku, wobec tego zatrzymujemy się przy sklepie na rogu ulicy, który nosi stosowną nazwę „Sklep na Rogu”, i kupujemy kilka batoników oraz colę. Jedziemy w milczeniu, bardziej przejęci tym, czego możemy się dowiedzieć, niż skrępowani ciszą.

– Studiowałaś na uniwersytecie? – pyta Nick po dziesięciu minutach.

Cieszę się, że przerwał tok moich myśli.

– Tak. W Nottingham. Poznałam Marka przez wspólnych przyjaciół, gdy oboje już byliśmy po studiach.

– Utrzymywałaś kontakty ze znajomymi z uczelni?

Kręcę głową.

– Raczej nie. Od czasu do czasu dostawałam maile z wiadomościami, co się u nich dzieje, ale szybko okazało się, że wszyscy piszą o swoich karierach

w City, a ja o planach weselnych i remoncie domu. Po moim ślubie te kontakty właściwie się urwały.

– Zanim trafiłaś do Oakdale, miałaś wielu znajomych?

No tak, chce się dowiedzieć, dlaczego w moim życiu nikogo nie ma, dlaczego jest przy mnie tylko Cassie. Myślałam, że to oczywiste, ale widocznie się myliłam.

– Mieliśmy głównie wspólnych znajomych – przyznaję otwarcie. – Po tym wszystkim wolałam odsunąć się od nich, niż wciągać ich w to i stawiać w trudnej sytuacji.

Nie mam pojęcia, czy Mark nadal spotyka się z naszymi przyjaciółmi. Mogę sobie wyobrazić, że chodzi na przyjęcia do Fran i Chrisa, a moje miejsce raz i pustką albo co gorsza, siedzi na nim inna kobieta.

– A zatem Mark dostał dom, samochód, przyjaciół, a ty? Co dostałaś?

– Cassie – odpowiadam półżartem. – Kilka moich koleżanek starało się początkowo utrzymywać kontakt, ale potraktowałam je tak samo jak tatę. W Oakdale musiałam akceptować każde odwiedziny, więc po prostu wyrzucałam wnioski. Pewnego razu Cassie próbowała podpisać się za mnie, ale ją przyłapałam i podarłam papier. Wtedy powtarzałam sobie, że robię to dla dobra tych ludzi, żeby nie mieli powiązań z morderczynią. Ale teraz, patrząc wstecz, sądzę, że zwyczajnie byłam egoistką. Nie mogłam znieść myśli, że ich życie toczy się dalej, a moje legło w gruzach. Kiedy Mark przestał przyjeżdżać, powiedziałam sobie, że oni w ogóle mnie nie obchodzą.

– Czy ktoś odzywał się do ciebie przez ten miesiąc, jak już wyszłaś z Oakdale?

Kręcę głową.

– Minęło tyle czasu. Nie zniosłabym tych współczujących spojrzeń, niepewnych pytań „Jak tam było?” i przeprosin, ilekroć rozmowa zesłaby na dzieci czy głośne morderstwo. Uznałam, że lepiej zawierać nowe znajomości, z ludźmi, którzy nie wiedzą, co się w moim życiu wydarzyło, nie muszą uważać na każde swoje słowo ani obawiać się, że znów sfiksuję.

– I jak ci idzie? – pyta żartem.

Parskam śmiechem.

– Jak dotąd marnie. Poznałam ludzi ze schroniska, ale zachowuję dystans. No wiesz, sprawę tego kalibru trudno utrzymać w tajemnicy.

Nie odrywając wzroku od drogi, Nick odpowiada, co dziwne, z pełnym przekonaniem:

– No wiem.

Już chcę go zapytać, co to znaczy, gdy ze skrzyżowania, do którego się zbliżamy, zjeżdża czarny sedan i wali prosto na nasz pas.

Krzyczę. Nick wciska hamulec, ale to nic nie daje, sedan wciąż jedzie pod prąd i nie zwalnia. W ostatniej chwili Nick skręca kierownicę i z piskiem wjeżdża na chodnik. Zatrzymujemy się metr przed przystankiem autobusowym. Podnoszę wzrok i widzę, że czarny sedan jest już po właściwej stronie drogi i szybko odjeżdża.

42

Nick spogląda na mnie, blady ze strachu, ale cały. Grupka sześciu, może siedmiu osób, które zebrały się dookoła samochodu, zagląda przez przednią szybę. Jakaś starsza pani puka w okno.

– Nic wam się nie stało, panienko? Może wezwać karetkę?

Patrzę na Nicka: kręci głową.

– Nie trzeba, dziękujemy. Wszystko dobrze.

Kobieta przyjmuje to do wiadomości i cofa się o krok, ale ludzie się nie rozchodzą.

– Dobrze się czujesz? – pytam Nicka, na co on, rozzłoszczony, uderza pięścią w kierownicę.

Nie wiem, co powiedzieć, i w końcu stwierdzam tylko:

– Chciał nas zlikwidować.

– Tak.

– Naprawdę chciał nas zabić.

– Tak, Susan, naprawdę i bez wątpienia.

Widzę, że jest roztrzęsiony, więc odruchowo dotykam jego ramienia, a wtedy on przytula mnie i siedzimy tak dobrą minutę, oszołomieni i wystraszeni, kurczowo objęci.

– A ty nie potrzebujesz lekarza? – pyta Nick, odsuwając mnie na odległość wyciągniętych ramion i patrząc mi w twarz. – Szyja w porządku? Możesz obracać głową?

Sprawdzam, czy nie uszkodziłam sobie kręgów szyjnych, nachylam głowę do przodu i kołyszę nią na boki.

– Chyba w porządku.

Nick bierze z tylnego siedzenia butelkę coli.

– Napij się. Cukier łagodzi skutki szoku.

– I czekolada – dodaję. – Czekolada też dobrze robi.

Choć sytuacja jest poważna, Nick nie może powstrzymać się od śmiechu.

– Gdzieś to usłyszała?

Po chwili namysłu przypominam sobie. Spuszczam głowę i mamrocę pod nosem:

– Było w *Harrym Potterze*.

Nick rechocze, jakby usłyszał dowcip miesiąca. Mnie też udziela się jego rozbawienie i powoli zaczynamy się odprężyć.

– Możemy ruszać? Ci ludzie lada chwila podejmą decyzję za nas i wezwą policję.

I po wszystkim. Nie ma mowy, żeby zrezygnować z podróży czy w ogóle się wycofać, jak zrobiłoby wiele osób. Ta sprawa dotyczy wyłącznie mnie; Nick wcale nie musi bagatelizować faktu, że ktoś chciał go zabić, ale to robi. W końcu przekręca kluczyk, a ja oddycham z ulgą, gdy samochód od razu zapala. Naciska klakson, żeby rozszedł się tłumek gapiów, jednak nikt się nie rusza, więc sunie w ich stronę i dopiero wtedy schodzą mu z drogi.

– Dzwonimy na policję?

Nick kręci głową.

– Nie. To znaczy powinniśmy, bo doszło do usiłowania zabójstwa, ale sprawca jest już daleko. Poza tym musielibyśmy odpowiadać na różne kłopotliwe pytania.

– Ale, Nick, ktoś chciał nas zabić. Ile razy spotkało cię coś takiego? Twoim zdaniem powinniśmy odpuścić? Oni zrobią to znowu, jutro albo pojutrze.

– Nigdy mnie nie spotkało. Przypominam, że jestem dziennikarzem, nie agentem CIA. Sądziłem, że chcesz dotrzeć do sedna tej sprawy, a widzę, że zamierzasz przesiedzieć resztę dnia w poczekalni komisariatu. Jeśli to trafi do gazet, jak będzie wyglądało twoje nowe życie? Zastanawiałaś się nad tym?

– Masz rację. – O Boże, kompletnie zapomniałam o prasie. Na szczęście jest przy mnie dziennikarz. – Co za surrealistyczna sytuacja! Ktoś nastawał na nasze życie, a my przechodzimy nad tym do porządku dziennego.

– Chciałaś mieć dowód, że nie popadasz w obłęd, to właśnie go dostałaś. Człowiek, który nas śledzi, zorientował się, że jedziemy do Durham, i dlatego

podjął duże ryzyko, żeby nam w tym przeszkodzić. Co oznacza, że chyba jesteśmy na dobrym kursie.

Wiadomo, że się boję – dla mnie usiłowanie zabójstwa nie jest bagatelą – ale teraz mam już pewność, że dowiemy się, co spotkało mojego syna, i mimo wszystko jestem podekscytowana. Albo go znajdziemy, albo umrę, zmierzając do celu. Okazuje się, że taki rozwój wypadków jest całkiem realny, ale co tam. Dla syna byłabym gotowa umrzeć. Wobec tego albo ja, albo oni, a to oznacza, że byłabym gotowa również zabić.

Biblioteka Billa Brysona jest dziełem sztuki. Budowla o przeszklonej fasadzie, gładkiej i łukowatej, dumnie obejmuje rozległy obszar. Gdy wchodzimy do środka, czuję się, jakbym przeskoczyła dziesięć lat w przyszłość. Nie ma porównania ze starą rudera na naszej uczelni.

Nieprzystępna dziewczyna za biurkiem unosi wzrok, kiedy podchodzimy, i na widok Nicka uśmiecha się szeroko. Jego twarz najwyraźniej robi wrażenie na wszystkich kobietach, nawet tych humorzastych. Ta ma szaroblond włosy, kłębiące się wokół jej głowy niczym na reklamie, która pokazuje skutki niewłaściwego używania urządzeń elektrycznych. Jest chuda, ubranie wisi na niej jak na wieszaku. Mimo woli mam ochotę dobrze ją nakarmić. Ciemne oczy podkreślają bladość skóry. Mijają wieki, aż wreszcie jej wzrok pada na mnie.

Nagle czuję przeszywający ból głowy, tak silny, że przystaję i zamykam oczy.

– Dobrze się czujesz? – pyta Nick, dotykając mojego ramienia.

– Migrena. Często miałam napady... dawniej.

Nie wiem czemu, wali mi serce. Wpadam w panikę. Nie mogę oddychać, a przecież nie powinno mi to sprawiać kłopotu. Chcę uciec.

– Na pewno? Jesteś...

– Atak... paniki... – wyduszam z siebie.

– Co mogę zrobić? Coś ci przynieść? To z powodu wypadku?

Mamroczę, że nie. Opieram głowę na ramieniu Nicka, a on mnie obejmuje. Uczucie paniki powoli mija. Oddycham głęboko i serce zaczyna zwalniać. Po

kilku minutach Nick odsuwa mnie na odległość wyciągniętych rąk.

– Już dobrze. – To tylko niewielkie kłamstwo: wrócił miarowy oddech i nie zbiera mi się na płacz. Wodzę wzrokiem i przypomina mi się, że jesteśmy w bibliotece i że wokoło są ludzie. – Przepraszam, że cię wystraszyłam.

– W porządku. Chcesz stąd wyjść?

Staram się opanować drżenie głosu.

– Skoro już tu jesteśmy, zostańmy. To nic poważnego, zdarzało się wcześniej. – Następne kłamstwo. – Załatwiamy sprawę?

Nick marszczy brwi i przygląda mi się badawczo, ale po chwili kiwa głową i odwraca się w stronę bibliotekarki. Chyba jest w moim wieku, może trochę starsza, ale ma podkrążone oczy. Całe szczęście, że nie tylko ja wyglądam, jakbym od tygodnia nie spała. Po spotkaniach z takimi elegantkami jak Kristy Riley czy Rachael Travis cieszę się, że pod względem aparycji wypadam lepiej.

Nick wyjaśnia, że chcemy obejrzeć uniwersyteckie księgi pamiątkowe, ale unika konkretów. Kobieta natychmiast wydaje nam tymczasowe karty biblioteczne i prowadzi do regałów zastawionych księgami, każda z nazwą college'u na grzbiecie. Wiem, że Mark studiował w St Chad's College, więc od tego zaczynamy. Bibliotekarka informuje nas, że rok na księdze oznacza datę rozpoczęcia nauki, a nie uzyskania dyplomu.

– Swego czasu też tu studiowałam, więc chętnie pomogę. W razie czego wiedzą państwo, gdzie mnie szukać. – Uśmiecha się i zostawia nas samych w cichej i pustej części biblioteki.

– Co ci się stało? – pyta Nick.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ostatnie dni były dość trudne.

Ma taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale wyraźnie się rozmyśla. Bez słowa bierze księgę z roku 1990 i otwiera na pierwszej stronie. Tęsknota znów ściska mnie za serce, gdy widzę zdjęcie Marka. Wygląda tak młodo, tryska energią, w ogóle nie przypomina Marka, z którym ostatnio się spotkałam.

– To on. – Dotykam palcem zdjęcia.

Nick unosi brwi.

– Przystojny gość.

Drugi raz widzę, jak zachowuje się w ten sposób, i uważam, że wcale to do niego nie pasuje. Śmiesz mnie to, bo choć Mark istotnie jest przystojniakiem, daleko mu do Clarka Kenta, który stoi obok mnie.

– Wygląd to nie wszystko – rzucam.

– Czy któraś z tych dziewczyn przypomina tę ze zdjęć? – pyta Nick, puszczając mimo uszu mój przytyk.

– Nie, a na pewno bym ją rozpoznała.

Jestem zawiedziona. Uniwersytet Durham jest podzielony na szesnaście college'ów; nie mamy pojęcia, w którym studiowała nasza tajemnicza dziewczyna. Co gorsza, nie wiemy, kiedy rozpoczęła studia – ale musiało to być między 1988 a 1992 rokiem, żeby natknęła się na Marka. Jeszcze gorsze jest to, że być może w ogóle tu nie studiowała; była na przykład jego sympatią z rodzinnego miasta albo kelnerką w miejscowym pubie.

Niezniechęceni, wyciągamy jedną księgę po drugiej i patrzymy na zdjęcia. Mija prawie godzina, gdy wreszcie dostrzegam znajome, intensywnie rude włosy i zielone oczy, o których nie przestawałam myśleć przez ostatnie dwa dni.

– Jest! – wykrzykuję i rozglądam się wokoło. Nikogo nie widzę, ale i tak ściszam głos. – Przepraszam. To ona.

– Bethany Connors. – Nick przesuwa palcem po fotografii, odczytując nazwisko wypisane pod spodem. – Historia sztuki w Trevelyan College. Dziewczyna jest... piękna.

Oprócz zdjęcia nie ma o niej wzmianki w księdze, niestety, ale na szczęście znamy teraz jej imię i nazwisko, rok rozpoczęcia studiów i przedmiot kierunkowy, a to już coś. Gdy znajdujemy to zdjęcie, mam wrażenie, że się zrehabilitowałam – oto niezbity dowód, że nie wymyśliłam tej dziewczyny. Zgadzam się z Nickiem – naprawdę jest piękna. Bierze mnie zazdrość, jak pomyślę o niej i swoim byłym mężu, którego kochałam, i o tym, że byli sobie tak bliscy, że spacerowali po dziedzińcach uniwersyteckich i urządzali w parku pikniki przy świecach.

Nick robi kserokopię zdjęcia i chowa ją do kieszeni. Oglądamy fotografie z różnych imprez sportowych z udziałem studentów Durham i oprawione w ramki artykuły o dokonaniach absolwentów. Nie znajdując żadnych

informacji o Bethany Connors, postanawiamy skończyć na dzisiaj i ruszać do domu, żeby coś zjeść. Jest już trzecia po południu, a przed nami dwugodzinna jazda, co po bogatym w wydarzenia dniu nie nastraja zbyt pozytywnie.

– Lepiej się pani czuje? – pyta bibliotekarka, gdy podpisujemy się w książce czytelników i oddajemy karty.

Chyba poprawiła niedbałą fryzurę i umalowała usta, mimo to nadal wygląda przeciętnie. Ciemnobrązowe oczy patrzą z zatroskaniem.

– Tak, dziękuję. – Kiwam głową.

– Powiodło się?

– O tak – odpowiada z uśmiechem Nick.

– Nie przyszło mi na myśl zapytać wcześniej, ale może znam osobę, której pan szuka.

Nick wyjmuje z kieszeni ksero zdjęcia.

– Bethany Connors. Znała ją pani?

W jednej chwili zmienia się wyraz jej twarzy. Uśmiech przechodzi w grymas, brwi się ściągają, oczy rzucają błyski.

– To jakiś żart? – Niemal zieje jadem. – Kim jesteście? Reporterami? Nie wystarczy, że przeżywaliśmy to dwadzieścia jeden lat temu?

Nick jest wstrząśnięty tak samo jak ja, ale stara się tego nie okazać.

– Przepraszam, nie wiem, o czym pani mówi. – Zabiera kartkę ze zdjęciem.

Oszołomiona patrzę, jak kobieta wskazuje nam drzwi.

– Proszę, żeby państwo opuścili bibliotekę! – wykrzykuje. Ciekawe, że dotychczas zwracała się tylko do Nicka, a nagle dostrzega również mnie. –

Albo wezwę policję. Weszliście tu pod fałszywym pretekstem. Uczelnia nie patrzy łaskawym okiem na kłamców, na dziennikarzy też!

Choć to prawda, że oboje kłamaliśmy i jedno z nas jest dziennikarzem, czuję się co najmniej urażona tymi obelgami. Zanim zdążę wyrazić swoje oburzenie, Nick bierze mnie pod rękę i wyprowadza z budynku. W uszach dźwięczą mi jeszcze słowa bibliotekarki: „uczepili się jak rzep”.

– O co jej chodziło? – wybucham, gdy już jesteśmy na dworze.

Nick milczy, zdezorientowany.

Wsiadamy do samochodu. Nick natychmiast znajduje drogę do kawiarni, która szczyci się darmowym wi-fi i „najlepszą kawą w Durham”. Sprawdzam,

czy to drugie jest prawdą, a Nick otwiera laptopa.

– Chyba wiem, dlaczego pani Hyde nagle stała się zupełnie inną osobą – oznajmia po kilku minutach.

– No mów.

Odwraca laptopa i widzę zdjęcie na cały ekran.

– Ponieważ Bethany Connors została zamordowana w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku.

Carl: 16 grudnia 1992

– Co to znaczy: mamy go? Co się, do diabła, dzieje?

David już był w drzwiach. Żeby się czegoś dowiedzieć, Carl musiał pójść za nim, i to szybko. Wolał nie przerywać rozmowy z tym zarozumiałym gnojkiem Jackiem Bratburym, ale trudno, do niczego z nim nie doszedł i być może to już nie miało znaczenia.

– Nazywa się Lee Russon – relacjonował David, idąc korytarzem i zaglądając w plik papierów. – Wiadomo, że jest włóczęgą, notowany za drobne kradzieże, parę razy usuwany z terenu uniwersytetu, bo tam się melinował. Zgarnęliśmy go, gdy próbował obrobić studenta, niejakiego Harveya. Był zakrwawiony, w jego rzeczach znaleźliśmy portmonetkę Beth. Czeka w dwunastce.

Carl poszedł prosto do gabinetu nadinspektora.

– To lipa, dobrze o tym wiesz – powiedział bez wstępów.

Od znalezienia zwłok Bethany Connors minęły trzy długie tygodnie i wciąż nie mieli żadnego tropu. Władze uniwersyteckie protestowały przeciwko ciągłej obecności policji, wprowadzaniu nerwowej atmosfery wśród studentów i obniżaniu prestiżu uczelni. Potencjalni świadkowie zamilkli, nawet przyjaciele Beth byli wrogo nastawieni do policjantów. I teraz, po tak długim czasie, znalazł się akurat ten facet?

Nadinspektor zrobił krok w tył.

– Carl, proszę, opamiętaj się. On się przyznał, do diabła. Zewsząd naciskają na mnie, żeby zamknąć tę sprawę. No i mamy zakrwawionego ćpuna, przy nim portmonetkę tej dziewczyny i jego przyznanie się do zabójstwa. Co według ciebie powinienem powiedzieć: „Sorry, koleś, w wydziale zabójstw jest taki

śledczy, który uważa, że ty tego nie zrobiłeś, więc jazda stąd, wracaj na ulicę. Tylko bądź grzeczny i już nie zabijaj studentów”. Daj spokój, Carl.

Śledczy zacisnął zęby.

– Ona nazywała się Beth, Bethany Louise Connors. Poza tym bezdomne ćpuny najczęściej nie mają siły, żeby się podetrzeć, a co dopiero przenieść ciało i zostawić je na odludziu.

– Mówi, że ukradł samochód.

– I gdzie jest ten samochód? Powiedział ci, gdzie ją zabił? Co zrobił z narzędziem zbrodni?

– Mówi...

– Gównu prawda! – wrzasnął Carl. – Mamy dowody, które to potwierdzają? Pamiętasz, John, co to są dowody? Takie różne rzeczy, które kiedyś zbieraliśmy na poparcie zarzutów.

– Jesteś wkurzony, Carl. Z jakichś powodów ta sprawa uderzyła w twoją czulą strunę. Trudno pogodzić się z tym, że dziewczyna, przepraszam, Beth, zginęła bez powodu. Ale czasem tak się dzieje. Czasem nie ma motywu, nie ma przekonującego wyjaśnienia. Czasem popierdoleni ludzie robią popierdolone rzeczy. A my musimy dopilnować, żeby ci ludzie poszli za to siedzieć. Ten facet będzie siedział, zaręczam ci. I to długo.

Nadinspektor John Barnes ruszył w stronę drzwi, przekonany, że Carl idzie za nim.

– A jeżeli mam rację?! – zawołał śledczy za oddalającym się szefem. – A ty wsadzasz za kratki niewłaściwego człowieka...?

Bethany Connors miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy porwano ją spod gmachu jej college'u, zgwałcono i zamordowano; ciało porzucono jakieś pięć kilometrów dalej. Zabójstwo wstrząsnęło całą uczelnią. Była to inteligentna i bardzo utalentowana dziewczyna. Zapowiadało się, że uzyska dyplom z wyróżnieniem w dziedzinie historii sztuki. Dwie renomowane galerie już zaproponowały, że przyjmą ją na staż. Tamtego dnia umówiła się ze swoim narzeczonym, Markiem Websterem, w barze St Chad's College. Kiedy nie przyszła do godziny jedenastej trzydzieści, Mark zadzwonił do jej najbliższej przyjaciółki, Jennifer Matthews, a ta zaalarmowała dziekana college'u, panią Whitaker, która z kolei zawiadomiła policję. Koledzy i koleżanki ze studiów rozpoczęli poszukiwania. Zwłoki Bethany znaleziono o siódmej rano następnego dnia – dwanaście godzin po tym, jak ostatni raz widziano ją żywą.

Teraz rozumiem, dlaczego mój mąż nie wspomniał o swoim związku z Beth. W gazetach napisano, że był przesłuchiwany, ale nie w charakterze podejrzanego, ponieważ wiele osób potwierdziło jego alibi. Mimo to trudno się spodziewać rozmowy na taki temat przy kolacji.

Do Trevelyan College jest parę minut jazdy samochodem od kawiarni. Po drodze nie zamieniamy słowa. Kilkoro rozchichotanych studentów wskazuje nam siedzibę dziekana i potwierdza, że pani Whitaker nadal piastuje tę godność. Nie wiem, z czym do niej idziemy, mam jednak nadzieję, jak zwykle, że Nick coś wymyślił i że nikt nie będzie nam groził policją, ledwie napomkniemy o Beth.

– Witam państwa. W czym mogę pomóc?

Panią Whitaker zastajemy w gabinecie. Jest niska, sprawia wrażenie cieplej i miłej, na pewno dokłada starań, by studenci czuli się swobodnie

w nowym i zapewne onieśmielającym ich środowisku. Zastanawiam się, czy Beth miała tu poczucie bezpieczeństwa.

– Nazywam się Nick Whitely, a to jest Susan Webster. – Witamy się uściskami dłoni. W oczach pani dziekan widzę błysk świadczący o tym, że kojarzy moje nazwisko. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani porozmawiać z nami o jednej ze swoich dawnych studentek.

Kobieta lekko mruży oczy, ale życzliwość nie znika z jej twarzy, na razie. Zaprasza nas do środka i zamyka drzwi.

– Proszę usiąść. Co sprowadza państwa do naszej uczelni?

Nick siada, ja też. Przypuszczam, że po tym miłym wstępie będzie jej trudniej nas wyprosić. Gadanie zostawiam Nickowi.

– Prowadzimy swego rodzaju dochodzenie – zaczyna Nick, a ja czekam, z jaką historią wyskoczy tym razem.

– Dochodzenie? Państwo są z policji? – Spogląda na mnie tak, jakby poważnie wątpiła, że jestem stróżem prawa.

– Nie, nie pracujemy w policji. To dochodzenie prywatne. Przyjechaliśmy w sprawie Bethany Connors.

Mruży oczy jeszcze bardziej i nie patrzy już na nas tak życzliwie.

– Państwo są dziennikarzami – stwierdza stanowczym tonem.

– Istotnie, jestem dziennikarzem – ku mojemu zdziwieniu przyznaje Nick – jednak nie przyszliśmy tu z powodu artykułu.

Pani Whitaker wstaje, ale Nick nie rusza się z miejsca, ja też siedzę.

– Nie mam nic do powiedzenia o tym, co spotkało Beth. Nie mogę państwu pomóc.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Może zechce pani nas wysłuchać? Jeśli potem nadal nie będzie pani chciała z nami rozmawiać, spokojnie odejdziemy i wróci pani do swojej pracy.

Na stole leży otwarta książka i wszystko wskazuje na to, że pani dziekan wcale nie oderwała się od pracy. Ale kurtuazja zawsze jest miła. Nick umie się znaleźć.

Po chwili pani Whitaker kiwa głową.

– Dobrze. Słucham.

Nick odwraca się w moją stronę.

– Teraz ty mów. W końcu to twoja historia.

Jestem zaskoczona. Czy on chce, żeby powiedziała prawdę? Nie umiem tak szybko wymyślić kłamstwa, więc obrzucam Nicka błagalnym spojrzeniem. Pani Whitaker czeka cierpliwie. Ledwie widoczny znak od Nicka mówi mi, że mam być wobec niej szczerą. Biorę głęboki wdech.

– Jak powiedział Nick, nazywam się Susan Webster – zaczynam nerwowo. – Cztery lata temu byłam żoną dawnego studenta Uniwersytetu Durham, Marka Webstera.

– Znałam Marka Webstera i wiem, kim jesteś, moja droga. – Jej spojrzenie nie jest osądzające. – Chętnie wysłucham tego, co chcesz mi powiedzieć, jeśli czujesz się na siłach.

Lubię tę kobietę. Przypomina mi moją mamę, która zawsze miała dobre zdanie o każdym człowieku, dopóki nie przekonała się, że ktoś na to nie zasługuje. Myślę, że studenci raczej nie sprawiają jej zawodu – takiej osobie jak ona chce się sprawić przyjemność. W odpowiedzi kiwam głową.

– Uważaliśmy z Markiem, że tworzymy idealną rodzinę – zaczynam. – Ścisłe mówiąc, sądziłam, że Mark tak uważa. Nie przyszło mi do głowy, że w jego życiu wydarzyło się coś, co chce przede mną ukryć. Natomiast ja ukrywałam coś przed nim. Nie radziłam sobie tak dobrze, jak moim zdaniem powinnam. Byłam przekonana, że nie spisuję się jako matka, i nachodziła mnie myśl, że będzie im lepiej beze mnie. Kiedy Dylan miał dwanaście tygodni, został uduszony we śnie, a mnie oskarżono o zabójstwo.

Wypowiadanie tych słów już nie jest takie bolesne, bo zaczynam wierzyć, że nie są zgodne z prawdą, ale i tak z trudem przechodzi mi przez gardło wyznanie, że nie byłam doskonałą mamą.

– Mów dalej.

Biorę głęboki wdech.

– Niemal rok przebywałam w areszcie śledczym, czekając na proces. Stwierdzono, że cierpiałam na psychozę połogową, i uznano mnie za winną zabójstwa drugiego stopnia. Trafiłam do zakładu psychiatrycznego w Oakdale. Po dwóch latach i ośmiu miesiącach zostałam zwolniona. To było prawie pięć tygodni temu. W zeszłą sobotę dostałam tę przesyłkę. – Podaję jej zdjęcie z imieniem mojego syna na odwrocie i widzę, że robi wielkie oczy, jak

wszyscy, gdy czytali, co tam jest napisane. – Proszę mi wierzyć, też byłam zaskoczona. Zwróciłam się o pomoc do pana Whitely’ego, ponieważ sądziłam, że jako dziennikarz będzie znał szczegóły procesu, natomiast ja nie wiedziałam, gdzie ich szukać. Poza tym mógł mieć informacje o innych sprawach związanych z tą moją, na przykład o zniknięciu lekarza sądowego, który zeznawał na procesie. Pomoc pana Whitely’ego przerosła moje oczekiwania.

Zerkam na Nicka i mówię dalej:

– Kiedy poruszyłam te kwestie w rozmowie z byłym mężem, powiedział, że nic nie wie. Wtedy znalazłam u niego zdjęcia Bethany Connors. Chcę się przekonać, czy to, co spotkało Bethany, ma coś wspólnego z tym, co spotkało mojego syna. Muszę wiedzieć, czy mój syn żyje.

Gdy w końcu milknę, mam łzy w oczach i trzęsą mi się ręce. Pani Whitaker znowu wstaje. Nic z tego, nawaliłam. Nick liczył na moją szczerość, a ja wszystko zepsułam.

– Myślę, że dobrze będzie napić się czegoś w kameralnym otoczeniu. Studenci wiedzą, gdzie mnie szukać, jeśli będę potrzebna. Może pójdziemy do mnie do domu i tam spokojnie porozmawiamy?

Oddycham z ulgą, a Nick uśmiecha się pokrzepiająco. Gdy idziemy w trójkę przez kampus, ma nieobecny wzrok, jakby myślami był gdzieś daleko. Ciekawe gdzie.

Dom pani dziekan jest niewielki, ale przytulny.

– Siadajcie.

Proponuje coś ciepłego do picia i po kilku minutach wraca z kawą i herbatnikami. Sięgamy po kubki.

– Pani dziekan... – zaczyna Nick, na co ona macha ręką.

– Mówcie mi po imieniu: Jean.

– Miło nam, dziękujemy. To zrozumiałe, że nie masz ochoty wracać do tego, co się stało z Beth, ale jeśli uważasz, że powinniśmy o czymś wiedzieć, będziemy ogromnie wdzięczni za informacje.

Jean bierze kubek z kawą i siada obok nas.

– Byłaś wobec mnie szczera, Susan, choć na pewno trudno ci było o tym mówić. Odwzajemnię się tym samym, ale mam do was prośbę.

– Co tylko sobie życzysz. – Kiwam głową.

W oczach tej drobnej kobiety widzę strach.

– Jeżeli coś z tego wyniknie, jeżeli okaże się, że ta sprawa ma związek z twoim synem, muszę cię prosić, żebyś w żadnym wypadku nie powoływała się na mnie i nie wymieniała mojego nazwiska.

Znowu kiwam głową, z jeszcze większym przekonaniem.

Jean odchyła się na oparcie fotela.

– Beth była urocza. Wiem, że nauczyciele nie powinni nikogo faworyzować, ale ona była jedną z moich ulubionych studentek. Wszyscy ją kochali. Choć mówiła bardzo cicho, chłonęli każde jej słowo. – Jest przygnębiona, ale mówi dalej: – Była inteligentna i zaangażowana, miała przed sobą wspaniałą przyszłość. Przy końcu pierwszego roku zaczęła chodzić z Markiem Websterem.

Serce mi łomocze, gdy pada imię mojego męża.

– Twój mąż miał dużą charyzmę, już w młodym wieku – mówi Jean. Były mąż, poprawiam ją w duchu. – Wiele ich łączyło, byli powszechnie lubiani. Chyba nie będziesz miała mi za złe, jeśli powiem, że stanowili ładną parę.

Zdecydowanie mam jej za złe.

– Kiedy się zaręczyli, była w siódmym niebie. Niewiele osób o tym wie, ale zaproponowano jej pracę w Sorrento po uzyskaniu dyplomu, a Mark zgodził się z nią pojechać.

Wzbiera we mnie żal i czuję ucisk w gardle. Sorrento. Tam wybraliśmy się z Markiem w podróż poślubną. Czy nawet wtedy myślał o Beth?

Ani Jean, ani Nick nie widzą, jaka jestem zakłopotana. Jean ciągnie swoją opowieść, nieświadoma tego, że zburzyła wspomnienia z tych dwóch najlepszych tygodni w moim życiu.

– Kilka dni przed śmiercią stała się inną osobą. Zamknęła się w sobie i prawie w ogóle nie widywałam jej z Markiem. Jej najbliższa przyjaciółka, Jennifer, powiedziała mi dużo później, że Beth zamierzała z nim zerwać, bo stwierdziła, że nie jest takim człowiekiem, za jakiego go uważała.

– Czy Mark był w kręgu podejrzanych? – pyta Nick.

– Nie, nigdy. Miał alibi od szóstej wieczorem do ósmej rano. Brał udział w całonocnej pijatyce, spił się do nieprzytomności i ocknął na kanapie u

kolegi następnego dnia.

– Imprezował, gdy zaginęła jego narzeczona? – To niepodobne do Marka, jakiego znam.

– Zeznał na policji, że się pokłócili i sądził, że ona wystawiła go do wiatru, żeby się odegrać. Był zdruzgotany, gdy znaleziono jej ciało. Jestem przekonana, że szczerze rozpaczał. Wcześniej jeszcze zadzwonił do jej najbliższej przyjaciółki, która tak się zaniepokoiła, że powiadomiła mnie, a ja zgłosiłam to policji. Ale oni w ogóle się nie przejęli. Wobec tego zebrałam studentów i sami zaczęliśmy szukać jej wszędzie...

Jak dotąd nie usłyszeliśmy nic przydatnego. Nick spogląda na mnie, jakby czytał w moich myślach. Znowu.

– Wiadomość o śmierci Beth wstrząsnęła całym college'em. Trudno jest przeboleć utratę koleżanki i przyjaciółki, a co dopiero w takich okolicznościach... Policja stwierdziła, że Beth padła ofiarą brutalnej napaści seksualnej. Kiedy znaleziono jej zwłoki, była naga, miała ślady skrupowania na nadgarstkach i kostkach, poderżnięte gardło...

– Pani dziekan, proszę... – przerywam jej szybko. – Czytaliśmy o tym. Wolelibyśmy usłyszeć, co się działo później.

Przyjmuje to z wyraźną ulgą.

– Wszystkich ogarnął strach. Takie rzeczy były nie do pomyślenia w naszym małym świecie. Rodzice domagali się wyjaśnień. Trevelyan College znajduje się w odległości dwudziestu minut spacerem od St Chad's i najprostsza droga prowadzi przez tereny uniwersyteckie. Spotyka się tam głównie studentów. Są u siebie i mają poczucie pełnego bezpieczeństwa. Kilka dni później zaczęły krążyć plotki... – Nabiera powietrza.

Widzimy, ile ją kosztuje przywoływanie tamtych wydarzeń. Jest mi przykro, że musi to znowu przeżywać, ale poza tym, co przeczytaliśmy w internecie, chcę się dowiedzieć, jak wyglądało to z jej punktu widzenia. Oboje z Nickiem słuchamy w milczeniu.

– Jeden z kolegów Marka zeznał na policji, że kilka tygodni wcześniej widział Beth w nie najlepszej dzielnicy Durham, jak wsiadała do samochodu nieznajomego mężczyzny. Ten kolega, chyba za namową Marka, wycofał potem swoje zeznania, tłumacząc, że było ciemno i mógł się pomylić. Ale stało

się. Plotki rozeszły się lotem błyskawicy. Gadano, że Beth uprawiała seks za pieniądze. Że tamtego dnia miała klienta – twarz pani dziekan okrywa się rumieńcem – i sprawy przybrały zły obrót. Ponieważ brakowało dowodów, śledztwo utknęło. – Wzbiera w niej gniew, drżą jej ręce, w oczach lśnią łzy. – Potem aresztowali tego włóczęgę, nazywał się Russon. Twierdzili, że zabił ją, ponieważ nie chciał jej zapłacić.

– Nie wierzysz w to? – pytam delikatnie, a ona stanowczo kręci głową.

– Beth nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Proszę tak na mnie nie patrzeć, panie Whitely, nie jestem naiwnie sentymentalna ani pruderyjna. Wiem, że studenci robią czasem niestosowne rzeczy, żeby związać koniec z końcem, choć w Durham nie tak często jak gdzie indziej, ale na pewno nie Beth. To była całkowicie bzdurna koncepcja. Policja podzielała to przekonanie, jednak uległa naciskom wysoko postawionych osób i zamknęła sprawę, przyjmując dogodne wówczas wyjaśnienie. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że jest prawdziwe.

– Ale inni uwierzyli, tak?

Jean odstawia kubek i patrzy na mnie. Czuję się niezręcznie, bo ostatnio ludzie raczej nie zwracali na mnie uwagi, kierując swoje pytania i odpowiedzi do Nicka.

– Uwierzyli w to, w co chcieli uwierzyć. Nie znajduję słów, by opisać strach dziewcząt. Nie chciały myśleć źle o Beth, ale druga możliwość była jeszcze gorsza. Przerazała je myśl, że mógł to zrobić któryś ze studentów albo jakiś jej znajomy. Woląły wierzyć, że sama ściągnęła na siebie nieszczęście, bo wtedy nic im już nie groziło. Gdy policja przestała się kręcić po kampusie, wszyscy odetchnęli z ulgą, jakby potwierdzając, że co z oczu, to z myśli. Życie potoczyło się normalnym torem i jak było do przewidzenia, nikt więcej nie ucierpiał. W opinii studentów sprawa była zamknięta i nikt już nie mówił o tym nieszczęśliwym zdarzeniu.

– Nie znalazła się ani jedna osoba, która stanęłaby w obronie Beth? – pyta Nick.

– Ależ nie, to nie tak – mówi Jean. – Wraz z kilkoma opiekunami naukowymi błagałam policję, żeby bliżej przyjrzel się środowisku studenckiemu. Zagrożono nam utratą stanowisk, jeżeli będziemy dalej stawiać

szkołę w złym świetle. Brat Beth, Josh, był nieustępliwy, ale w końcu też się poddał. Mimo że tak kochaliśmy Beth, wiedzieliśmy, że narażając się na kłopoty, nie przywrócimy jej życia.

– Wiesz, co robili jej przyjaciele po ukończeniu studiów? Jak myślisz, czy ktoś z nich zechciałby z nami porozmawiać?

– Nie mam pojęcia. – Pani dziekan bierze kubki po kawie i zanoszą je do kuchni. Wraca, trzymając w ręce kartkę. – To są nazwiska tych, których pamiętam. Jennifer była najbliższą przyjaciółką Beth. Mieszka nieopodal i pracuje w bibliotece uniwersyteckiej.

Wymieniamy z Nickiem spojrzenia i w jednej chwili rozjaśnia nam się w głowach. Tamta młoda bibliotekarka, która zareagowała tak gwałtownie na widok zdjęcia Beth, to właśnie Jennifer.

Coś mi mówi, że rozmowa z nią nie pójdzie tak łatwo jak z panią Whitaker.

– Możecie również pogadać z policjantem, który prowadził to śledztwo. Do końca nie wierzył w winę Russona i zrezygnował z pracy niedługo po ogłoszeniu wyroku skazującego. Nie pamiętam jego nazwiska, ale poszukam w swoich starych terminarzach. Beth miała rodzinę, siostrę i brata. Niestety, nie wiem, gdzie mieszkają. Nigdy ich nie spotkałam. – Wstaje. – Przykro mi, że niewiele pomogłam w sprawie twojego syna – dodaje na koniec, odprowadzając nas do drzwi.

Czuję, że jest to szczere.

– I tak ogromnie nam pomogłaś. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni – mówię z głębi serca. – Przepraszam, że przywołaliśmy przykre wspomnienia.

– Nic się nie stało – zapewnia nas, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tej nocy nie zaśnie spokojnie. – Miałabym jeszcze jedną sugestię...

– Każda wskazówka się przyda.

– Chodzi o to, że zawsze zastanawiał mnie ów chłopiec, który pierwszy wypowiedział się w ten sposób o Beth – rzuca półgłosem. – Gdyby nie on, policja nie byłaby do niej tak źle nastawiona.

– Z pewnością warto się tym zająć. – Nick wyjmuje notes i pióro. – Jak on się nazywał?

– Niech pomyślę... Był najlepszym przyjacielem Marka. Żaden z nich nie przyszedł do naszego college'u, żeby ze mną porozmawiać. Miał jakieś

popularne nazwisko... Jak mu było? – Jest poirytowana, że zawodzi ją pamięć. – Już wiem! Jak mogłam zapomnieć! Był czarującym chłopcem, ale po tym, co powiedział o Beth, straciłam do niego zaufanie. Mówili na niego Matty, a nazywał się... Matthew Riley.

Jeszcze raz dziękujemy za pomoc i oszołomieni wychodzimy od pani Whitaker. Przez te wszystkie lata, gdy byliśmy razem, Mark ani razu nie wspomniał, że tak blisko przyjaźnił się z Mattem Rileyem. Podczas procesu nie dali po sobie poznać, że się znają, a po procesie Mark nie powiedział mi, że Riley zaginął wkrótce po złożeniu zeznań.

– Może przenocujemy w Durham? Co ty na to? – proponuje Nick, gdy idziemy do samochodu. – Jutro porozmawialibyśmy z Jennifer i popytali tu i ówdzie.

Też mi to przyszło do głowy. Zgadzam się i wyjmuję telefon. Mam pięć nieodebranych rozmów. Trzy od Cassie, jedną od ojca i jedną z nieznanego numeru.

– Dzwonili Cass i tato. – Jest za późno, żeby oddzwaniać, więc wysyłam do obojga SMS-a, że żyję i odezwę się.

Meldujemy się w Travelodge, prosząc o sąsiadujące pokoje. Obecność Nicka za ścianą sprawi, że poczuję się bezpieczniej, zwłaszcza po tym, co zdarzyło nam się w drodze do Durham, ale zarazem jestem sobą rozczarowana – po latach w Oakdale nie sądziłam, że tak szybko będę szukać ochrony u mężczyzny.

– Wiem, że dla ciebie to nie był lekki dzień – mówi Nick, gdy stoję w drzwiach swojego pokoju. – Szczególnie po... wyjściu z biblioteki. Ale jesteśmy o krok bliżej wyjaśnienia, co się z nimi stało.

– Z nimi?

– Z nim, z Dylanem. A co ja powiedziałem?

– Powiedziałeś „z nimi”. Też jestem zmęczona. Masz rację, zbliżamy się do prawdy. Dzięki tobie, bo sama do niczego bym nie doszła, nawet nie wiedziałabym, że Dylan żyje...

– Żaden ze mnie bohater, Susan...

- Nie bądź taki skromny – wtrącam.
- Susie, mam ci coś do powiedzenia...
- Że musisz wracać do pracy, tak?

Choć spodziewałam się tej wiadomości od jakiegoś czasu, i tak czuję głębokie rozczarowanie.

– Nie, nie o to chodzi. Mam naprawdę dobrego szefa, a ponieważ od lat nie byłem na urlopie, pozwolił mi wziąć tyle wolnych dni, ile potrzebuję.

– W takim razie wszystko gra. Chyba że chcesz to zostawić, masz już dość zajmowania się moimi sprawami. Nie dziwiłabym się...

– Nie, nie. Nie zostawiłbym tego teraz, nawet gdybym chciał. Tak jak i ty chcę dojść do prawdy. Zaangażowałem się bardziej, niż powinienem, bo...

O Boże. A jeśli on na mnie leci? Trzeba było uważać. Czy ja go podrywałam? Czy on doszukuje się jakichś podtekstów? Byłam tak zaabsorbowana szukaniem syna, że w ogóle się nie zastanowiłam, dlaczego atrakcyjny facet, najwyraźniej kawaler, rzuca swoje codzienne sprawy i jeździ po kraju z kobietą, która spędziła ostatnie trzy lata w zakładzie psychiatrycznym.

– Jutro mi powiesz. Nie teraz. Nie chcę rozmawiać.

Źle mi z tym, że zaspokajam własne potrzeby emocjonalne i nie daję nic w zamian. Ale Nick nie drąży tematu; może też czuje się z tym źle. Może nic się tu nie kryje i on zwyczajnie chce mi tylko pomóc. Może przesadzam.

45

Dzwonek telefonu wyrywa mnie ze snu tuż po dziesiątej następnego dnia. Poznaję, że nie dzwoni ani telefon domowy, ani komórka. Powoli przytomnieję i przypominam sobie, gdzie jestem. Przez głowę przelatują mi wczorajsze wydarzenia. Wszystko, co mnie spotkało, co widziałam i słyszałam przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, nadal wydaje się surrealistyczne. W końcu wyciągam rękę spod ciepłej pościeli i łapię za słuchawkę.

– Yhm...

– Nie śpisz?

– Już nie.

– Czy twoim zdaniem Mark miał związek z tym wczorajszym zdarzeniem? No wiesz, w samochodzie, na drodze. Czy on jest zdolny do czegoś takiego?

– Gdybyś zadał mi to pytanie dwa tygodnie temu, odpowiedziałabym, że wykluczone. Ale wtedy nie sądziłam, że zrobił mnie w morderstwo i oszukał, nic nie mówiąc o zmarłej narzeczonej i fortunie w banku. Dziś nie mam pojęcia, co o nim sądzić. Powinnam się bać?

– Nie wiem. Czy on mógł się jakoś dowiedzieć, gdzie jesteś?

– Tylko jeśli zadzwonił do Cassie.

Gdybym nie czuła takiego strachu, parsknęłabym śmiechem. Myśl, że mój były mąż siedzi przy herbacie z moją najlepszą przyjaciółką i zastanawiają się, gdzie to ja właśnie przebywam, jest niedorzeczna.

Coraz głośniejsze łomocze mi w głowie.

– Nie chcę cię niepokoić – mówi cicho Nick, pokrzepiającym tonem. – Musimy zebrać dostatecznie dużo dowodów, żeby nakłonić policję do wznowienia śledztwa w sprawie Dylana. A uda się nam tylko wtedy, gdy pozostaniemy przy życiu. Nie mam pewności, ale chyba nikt nas nie śledził po

tym, jak ten ktoś niemal w nas wjechał, więc ktokolwiek to był, może jednak nie wiedział, dokąd się udajemy. Porozmawiajmy z Jennifer Matthews, a potem jazda stąd. Wyprzedzamy ich o krok, i tyle.

– Dobrze. Ale pamiętaj, że oni widzieli, jak uciekam z domu Marka. Czyli śledzili mnie, a ja tego w ogóle nie zauważyłam. Raczej nie my wyprzedzamy ich o krok.

Na linii zapada cisza. Wyobrażam sobie Nicka za ścianą i dopiero po dłuższej chwili znowu słyszę jego głos.

– Nie czujesz się przy mnie bezpiecznie?

Pytanie jest głupie i trochę irytujące. To nastolatek może wierzyć, że ktoś duży i silny go ochroni. W zeszłym tygodniu miałam włamanie do domu, znalazłam się w niebezpieczeństwie podczas snu, śledzono mnie przez sto sześćdziesiąt kilometrów, obfotografowano podczas ucieczki i zepchnięto z drogi. No i jeszcze Joss. Nie wiem, kim są ci ludzie, ale mam uzasadnione przypuszczenia, że dziennikarz z lokalnej gazety nie zdoła zapewnić mi całkowitego bezpieczeństwa. Mówiąc z brutalną szczerością, czułabym się bezpieczniej z Cassie u boku, ale tego nie powiem Nickowi za żadne skarby.

– Pewnie, że się czuję. Zapomnij, co mówiłam. Jeszcze nie doszłam do siebie po wczorajszym. Chciałabym już mieć za sobą rozmowę z Jennifer i wrócić do domu.

– O ile ona zechce z nami rozmawiać – zauważa Nick. – Gdy wspomnieliśmy o Bethany, nie była skłonna zaprosić nas na herbatę.

Racja, ale musimy spróbować.

– Idę po śniadanie, a ty wylaż z łóżka. Jak wrócę, zapukam pięć razy, żebyś wiedziała, że to ja.

To ma być żart? Chryste, oby.

Po przyjęciu mojego zlecenia na obfite śniadanie Nick kończy rozmowę. Muszę się szybko ogarnąć, ale najpierw dzwonię do taty i zapewniam go, że u mnie wszystko w porządku. Mało się odzywa, a na koniec mówi, żebym uważała na siebie. Obiecuję – trzymajmy kciuki – i lecę się umyć.

Stoję pod prysznicem dłużej, niż to konieczne, gorące strumienie wody masują mi kark i ramiona lepiej niż wszystkie masaże, jakie miałam do tej pory. Mogłabym tu stać do końca dnia, ale wiem, że tylko odwlekam to, co

nieuniknione, wobec tego zakręcam wodę i owijam się grubym hotelowym ręcznikiem. Nick słowem nie napomyka, jakoby coś między nami było, więc może nie to chciał mi wczoraj powiedzieć. Nie potrafię myśleć teraz o tym, jak będą wyglądały nasze relacje, gdy to wszystko się skończy. Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wziąć w objęcia syna.

Ledwo wychodzę spod prysznic, dzwoni komórka. Nieznany numer.

– Słucham?

– Susan?

– Cześć, Mark.

– Gdzie jesteś? – W jego głosie słyszę zaniepokojenie.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Skąd masz ten numer? Dlaczego dzwonisz?

– Martwię się o ciebie, Susie. – Używa zdrobnienia. Nie do wiary: rozmawiam z nim kilka sekund przez telefon i już jestem bliska łez. – Przyjedź do mnie do domu, coś wymyślimy. Chcę ci pomóc.

Serce mi łomocze, wzruszenie chwyta mnie za gardło. Chcę tak zrobić: odwrócić się i jechać do domu, gdzie byliśmy tacy szczęśliwi. Chcę, żeby mąż naprawił to, co poszło nie tak w moim życiu. Dlatego jestem zaskoczona, słysząc własne słowa:

– Nie przyjadę. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje, co zrobiłeś.

– Nic nie zrobiłem.

Kłamie. Dylan żyje, dawna narzeczona Marka nie żyje, a ja chcę wiedzieć, kogo, do diabła, poślubiłam. Zmuszam się do milczenia; słyszę ostrzegawczy głos Nicka: nie odkrywaj kart, nie ufaj mu, bądź ostrożna.

– Do widzenia, Mark.

Rozłączam się i wybucham płaczem. To koniec. Straciłam zaufanie do jedynej osoby, którego kochałam, do ojca mojego dziecka. Nie ma odwrotu.

Nie padają żadne pytania, więc nie muszę kłamać na temat telefonu od Marka. Nick albo nie widzi moich zapuchniętych oczu, albo sądzi, że sytuacja mnie przytłoczyła, i świetnie – nie lubię oszukiwać.

Starsza pani, która dziś siedzi za biurkiem w bibliotece, jest nastawiona przyjaźnie i nie wnika, dlaczego interesują nas godziny pracy Jennifer.

– Zaczyna o pierwszej – informuje nas, wydając dwie tymczasowe karty biblioteczne. Zdaje się, że Jennifer nie miała okazji ostrzec jej przed dwojgiem niecnych dziennikarzy. – Ale zazwyczaj przychodzi trochę wcześniej, żeby wypalić papierosa.

Ledwie wychodzimy przed budynek, zauważamy Jennifer. Wyróżnia się wśród studentów nie tylko wiekiem – jest dobre dwadzieścia lat od nich starsza – lecz również ubiorem. Nie prezentuje się jakoś fatalnie w dżinsach z rozszerzonymi nogawkami i zwykłych czarnych butach, ale daleko jej do kręcących się wokół dziewcząt w czarnych rurkach i zamszakach do kostek. Choć wcale nie jest zimno, Jennifer ma na sobie ciężką zieloną parkę, która na kimś innym mogłaby wyglądać modnie, natomiast na niej wygląda... hm, zwyczajnie. Jej włosy, koloru pomyj, nigdy nie miały styczności z kosmetykami GHD, które stosuje połowa wszechświata, także ja, gdy już zadam sobie tyle trudu. Z papierosem w ustach, jedną ręką grzebie w torebce, a w drugiej trzyma styropianowy kubek z parującym płynem. Gdy podnosi głowę i widzi nas, jej nieumalowana twarz tężeje z gniewu.

– Wezwę ochronę – ostrzega, gdy do niej podchodzimy.

Rozglądam się. W pobliżu nie ma nikogo w mundurze. Wyjmuję z kieszeni zapalniczkę, którą noszę przy sobie, od kiedy znów zaczęłam palić. Jennifer bierze ją ode mnie, choć z wahaniem.

– Najpierw nas wysłuchaj, a jeśli potem nadal nie będziesz chciała z nami rozmawiać, odejdziemy sami, bez wzywania ochrony – obiecuje Nick.

– Wykluczone – oświadcza stanowczo. – Mam dość takich jak wy. Od tamtej pory. Rozpuszczaliście podłe kłamstwa o Beth. Robi mi się niedobrze, gdy was widzę.

– Nie zajmuję się dziennikarstwem – wtrącam pospiesznie. – Jestem byłą żoną Marka Webstera.

Ze zdumieniem unosi gęste brwi.

– Usiądź – mówi po chwili, wskazując murek tuż obok. Oddycham z ulgą: już myślałam, że mimo wszystko wezwie ochronę. – Czego ode mnie chcesz?

– Chcę się dowiedzieć, co spotkało Beth – mówię otwarcie. Biorę od niej swoją zapalniczkę i sięgam po papierosa. – Co naprawdę ją spotkało, a nie co mówiono. Chcę, a właściwie muszę się dowiedzieć, czy Mark był w to zamieszany.

– Tak naprawdę chcesz się dowiedzieć, że nie był – stwierdza. – Nie mogę cię o tym zapewnić. Jeśli nie jesteś gotowa usłyszeć brutalnej prawdy, lepiej wracaj tam, skąd przyjechałaś.

– Jestem gotowa. A właściwie... – Spoglądam na Nicka. – Nie wiem, czy jestem gotowa, ale muszę poznać prawdę. Byłaś najlepszą przyjaciółką Beth. Chcę usłyszeć, jak ty to widziałaś.

– Dlaczego dopiero teraz? – pyta z goryczą. Zaciąga się mocno papierosem, delektuje się smakiem i po dłuższej chwili wypuszcza dym. – Dlaczego zależy ci na tym po tylu latach?

Staram się być szczerą, ale nie chcę wyjawić jej wszystkiego. Nie mam do niej zaufania.

– Mark nic mi nie powiedział o Bethany, gdy byliśmy małżeństwem – wyjaśniam. – Przypadkiem natrafiłam na ich wspólne zdjęcia. – Niewiele odbiega to od prawdy.

– Przyjechałaś na uniwersytet, żeby odszukać byłą dziewczynę swojego byłego męża? I nawet nie wiedziałaś, że została zamordowana? Co ona cię w ogóle obchodzi?

Przechyla głowę na bok i znowu unosi brwi. Są grube i zaniedbane, zapewne nigdy nie widziały pęsety. A raczej sekatora. Ona nie jest głupia, orientuje się, że nie mówię wszystkiego.

– Chciałam się dowiedzieć, dlaczego Mark nigdy mi o niej nie wspomniał. – To tylko po części kłamstwo. – Zdziwiłam się, że opowiadał o innych, ale nie o niej. Dobrze znam swojego byłego męża. Zaintrygowało mnie to i nabrałam podejrzeń. Szkoda, że nie trzymałam się od tego z daleka, ale teraz, gdy już tyle wiem, nie mogę się wycofać.

– No to czego ode mnie chcesz? – Przyjmuje łagodniejszy ton, więc chyba ją do siebie przekonałam; w każdym razie nie wzywa ochrony, a to już plus.

– Susan właśnie to wyjaśniła – włącza się Nick. Jennifer jest lekko zaskoczona, tak jakby zapomniała o jego obecności. – Chcemy tylko prawdy.

– A ty kim jesteś?

Ciekawe, czy będzie równie szczery jak ja.

– Jestem dziennikarzem – przyznaje ku mojemu zdziwieniu. – Ale nie przyjechałem tu z powodu artykułu. Nawet gdybym chciał go napisać, naczelny nie pozwoliłby mi rozgrzebywać zabagnionej sprawy z przeszłości. Towarzyszę Susan jako jej przyjaciela.

Wiem, że lepiej nie naciskać na Jennifer, ale zaczynam tracić cierpliwość. Już mam się odezwać, gdy ona mówi półgłosem:

– Rzeczywiście, Beth była moją najbliższą przyjaciółką na studiach. A nawet więcej: miałam wrażenie, że jest częścią mnie, że znamy się całe życie. Była wspaniała. Przy niej stawałam się innym człowiekiem. Z każdego wydobywała to, co najlepsze. W jej obecności nikt nie mógł się smucić. – Samo wspomnienie sprawia, że jej twarz rozświetla się i odpręża. – Czułam się taka wyjątkowa, gdy zaczęła się ze mną przyjaźnić. Mogła wybrać najpopularniejszą i najzamożniejszą dziewczynę na uczelni, a wybrała taką zwyczajną i normalną. Jednym słowem uwielbiałam ją. W połowie pierwszego roku studiów zespół teatralny college'ów na Elvet Hill wystawiał *Sen nocy letniej*. Jak można było się spodziewać, Beth grała Hermię. Była zachwycająca, widownia chłonęła każde jej słowo. Na ostatnie przedstawienie przyszedł Mark z kolegami, a potem wszyscy poszliśmy do baru studenckiego.

Krzywi się gniewnie. Niewątpliwie kochała Beth Connors i pojawienie się mojego byłego męża było wielce niepożądane.

– Wtedy się poznali? – pyta Nick, chcąc delikatnie nakłonić ją do podjęcia zasadniczego wątku.

Jennifer w ogóle nie zwraca na niego uwagi; jest już zupełnie gdzie indziej, w tłocznym zadymionym barze dwadzieścia jeden lat temu.

– Po ostatnim spektaklu aktorzy zostali w kostiumach. – Uśmiecha się na to wspomnienie. – Wszystkim było żal, że już koniec. Następnego dnia David Thompson, z pracowni rekwizytorskiej, chodził wściekły, bo uczelnia wypożyczyła kostiumy z Teatru Szekspirowskiego i okazało się, że rajtuzy Oberona... zabawne, że nie pamiętam, jak nazywał się ten chłopak... są poplamione piwem. Lucasa niemal krew zalała, gdy to zobaczył.

– Jaką miałaś rolę? – pytam.

Jennifer podnosi wzrok, jakby właśnie uprzytomniła sobie, że tu jestem.

– Nie występowałam w tej sztuce – mówi rozgoryczona, choć minęło już tyle lat. – Moja twarz lepiej wyglądała za kulisami.

Zawsze w cieniu, myślę. Stoi na uboczu i patrzy, jak jej piękna przyjaciółka skupia na sobie powszechną uwagę. Tak samo czułam się w obecności Marka: to do niego wszyscy podchodzili, z nim chcieli rozmawiać. Nie jestem Bethany Connors. Przez całe życie miałam więcej wspólnego z kobietą, która siedzi obok mnie; byłam zwyczajna, niczym się nie wyróżniałam. Nie pierwszy raz zastanawiam się, co Mark we mnie widział; chyba że po prostu miałam pomóc mu zapomnieć o kimś innym.

– Wcale mi nie zależało – kłamie, jakby czytała mi w myślach. – Cieszył mnie sukces Beth. Jakimś cudem potrafiła sprawić, że jej osiągnięcia były również moimi. W ten sposób to czułam, zresztą inni też mieli takie poczucie i dlatego tak ją kochali. Jej radość udzielała się wszystkim. To stare powiedzenie: „Chłopcy chcieli być z nią, a dziewczęta chciały stać się nią”, jak ulał pasuje do Beth. Tamtego wieczoru była olśniewająca. Każdy chłopak w tym barze chciał się znaleźć jak najbliżej niej, ale gdy tylko wszedł Mark, nikt inny już nie miał szans.

Mogę to sobie doskonale wyobrazić. Mark ma w sobie coś takiego, że inni przestają przy nim istnieć. Kiedy z kimś rozmawia, ta osoba czuje się wyróżniona i najważniejsza. Liczy się nie tylko jego aparycja; on emanuje taką pewnością siebie, że wciąga człowieka w swoją orbitę, a gdy ten już się w niej znajdzie, nie chce nigdy z niej wypaść. Bo poza orbitą Marka panuje przejmujący chłód.

– Doskonale pamiętam, jak to było. Mark podszedł do Beth i powiedział: „Coś podobnego! Zabrakło kostiumów policjantek?”. Myślałam, że mu przyłoży... nikt nigdy nie powiedział jej, że wygląda jak striptizerka... ale ona po prostu wybuchnęła śmiechem i nie odstępowała go już do końca wieczoru. Po imprezie chciał ją odprowadzić. Nie zgodziła się, grzecznie podziękowała, dodając: „Ale jeszcze się zobaczymy, wesołu”. Kiedy wróciłyśmy do domu, długo nie przestawała o nim mówić, jak zadurzona nastolatka.

Usiłuję opanować uczucie zazdrości. Wyobrażam sobie Marka, który wraca do domu tamtej nocy, sfrustrowany niepowodzeniem swoich starań,

obiecując sobie, że zdobędzie tę dziewczynę bez względu na wszystko, niczym dzielny książę z bajki. Zalewają mnie wspomnienia: miałam mniej klasy, za to więcej alkoholu we krwi, gdy pierwszej nocy, zaraz po tym, jak się poznaliśmy, zwałam się z nim do łóżka. Zapewne był zawiedziony taką łatwą zdobyczą.

Co on we mnie widział? Skrajnie różniłam się od dziewczyn, do jakich przywykłam; nigdy nie miałam chłopaka, którego świat obracałby się wokół mnie, a już na pewno nie takiego jak Mark. Wybrał mnie, bo byłam łatwa? Bo w niczym nie przypominałam jego utraconej miłości? Czy mnie kochał, czy też przyjął jako karę, ponieważ nie byłam choćby namiastką tej pierwszej, nawet w przybliżeniu?

– Od tamtej pory stali się nierozłączni – opowiada Jennifer. – Mark był ważną postacią wśród studentów, on i jego koledzy paradowali po kampusie niczym jaśniepanowie na włościach, co poniekąd było zrozumiałe, bo jego ojciec praktycznie tu rządził. Nigdy bym nie przypuszczała, że Beth się w nim zakocha. Nie cierpiała tych z listy najbogatszych.

– Co to takiego?

– Elita Durham. Mark znajdował się na samej górze, zaraz za Jackiem Bratburym, najzamożniejszym na uczelni. Kawał drania był z niego, jedyny chłopak wśród kolegów Marka, którego towarzystwa Beth nie mogła znieść. Wydaje mi się, że on ją podrywał na oczach Marka, ale ten bał się robić mu jakiegokolwiek wymówki. Wystarczyłoby jedno słowo Jacka, a Mark byłby nikim. Beth nienawidziła tych lokalnych układów: ojciec Jacka był niewiarygodnie hojnym sponsorem uniwersytetu. Wszyscy to wiedzieli.

Jennifer krzywi się i dopija herbatę, zapewne kompletnie zimną. Chyba tego nawet nie zauważa.

– Najbliższy przyjaciel Marka, Matty, też należał do tutejszej elity, podobnie jak większość chłopaków z ich paczki. Beth mówiła, że nie są tacy źli i w gruncie rzeczy współczuje im, bo nie znają prawdziwej wartości pieniądza. Uważała, że Mark jest inny: nie podobał mu się sposób funkcjonowania uczelni, tak jak i jej, i burzył się, gdy twierdzono, że dostał się na studia dzięki zasługom ojca. O to po raz pierwszy pokłóciłyśmy się na serio. Pamiętam, że powiedziałam: „Boże, biedaczek, serce mi się kraje”

i zarzuciłam jej, że kuma się z synami notabli. Ostrzegłam ją, że nawet się nie obejrzy, a też będzie zachowywać się tak, jakby Trevelyan College był jej własnością. Ostro ją potraktowałam i poczuła się urażona. – Jennifer potrząsa głową, jakby chciała wyrzucić z pamięci to wspomnienie. – Następnego dnia przeprosiłam ją, ale od tamtej pory coś się między nami zmieniło. Beth trzymała mnie na dystans, natomiast zacieśnił się jej związek z Markiem. Aż pewnego razu przyszła do mojego pokoju, zalana łzami. To było tydzień przed jej śmiercią.

Serce zaczyna bić mi szybciej. O to nam chodziło, to chcieliśmy usłyszeć. Nie śmiem się odezwać, żeby nie zakłócić toku jej myśli.

– Był piątkowy wieczór, kiedy Mark zwykle grał z kolegami w pokera. Beth przyszła przemoczona do suchej nitki i rozslochana. Oczywiście natychmiast ją wpuściłam. Nie spotykałyśmy się od kilku tygodni, tylko rozmawiałyśmy przez telefon albo widziałyśmy się z daleka na wykładach. Wyglądała fatalnie. Bardzo schudła, była blada i miała mocno podkrążone oczy. Myślałam, że bierze narkotyki.

– Co powiedziała? – pytam przejęta.

– Nie wycisnęłam z niej wiele sensownego. Jedynie to, że zerwała z Markiem, bo coś się wydarzyło. Bełkotała na okrągło, że nie powinna była tam chodzić, że należało trzymać się od tego z daleka. Mówiła o Ellie Toldot... do dziś nie mam pojęcia, kto to taki. Spytałam, czy Mark zdradza ją z tą dziewczyną, ale odparła, że to nie tak i że nigdy tego nie zrozumiem. Nie dość, że była przybita, to jeszcze wystraszona.

– Czego się bała? – wtrąca Nick, a ona kręci głową.

– Nie wiem. To chyba wiązało się z Markiem, z czymś, co widziała. Była u mnie krótko, wpadła i wypadła. Powiedziała, że nie powinna mnie wciągać w swoje problemy, że nie powinna w ogóle nic mówić.

– Widziałaś ją jeszcze później, przed jej śmiercią?

– Na kilku zajęciach, ale trzymała się ode mnie z daleka. W tygodniu, w którym zginęła, prawie wcale nie chodziła na zajęcia, a ilekroć widziałam ją poza salą wykładową, zawsze był przy niej Mark. Wydawało mi się, że ona mnie unika. Tego wieczoru, gdy umarła, poszłam do jej pokoju, żeby przemówić jej do rozumu.

– Udało ci się?

Jennifer znowu kręci głową.

– Nie. Do dziś wyrzucam sobie, Bóg mi świadkiem, że nie byłam bardziej stanowcza. Gdy przyszłam, usłyszałam zza drzwi, że rozmawia przez telefon. Powiedziała chyba: „Co on tam robi?”, a potem: „O Boże, Matty, no dobrze, przyjdę jak najszybciej”. Miałam wrażenie, że jest wkurzona. Zanim zdążyłam zapukać, wypadła z pokoju. Zaskoczyło ją, że mnie tam widzi. Oświadczyłam, że musimy porozmawiać, na to ona, że się spieszy, ale przyjdzie do mnie następnego dnia, to pogadamy. Przeprosiła za swoje zachowanie w ostatnim czasie, tłumacząc, że musiała uporządkować kilka spraw, i dodała, że teraz wszystko już będzie dobrze. Kazałam jej obiecać, że na pewno się ze mną spotka. Obiecała. Potem pocałowała mnie w policzek i powiedziała, że się za mną stęskniła. Przyznałam, że ja za nią też. Wtedy widziałam ją ostatni raz.

– Mówiłaś policji o tej podsłuchanej rozmowie?

– Oczywiście. W ogóle się tym nie zainteresowali. – Na jej twarzy maluje się złość. – Powiedziałam im, że miała się gdzieś spotkać z Matthew Rileyem, ale oni uznali, że nie wiadomo, czy chodziło o Rileyę, bo tak mógł mieć na imię jej „klient”. Właściwie zarzucili mi kłamstwo, ale ja byłam pewna tego, co usłyszałam.

– Zdaje się, że zarówno Matthew Riley, jak i Mark mieli alibi na czas popełnienia zbrodni – napomyka Nick.

– Nie słyszałeś, co mówiłam? – Jennifer rzuca mu szydercze spojrzenie. – Takie szychy w Durham jak Mark Webster i Matthew Riley, gdyby tylko im zależało, znalazłyby masę ludzi gotowych przysiąc, że widzieli ich na scenie w Carnegie Hall.

– A ten człowiek, którego aresztowali? Musieli dysponować jakimiś dowodami.

Kiwa głową.

– Miał portmonetkę Beth i jej krew na ubraniu. Policja doszła do wniosku, że Beth umówiła się z nim na seks. Wykluczone! Beth nie przespałaby się z kimś takim jak Lee Russon, za żadne skarby świata. – Spogląda na zegarek. –

Przepraszam, ale zaraz zaczynam dyżur. Mam nadzieję, że uzyskacie informacje, po które tu przyjechaliście.

Wstaje z murka, przygniata niedopałek czubkiem buta i już się odwraca, by odejść, ale Nick ją zatrzymuje.

– Poczekaj, Jennifer, jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Jak zachowywał się Mark Webster, gdy znaleziono zwłoki Beth?

Jennifer przenosi wzrok na mnie.

– Był zdruzgotany. Szczerze mówiąc, kiedy później go widywałam, w ogóle nie wierzyłam, że miał w tym jakikolwiek udział. Wpadł w rozpacz. Chciał zrezygnować ze studiów. Pewnie by ich nie skończył, gdyby dziekan nie uległ naciskom jego ojca i nie zgodził się, żeby Mark zrobił dyplom zaocznie.

– Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc, Jennifer – mówi Nick.

– To bez znaczenia. Beth i tak nie żyje. – Jennifer znowu się odwraca. – Chcecie dojść do prawdy, ale prawda jej nie wskrzesi.

46

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Myślałam, że została z ciebie mokra plama! – Cassie tak się wydziera, że muszę trzymać telefon z dala od ucha, aż przestanie ciskać gromy.

– Wysłałam ci SMS-a – tłumaczę się nieprzekonująco.

– Byle kto mógł go wysłać! Po tym, co razem przeszliśmy, nie mam ochoty włączyć telewizora i usłyszeć w wiadomościach, że znaleziono cię martwą gdzieś w rowie.

Niemal parskam śmiechem, ale uprzytamniam sobie, że ona mówi poważnie.

– Cassie, do tej pory oglądałaś wiadomości tylko raz, gdy mówiono o tobie – spokojnie zwracam jej uwagę. – A poza tym dlaczego, u licha, miałby pokazać mnie martwą w rowie?

– Ty chyba nie rozumiesz, co chcę powiedzieć – cedzi przez zęby.

– Rozumiem. Wybacz, byłam straszną egoistką – kajam się. – Jadę już z powrotem. Zadzwonię jutro, dobrze?

– Lepiej nie zapomnij.

– Posłuchaj, mogłabyś zrobić coś dla mnie? – rzucam szybko, zanim się rozłączy.

– Bo ja wiem? Sprawdzę w kalendarzu, czy mam czas. – Udaje, że przerzuca kartki. – Cóż, będę dość zajęta, bo muszę czekać na telefon od mojej najlepszej przyjaciółki.

– Czy to znaczy „tak”? – niecierpliwie się.

– No dobra, o co chodzi?

– Chcę, żebyś odszukała jakąś Ellie Toldot. – Literuję. – To nie jest zbyt popularne nazwisko. Poszukaj w Google’u, może zajrzyj na Facebooka... sama

wiesz.

– Spróbuję. Ale dowiesz się czegokolwiek tylko pod warunkiem, że jutro do mnie zadzwonisz. Słyszysz? Masz zadzwonić!

Kończymy rozmowę. Wyciągam się w fotelu, zadowolona, że mam to już za sobą. Nawet nie zezłościła się aż tak, jak się spodziewałam po tych paru dniach, gdy puściłam ją w odstawkę. Na jej miejscu byłabym wściekła.

W telefonie mam nieprzeczytanego SMS-a. Od Roba Howe'a z ZBH. **Przejrzałem akta, nic się nie rzuca w oczy. Może jednak pójdziesz na drinka? Jeżeli uda ci się zgubić ochroniarza. X.**

Maskując rozbawienie, natychmiast odpisuję: **Przykro mi, jestem pod kuratelą 24 h / 7 dni w tygodniu. Nawet tato nie był taki srogi. Skomplikowana sytuacja, czy to nie banalne?**

– U niej wszystko w porządku? – pyta Nick.

– Wściekła się. Przejdzie jej.

Znowu słycać dzwonek SMS-a. **Banalne na maksa. Czy powiedzenie, że piszesz urocze banały, jest nieprofesjonalne? X.**

Odpowiadam: **Nieprofesjonalne na maksa** i dorzucam **X**, ale zaraz kasuję i wstawiam buźkę. No właśnie. Dlatego nie umawiam się z facetami.

– Jak się czujesz? Po tym wszystkim, co usłyszałaś o Marku...

– Bo ja wiem...

Nie mam ochoty rozmawiać z Nickiem o swoim związku z Markiem. Nie chcę przyznać, że czuję się urażona i upokorzona tym, że więcej dowiedziałam się teraz o moim mężu od jakiejś bibliotekarki niż przez te lata od niego. Nie wiem, co myśleć. Zastanawiam się, czy byłam dla niego odskocznią i walczyłam o jego miłość z duchem, o którego istnieniu nawet nie miałam pojęcia. Czy wiedząc o Beth, dołożyłabym starań? Była bardziej elegancka, bardziej kulturalna, bardziej w stylu „elity Durham”? Podobna do Kristy Riley, do Beth Connors? Szukam w pamięci jakiegoś sygnału, że Mark ukrywał przede mną tę historię. Jakieś błahe rzeczy, które wspólnie robiliśmy, wydają się teraz mieć związek z jego studencką miłością. Czy myślał o niej, gdy poszliśmy do teatru na *Sen nocy letniej*? Niemożliwe, żeby nie. Czy myślał o niej, gdy pewnej soboty poszliśmy do Galerii Narodowej albo gdy

wyjechaliśmy w podróż poślubną? Czy ja spełniałam funkcję taniego zamiennika?

Chętnie zapytałabym go o to wszystko, ale nie chcę widzieć jego twarzy, kiedy będzie mnie okłamywał. Pragnę tylko dowiedzieć się, czy ta sprawa ma jakiś związek z moim dzieckiem, czy morderstwo sprzed dwudziestu jeden lat ma coś wspólnego z moim malutkim synkiem.

Jack: 17 grudnia 1992

– Ty to wszystko widziałeś?

Była pod wrażeniem. Niezła dupa, błyszczący na ustach, laska, której łatwo zaimponować. Przysunęła się do Jacka, ani trochę nie przejmując się jego publiką. Chryste, mało brakowało, a usiadłaby mu na kolanach, co nie znaczy, że miałby coś przeciwko temu. Dziewczyna – Sandy? Sammy? nieważne – pochyliła się do przodu i położyła rękę na oparciu jego krzesła. Patrząc z ukosa, dostrzegł cienki stanik cielistego koloru i wyobraził sobie, jak mały, twardy sutek rozpycha tkaninę. Jezu, żeby tylko mu nie stanął, nie przy ludziach, którzy chcą usłyszeć o aresztowaniu mordercy Beth.

– Wszystko.

Odchylił się do tyłu, zapraszając słuchaczy, by pochylili się w jego stronę. Ludzie przy sąsiednich stolikach nadstawili uszu, zaintrygowani podekscytowanym głosem Sandy/Sammy.

– Jak wiecie, poszedłem z Jeremym na komendę, żeby pomóc policji w śledztwie. Cóż, ktoś musiał.

Rozległy się chichoty. W ostatnich tygodniach policja nie cieszyła się na uniwersytecie sympatią.

– Dlaczego poszedłeś z prawnikiem? – zapytał Graham Jakiśtam, marszcząc nos.

Jack zaśmiał się.

– Mój stary narobiłby w portki, gdybym poszedł rozmawiać z gliniarzami bez adwokata. – Wszyscy przyjęli to ze zrozumieniem. Jasne, że syn George'a

Bratbury'ego nigdzie nie rusza się bez adwokata. – A w ogóle to byliśmy tam najwyżej kwadrans, gdy za drzwiami rozpętało się piekło.

Miał ich w garści: chłonęli każde jego słowo, tak jak chciał. Rozkoszował się tą chwilą.

– Ten spasiony debil, który mnie przesłuchiwał, poszedł zobaczyć, co się dzieje na korytarzu, więc olałem Jeremy'ego i ruszyłem za tamtym. – Mina Laluni była bezcenna. – Dwóch gorylowatych gliniarzy trzymało pod ręce jakiegoś zapyziałego, cuchnącego menela. Gość miał włosy do ramion, tak przetłuszczzone, że dałoby się wysmarować wszystkich z obsady Striptizu. Śmierdział cały korytarz.

Zmarszczył nos z obrzydzeniem. Słuchacze nie musieli wiedzieć, że to są kompletne bzdury, że Russona zaprowadzono do pokoju przesłuchań, zanim Tłuscioch został powiadomiony o jego ujęciu. Nie mieli się również dowiedzieć, że Jack widział Russona tylko raz, gdy oblał tego obrzydliwego ćpuna krwią Beth, tamtego ranka po jej śmierci, i wsunął jej portmonetkę głęboko pod bambetle nieprzytomnego włóczęgi.

– Jak on wyglądał? – Dłoń Laluni zacisnęła się na jego ramieniu.

– Koszmarnie. Był na kosmicznym haju. Miotał się jak opętany, wyrywał się tym gorylom, ale na próżno. Jęczał i jęczał, z początku bez słów, same dźwięki. Miał takie brudne spodnie, że w ogóle nie wyglądały jak džinsowe, pewnie nosił je tygodniami. A na jego T-shircie...

Najlepsze zostawił na koniec. Z każdym swoim oddechem coraz bliżej przyciągał do siebie słuchaczy, jakby zasysała ich jego opowieść. Zamilkł na chwilę, pozorując chęć zapanowania nad emocjami. Jezu, zacznij szczytować, jeśli ta laska jeszcze raz się o niego otrze. Podniecała go władza, jaką miał nad każdym wokół, oraz świadomość, że dysponuje informacjami, które chcieli znać wszyscy na kampusie, wszyscy policjanci w Durham...

– Na jego T-shircie była krew. Krew Beth.

48

Kiedy się budzę, po całym domu niesie się i dolatuje do mojego pokoju wspaniały zapach skwierczącego na patelni bekonu. Już mam narzucić coś na siebie, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Łapię szlafrok i krzyczę:

– Wejź!

– Dobrze się spało?

Wchodzi Nick z tacą pełną jedzenia. Placuszki drożdżowe z masłem, bekon, jajka, kielbaski i pomidory – fantastyczny widok.

– Chcesz mnie utuczyć? Nie biegałam przez cały tydzień, a ty ciągle mnie karmisz.

– Co powiedziałaaby Cassie, gdybym pozwolił ci znowu nie jeść? – Posyła mi szeroki uśmiech. – I co teraz? – pyta, gdy ja się opycham. – Nie dowiedzieliśmy się niczego nowego o Dylanie.

– Nie wiem, co robić – przyznaję, starając się dyskretnie otrzeć usta palcem. – Myślę, że to, co spotkało Beth, wiąże się z Dylanem, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób. Dylan mógł zostać zamordowany albo porwany dla okupu w akcie zemsty za śmierć Beth. Tyle że na zdjęciu, które dostałam, widać zadowolonego, uśmiechniętego chłopaczka, całego i zdrowego. Moim zdaniem to nie wskazuje na akt zemsty. Nie możemy wybrać się do Marka i ot tak zagadnąć go: „Posłuchaj, Mark, czy zabiłeś swoją narzeczoną dwadzieścia jeden lat temu?”.

Nick już ma się odezwać, gdy dzwoni moja komórka. Cholera! Znowu Mark? Numer, którego nie znam. Zanim ten ktoś zrezygnuje, wciskam zielony przycisk.

– Halo?

– Rozmawiam z Susan Webster? – słyszę głęboki męski głos.

– Tak.

– Nazywam się Carl Weston, swego czasu pracowałem jako śledczy policji w Durham. Zadzwoiła do mnie Jean Whitaker i powiedziała, że chciałaby pani ze mną porozmawiać w sprawie Bethany Connors.

Jakżeby inaczej! Zasłaniam telefon i bezgłośnie mówię do Nicka: „Policjant”.

– Moglibyśmy się spotkać? Dajmy na to, za dwie godziny?

Kiwam głową i natychmiast uprzytamniam sobie, że on mnie przecież nie widzi.

– Oczywiście, gdzie pan jest?

– Pod Durham. Przyjadę pociągiem.

Umawiamy się przy kawiarni niedaleko dworca. Spodziewam się, że Nick będzie podekscytowany tym spotkaniem, ale on jest zaniepokojony i nieufny.

– Kto to był? Co to za policjant?

– Śledczy Carl Weston. Ten, który odszedł z policji, ponieważ nie wierzył, że Russon jest winny śmierci Beth. Spotykamy się z nim za godzinę.

– Nie dam rady – mówi ostrym tonem. – Muszę zabrać parę rzeczy z redakcji. Idź sama. Potem mi opowiesz.

Jestem zawiedziona i nie potrafię tego ukryć.

– Nie wspominałeś o pracy. Może byś poszedł do redakcji po południu?

– Świat nie kręci się wokół ciebie – oświadcza zimnym tonem i zbiera się do wyjścia. – Po spotkaniu wróć tutaj. I bądź ostrożna, nie wiesz, co to za gość.

49

Na dworze jest przenikliwie zimno, więc wolę czekać na Carla Westona w kawiarni. Gdy wchodzi, nie mam wątpliwości, że to on. Wygląda jak policjant, rusza się jak policjant; gdy mnie widzi, natychmiast orientuje się, kim jestem – jak to policjant – i podchodzi do stolika.

– Pani Webster?

– Tak. Proszę, niech pan siada.

Jest starszy, niż przypuszczałam: dobrze po sześćdziesiątce. Patrzy na mnie czujnie, jakbym mogła go znienacka ugryźć.

– Czy pani Whitaker powiedziała panu, w jakiej sprawie do niej przyszliśmy?

Kiwa głową.

– Mówiła, że pytaliście o Bethany Connors. I że jest pani była żoną Webstera.

– Poznał pan Marka?

Znowu kiwa głową.

– Minęło już wiele lat, ponad dwadzieścia, ale dobrze pamiętam pani męża. Próbowaliśmy go przesłuchać kilka razy.

– Próbowaliście?

Carl Weston spogląda z uśmiechem na młodą kelnerkę, która staje przy naszym stoliku. Zamawia dwie herbaty i obrzuca mnie pytającym wzrokiem, jakby zapomniał, czym się w tej chwili zajmuje albo dlaczego w ogóle znalazł się tutaj.

– Powiedział pan, że próbowaliście przesłuchać Marka...

– A, tak. – Wraca do rzeczywistości. – Chociaż z nikłym rezultatem, trzeba przyznać. Za pierwszym razem był w fatalnym stanie. Ojciec załatwił mu

wziętego prawnika, zupełnie niepotrzebnie, bo chłopak miał żelazne alibi i nic nie wskazywało na to, że był zamieszany w tę sprawę. Podczas przesłuchania cały czas płakał. W pewnym momencie musieliśmy przerwać, bo dostał mdłości. Można by sądzić, że traktujemy go jako podejrzanego.

– Czy to nienormalne? Żeby aż tak się przejąć?

– Wcale nie. – Carl kręci głową. – Ludzie różnie przeżywają śmierć bliskiej osoby. – Wydaje się zakłopotany; no tak, wie, kim jestem.

– Rzeczywiście.

Spuszczam głowę, żeby nie widział, jak zbierają mi się łzy w oczach. Na szczęście kelnerka przynosi nam herbatę i oboje mamy sposobność przerwać tę niezręczną chwilę.

– Obawiam się, że niewiele pani pomogę. – Znow spogląda na mnie z zakłopotaniem. – Gdybym wiedział o czymś istotnym, znalazłbym lepsze rozwiązanie tej sprawy niż Lee Russon.

– Czyli jest pan przekonany, że on tego nie zrobił? Nie on zabił Beth, tak?

– To wykluczone. Gdy go zgarnęliśmy, gadał od rzeczy. Twierdził, że ukradł samochód, żeby wywieźć zwłoki Beth na pustkowie, ale nie pamiętał, gdzie zostawił samochód.

– Był chory psychicznie?

Carl kiwa głową.

– Nie stać go było na przyzwoitego adwokata i sąd przyjął jego przyznanie się do winy. Tak naprawdę Russon nie wiedział, gdzie spędzi kolejną noc ani kiedy zdobędzie coś do jedzenia. W więzieniu miał łóżko, dach nad głową i trzy posiłki dziennie. Często się z tym spotykamy: włóczędzy przyznają się do wszystkiego, byle tylko ktoś się nimi zaopiekował. Zazwyczaj nie traktujemy ich zeznań poważnie i dlatego dostałem białej gorączki, gdy poszedł siedzieć.

– Jennifer Matthews mówiła, że miał portmonetkę Beth i zakrwawiony T-shirt.

Carl prychnął.

– Portmonetkę mógł znaleźć gdziekolwiek, w koszu na śmieci albo w przydrożnym rowie. Złapaliśmy go przypadkiem, za kieszonkostwo. Gdy zobaczył portmonetkę, nagle jakby przypomniał sobie, że kogoś zabił. Krew znajdowała się na jego T-shirtcie, pod kurtką, na której nie było ani kropli

krwi. Nie znaleźliśmy też krwi na jego brudnych rękach ani nigdzie indziej. Jakby usunął wszystkie ślady, ale zapomniał o koszulce. Bez sensu.

Wszystko dobrze i pięknie, ale jak Carl sam powiedział, do dziś nie wie, kto był zabójcą.

– A co z Matthew Rileyem, który twierdził, że Beth uprawiała seks za pieniądze?

Carl marszczy czoło.

– To też było niespójne. Tak oświadczył, jednak zaraz odwołał zeznania, chyba dzień później. Nikt nie potwierdził, że ona proponowała komukolwiek seks, ale pozostali w grupie śledczej przyjęli to za pewnik. Cały czas uważałem, że się mylił i że to jego dziewczyna przekonała go do zmiany zeznań. Śliczna panna, doprowadziła go na komisariat niemal siłą. Wciąż mam w oczach te tlenione blond włosy i zaczerwienioną twarz. Zabawne, co zostaje człowiekowi w głowie, prawda?

Tlenione blond włosy...?

– Pamięta pan, jak się nazywała?

– Mam pamięć słonia, nawet po dwudziestu latach. Miała na imię Kristy.

A zatem Kristy Riley chodziła z moim byłym mężem na uniwersytet, gdy umarła jego narzeczona. Ciekawe, że o tym nie wspomniała.

– Śliczne imię, Kristy. Kristy Travis.

Travis?

To najpewniej zbieg okoliczności. W Bradford mieszka niejedna Travis. Co nie znaczy, że żona Matthew Rileya nie jest spokrewniona z Rachael Travis, moją adwokatką.

– Odpowiednie dla gwiazdy filmowej, prawda?

– Czy ona miała siostrę, pamięta pan?

Carl krzywi się, jakby zjadł cytrynę.

– Jakżeby nie. Pamiętałbym ją nawet po latach. Podniosła taki rwetes, oskarżając nas o okrywanie hańbą uczelni, że mało brakowało, a jej przypisałbym tę zbrodnię. Na szczęście nigdy więcej nie widziałem Rachael Travis.

50

– Nick, gdzie jesteś? – Zdyszana wrzucam torebkę do samochodu i zamykam drzwi od strony pasażera. – Jadę do Kristy Riley. Możesz spotkać się ze mną pod jej domem? Rozmawiałam z Carlem Westonem. Kristy nas okłamała. Studiowała w Durham razem z Markiem i Mattem i знаła historię Beth. Chcę się dowiedzieć, co jeszcze przed nami ukryła. Równie dobrze może przetrzymywać Dylana w swoim pokoju gościnnym. No i z domu nazywa się Travis, tak jak Rachael Travis. Zadzwoń do mnie od razu, jak odsłuchasz tę wiadomość.

Pożegnałam się z Carlem, obiecując, że zadzwonię, jeśli będę miała nowe informacje o Beth. To, co mi powiedział, tylko potwierdziło opowieść Jennifer: Beth była przerażona, bo odkryła coś na temat swojego narzeczonego, coś, w co byli zamieszani Mark i chłopcy z elity Durham, jak mówiła o nich Jennifer. Mimo to tydzień później wciąż byli razem, udając szczęśliwą parę, jakby nic się nie wydarzyło. Gdy Beth postanowiła niczego nie wyjawiać Jennifer, czy dała sobie z tym spokój? Ochłonęła i wróciła do Marka, a w następny piątek została zgwałcona i zabita? Nie sądzę. Myślę, że zwróciła się do innej koleżanki, której chłopak też był uwikłany w to, co Beth odkryła. A tą koleżanką była Kristy Travis.

Range rover jest na podjeździe. Parkuję tuż za nim, jak najbliżej, żeby przyblokować samochód.

Zapukam do drzwi i zażądam, żeby Kristy Riley powiedziała mi jasno i wyraźnie, dlaczego zataiła fakt, iż znała mojego męża, i co wie o moim synku. Nie wyjdę od niej, dopóki wszystkiego mi nie wyjawi. Ewentualnie wezwę policję.

Choć samochód stoi na podjeździe, w domu chyba nikogo nie ma. Bezskutecznie walę w drzwi. Zaglądam przez okno od frontu i widzę, że telewizor jest zgaszony i nie palą się światła. Już mam odejść – zdaję sobie sprawę, ile warte jest moje mocne postanowienie sprzed chwili – gdy dostrzegam coś, co mrozi mi krew w żyłach. Przez okno salonu widać w głębi jadalnię, z której, jak wiem po poprzedniej wizycie, wychodzi się na oszkloną werandę. Tym razem różnica jest taka, że piękny kryształowy wazon, wcześniej wyeksponowany na środku stołu jadalnego, leży w kawałkach na podłodze, wśród kwiatów zalanych wodą, która wycieka z niego jak krew z rozbitej głowy.

Mogłabym nie przejąć się wazonem, uznać, że stłukł się przez przypadek, a pani domu się spieszyło i nie zdążyła posprzątać – choć to mi raczej nie pasuje do Kristy Riley – ale moją uwagę przykuwa coś jeszcze. W drzwiach jadalni widzę but na obcasie, przewrócony, jakby ktoś go niedbale upuścił. A przy bucie dostrzegam stopę.

Powinnam wsiąść do samochodu, zawiadomić policję i odjechać. Ale zanim ta rozsądna myśl uformuje się w mojej głowie, okrążam dom i zaglądam do środka przez werandę.

Kristy Riley nie żyje; byłaby nie do poznania, gdyby nie bujne blond włosy i markowe ubranie. Jej piękna twarz jest zlepkiem krwi i kości, rysy są całkowicie zdeformowane.

Duszę w sobie krzyk. Zginam się wpół i klękam, przekonana, że zaraz zwymiotuję, ale nic takiego się nie dzieje. Wezwij policję! – krzyczy mój umysł. Zadzwoń natychmiast pod 999!

Ale przecież nie możesz tak postąpić, odpowiada przebiegle ten bardziej racjonalny wewnętrzny głos. Jak to będzie wyglądało? Skazana morderczyni o skłonności do paranoi, pewna, że Kristy Riley coś wie o zniknięciu jej syna, przyjeżdża pod jej dom i znajduje ją martwą? Tym razem nie wylądujesz w Oakdale, kochana, trafisz prosto do zwykłego więzienia.

Jasna cholera. Co robić? Normy moralne podpowiadają mi, że trzeba polegać na wymiarze sprawiedliwości, zrobić to, co słuszne, i zgłosić

zdarzenie. Nauczono mnie odróżniać dobro od zła, a opuszczenie miejsca zbrodni jest złe. Tyle że to już przeszłość. Tak było, zanim zostałam fałszywie oskarżona o zabicie syna i wszyscy wokół zaczęli kłamać jak najęci. Teraz wiem, że prawda jest taka: ludzie, którzy kierują naszym życiem, są podatni na demoralizację jak wszyscy inni i uczciwość nie zawsze popłaca. Dlatego uciekam.

Jestem już w połowie ulicy, gdy uprzytamniam sobie, jak ta strata dotknie Rachael. Choć boli mnie jej udział w tym, co mnie spotkało, nie mogę zapomnieć, ile pomocy i wsparcia otrzymałam od niej w trudnym okresie mojego życia. Tu chodzi przecież o jej siostrę. Nie mogę powiedzieć Rachael, że Kristy nie żyje, ale trudno jest przeskoczyć w tak krótkim czasie od wdzięczności wobec kogoś do życzenia temu komuś krzywdy. Muszę ją ostrzec przed niebezpieczeństwem. Choć na samą myśl, że to możliwe, jest mi ciężko na sercu, być może powinna się strzec mojego byłego męża.

– Kancelaria Adwokacka ZBH, mówi Gemma. Czym mogę służyć?

– Gemmo, tu Susan Webster. Proszę, połącz mnie z Rachael.

– Pójdę zobaczyć, czy pani Travis jest wol...

– Nigdzie nie pójdziesz, Gemmo. To ważna sprawa, właściwie sprawa życia i śmierci. Masz mnie połączyć. Natychmiast.

Gemma niewątpliwie wyczuwa powagę sytuacji i w słuchawce znowu słychać brzęczenie.

– Rachael Travis przy telefonie.

– Susan Webster z tej strony. Tylko nie odkładaj słuchawki, Rachael. Mam bardzo ważną sprawę.

– O, Susan. – Przybiera ton „miło panią słyszeć”. – Do głowy by mi nie przyszło, żeby odkładać słuchawkę. Co słychać?

– Rozmawiałaś dzisiaj z Markiem?

Zapada cisza. Wyczuwam, że Rachael jest zaskoczona. Skręcam w lewo na dwupasmówkę i dodaję gazu. Chcę być jak najdalej od tamtego domu, no i znaleźć Nicka.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym...

– Przestań chrzanić, Rachael. To poważna sprawa. Życia lub śmierci. Dla mnie, mojego syna i być może dla ciebie. Więc rozmawiajmy otwarcie. Wiem,

że jesteś siostrą Kristy Riley. Wiem, że twój szwagier i mój mąż byli kumplami, należeli do jakiegoś bractwa studenckiego czy czegoś równie beznadziejnie dziecinnego. Wiem też, że miałaś świadomość, iż jestem niewinna, i umyślnie zaważyłaś moją sprawę.

– Nie mam pojęcia...

– Nie masz pojęcia, o czym mówię. Jasne, że nie masz, i nie spodziewam się, że powiesz co innego, więc teraz zamknij się i słuchaj. Jeżeli zadzwoni do ciebie Mark, nie odbieraj telefonu. Jeżeli przyjdzie do kancelarii, nie wpuszczaj go. Zrozumiałaś?

– Dlaczego? – Usiłuje przybrać buńczuczny ton, ale w jej głosie słychać strach.

– Bo on jest groźny, Rachael. Myślę, że próbuje dotrzeć do ludzi, którzy wiedzą, co naprawdę stało się z Dylanem. Po prostu rób, co mówię, i trzymaj się od niego z daleka.

– Rozmawiałam z nim. – Rachael panikuje, już straciła ten swój zwykły luz.
– Dzwonił z godzinę temu i pytał, gdzie jest Kristy.

Zamiera mi serce. Nawet po tym, co się stało, miałam nadzieję, że mój były mąż nie jest winny śmierci Kristy.

– Co mu powiedziałaś?

– Że o ile wiem, jest w domu. Chciał wiedzieć, co ona ci mówiła. Twierdził, że byłaś u niej niedawno. Gadał i gadał, pytał, co mi powiedziałaś, co ja powiedziałam tobie. Dopytywał się, kim jest facet, który ci towarzyszył. Pytał, gdzie teraz mieszkasz. Powinnam zadzwonić na policję?

– I co im powiesz? Że wiedziałaś, iż zostałam wrobiona w morderstwo, i że teraz jeden z twoich współspiskowców chce cię dopaść? Rób to, co musisz, Rachael. Ja już zrobiłam swoje i ostrzegłam cię.

Rozłączam się z nadzieją, że powiedziałam dostatecznie dużo, by ocalić jej życie. Nie wiem, czy zadzwoni na policję. Nie sądzę. Policja będzie chciała rozmawiać ze mną, a ja nie mam na to czasu. Muszę dotrzeć do Nicka, a potem do Marka i dowiedzieć się, co zrobił z moim synem.

Gdy zajeżdżam pod siedzibę „Star”, omiatam wzrokiem parking. Nigdzie nie widzę samochodu Nicka, ale jest tu mnóstwo aut, a jego miejsce parkingowe może się znajdować gdzieś z tyłu.

– Dzień dobry. Czy Nick Whitely jest jeszcze w redakcji? Muszę koniecznie z nim porozmawiać – zwracam się do młodej dziewczyny w recepcji.

– Raczej tak. Nie widziałam, żeby wychodził. – Marszczy czoło, szperając w pamięci. – Większość z nas pracuje do osiemnastej. Przekręcę do niego. Kogo mam przedstawić?

– Su... Emma. – Natychmiast się poprawiam, trochę skrępowana, bo nie wiem, czy się nie zezłości, że tu przyszedłam. Ale jestem teraz w takim stanie, że za bardzo się tym nie przejmuję. – On będzie wiedział.

– Oczywiście. – Dziewczyna podnosi słuchawkę telefonu wewnętrznego.

Nawet w takim rozgorączkowaniu przelatuje mi przez głowę myśl, czy ona i Nick nie byli kiedyś parą. Sądzę, że większość kobiet wskoczyłaby mu do łóżka, gdyby nadarzyła się okazja. Dopiero po chwili mówię sobie, że nie interesuje mnie życie prywatne Nicka.

– Masz gościa, Nick. Przyszła pani Emma. – Odkłada słuchawkę. – Już schodzi. Proszę chwilę poczekać, o tam. – Z uśmiechem wskazuje kącik, gdzie stoją fotele i stoliki.

– Dzięki. – Też się uśmiecham, starając się nie wydawać na nią wyroku za przestępstwo, które popełniła tylko w mojej wyobraźni.

Czekam z niecierpliwością, uderzając palcami w udo. Zastanawiam się, czy już znaleziono zwłoki Kristy. Czy Rachael wezwała policję i powiedziała im o moich obawach co do Marka? Mijają wieki, nim rozlega się szum windy. Podrywam głowę, ale widzę tylko starszego pana, który wysiada z kabiny i idzie przez hol. Prezentuje się trochę dziwnie w białej koszuli w prążki, opinającej okazały brzuch, i w ciemnopomarańczowej muszce. Na czubku głowy lśni mu łysina, okolona kępkami szpakowatych włosów. Ów pan zbliża się do mnie z serdecznym uśmiechem.

– Witam panią. W czym mogę pomóc?

– Dziękuję, już mi udzielono pomocy. Czekam na Nicka Whitely'ego. Starszy pan ma lekko zakłopotaną minę.

– To ja. Nazywam się Nick Whitely. A pani jest...?

Beth: 20 listopada 1992

– Jeżeli chcesz się przekonać, czy mówi prawdę, po prostu pójdź za nim.

Puściła mimo uszu rzuconą od niechcienia radę Jen, ale przez cały następny tydzień te słowa nie dawały jej spokoju i w końcu nie mogła ich dłużej bagatelizować. Gdy teraz czaiła się, siedząc w kucki za mokrymi od deszczu krzakami, i niczym tajna agentka obserwowwała opuszczoną rudere, ten pomysł znów wydał jej się wariacki.

Widziała, jak schodzili się po kolei, chłopcy, których jej narzeczony nazywał kolegami – pukali cztery razy w drzwi i bez słowa wślizgiwali się do środka. Nie pozostało jej nic innego, jak podkraść się pod któreś z wybitych okien i zobaczyć, jak grają w pokera czy co tam robią, gdy mają swoją noc wolności. Potem, w zimnie i ciemnościach, przejdzie te pięć kilometrów do domu, z poczuciem, że się wygłupiła, ale i z złejszym sercem.

No to jazda. Gdyby ją przyłapali, miała gotową historyjkę: dostała od siostry telefon z wiadomością, że ich ojciec zachorował, i musi porozmawiać z narzeczonym. To chyba nie jest bez sensu, prawda? A Mark przecież się nie zezłości, jeśli na chwilkę oderwie go od pokera. Miała nadzieję, że nikt nie będzie sprawdzał tej historyjki; okolicznościami cudownego ozdrowienia taty zajmie się później. Może lepiej powiedzieć, że to Josh jest chory. Nie znają go, więc jej nie wkopie.

To jakiś obłąd. Co ją skłoniło, żeby się tu wybrać? Obserwowała, jak ci chłopcy nadchodzą; była przekonana, że Mark mówi prawdę. Bo niby co innego mieliby tu robić? Nagle poczuła się jak idiotka i wstała z kucek. Powinna wrócić do swojego pokoju, wziąć butelkę wina i odwiedzić Jen. Przy kieliszku będą się

zaśmiewać z jej tymczasowej niepoczytalności. Kiedy to ostatnio spotkała się na dłużej ze swoją najlepszą przyjaciółką? Zdawała sobie sprawę, że zaniedbywała Jen, bo woląca spędzać czas z Markiem. Może trzeba teraz trochę ochłonąć i odbudować mosty.

W ciemnościach usłyszała szum zbliżającego się samochodu i z powrotem przykucnęła za krzakami. Czarna vectra – takiego samochodu nie miał żaden z kolegów Marka – wolno podjechała pod budynek i zatrzymała się w odległości jakichś trzech metrów. Beth wstrzymała oddech, widząc, że otwierają się drzwi kierowcy i wysiada Jack Bratbury. Jak najwolniej wypuściła powietrze, modląc się, żeby jej nie zauważył. Gdyby zobaczył ją przyczajoną w krzakach, długo nie dałby Markowi spokoju.

Beth nie znosiła Jacka. Był przywódcą grupy, hałaśliwym i aroganckim chłopakiem o dyktatorskich zapędach. Wpadła mu w oko i podrywał ją – i za plecami Marka, i na jego oczach. Zwłaszcza na jego oczach. „On się tylko wygłupia – usprawiedliwiał go Mark, ilekroć mówiła mu, że czuje się nieswojo. – Zgrywa się, bo wie, że to cię wkurza”. Ale jej zdaniem takie wygłupy nie były zabawne i taki chłopak nie nadawał się na przyjaciela. Rozumiała jednak, dlaczego Mark nie protestuje, choć ją doprowadzało to do szału.

Patrzyła, jak Jack obchodzi samochód od przodu i zatrzymuje się przy drzwiach pasażera, powoli otwiera drzwi i ze środka wysuwają się długie kobiece nogi. Beth nie znała dziewczyny, która poszła za Jackiem; miała dobrą pamięć, więc gdyby widziała ją wcześniej, na pewno by ją rozpoznała. Blond włosy ślizgały się po obfitych piersiach, ledwie zakrytych mikroskopijnym obcisłym trykotem. Beth zrobiło się zimno na sam ten widok; Bóg jeden wie, jak ta dziewczyna marznie. Sądząc po niepewnym kroku, można było przypuszczać, że rozgrzewał ją alkohol.

Kim ona jest? Beth nie przypominała sobie, by Jack mówił o swojej dziewczynie, a zresztą to miał być męski wieczór, o czym najwyraźniej nie wiedziała ta ubrana na wampa istota. Na oczach Beth podeszli do drzwi, zapukali cztery razy i zniknęli w ciemnym wnętrzu.

Teraz już nie mogła stąd odejść. Musiała się dowiedzieć, kim jest ta obca, skąpo odziana dziewczyna i co tu robi. Na miękkich nogach podkradła się pod ścianę budynku.

Okna dużej hali przemysłowej były zabite od wewnątrz deskami, które po latach nadgniły, ale wciąż zasłaniały wnętrze. W jednej z desek Beth szybko znalazła dziurę wielkości pięści, natomiast dłużej zbierała się na odwagę, aby przyłożyć oko do otworu i spojrzeć w ciemność.

Minęły chyba wieki, zanim dotarło do niej, co widzi. Ponieważ w hali nie było oświetlenia, rozstawiono tam chyba ze sto świec najróżniejszych kształtów i wielkości, które wypełniały to rozległe pomieszczenie niezwykłym blaskiem. Na środku stał duży prostokątny stół przykryty czarną tkaniną, widoczny tylko dzięki rzędom świec wzdłuż jego boków; migające płomienie odbijały się w pucharach z ciemnym płynem. Rzeźbione dębowe krzesła wokół tej królewskiej dekoracji wnętrza były puste, a osoby, które miały na nich zasiąść, przechadzały się tam i z powrotem.

Z całą pewnością nie wyglądało to jak noc pokera, ale co tu się działo, Beth nie mogła pojąć. Chłopcy, którzy jeden po drugim wchodzili do budynku, mieli teraz na sobie długie czarne szaty z czarnymi kapturami rzucającymi cień na ich twarze. Nie potrafiła rozpoznać Marka, bo wszyscy byli podobnego wzrostu i budowy. Skupieni w dwu- albo trzyosobowych grupach, jedni popijali ciemny płyn z kielichów – Boże drogi, oby to nie była krew, przeleciała jej przez głowę gorączkowa myśl – drudzy nerwowo palili papierosy. Nawet z daleka, stojąc na zimnie, Beth czuła przez skórę napięcie, dopływające do niej falami od każdego z tych chłopców. Na coś czekali – na coś więcej niż partyjkę pokera – to nie ulegało wątpliwości.

Gdzie się podziała ta dziewczyna? To z jej powodu Beth tu tkwiła, ale zaskoczona dziwną sceną wewnątrz, na chwilę przestała o niej myśleć. Ktoś się odezwał, padło krótkie, szorstkie polecenie, którego Beth nie zrozumiała. Kilka zakapturzonych głów zwróciło się w stronę rogu hali; inni jakby odwracali spojrzenia. Beth wyteżyła wzrok, lecz obszerne szaty chłopców nie pozwoliły jej zobaczyć, co przyciągnęło ich uwagę.

Znów odezwała się tamta osoba, niskim, władczym głosem. To Jack, domyśliła się Beth. Wszyscy posłusznie wykonali polecenie. Zajęli miejsca przy stole i wtedy Beth zobaczyła, na co patrzyli. Na dziewczynę.

– Chyba doszło do nieporozumienia. – Mija zaskoczenie i wracam do równowagi. Dla pewności pytam: – To siedziba „Star”, prawda?

– Niewątpliwie – potwierdza pan, który podaje się za Nicka Whitely’ego. – W całej okazałości.

Nie rozumiem, co się dzieje, ale wierzę, że da się racjonalnie wyjaśnić tę sytuację.

– Szukam mężczyzny, z którym zajmowałam się pewną sprawą. Pracuje w redakcji „Star”. Czy jest tu jeszcze ktoś o imieniu Nick? Ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, krótkie ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy i elegancko się ubiera.

Widzę, że ten opis nic mu nie mówi. Recepcjonistka odeszła od biurka i zaczęła porządkować gazety leżące na stoliku niedaleko nas. Zapewne chce się zorientować, o co chodzi. Dobrze wiem, jak cenne są biurowe ploteczki.

– Niestety, nie znam nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi. A ty, Terri? – zwraca się do recepcjonistki, dając znak, że widzi jej manewry podsłuchowe.

– Kogoś takiego raczej bym zapamiętała – odpowiada dziewczyna. – Przykro mi.

– Mówiła pani, że nazywa się...? – pyta mężczyzna.

Uprzytamniam sobie, że on doskonale wie, kim jestem.

– Nic nie mówiłam. Przepraszam, pomyliłam się i trafiłam nie tam, gdzie trzeba. Moja wina.

Uciekam, zanim padną następne pytania.

Siedzę w samochodzie, tak wstrząśnięta, że żołądek podchodzi mi do gardła. Nick cały czas mnie okłamywał. W swojej głupocie wierzyłam, że jest

tym, za kogo się podaje, i wpuściłam obcego człowieka do swojego życia. Czuję się tak, jakbym wylądowała w łóżku z przypadkowo poznanym facetem, ale była tak zalana, że nic z tego nie pamiętam. Nie wiem, dokąd jechać ani co zrobić. Czy powinnam porzucić swój plan i zdać się na policję? Nie potrafię podjąć decyzji bez Nicka. Śmierć człowieka to coś więcej niż poważna sprawa.

Jadę kawałek dalej, gdzie już nie kręcą się dziennikarze, i parkuję, żeby zebrać myśli. Skoro Nick nie jest Nickiem Whitelym z pisma „Star”, to kim jest, do diabła? Czy przyjaźni się z Markiem? Boże drogi, a jeśli zna go ze studiów i co więcej, należał do elity Durham? To wiele by wyjaśniało; mógł zaaranżować zdarzenie z winem i aspiryną, żebym uznała, iż popadam w obłąd. Czy włamał się do mojego domu? Zabił kota przybłądę? Ale przecież to on przekonał mnie, że coś jest na rzeczy w tym, co mówię; to on stanął po mojej stronie i sprawił, że poczułam, iż mam rację. Czy postępował tak, żeby mnie spłoszyć? Czy trzymał się blisko mnie, żeby się zorientować, co wiem? A potem, gdy już zbliżamy się do prawdy, Kristy Riley zostaje zabita w swoim własnym domu. Możliwe, że zaledwie kilka minut po tym, jak nagrałam mu wiadomość, że wiem, kim jest Kristy!

W kieszeni brzęczy moja komórka. Nick? Nie, na ekranie miga „ROB” i pojawia się SMS: Co u ciebie? X. Wkładam telefon z powrotem do kieszeni. Nie mam czasu dla Roba Howe’a. Myślę tylko o tym, jak zachować się wobec Nicka.

Najchętniej pojechałabym do niego i stawiała mu czoło, z krzykiem i wrzaskiem domagając się wyjaśnień, ale tak naprawdę on może być groźny albo szalony, albo i jedno, i drugie. A co najmniej jest kłamcą, i to cholernie dobrym. W tej samej chwili uprzytamniam sobie, że właściwie ani razu nie kwestionowałam tego, jak się przedstawił. Sięgając pamięcią do naszego pierwszego spotkania, mam wrażenie, że to ja nazwałam go reporterem. Ten człowiek może być kimkolwiek. Psiakrew, w co ja wdepnęłam?

Zmieniam zdanie: nie mogę pojechać do Nicka. Zostawiłam tam niewiele swoich rzeczy, nic, czego nie mogłabym poświęcić dla własnego bezpieczeństwa, a w samochodzie mam jeszcze trochę ubrań i przyborów toaletowych. Muszę znaleźć gdzieś schronienie i zastanowić się, czy mówić policji o tym, czego się dowiedziałam. W żadnym wypadku nie mogę wrócić

do siebie. Nick wie, gdzie mieszkam, i jeżeli skumał się z Markiem, niewątpliwie przekazał mu wszystkie informacje. Jechać do taty? Zapewne by mnie przyjął, ale nie chcę narażać go na niebezpieczeństwo ani opowiadać o śmierci Kristy Riley czy o Nicku. Nie jestem w nastroju na poważną rozmowę o tym, że tracę trzeźwy osąd sytuacji, gdy widzę przystojnego mężczyznę. Pozostaje tylko Cassie. Natychmiast mam wyrzuty sumienia, że nie informowałam jej na bieżąco o wydarzeniach ostatnich dni, ale wszystko działo się tak szybko. Czy mimo to mogę poprosić, żeby mnie przyjęła?

Przypominam sobie, przez co razem przeszliśmy, i myślę, że się zgodzi. Jest moją najbliższą przyjaciółką. Kiedy powiem jej, w co się wpakowałam, na pewno będzie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Panie Boże, spraw, żeby wiedziała, co zrobić.

Beth: 20 listopada 1992

Dziewczyna, z miłym uśmiechem, przechodziła od jednej postaci odzianej w ciemną szatę do drugiej i dolewała im wina – łaska boska! A więc to kelnerka, stwierdziła z ulgą Beth. Cały Jack. Dla niego nie ma pokera bez skąpo odzianych kelnerek i ceremonialnych strojów. Teraz przynajmniej mogła już sobie pójść. Jak tylko oderwie wzrok od tej dziewczyny.

Tymczasem ona płynnym krokiem tancerki podeszła do jednej z postaci i ocierając się o nią, napełniła kielich. Duża dłoń wysunęła się spod szaty i opadła na niemal gołe pośladki. Zjechała niżej, pod wąski pasek materiału między nogami dziewczyny, i zniknęła. Beth zagryzła wargi. To nie Mark, powiedziała sobie z przekonaniem, Mark mnie kocha. Ten obleśny typ jest jednym z ich paczki.

Striptizerka – tak ją teraz określiła Beth – wzdrygnęła się i szybko odsunęła od natrętnej dłoni. Przyspieszając kroku, podeszła do szczytu stołu, gdzie, jak domyślała się Beth, siedział Jack, któremu dołała wina. Zanim zdążyła się cofnąć, Jack chwycił ją za łokieć, przyciągnął do siebie i szepnął jej coś do ucha. Nawet z daleka, przez niewielki otwór, Beth widziała, jak dziewczynie rozszerzyły się oczy. Pokręciła stanowczo głową i wykonała ruch do tyłu, ale Jack trzymał ją mocno. Przysuwając zakapturzoną głowę do jej twarzy, znowu coś powiedział, bardziej zdecydowanie. Dziewczyna spokorniała. Jack puścił ją; choć miał zasłoniętą twarz, z całej jego postaci emanowało zadowolenie. Dziewczyna stanęła z boku, wbiła wzrok w podłogę i zaczęła zsuwać z ramienia obcisły trykot. Wszyscy przy stole zwrócili głowy w jej stronę i przyglądali się temu striptizowi, który wykonywała tak niechętnie. Jej ruchy były powolne,

jakby miała nadzieję, że to żart i ktoś zaraz wykrzyknie: „Przestań, wygłupiamy się!”, ale nikt się nie odezwał.

Chłopak u szczytu stołu gwałtownie odsunął krzesło. Chwycił dziewczynę i ze zniecierpliwieniem szarpnął za trykot, rozrywając cienki materiał, i odrzucił go na bok. Pod spodem miała tylko skąpe majtki, czego zapewne teraz żałowała, przeleciało przez myśl Beth. Posunęli się za daleko. Czy powinna interweniować? Czy mogłaby zwyczajnie wejść tam i wyprowadzić tę dziewczynę, tak po prostu? Raczej nie. Jack by na to nie pozwolił, a poza tym jak wyjaśniłaby swoją obecność, czajenie się w krzakach i śledzenie całego towarzystwa?

Może zadzwonić na policję? Nie musiałyby się przedstawiać i nikt by jej nie podejrzewał. Ale czy Mark nie miałby wtedy kłopotów? Czy to, co robili ci chłopcy, było w ogóle sprzeczne z prawem? Sama widziała, że dziewczyna przyjechała z Jackiem. Nie wyglądało to tak, jakby ściągnął ją wbrew jej woli, a teraz dalej napełniała kielichy, choć może z trochę mniejszym entuzjazmem. A jeśli to była jakaś zabawa? Policja zarzuci jej bezpodstawne wezwanie.

Atmosfera w hali wyraźnie się zmieniła. Rozwiął się ciężki nastrój wyczekiwania i niepokoju. Chłopcy byli szczęśliwi, że wśród nich krąży naga dziewczyna, upajali się jej widokiem. Nadal dolewała im wina, a oprócz tego występowała w nowej roli: podsuwała im do pociągnięcia zapalone papierosy i unosiła do ich ust kielichy z winem. Ci, którzy do tej pory klepali ją po siedzeniu ukradkiem i dyskretnie, zaczęli to robić otwarcie. Co rusz ktoś wyciągał rękę spod szaty, łapał za gołe ciało, podszczypywał i obmacywał. Beth widziała, jacy są z siebie zadowoleni; w miejscu publicznym nie odważyliby się tak zachowywać, a tu byli do tego wręcz zachęceni.

Kiedy dziewczyna schyliła się, żeby wziąć kielich ze stołu, siedzący obok chłopak złapał ją mocno za ramię. Zamarła, jej ładna buzia ściągnęła się ze strachu. Zakapturzona głowa odwróciła się w bok i kaptur opadł na piersi dziewczyny. Gdy chłopak się wyprostował, na jej nagiej piersi widać było wściekle czerwony ślad i krople potu na skórze. Czy to Mark? Beth nie mogła dłużej na to patrzeć.

Postać u szczytu stołu znowu się odezwała i wszyscy zamilkli. Słowa musiały być wypowiedziane tonem polecenia i skierowane do dziewczyny, bo

natychmiast podeszła. Chłopak chwycił ją za gęste blond włosy i pchnął twarzą na stół. Beth aż się skuliła, słysząc nawet stąd plaśnięcie policzka o blat. Dał znak swojemu sąsiadowi, żeby stanął za dziewczyną. Beth patrzyła, jak rozchylają się poły szaty i obejmują drobną sylwetkę. Wiedziała, co będzie dalej. Teraz miała już naprawdę dość. Ledwie łapiąc oddech, zalana łzami, uciekła w ciemność.

Dom Cassie jest taki jak ona: zawsze wychuchany i wymuskany. Nie wiem, skąd ma pieniądze, i nigdy bym jej nie zapytała – znając konkrety, pewnie tylko stałabym się współwinna przestępstwa albo czegoś takiego – ale w jakiś sposób weszła w posiadanie tego pięknego domu oraz samochodu niespełna rok po opuszczeniu zakładu. Z dumą mówi, że jest to pierwsza nieruchomość, którą nabyła bez pomocy mężczyzny. Mam jednak poważne wątpliwości, czy z pensji, którą dostawała za pracę w stołówce w Oakdale, zdołałaby odłożyć dość pieniędzy na zadatek.

Jej samochód stoi na podjeździe. Jest mi głupio, że tak się denerwuję, odwiedzając kogoś, kogo widuję niemal codziennie. Biorę głęboki wdech i pukam do drzwi.

– To ty? – Cassie patrzy na mnie podejrzliwie, zaskoczona moją wizytą. – Co tu robisz?

– Mam kłopoty, Cass. Mogę wejść?

Waha się, czy mnie wpuścić. Przelatuje mi przez myśl, że ktoś u niej jest. Czyżby Nick? Po chwili kiwa głową i otwiera szerzej drzwi. Jest sama. Zaczynam wpadać w paranoję i w obłęd. Coraz bardziej.

– Dzięki. – Szczerze wdzięczna idę za nią do salonu.

– Co się stało?

Słyszając w jej głosie lodowaty ton, od razu żałuję, że tu przyszedłam. Coś się między nami zmieniło, z całą pewnością przeze mnie.

– Chodzi o Nicka – mówię niepewnie.

Powinno się stąd wynieść? Pojechać do taty i przyznać, jaka byłam głupia? Sama nie wiem dlaczego, ale nic nie wspominam o Kristy Riley. Jakoś

nie mam na to ochoty. Cassie, która stoi przede mną, nie jest tą, którą znam i której ufam.

– A co? Nie opuścił deski klozetowej? A może przeszkadzają ci okruszki w łóżku? Albo... O, już wiem, przepocone skarpetki na podłodze w sypialni?

– Co ty pleciesz? Ja z nim nie śpię, jeśli to insynuujesz.

Moja najlepsza przyjaciółka śmieje się gorzko.

– Nie insynuuję, Susan, tylko stwierdzam. Nie jestem taka głupia, za jaką mnie masz.

– Obie jesteśmy głupie, Cass – mówię ze znużeniem. – Niewyobrażalnie głupie. Przykro mi.

Cassie patrzy na mnie skonsternowana.

– Nie gadaj, że on ma żonę. – W jej głosie wciąż pobrzmiwa zimny ton, ale słysząc również zaciekawienie.

– Bo ja wiem? Może jest żonaty, może owdowiał... kurczę, równie dobrze może być gejem.

Opowiadam jej, że poszłam do redakcji i spotkałam prawdziwego Nicka Whitely'ego, łysawego starszego pana. Kiedy kończę, jest tak samo wkurzona, jak była na początku, o ile nie bardziej.

– A więc gdy wszystko się sypie i złoty chłopiec okazuje się śmierdzącym kłamczuchem, ty lecisz do mnie – syczy zjadliwie. – A ja mam posprzątać ten bajzel i w żadnym wypadku nie powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

Jestem autentycznie zaskoczona tym wybuchem gniewu. To znaczy rozumiem, że trochę ma mnie dość, ale zdecydowanie przesadziła.

– Słuchaj uważnie, bo nie będę się powtarzać: rzeczywiście, on mnie pociąga, ale między mną a Nickiem, czy jak mu tam, do niczego nie doszło. Przepraszam, że pojechaliśmy do Durham bez ciebie. Nie powinnam była cię tak zostawiać. Wszystko się pokręciło, działa się zbyt szybko. Gdybym wiedziała, że będziesz zazdrosna... W ogóle nie przyszło mi do głowy, że on ci się podoba...

W oczach Cassie widzę czystą odrazę.

– Idź stąd – mówi.

Czuję się, jakbym dostała pięścią w żołądek. Teraz już nie mam do kogo się zwrócić.

– Że co? – pytam jak głupia.

– Idź już – powtarza, kręcąc głową. – Naprawdę życzę ci, żebyś odnalazła Dylana i żeby wszystko dobrze się dla ciebie skończyło.

Biorę torbę i wychodzę, dotknięta i oszołomiona. Zgadza się, popełniłam błąd, ale z tego powodu chyba nie warto burzyć trzyletniej przyjaźni. Czuję potworne zmęczenie i boli mnie każdy mięsień. Najchętniej padłabym na łóżko, byle jakie, i zasnęła. Ale nie mogę tego zrobić. Muszę jechać na policję. Oddać się w ich ręce, powiedzieć wszystko, co wiem o Dylanie, Marku, a także o Kristy Riley. Gdy trafię do więzienia, przynajmniej nie będą mi zagrażać ludzie, którzy chcą wpędzić mnie w obłąd albo i gorzej. Kompletnie wyczerpana i otumaniona, jadę na najbliższy posterunek policji.

Dziesięć minut później dzwoni moja komórka. Widzę, że na ekranie miga słowo „Nick”, i od razu łomocze mi serce. Starając się nie odrywać oczu od drogi, wyciągam rękę i odrzucam rozmowę, która zapisuje się na liście trzech nieodebranych wcześniej. Ponownie dzwoni telefon. Tym razem miga „Tato”.

– Cześć, tato. Jadę samochodem. Mogę zadzwonić później?

– To pilne, Susie. Dzwonili do mnie z policji. Chcą... hm... porozmawiać z tobą.

Serce znowu zaczyna mi łomotać i strach ściska mi gardło.

– W jakiej sprawie? Chodzi o Marka?

– Tak i nie. Powiedzieli, że nie żyje jakaś kobieta. Została zamordowana i w związku z tym chcą porozmawiać z tobą i Markiem. Uważają, że ty ją zabiłaś.

Jasna cholera.

– Nie zabiłam, tato. Nie miałam nic wspólnego z jej śmiercią.

– Jestem tego pewny, kochanie – mówi z absolutnym przekonaniem. Oddycham z ulgą. Skoro tato mi wierzy, wszystko będzie dobrze. – Chciałem cię tylko ostrzec. Nie wiem, o co tu chodzi, ale ta kobieta nie żyje i martwię się o ciebie. Co teraz zrobisz?

– Nie wiem, tato. Boję się.

Cieszę się, że mogę głośno powiedzieć, co czuję, i że odzyskałam tatę. Chociaż wcale niewykłuczone, że po raz drugi wsadzą mnie do więzienia, za

kolejne morderstwo, którego nie popełniłam.

– Zadzwońię do ciebie za jakiś czas – dodaję szybko, zanim on zdąży się odezwać. – Zgłoszę się na policję i to wyjaśnię. Oby uwierzyli, że ta szalona historia jest prawdziwa. Na pewno zadzwonię. Kocham cię.

– Ja ciebie też, Susan. Uważaj na siebie.

– Dobrze, tato.

Skręcam w boczną uliczkę i zatrzymuję się naprzeciwko parku, pełnego matek bawiących się ze swoimi dziećmi. Jakiś rozradowany brzdąc zsuwa się ze zjeżdżalni, prosto w ramiona mamy, i znów pędzi po schodkach na górę. Z samochodu obserwuję tę scenę, wyobrażając sobie, że jestem tą mamą, a Dylan jest tym chłopaczkiem na zjeżdżalni. W duchu modłę się, żebym go odnalazła, zdrowego i całego, i żebym znowu poczuła się kompletna, a nie jak puzzle z brakującym elementem, jak zgaszona świeczka, jak matka bez dziecka.

Ostre brzęczenie komórki, trzecie z kolei, wyrywa mnie z tego transu. Wyświetla się jakiś obcy mi numer.

– Halo?

– Czy rozmawiam z Susan? – słyszę nieznajomy kobiecy głos. Kobieta nie czeka na odpowiedź. – Mówi Margaret. Margaret Webster.

Wiem, kim ona jest. Choć nigdy się nie spotkałyśmy, myśl o niej nie odstępowała mnie przez całe małżeństwo. Jej nieobecność rzucała się w oczy na moim ślubie, po narodzinach syna i potem na pogrzebie. To Margaret Webster, moja teściowa.

– Margaret? Co robisz w kraju?

– Mieszkam w tym kraju, Susan, w Halifaxie. Nie wiem, co Mark ci mówił, ale mieszkam tu cały czas. Dzwonię, bo Mark zaginął.

– Mark zaginął? – burczę ze złością. – A to niespodzianka. Lepiej powiedz coś, co mnie zainteresuje.

I mówi.

– Pojechał odszukać Dylana.

Mark: 27 listopada 1992

Co ja tu robię?

Mark zadawał sobie to pytanie raz po raz, jadąc na miejsce. Ledwie zdołał przekonać Beth, żeby po tym, co się wydarzyło przed tygodniem, nie szła na policję; udało się dzięki Kristy. Na koniec Beth zagroziła zerwaniem zaręczyn, jeżeli on jeszcze raz pojawi się w okolicach tamtej hali.

A mimo to znów tu był.

Od tygodnia zamierzał powiedzieć bractwu, że odchodzi, ale to go wciąż przerastało.

Dziś wieczorem. Kiedy zakończy się ten wieczór, powie Jackowi, definitywnie.

Do ciemnej hali schodziły się zakapturzone postacie. Ten rytuał był mu znajomy, powtarzał się od kilku miesięcy. Dobrze pamiętał wieczór, gdy Jack wprowadził noszenie szat. Wtedy wszystko zaczęło się zmieniać, zniekształcać i deformować, aż nie pozostało nic, tylko wypaczona wersja bractwa, do którego kiedyś należał prapradziadek Jacka. Eleh Toldot.

Oto są dzieje początków.

Jack przybył ostatni, jak zawsze. Mark czuł się nieswojo, kręcił się po hali, brał ze stołu kielich wina i odstawiał z powrotem, wielokrotnie wycierając spocone dłonie o długą czarną pelerynę. Nie potrafił się odprężyć, sprawiało mu to jeszcze większą trudność niż do tej pory. Beth sądziła, że wyjechał na weekend do rodziców, że wymigał się od cotygodniowego zgromadzenia, a potem miał powiedzieć kolegom, że z tym kończy. A mimo to znów tu był, ciągnęło go do tej opuszczonej hali jak palacza cracku do fajki.

– Wszystko w porządku? – Głos Matta wyrwał go z zamyślenia i sprowadził do rzeczywistości.

Tylko Mattowi wyjawiał swoje zamiary i wciąż liczył na to, że wycofają się razem. Ich przyjaźń stopniowo się pogłębiała, aż Matt został najlepszym przyjacielem, jakiego Mark miał w życiu. W tym czasie uprzytomnił sobie, jaki naprawdę jest Jack. Sądził, że Kristy również chce wyrwać Matta z bractwa, ale Matty znał Jacka dłużej, a poza tym Kristy nie była tak stanowcza jak Beth. Kristy od początku wiedziała o Eleh, natomiast o stopniu zdeprawowania bractwa usłyszała od Beth przed tygodniem, gdy ta, zrozpaczona, przyszła do niej, by opowiedzieć jej o wszystkim. Nawet wówczas Kristy zaakceptowała taki stan rzeczy. Mark zdawał sobie sprawę, że jest ona ucieleśnieniem żądz pieniędzy; mógł przysiąc, że poszła na studia tylko po to, żeby znaleźć mężczyznę, który zapewni jej przywileje wynikające z przynależności do elity Durham. A to znaczyło dla niej więcej niż zmuszenie Matta, by dokonał wyboru. Była innym człowiekiem niż Beth: pozbawiona moralności i zasad.

Atmosfera była napięta, strach mieszał się z podnieceniem. Na niektórych twarzach, widocznych spod kapturów, malowało się chłopięce rozochocenie; inni wyglądali tak, jakby zbierało im się na mdłości. Mark wiedział, że nie on jeden jest przerażony tym, co się stało z bractwem; wiedział również, że żaden z chłopców nie zdobędzie się na odwagę, by odejść razem z nim.

– Mark? Pytałem, czy wszystko w porządku – powtórzył cicho Matty.

– Jest dobrze – rzucił krótko Mark, nie mając pewności, czy nie zawiedzie go głos, jeżeli powie coś więcej.

– Wyglądasz strasznie. Weź się w garść, bo Jack od razu coś wyniucha. Dotrwaj do końca wieczoru, a potem wymyślimy, jak mu powiedzieć, że odchodzisz.

Mark kiwnął głową.

Dotrwaj do końca wieczoru. Łatwo się mówi.

56

Mijają wieki, zanim te słowa dotrą do mojej świadomości.

– Że co? – pytam głupkowato, choć z całą pewnością się nie przesłyszałam.

Mój były mąż zwariował. Zabił niewinną kobietę, no i wie, gdzie przebywa mój syn!

– Przepraszam, Susan, rozumiem, że to dla ciebie ogromny szok, ale wolałabym nie rozmawiać na ten temat przez telefon, sprawa jest pilna. Richard już zaczął ich szukać.

– Richard? – wpadam jej w słowo. – To znaczy Richard Webster, ojciec Marka? – Pomijam „nieżyjący”.

– Tak. Zdaje się, że jesteś zaskoczona. – Nie czeka na wyjaśnienie. – Możesz tu przyjechać, Susan? Musimy porozmawiać.

– Tutaj, czyli gdzie? Dokąd pojechał Mark? Gdzie był Dylan przez te lata?

– Nie wiem, gdzie był Dylan. Mark też nie wie. Jest kilka spraw, o których muszę ci powiedzieć. – Podaje mi adres Websterów w Halifaxie.

Obliczam, jak długo będę tam jechała. Ponad godzinę. W tym czasie wszystko może się przytrafić mojemu synkowi. Jawi mi się obraz Marka, który siedzi w zamkniętym samochodzie, wypełnianym się spalinami. Co ja mam zrobić? On może się znajdować gdziekolwiek. W tej sytuacji pozostaje mi tylko zadzwonić na policję, ale jaka jest szansa, że uwierzą kobiecie podejrzanej o morderstwo, która twierdzi, że jej były mąż pojechał odnaleźć jej zmarłego syna, a jej nieżyjący teść wyruszył na poszukiwanie ich obu?

Podejmuję decyzję.

– Przyjadę jak najszybciej.

– Znaleźliście ich? – pytam pięćdziesiąt minut później, gdy Margaret Webster otwiera mi drzwi.

Jadąc tam, nie zważałam na znaki drogowe, więc jeśli wlepią mi mandat za każde przekroczenie prędkości i każą uiścić opłatę za wjazd do centrum, to zbankrutuję albo stracę prawo jazdy. Nie czekam, aż matka Marka zaprosi mnie do środka. Ani się nie przedstawiam.

– Skąd on wie, gdzie jest Dylan? Skąd wie, że Dylan żyje? – pytam od progu.

Przepycham się obok niej i wchodzę do środka. Dom jest ogromny, wolno stojący, przepiękny i doskonale utrzymany. W normalnych okolicznościach chłonęłabym każdy detal. Teraz jednak nie okazałabym zainteresowania, nawet gdyby ściany były pokryte płatkami złota i powitał mnie nagi lokaj.

– Nie ma po nich śladu – odpowiada Margaret. Przygryza usta i co rusz rzuca okiem w stronę wejścia. – O Boże, co to się porobiło! Tak mi przykro.

Ujmuje mnie za łokieć i prowadzi do salonu, gdzie na szklanym niskim stoliku już stoją dwa kubki i dzbanek z herbatą. Wygląda na to, że w trudnych sytuacjach nawet bogacze ratują się herbatą.

– Gdy urodził się Dylan, od lat już nie rozmawialiśmy z Markiem.

Nalewa mi herbaty i podaje cukier. Drżącą ręką wsypuję cztery łyżeczki. Gorący, słodki napój trochę koi nerwy, choć nie rozprasza obaw. Powtarzam sobie, że Mark nie zrobiłby krzywdy Dylanowi, ale nie zapominam, że przez ostatnie kilka dni wmawiałam sobie, że nie mógłby skrzywdzić byłej narzeczonej, choć potem nie opuszczała mnie myśl, że zamordował żonę najlepszego przyjaciela.

– Dlaczego? – pytam.

– Nie chciał mieć z nami nic wspólnego. – Widać, że wciąż boli ją to wspomnienie. Czuję, jak ogarnia mnie gniew, ale staram się trzymać nerwy na wodzy. Bez względu na to, co wyrządzili mi ci ludzie, w tej chwili ważne jest jedynie bezpieczeństwo mojego syna. Resztą tego emocjonalnego pieprznika zajmę się później. – Zaczęło się po śmierci Beth.

– Wiesz o Beth?

Bez sensu pytanie. Oczywiście, że wie. Jest matką Marka, wychowywała go, karmiła, ubierała, śpiewała mu do snu kołysanki i pocieszała go, gdy brutalnie zabił narzeczoną.

– Swego czasu Beth właściwie należała do rodziny. – Au, to boli. – Tamtej nocy, gdy umarła, Mark przyjechał do nas koło drugiej nad ranem. Zapłakany, niemal w hysterii, bełkotał coś o bractwie. Richard zaprowadził go do gabinetu, sądząc, że nie będę słyszeć ich rozmowy, ale oczywiście słyszałam. Mark wyznał ojcu, że zabił Beth, przez przypadek, nie zdając sobie z tego sprawy. Na okrągło powtarzał, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Chciał iść na policję, ale Richard go powstrzymał. Od razu odesłał go do Durham i zapewnił, że wszystko załatwi. Następnego dnia, kiedy znaleziono zwłoki Beth, policjanci byli wszędzie, chcieli rozmawiać ze mną, z Richardem, z Markiem. Potem zniknęli. Po trzech tygodniach śledztwo zamknięto, a mnie pozostało posprzątać cały ten kram.

– Jak mogłaś udawać, że o niczym nie wiesz?

Wzrusza ramionami.

– To było łatwiejsze, niż ci się wydaje. Mogłam wybierać. Albo udawać, że nic nie słyszałam, albo rozbić swoją rodzinę, zszargać nasze nazwisko i wysłać jedyne go syna do więzienia.

Cóż, jeśli tak to ująć...

Margaret wstaje i podchodzi do okna; wypatruje męża i syna.

– Mark był załamany – mówi ochrypłym z przejęcia głosem. – W takim stanie na pewno nie uzyskałby dyplomu. Jak zwykle Richard wziął sprawę w swoje ręce i pieniądze dokonały reszty. Uczelnia zgodziła się, żeby Mark dokończył studia zaocznie, i odzyskaliśmy syna. Można by tak sądzić... Gdyby nie to, że się zmienił, że już nigdy nie był taki jak dawniej. Znienawidził ojca i jego dominację. Bez wątpienia winił go za to, że tamtej nocy nie pozwolił mu zgłosić się na policję. Odsunął się od rodziny i powiedział wszystkim, że Richard nie żyje. Ja wyszłam z tego obronną ręką, tylko wyemigrowałam do Hiszpanii. – Śmieje się ironicznie. – Richard zawsze miał nadzieję, że syn do nas wróci. Co miesiąc wysyłał mu pieniądze, aż Mark zagroził, że jeśli nie przestanie, to on ogłosi wszem wobec, co się stało z Beth.

Czy pieniądze, które widziałam na koncie oszczędnościowym Marka, pochodziły właśnie od jego ojca? Jasna cholera, wiedziałam, że Websterowie są zamożni, ale te sumy były dla mnie niewyobrażalne. Brudne pieniądze,

splamione krwią, przelatuje mi przez myśl, którymi płaci się, żeby bez zadawania pytań znikwały zwłoki i żeby wykradano synów matkom.

– Co mnie to obchodzi? Jaki to ma związek z moim synem? – pytam ostrym tonem.

Znów wzbiera we mnie gniew. Czy ta kobieta spodziewa się, że będę jej współczuła? To ja przez ostatnie cztery lata nie miałam przy sobie syna, choć on żył gdzieś na tym świecie, a ona użala się, że jej ukochany zdolniacha z Durham odmawiał przyjęcia kieszonkowego?

– Piętnaście lat nie widzieliśmy Marka, aż cztery lata temu przyjechał do nas i powiedział, co się stało z Dylanem. Całe piętnaście lat! A tobie było tak trudno przez cztery lata? Pomnóż to przez cztery, Susan, a zrozumiesz, przez co przeszłam. Pewnego dnia zjawia się, ściskając w ręce zdjęcie najpiękniejszego niemowlęcia na świecie. Wpadł jak burza i krzyknął, że musi porozmawiać z ojcem. Gdy godzinę później wyszli z gabinetu, Richard zabronił mi mówić komukolwiek, że Mark tu był. Oznajmił, że matka dziecka miała napad psychotyczny, cierpiała na depresję poporodową i zabiła syna.

– Nigdy bym nie zrobiła mu krzywdy. Kocham swoje dziecko – mówię zaciekle, półgłosem.

– Tak też sądziłam – oświadcza krótko Margaret. Odchodzi od okna i znów siada przede mną. – Nawet po tej rozmowie Mark nadal był wściekły na ojca za to, co wydarzyło się przed laty. Może nawet jeszcze bardziej niż przedtem. Mniej więcej tydzień temu znów tu przyjechał, z krzykiem i wrzaskiem mówił o tobie, o zdjęciu, które dostałaś. Wtedy zaczęli się tu pojawiać ci mężczyźni. Prywatni detektywi, jestem pewna. Początkowo nie wiedziałam, o co chodzi, potem przypadkiem usłyszałam różne rozmowy i zorientowałam się, że szukają Dylana.

– Powiedzieli, że go zabiłam. – Zimne łzy lecą mi po policzkach i spływają w zagłębienia obojczyka. – Jak to możliwe, że teraz go szukają?

Margaret wreszcie patrzy mi w oczy, ze współczuciem.

– Mówi się, że pieniądze rozwiązują języki, ale nie zawsze tak się dzieje. Czasem za pieniądze kupuje się milczenie.

– Co to znaczy? Jacy z was ludzie? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Było za późno. Nie znałam całej prawdy, a przynajmniej nie na tyle, by mieć pewność, że Dylan żyje, a ty jesteś niewinna. Po raz kolejny wyjawienie prawdy groziło rozpadem rodziny. Szczerze mówiąc, postąpiłam egoistycznie. Odzyskałam syna i byłam mu potrzebna. Gdy dziecko cię potrzebuje, Susan, nigdy go nie porzucasz.

– Kto zdaniem Marka przetrzymuje Dylana? Gdzie on jest?

Margaret wygląda, jakby wolała uciąć sobie język, niż dodać jeszcze jedno zdanie. Ale mało mnie to obchodzi. Kłębiam mi się w głowie pytania, na które ta kobieta nie zna odpowiedzi. Dlaczego na wiadomość o tym zdjęciu Mark uznał, że Dylan żyje, skoro znalazł go martwego u nas w domu? Kto według niego zabrał Dylana i dlaczego? Dlaczego ktoś w ogóle chciał odebrać mi dziecko?!

– Nie wiem. Bardzo mi przykro. Mark wpadł tu dziś rano, wołając, że zamierzasz dojść do prawdy, że wie, gdzie jest Dylan i kto go zabrał. Wsiadł do samochodu, zanim zdołaliśmy go uspokoić, i odjechał. Richard natychmiast do niego zadzwonił, ale komórka nie odpowiadała. Mark przepadł bez śladu.

– Jak on, ni stąd, ni zowąd, wykrył, gdzie jest Dylan? Na miłość boską, Margaret, z kim on rozmawiał? Czego się dowiedział? Gdzie on jest, do diabła?

Jak na zawołanie, w mojej torebce zaczyna wibrować telefon. Błyskawicznie go wyciągam. SMS mrozi mi krew żyłach. Od Roba: Znalazłem Marka i wiem, gdzie jest Dylan. Przyjeżdżaj. I adres w Durham.

Zrywam się z miejsca i chwytam torebkę. On wie, gdzie jest Dylan!

– Co się stało? Dokąd się wybierasz?! – wykrzykuje z przestraciem Margaret.

– Jadę po syna.

Dojazd pod adres, który przysłał Rob, trwa półtorej godziny. Przez całą drogę strach ściska mi serce. Margaret usiłowała mnie nakłonić, żebym poczekała na Richarda, i pojechalibyśmy razem, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak obecność tych dwojga w czymkolwiek by pomogła. Bez wsparcia Cassie lub Nicka muszę działać sama. W porządku. Dam radę. Długo wątpiłam w siebie, w swoją poczytalność, w siłę charakteru. Nie ufałam sobie jako kobiecie, matce i generalnie jako człowiekowi. Kim trzeba być, żeby zamordować własnego syna i ot tak wymazać to z pamięci? Teraz jest inaczej. Już nie jestem kobietą, która popełniła ten niepojęty czyn; jestem kobietą, której odebrano syna, matką, która nie spocznie, dopóki znów nie weźmie na ręce swojego maleństwa. Nie boję się o siebie, natomiast przejęmuje mnie strach, czy zdążę uratować moje dziecko.

Podczas jazdy wciąż zadaję sobie pytanie, co zrobię, gdy Mark odnajdzie Dylana. A jeśli poprosi mnie, żebym z nim uciekła? Po tym wszystkim, co przez niego przeszłam, zastanawiam się, czybym mogła. Cofnąć zegar, stworzyć znów rodzinę, zapomnieć o ostatnich czterech latach i zacząć od nowa życie z człowiekiem, którego kochałam. Wstyd przyznać, że się nad tym zastanawiam. Tak po prostu, Mark odnajduje naszego syna i życie wraca na dawne tory.

Światło dnia już ustąpiło gęstemu mrokowi, kiedy podjeżdżam pod opustoszały budynek, dokąd skierował mnie Rob. W pierwszej chwili mam wrażenie, że popełniłam wielki błąd. Na ekranie nawigacji miga czerwona pinezka, znak, że jestem na miejscu, ale aż nie chce mi się wierzyć, że Mark mógłby tutaj przyprowadzić naszego syna.

Księżyc oświetla wielką rudere. Na ścianie z szarej cegły widać czarne prostokąty po otworach okiennych; wejście jest tak duże, że zmieściłaby się ciężarówka. Po obu stronach drogi dojazdowej rosną drzewa. Nic innego tam nie dostrzegam – ani samochodów, ani prawnika, ani byłego męża. Czy Rob w ogóle napisał, że Mark tu będzie? Wyjmuję komórkę. Wiadomość pozostała na ekranie, kod pocztowy prawidłowo wstukałam w nawigację, ruszając spod domu Margaret. Dojechałam gdzie trzeba. Odruchowo przewijam pozostałe wiadomości, aż natrafiam na numer Cassie. Jest teraz w miejscu oddalonym o cztery godziny drogi i nie chce mnie widzieć, ale coś bardzo mi się tu nie podoba i nie wejdę do środka, jeśli wcześniej kogoś nie zawiadomię. Naoglądałam się filmów.

Mimo to ważne jest tylko jedno: jeśli istnieje choć cień szansy, że po wejściu tam dowiem się, co się stało z Dylanem, to w żadnym wypadku się nie wycofam.

Żwir chrzęści pod moimi butami, a trzask zamykanych drzwi samochodu nie tyle anonsuje moją obecność, ile rozgłasza ją po całej okolicy. Wiesz, że tu jestem, Rob, teraz kolej na ciebie.

Z ust ulatuje mi obłok pary. Obejmuję się i pocieram zziębnięte ramiona. Należało pomyśleć, co mam na sobie. Mój sweterek jest tak cienki, że przebijają się włoski na skórze.

Wyblakły szyld nad drzwiami informuje, że budynek należał kiedyś do G.K. Sankeya. Ciekawe, czy pan Sankey był zwolennikiem ogrzewania podłogowego – raczej nie.

– Halo! Rob? Mark?

Wokoło panuje spokój, głucha cisza. Mój głos brzmi nieprzyjemnie, jak głośna rozmowa w bibliotece.

Zamykam samochód i ruszam szybkim krokiem – nie chcę stać zbyt długo na widoku. Powtarzam: naoglądałam się filmów. Gdy ciężkie drewniane drzwi mam już na wyciągnięcie ręki, widzę, że wiszą krzywo na jednym zawiasie i są uchylone na tyle, że można przez nie przejść. Wchodzę w mrok.

Po ścianach tańczą cienie. Przepastną halę oświetla tylko ogień; z czarnego metalowego pojemnika, który stoi na środku, wyskakują pomarańczowe języki. Ktoś tu jest.

– Rob? Mark?

Słowa rozbrzmiewają między podpartym krokwiemi stropem, betonową podłogą i ciemnością za płomieniami.

– Susan. – Serce podchodzi mi do gardła. Robię krok w tył, piętami dotykam drzwi. – Susan. Tu jestem.

Mój były mąż wybiega z ciemności. W migoczącym świetle i smugach dymu wydaje się szczuplejszy, mizerniejszy niż przed kilkoma dniami.

– Gdzie jest Dylan? – pytam. Trudno mi pogodzić się z myślą, że Dylan ma teraz cztery lata, i w głębi duszy spodziewam się, że Mark poda mi trzymiesięczne niemowlę. Czy kiedykolwiek minie to uczucie straconego czasu? – Gdzie jest Rob?

Plecami dotykam wilgotnych przekrzywionych drzwi. Dopiero w tej chwili, od przyjazdu tutaj, serce zaczyna mi walić jak szalone i czuję kluczę w gardle. Dym szczypie mnie w oczy. A niech to szlag, żebym tylko nie dostała ataku paniki. Nie teraz, gdy jestem tak blisko, gdy mój synek potrzebuje mnie może bardziej niż kiedykolwiek.

– Kim jest Rob?

– Rob Howe, szef Rachael, nie wiesz? Z kancelarii ZBH. Napisał mi esemesa, że odnalazłeś Dylana.

– Rob Howe? – Twarz Marka wykrzywia się w grymasie. – Jak on wygląda?

– Falujące włosy, niebieskie oczy, blizna na szyi.

– O kurwa – klnie pod nosem.

– Co się stało?

– Kurwa mać! To nie jest Rob Howe, Susan, tylko... O Boże, nie. Napisał, że jest z nim Dylan?

– Nie całkiem. Więc kto to jest? – Mój umysł nie wie, czy wpaść w popłoch, czy w gniew, i w końcu wybiera gniew. Ten jeden raz moje wybrakowane zwoje nerwowe postanowiły działać z korzyścią dla mnie. – Kim, kurwa, jest ten facet i co zrobił z moim synem?

Napędzana wściekłością, bezwiednie robię kilka kroków w przód i staję przed mężczyzną, któremu kiedyś ślubowałam miłość.

– Bóg mi świadkiem, Mark, mów, co tu się dzieje, albo...

– Jack.

– Nie znam żadnego Jacka.

Wbija wzrok w betonową podłogę.

– Są rzeczy, o których nie wiesz, o mnie, o Jacku i...

– Wiem wszystko o Beth. – Kuli się na dźwięk jej imienia. – Wiem, co ją spotkało.

– Słyszysz, Mark? Ona to wie.

Rozlega się spokojny, znajomy głos. Rozglądam się wokoło. Prócz dymu i płomieni nic nie widzę. Ogień strzela iskrami, które spadają na przyprószoną popiołem podłogę.

Oczy Marka, tak jak moje, usiłują przeniknąć ciemność w poszukiwaniu gospodarza tego miejsca.

– Trochę inaczej to wygląda bez stołu i krzeseł, prawda? Wybacz, Szekspir, że nie odtworzyłam wiernie tej sceny. Zastanawiałam się nad tym, ale byłoby zbyt melodramatycznie.

W rogu hali coś się porusza i z ciemności wyłania się kobieca postać.

– Jennifer? – Słowo więźnie Markowi w gardle.

Staram się przypomnieć sobie, gdzie ją widziałam. Już wiem. Jennifer... bibliotekarka... najlepsza przyjaciółka Beth...

Mam wrażenie, że widzę ją po raz pierwszy, a jednocześnie jakbym znała ją od lat. Długie włosy koloru pomyj mają kasztanowy odcień, oczy są obwiedzione nierówną grubą kreską. Ale obraz, który mam przed sobą, nie przedstawia tej kobiety w blasku ognia, wśród dymu i fruwających drobin popiołu. Widzę ją na progu domu, w którym mieszkałam z Markiem, ciemną sylwetkę na tle jaskrawego słońca, i słyszę jej głos: „Pani Webster?” – w dniu, kiedy moje życie się skończyło.

– Byłaś w moim domu. Tamtego dnia przyszłaś do mojego domu.

Cienkie wargi wykrzywają się w uśmiechu.

– Już za późno na sięganie pamięcią wstecz.

– Co tam robiłaś?! Co robisz tutaj?! Gdzie jest Rob? Gdzie jest mój syn?!

– Rob wcale nie był Robem. Może nic nie jest tym, czym się wydaje, Susan. Przyszło ci to w ogóle do głowy? Może czarne jest białe, a to, co na górze, jest na dole. Może ZBH oznacza skrót od Zara, Bratbury i Howe i może to tamten

mężczyzna z kancelarii pociąga za sznurki. Może nie masz syna. Może go zabiłaś.

Jennifer mówi z nonszalancją, jakby to wszystko nie miało dla niej żadnego znaczenia. Zwariowała. Czy Dylan jest w jej rękach? Gdy podchodzi bliżej, czuję intensywny zapach świeżej farby. Trzyma mały srebrny przedmiot. Zapalniczkę.

– Jak sądzę, wszyscy wiemy, że to nieprawda. – Staram się mówić spokojnie, nie dając po sobie poznać, że paraliżuje mnie strach. Czuję, jak po plecach spływa mi strużka potu. – Udało ci się przyciągnąć moją uwagę, Jennifer, o to ci chodziło, prawda? Tamta fotografia, Kristy Riley... i teraz to, zgadza się?

Widzę, że oboje są skołowani. Dobrze im tak. Ja byłam skołowana przez cztery lata.

– Jaka fotografia? – pyta Jennifer.

– Co z Kristy? – odzywa się jednocześnie Mark.

– Cha, cha. – Śmieję się drwiąco. – Zdaje się, że poza mną jeszcze ktoś nie ma pełnego obrazu sytuacji.

– Riley nie żyje – oznajmia Jennifer. – W kwestii formalnej, jego żona też. Myślałeś, że jesteś taki sprytny, Willy, i wykombinowałeś ten numer ze zniknięciem Matta. Wystarczyło, że poczekałby, aż dołączą do niego Kristy i ich małe księżniczki, ale raptem dopadły go wyrzuty sumienia i postanowił mnie odszukać. A do tego Jack nie zamierzał dopuścić.

– Matty nie żyje? – Mark krzywi się w grymasie bólu. – Ty pieprzona suko! – woła, doskakując do niej.

– Hola, hola, chłopcze. – Jennifer unosi zapalniczkę i zapala. Płomień oświetla jej twarz. Mark zatrzymuje się krok przed nią. – Jeden więcej, co tam! Bethany, Kristy, Dylan to ofiary uboczne. Oto są dzieje początków, co? Za wszelką cenę chronić bractwo. A raczej chronić własne tyłki. Cóż, nie tym razem. Swego czasu cię kryłam, Mark, ale dość już tego.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że Matt Riley był twoim najlepszym przyjacielem? – rzucam w stronę Marka, nie odrywając wzroku od Jennifer. – Dlaczego nigdy o nim nie wspomniałeś?

Mark kręci głową.

– Matty i Kristy należeli do przeszłości, o której miałaś się nie dowiedzieć. Nie chciałem brnąć w trudne wyjaśnienia ani ryzykować, że któreś z nas się wygada o... o tym, co się stało. Po prostu chciałem cię chronić, Susan.

– Co za pocziwiec – wtrąca się Jennifer. – Może Mark skrywa więcej, niż się wydaje. Na przykład, czy to dla ciebie niespodzianka, że w studenckich czasach byliśmy kochankami?

– Nie.

Powinnam być zaskoczona, ale nie jestem. Skąd ja to wiem?

– Oczywiście, że nie. Sama ci kiedyś powiedziałam. Byłam pewna, że sobie przypomnisz. Poniewczasie, Susan.

Mówi jak do dziecka, które spóźniło się na obiad. Co to znaczy, że sama mi kiedyś powiedziała?

– Nie byliśmy kochankami – prycha Mark. – Popełniłem głupi błąd. Największy w swoim życiu. Zniszczył wszystko.

Jennifer puszcza te słowa mimo uszu, jakby w ogóle nie padły.

– Wkrótce wróci jej pamięć, Mark. I wtedy znienawidzi cię tak jak ja. Przykro mi, ale ty już tego nie doczekasz. Zawsze wiedziałam, że ku temu to zmierza, choć ty pewnie się tego nie spodziewałeś. Wreszcie mogę powiedzieć, jak bardzo cię nienawidzę.

– Jennifer, proszę.

Głos Marka brzmi jak pisk. Spojrzeniem staram się zmusić go do milczenia. Niech siedzi cicho i da mi pomyśleć. Niech nie doprowadza do tego, że oboje zginiemy.

Jennifer, krzywiąc się z niesmakiem, mówi do mnie:

– Naprawdę, Susan, coś ty widziała w tym facecie? A może sama chcesz to zrobić? Nie sądzę, by ktokolwiek cię winił. Może nawet udałoby się przekonać policję, żeby powołali się na zakaz podwójnego karania. Wiem, zazwyczaj to oznacza, że nie można sądzić człowieka dwukrotnie za to samo przestępstwo, ale mamy sytuację oko za oko, no nie? Ty już odsiedziałaś wyrok... – Chce mi dać zapalniczkę. Szybko myślę: ona jest nienormalna. Kompletnie popieprzona. Wydaje jej się, że go zabije? Naprawdę da mi tę zapalniczkę? Jennifer parska śmiechem i cofa rękę. Straciłam okazję. – Nie chcesz? Szczerze mówiąc, rozumiem cię. Po zabiciu człowieka coś się w tobie zmienia. Żeby

odebrać komuś życie, trzeba być kompletnie popierdolonym osobnikiem. Prawda, Mark?

Mark wydaje jęk i zakrywa twarz dłońmi.

– Dość tego. Cofnij się. Grzeczny chłopiec. – Jennifer podnosi coś z podłogi przy palenisku. Kajdanki. Przygotowała się do tej akcji. – Załóż je, na jedną rękę. Dobrze. A teraz pod ścianę.

Ledwie widzę ścianę. Mark ani drgnie, więc Jennifer robi dwa szybkie kroki i chwyta go mocno za ramię. Nie dorównuje mu fizycznie, ale być może jest silniejsza, niż się wydaje, albo też on nie stawia oporu. Tak czy owak, Mark rusza z miejsca. Powoli przesuwam nogę do tyłu. Spróbuję zwać, wezwać pomoc, zanim ona zrobi mi coś złego.

– Nawet nie myśl o ucieczce. – Nie wiem, jak to zauważyła mimo ciemności i dymu. – Zrób jeszcze krok, a wszystko stanie tu w płomieniach. Założę się, że płynna podpałka będzie szybsza od ciebie. Chodź tutaj, raz-dwa. Gdy twój kochaś zorientuje się, gdzie jesteś, będę miała nie tylko was dwoje na karku.

Domyślam się, że mówi o Nicku. Nie zamierzam jej informować, że ten scenariusz jest nierealny. Nick mnie nie ocali. Oby Bóg dał, że Cassie przeczytała SMS-a i że już jedzie tu policja.

Mark spogląda na mnie. W jego oczach rozbłyskuje nadzieja. On jej uwierzył, uprzytamniam sobie, naprawdę myśli, że będziemy uratowani. Niewiarygodne: przez niego znaleźliśmy się tutaj, a on liczy na to, że ja nas stąd wyciągnę. Niestety, rozczaruję cię, kochanie, ale jak wiesz, w ogóle nie znam się na mężczyznach.

– Na kolana. – Jennifer wskazuje miejsce na podłodze przy odsłoniętych pustakach w ścianie. – Jedna obręcz na rękę, druga na rurę. Dla żony też są kajdanki.

Mark posłusznie klęka przy ścianie. Robi mi się niedobrze, bo już wiem, co Jennifer zamierza. Gdy weszła, doleciał mnie zapach świeżej farby. Ale się myliłam: to był zapach rozpuszczalnika. Ona chce podpalić tę halę.

– Nie uklęknię. – Jeżeli to zrobię, oboje zostaniemy uwięzieni w płonącym budynku.

W jej oczach widzę stalowy błysk gniewu.

– Na kolana, kurwa!

– Chyba żartujesz. Po moim trupie.

Zaciska wargi, przewraca oczami i wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– Jak chcesz. – Unosi rękę i ból rozsadza mi głowę.

Mark: 27 listopada 1992

Cztery donośne uderzenia w drzwi oznajmiły nadejście ich przywódcy. Markowi krew odpłynęła z twarzy i poczuł ucisk w klatce piersiowej. Czy to są objawy zawału serca? Chłopak znacznie przewyższający posturą innych – niewątpliwie Adam Harvey, prawa ręka Jacka Bratbury’ego – w sekundę znalazł się przy wejściu. Gdy otworzyły się drzwi, Mark miał w sercu tonę ołowiu.

Pomieszczenie zaczęło się napełniać gwarem; Jack, jak zawsze, nie przybył sam.

– Dobry wieczór, panowie. – Jego głos niósł się echem po hali. – Pewnie się zastanawiacie, co mam tu dla was. Dzisiejsza oferta będzie inna niż zazwyczaj, taka jest prawda.

Pchnął do przodu skuloną postać, którą podtrzymywał.

Dziewczyna, niewątpliwie odurzona, upadła na podłogę i nawet nie próbowała wstać. Tak nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Zwykle przyjeżdżały co najmniej przytomne; chętnie uczestniczyły w zabawach Jacka, w każdym razie na początku wieczoru. Ta dziewczyna nie była chętna, w ogóle nie uczestniczyła. Miała na sobie taką samą szatę z kapturem jak oni. Gdy upadła, szata się uniosła, odsłaniając nagie ciało. Kaptur zasłaniał jej twarz.

– Co jej jest? Przyprowadziłeś jakąś pokrakę? – rzucił ktoś, a pozostali zaczęli chichotać.

Jack się roześmiał.

– No dobra, przyznaję, trzeba było coś wymyślić w ostatniej chwili. Nastąpiły komplikacje i nie mogłem dopuścić, żeby jeden z moich chłopców odszedł bez

należytego pożegnania.

Znowu rozległ się gwar. Kto odchodzi? O czym mówi Jack? Mark czuł, jakby wokół piersi zaciskała mu się obręcz. Jack się dowiedział?

Spokojnie, powtarzał sobie w duchu, oddychaj głęboko, tak żeby nikt nie widział. Przecież on może mieć na myśli kogoś innego.

Jack przestąpił przez nieprzytomną dziewczynę. Wzrok obecnych w jednej chwili oderwał się od leżącej na podłodze postaci i skupił na przywódcy. Jack podszedł do Marka, sztywnego ze strachu, i ścisnął go mocno za ramię, a następnie nachylił się do jego ucha, nieprzyjemnie blisko.

– Myślałeś, że się nie dowiem? Naprawdę sądziłeś, że pozwolę ci zwyczajnie odejść? – syknął.

Krew pulsowała Markowi w uszach; miał tak sucho w ustach, że nie mógł wydobyć głosu.

– Nigdzie nie pójdziesz – oznajmił już głośniejszym głosem Jack – bez należytego pożegnania!

Stojący nieopodal roześmiali się. Napięcie zaczęło opadać.

– Ustawcie się rzędem, chłopcy – polecił Jack. Aha, darował sobie uprzejmości. – Ty pierwszy. – Podał Markowi kwadratowy foliowy pakiecik i skinął ręką w stronę dziewczyny. – Niech któryś przeniesie ją na stół.

Mark ośmielił się zerknąć kątem oka na Matty'ego: ten wbił wzrok w podłogę. Niczym automat Mark ruszył w stronę długiego stołu, na którym już leżała dziewczyna, z rozłożonymi nogami i rękami, nadal okryta czarną szatą i kapturem.

– Jak mam być napalony, skoro nawet nie wiem, co bzykam? – Chciał, żeby to zabrzmiało nonszalancko, ale głos mu drżał i łamał się.

– Nie bądź, kurwa, niewdzięcznikiem – warknął Jack. – Ruszaj się. Wszyscy czekamy. Potem możesz wrócić do swojej kobiety i zapomnieć o nas. Jeżeli nie... Cóż, od kiedy mieliśmy po piętnaście lat, Adam czeka, żeby tak cię skopać, aż zniknie ci z twarzy ten uśmiech zadowolenia.

Rozpaczliwie chciał odmówić, posłać Jacka do diabła. Chciał wydostać się stąd, przejść te pięć kilometrów do Trevelyan College i razem z Beth wynieść się gdzieś daleko od Durham. Ale tak nie zrobił. Podszedł do stołu.

Jeszcze ten jeden raz. Słowa brzmiały pusto nawet dla niego. Podciągnął szatę i rozpiął spodnie.

Upadając, uderzyłam się w ramię, które pulsuje bólem promieniującym aż do palców. Z prawej strony głowy czuję silne pieczenie. Po ciosie, jaki wymierzyła mi Jennifer, lecę tyłem na ścianę i walę głową w pustaki. Jezu, nigdy bym nie przypuszczała, że taka drobna kobieta ma tyle siły, choć znajomość z Cassie mogła mi uprzytomnić, że to możliwe. Urywającymi haustami łapię powietrze. Zamykam oczy i osuwam się na podłogę.

– Susan! – Głos Marka dolatuje z daleka, jakby przez wodę. Twarzą wpadam w coś mokrego o przenikliwym zapachu. Rozpuszczalnik. Gdy ona podłoży tu ogień, będę wyglądała jak kukła Guya Fawkesa. – Zabiłaś ją!

– Ona żyje. Żyjesz, prawda, Susan? Tylko jest w szoku.

Odnoszę wrażenie, jakby się niecierpliwiła, ale nie mogę jej odpowiedzieć. Moje usta nie funkcjonują, całe ciało nie funkcjonuje, nie mam siły. Chcę tu tylko leżeć i czekać, aż wycieknie ze mnie życie.

– Uderzyła się w głowę, patrz, leci jej krew! To zaszło za daleko, Jen, potrzebujesz pomocy. Ja już dostałem nauczkę. Żałuję tego, co zrobiłem tobie, Beth... Bardzo, bardzo żałuję.

Czuję, że ktoś bierze mnie za ramię i ciągnie po podłodze. Chyba tracę przytomność, bo gdy udaje mi się rozchylić powieki, siedzę pod ścianą, obok Marka, z prawą ręką przykutą kajdankami do rury gazowej.

– Oprzytomniałaś?

O Boże, ona wciąż tu jest. Ja też. A gdzie jest Cassie? Dlaczego nie przyjechała policja? Mam wrażenie, że tkwię tu całą noc, ale minęło zaledwie dwadzieścia minut, od kiedy tu weszłam.

– Susan? Ocknęłaś się? Chcę, żebyś to usłyszała.

– Ocknęłam.

Zaschło mi w gardle, ledwie mówię. Czy jej ręce są z żelaza, że tak mocno wali? Wciąż łapię oddech haustami. Dym gęstnieje, wypełnia mi płuca. Nic dziwnego, że mam watę w głowie.

– Witaj wśród nas. Nie chciałam, żeby cię to ominęło. Mark wygłasza mowę końcową. Będzie się starał ratować własną skórę, może również i twoją, ale przede wszystkim własną. Nie zapominaj, że obecny tu Szekspir był przez całe życie tchórzliwym draniem i nie pierwszy raz zamierza cię pogrążyć, żeby ratować siebie. Zgadza się, Szekspir?

Szekspir.

Nigdy dotąd nie słyszałam tej studenckiej ksywki, ale gdy pada z jej ust, brzmi dziwnie znajomo, jakby cały czas tkwiła w zakamarkach mojej pamięci.

– Ty go tak nazwałaś, Jennifer. Gdy przyszłaś do mojego domu. Dlaczego u mnie byłaś? Co chciałaś mi powiedzieć? Zapewne coś strasznego, skoro wyparłam to na całe cztery lata.

– Więc teraz chcesz usłyszeć? – prychna. – Teraz mam ci powiedzieć, tak? Kiedy przyszłam ostrzec cię przed twoim mężem, nie chciałaś ze mną rozmawiać. Rzuciłaś się na mnie!

Nagle widzę tę scenę jasno i wyraźnie, jakby rozegrała się dziś rano. Położyłam Dylana w koszu, a sama wyciągnęłam się na kanapie i przykryłam kocem, gdy zabręczał dzwonek przy drzwiach wejściowych. Aż się kulę: Matko Przenajświętsza, oby tylko się nie obudził. Leży spokojnie, a ja cichutko podchodzę do drzwi.

„Czym mogę służyć?“, pytam. Na progu stoi kobieta o mocno skręconych szaroblond włosach i rozbieganych brązowych oczach. Prześlizguje się po mnie wzrokiem i spogląda w głąb korytarza. Ma wypieki na policzkach i podpuchnięte, zaczerwienione oczy; może od płaczu. Dlaczego nie przypomniałam sobie wcześniej? Wtedy w bibliotece.

Ależ przypomniałaś sobie, mówi mój wewnętrzny głos. Twój umysł tak mocno odpychał tę myśl, że dostałaś ataku paniki, byle tylko powstrzymać napływ wspomnień. Jeśli chcesz teraz przeżyć, uciekaj albo walcz.

– Nie powinnam była rzucić się na ciebie. Przepraszam. Nie chciałam uwierzyć, że mówisz prawdę, bo to zburzyłoby moje życie. I życie mojego syna. Przepraszam.

Jennifer parska śmiechem.

– Słyszałeś, Mark? To ona przeprasza! Kolejna nieszczęsna istota, którą tak oczarowałeś, że poszła z tobą do łóżka, i której zniszczyłeś życie, ale to ona przeprasza! No powiedz, Mark, kto tu powinien przepraszać?

– Ja. – Mark wypowiada to słowo z westchnieniem.

Siedzi z opuszczoną głową, jakby nie miał siły jej unieść i spojrzeć mi w oczy. Wszystko zaczyna mi wirować przed oczami; pewnie straciłam dużo krwi. Chyba umrę, już nie mam siły, żeby histeryzować. Na ręce, która nie jest odrętwiała, robi mi się gęsia skórka; dzwonią mi zęby.

– On! To on posuwał najbliższą przyjaciółkę swojej narzeczonej! To on nie poczuwał się do odpowiedzialności!

– Raz! – wykrzykuje Mark. – Raz, po pijanemu, Jennifer. Popełniłem jeden błąd i dlatego zrujnowałaś mi życie? Bo trzeba było mnie upić, żebym dał ci to, czego chciałaś od lat?

– Myślałam, że poznaliście się na uniwersytecie.

– Gdzie tam – prycha Mark. – Znamy się z Jenny od dawien dawna, prawda, Jen?

– Kochałam cię – odszczekuje Jennifer. – Przez te wszystkie lata, kurwa. Od dnia, gdy Jack przyprowadził cię do domu jak zbitego psiaka. Od początku czułam, że jesteśmy sobie pisani, i sądziłam, że w końcu dotarło to także do ciebie. A ty obudziłeś się następnego ranka i oznajmiłeś, że to była pomyłka. Że pokłóciłeś się z tą przemądrzałą suką, upiłeś się i nie wiedziałeś, co robisz. Kazałeś mi przysiąc, że nic jej nie powiem, by twój wspaniały związek nie rozsypał się z powodu jednego głupiego błędu. Tym dla ciebie byłam. Ale to nie wszystko, prawda, Mark? Chciałeś mnie zniszczyć całkowicie.

– Zmusił cię do przerwania ciąży.

Teraz sobie przypominam. Te słowa padły z ust tamtej nieznajomej kobiety przed czterema laty. Pomyślałam wtedy: wariatka. Ona zwariowała, kłamię w żywe oczy.

– Zmusił mnie, żebym zabiła swoje dziecko. – Łzy ciekną jej po policzkach. Przez chwilę żał mi jej, tamtej dziewczyny zakochanej w mężczyźnie, który potraktował ją tak okrutnie. – A potem mówi mi, że biorą ślub. Ja ledwie wyszłam z kliniki, przygnębiona, samotna, wściekła i zdruzgotana, że on

zamordował nasze dziecko, a Wielka Dama wraca z uroczystej kolacji, mając na palcu dziewiętnastokaratową górę lodową.

– Byłaś przybita, rozumiem.

– Przybita? Byłam wściekła! Wtedy postanowiłam, że ona umrze.

Pomieszczenie, które jeszcze niedawno było ogromne i pełne przeciągów, teraz wydaje się nie większe niż moja cela w Oakdale. Dym gęstnieje, dusi w gardle, szczypie w oczy. Jennifer jakby zapadła się w siebie, Mark jest niemal w katatonii. Mam wrażenie, że pogodził się z losem, patrzy tępo, jak gdyby duchem był w innym miejscu.

– Gdzie jest Dylan, Jennifer?

Udaje, że mnie nie słyszy, albo jest pogrążona w myślach i rzeczywiście nie dociera do niej mój głos.

– Zaczynasz sobie przypominać, Susan? Wiesz już, co było potem?

Staram się skupić, wyobrazić sobie kobietę, która siedzi w moim salonie i mówi mi, że ojciec mojego dziecka zamordował jej dziecko. Widzę, jak jej usta układają się w dwa słowa.

– Eleh Toldot.

Uśmiecha się i klaszcze w dłonie.

– Brawo! Idzie ci coraz lepiej. Niedługo skończymy, obiecuję. Eleh Toldot.

Mark wydaje jakieś dźwięki, ciche i niewyraźne.

– Co takiego? – Jennifer podchodzi do niego i ciągnąc za włosy, unosi jego głowę. – Przez wzgląd na słuchaczy, mógłby szanowny pan powtórzyć?

– Powiedziałem: „Oto są dzieje początków”.

Boże drogi, już sobie przypominałam. Wszystko pamiętam. Tę koszmarną historię molestowania i rytualnego poniżania, historię o chłopakach, którzy wykorzystywali swoją uprzywilejowaną pozycję i traktowali uniwersytet jak plac zabaw. Nie uwierzyłam w ani jedno słowo, dostałam szału, wyzwałam ją od oszustek, odepchnęłam i uderzyłam, kazałam jej się wynieść i zostawić moją rodzinę w spokoju. Mam ją przed oczami: podnosi ręce, broniąc się

przed ciosami, i odtrąca mnie z całą siłą, aż zwałam się z nóg. Wtedy ostatni raz widziałam syna.

– Uderzyłaś się w głowę – lekkim tonem dopowiada ciąg dalszy. – Sądziłam, że nie żyjesz. Pomyślałam, że mam drugą szansę bycia mamą, że Mark zwrócił mi moje dziecko. Więc zabrałam twojego syna.

– Po prostu wzięłaś go sobie? – Odwracam się do Marka i patrzę mu w oczy. Ból rozrywa mi ramię i pół twarzy, ledwo oddycham w tym dymie i wiem, że zostało mi niewiele czasu. Ale zanim stracę przytomność, muszę poznać prawdę. – A gdy ty przyjechałeś do domu...

– Nie przyjechałem do domu, Susan. Byłem w pracy, kiedy zadzwonił...

– Kuzyn Jack – wtrąca z uśmiechem Jennifer. – Poprosiłam go, żeby po mnie pozamiatał. Jak nikt potrafi... hm... zażegnać kłopoty.

– Jack? – Jestem zdezorientowana. – Ten chłopak, którego nie znosiła Beth? To on podał się za szefa Rachael? Twój kuzyn?

– Od dnia moich narodzin. Rzeczywiście jest szefem Rachael, ale nie tym, którego udawał. Bystry facet. Razem z Rachael mieli na ciebie oko, gdy wyszłaś z zakładu. Jack jest starszym wspólnikiem w kancelarii Zara, Bratbury i Howe, a Rachael robi wszystko, co jej się każe. To on wpadł na pomysł, żeby poprowadziła twoją sprawę. Już mówiłam, zawsze pociąga za sznurki. No, prawie zawsze. Jack był sprytny i lubiany, ale ja wiedziałam coś, czego on nie chciał ujawnić przed nikim. Wiedziałam o dziewczynach, które oni odurzali, a potem dymali. Żałosna sprawa. I wiedziałam o Lucy.

– Lucy? – odzywa się Mark, trochę zaskoczony. – Ta gosposia, z którą Jack spał, gdy mieliśmy po piętnaście lat?

– Nie bądź głupkiem, do cholery! Podobno to ty byłeś zdolniaczą w naszych szkolnych latach, a jednak ślepo wierzyłeś w każde jego słowo. Jack z nią nie spał! Przecież ci mówiłam, że to mała podpuszczalska. Ale Jack nie lubił, jak dziewczyny go podpuszczały, prawda? Kiedy pewnego razu posłała go w diabły, wydymał ją, czy jej się to podobało, czy nie. Okazało się, że nie, i wujek George musiał wydać fortunę, żeby siedziała cicho. Jack za nic nie chciał dopuścić, by gadano na kampusie, jaki jest naprawdę. O tym, co wyprawialiście, świntuszki, wiedziałam tylko ja.

– Więc zaszantażowałaś go, żeby wykraść mi dziecko? – mówię najgłośniej, jak mogę, wkładając w to tyle jadu, na ile mnie stać.

– Po prostu zabrałam Dylana i wyszłam. Później Jack tylko pozamiatał. Popierdolony chłopaczek z tego mojego kuzyna. Słuchaj, jak było z Beth.

Odchrząkuje i mówi dalej:

– Jack miał ochotę na Beth, gdy tylko ją zobaczył. Obsypywał ją kwiatami, biżuterią, wszystkim, co można sobie wyobrazić. Mówiła, że się go boi, ale zwracała mu prezenty w kulturalny sposób, miała klasę, do końca. A koniec był nieunikniony, gdy kilka miesięcy później zaczęła spotykać się z Markiem. Jack nie zamierzał tego tolerować.

– Dlaczego? Nie potrafił honorowo pogodzić się z przegraną? Ty też nie potrafiłaś?

Gdzie jest Cassie? Policja? Gdzie jest Dylan?

– Udam, że tego nie słyszałam, Susan. Gdy Mark mnie rzucił, gdy zmusił mnie do pozbycia się naszego dziecka, wiedziałam, że jeżeli dobrze to rozegram, nakłonię Jacka, żeby wykonał całą robotę za mnie. Łatwo nim manipulować. Zazwyczaj tak jest z agresywnymi ludźmi. Im lepsze mają o sobie zdanie, tym głupiej postępują. Był taki pewny siebie, że nawet nie przyszło mu na myśl, że nie on tu rządzi. – Krzywi się. – Wystarczyło, że Beth przez miesiąc puszyła się jak paw, machała upierścienioną ręką i przechwalała się swoim cudownym Markiem, by Jack nie wytrzymał i zrobił następny krok. Pod pewnym naciskiem, oczywiście. Zagroziłam mu, że wszystkim rozpowiem o jego wyczynach.

Oczami wyobraźni widzę szczęśliwą Bethany Connors, jak przegląda czasopisma ślubne, dzwoni do przyjaciół i krewnych z radosną wiadomością, planuje wspólne życie z Markiem, nie zdając sobie sprawy, że dziewczyna, którą uważała za swoją najbliższą przyjaciółkę, w głębi serca szczerze jej nienawidzi.

– Czy Dylan jest u Jacka? Powiedz, że to nie Bratbury przetrzymuje mojego syna – odzywa się Mark takim tonem, jakby było lepiej, żeby Dylana wychowywał seryjny morderca.

Jennifer wybuchła śmiechem.

– A to dobre. Kuzyn Jack wychowujący syna Marka Webstera. Czyż nie byłaby to sprawiedliwość losu? – Znow odwraca się w moją stronę. – Co się działo w klubie, tym tutaj – zatacza ręką łuk – możesz sobie wyobrazić. Kiedy Mark i Matt wywozili jej zwłoki, pojechałam za nimi. Musiałam mieć pewność, że wykonają swoje zadanie jak trzeba. Gnali jak szaleńcy, mogłam przez nich zginąć. – Śmieje się z własnego żartu. – Po znalezieniu ciała zamierzałam być przy Marku i oczywiście razem byśmy opłakiwali Beth. Mark byłby wreszcie mój. Urodziłoby się nam dziecko, tym razem planowane. Gdy ją zostawili i odjechali, zrobiłam kilka zdjęć na przyszłość, zabrałam kajdanki, te same, które masz teraz na rękach. Zdejmując je Beth, poczułam jej oddech i zorientowałam się, że ona jeszcze żyje. Ci beznadziejni debile ledwie ją drasnęli. Z czasem i tak by się wykrwawiła, ale nie chciałam ryzykować. Musiałam sama dokończyć robotę. Koniecznie.

– Jak? – Wcale nie chcę wiedzieć, ale zauważyłam, że moje pytania sprawiają jej przyjemność.

Uśmiecha się szeroko.

– Wsadziłam jej torbę na głowę i udusiłam tę dziwkę. – Delektuje się tymi słowami, jakby od dawna chciała wypowiedzieć je na głos. – Leżała nieprzytomna i nie było mi dane patrzeć, jak uchodzi z niej życie czy dzieje się coś równie miłego, ale muszę przyznać, że miałam satysfakcję. Znacznie mniejszą sprawiło mi zabicie tej pindy Kristy, choć z przyjemnością rozbiłam kryształowy wazon, który bez wątpienia nabyła z pieniędzy Rileyów. Mark dostarczy mi więcej zadowolenia. Ty jesteś nieszczęsną postacią drugiego planu, przykro mi to mówić. Lubię cię i myślę, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

Dowiedziałam się takich rzeczy, znoszę tyle bólu, ale dopiero po tym zdaniu zbiera mi się na wymioty. Myśl, że ta kobieta identyfikuje się ze mną i uważa, że jesteśmy pokrewnymi duszami w tym popierdolonym spektaklu, będzie mnie prześladować do końca życia, niezależnie od jego długości.

– Brat Beth leciał na ciebie, to pewne.

– Brat Beth? – powtarzam.

– Że co? Kiedy ja go poznałam?

– Gość, który podawał się za reportera. – Nie widzę jej miny, gdy doznaje olśnienia, ale słyszę jej chichot. – Aha, nie miałaś pojęcia! Słowo daję, Susan, powinnaś rozważniej dobrać sobie partnerów.

Brat Beth. Od początku wiedział, kim jest ruda dziewczyna na zdjęciu, znał okoliczności jej śmierci. Ja byłam jedynie środkiem do osiągnięcia celu. Nie obchodziło go, co się stało z Dylanem, tylko chciał, żebym pomogła mu odkryć prawdę o jego siostrze. Zastanawiam się, czy mieć mu to za złe, czy nie. Żeby odzyskać Dylana, byłabym gotowa okłamać każdego. Mimo to czuję się oszukana i jest mi głupio.

Moje rozmyślania przerywa wycie syreny w oddali. Jennifer milknie, pewnie nasłuchując, czy jadą w tę stronę.

– Na szczęście o wiele lepiej wybieram przyjaciół.

W mgnieniu oka odzyskuje panowanie nad sytuacją.

– To niczego nie zmienia. Tylko przyspieszy bieg rzeczy – mówi i wtapia się w ciemność.

Mark nie patrzy na mnie, ale gdy Jennifer znika nam z oczu, szepcze:

– Rura jest pęknięta. Nie rozglądaj się. Jakies trzy metry na prawo ode mnie.

No, no, myślałam, że Mark wpadł w katatonię, zastygł w szoku i przerażeniu, a on cały czas szukał sposobu, jak wydostać się z tej matni.

– Na mój znak szybko przesuńmy się w to miejsce. Jeżeli nas zauważy, jesteśmy martwi, ale nie możemy siedzieć tu i czekać na śmierć.

– Nie wiem, czy dam radę – odpowiadam cicho. – Mam ciężką głowę, ledwie oddycham. Chyba się nie podniosę.

– Dasz radę, Susan. Jesteś silna, silniejsza ode mnie. Silniejsza, niż mi się wydawało. – W jego głosie pobrzmiwa coś w rodzaju szacunku, jak nigdy wcześniej; spleta palce z moimi i ściska mnie za rękę.

– Mark, powiedz mi, to ważne, gdybyśmy mieli umrzeć. Czy ty mnie kochałeś?

– Kochałem cię, Susan. Mocniej, niż dzisiaj mogłabyś uwierzyć. A gdy urodziłaś mi Dylana, byłem nieopisanie szczęśliwy, ale bałem się, że to szczęście nie potrwa długo.

– Bo... – Jej imię nie przechodzi mi przez gardło. – Bo myślałeś, że to zrobiłeś?

– Bo to zrobiłem. Jennifer może mówić, że było inaczej, ale to ja zabiłem Beth. I wiedziałem, że pewnego dnia pojawi się ktoś, kto mi wszystko odbierze.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Patrzy w bok.

– Chyba sama znasz odpowiedź.

Ma rację. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak bym postąpiła. Czy zmusiłabym go, żeby zgłosił się na policję, czy też zabrałabym syna i odeszła. Wiem tylko, że wtedy zupełnie inaczej toczyłoby się moje życie przez te ostatnie cztery lata.

– Jack zatelefonował do mnie tamtego dnia i oznajmił, że Jennifer pojechała do naszego domu, żeby ci o wszystkim opowiedzieć. Twierdził, że wpadłaś w szal. Jennifer zadzwoniła do niego z prośbą o pomoc, ale gdy dojechał na miejsce, było już za późno. Zabiłaś Dylana i straciłaś przytomność, uderzając głową o stół. Nawet nie pojechałem do domu, tylko pogałem do szpitala i na parkingu zobaczyłem Matty’ego. Odstawiłem cię na oddział ratunkowy, a Matty wbiegł z Dylanem do szpitala tak szybko, że nawet go nie widziałem. Nie mogłem się pożegnać. – Głos mu się łamie. – Naprawdę myślałem, że to zrobiłaś, Susan. Nie powinienem był im wierzyć. Nie powinienem dopuścić do siebie myśli, że ty... Ale po urodzeniu Dylana tak się zmieniłaś, że łatwo w to uwierzyłem. Uznałem, że tajemnice, które miałem przed tobą, spowodowały, że pomieszało ci się w głowie.

Gorące łzy spływają mi po nosie, do kącików ust. Nie ocieram twarzy; chcę, żeby Mark je widział, niech wie, jak mnie zranił.

– Jak mogłeś tak sądzić? Jak mogłeś wierzyć jemu, a nie mnie?

– Sama w to uwierzyłaś. – Pociera twarz wolną ręką. – Tysiące razy chciałem ci powiedzieć o Beth. Wyobrażałem sobie, jak obejmujesz mnie i mówisz, że będzie dobrze, że przejdziemy przez to razem, że wciąż będziesz mnie kochać, ale w głębi duszy czułem, że tak się nie stanie. Gdy Jack mi oznajmił, że Jennifer wszystko ci wyjawiała i że oboje nie żyjecie, byłem zdruzgotany, ale mu uwierzyłem, bo znając cię, wiedziałem, że nie

mogłabyś spędzić reszty życia u boku mordercy. Wiedziałem również, że nie oddałabyś mnie w ręce policji. Uznałem, że nie miałaś wyboru.

Żał mi go; serce mi się ściska, gdy uprzytamniam sobie, że on żył przez te lata, nieustannie myśląc o tym, iż straci wszystko, co ma. Najgorszemu wrogowi tego nie życzę. Wtedy dociera do mnie, że ja dzień w dzień, przez cztery lata, nieustannie myślałam o tym, że zabiłam syna, a to było bezpośrednim skutkiem potwornego czynu, którego dopuścił się Mark. Dlatego chcę, żeby za to zapłacił.

– Nie wiem, jak bym zareagowała, dowiadując się o Beth. – Mówię tak cicho, że Mark musi się pochylić, żeby mnie słyszeć. – Natomiast jedno wiem: zabiłabym całą waszą czwórkę, żeby tylko nic się nie stało mojemu synowi.

– Susan, pójdziemy na policję, powiem im, jak było, odnajdziemy Dylana, obiecuję. Ale najpierw musimy się stąd wydostać. Pomyśl o Dylanie. – Znów ściska moją rękę. – Dasz radę?

Kiwam głową.

Syreny słyszeć coraz bliżej. Ale nasi wybawcy nie zdążą w porę. Jennifer podchodzi do nas. Coś trzyma. Niewielką przezroczystą butelkę, która wydaje się pusta, ale nie jest. Zawiera rozpuszczalnik.

– Wiedziałam, że do tego dojdzie – mówi spokojnie, opanowanym głosem. – Spodziewam się, że jesteś zadowolony, Mark. Masz za Beth.

Unosi nogę, celując w metalowy pojemnik. Płomienie wyskakują poza jego krawędzie, szukają kałuż ciecchy na podłodze. Mark krzyczy: „Uciekaj!” – i w tej samej chwili pojemnik się przewraca, cała ściana płonie, w ogniu giną drzwi wejściowe.

Mark: 27 listopada 1992

Okazało się, że to nawet lepiej: szata, kaptur, brak jakiegokolwiek reakcji, ruchu czy dźwięku. Kiedy dziewczyny były przytomne, mógł sobie wmawiać, że to, co robi, sprawia im przyjemność, tak jakby. Ale nie widząc w jej oczach strachu, nie wiedząc, czy cierpi, czy się wstydzi, miał jakieś pokrętne wrażenie, że poszło mu łatwiej.

Prawie wszyscy chłopcy siedzieli rozparci na krzesłach, starając się utopić poczucie winy w alkoholu. Mark siedział z brzegu i pił więcej, niż powinien, choć wcale nie poprawiało mu to samopoczucia.

Jack stał z boku, otwarcie obserwując, jak Mark wychyla jeden kieliszek wina za drugim. Markowi dźwięczały w uszach słowa Jacka: „Naprawdę sądziłeś, że pozwolę ci zwyczajnie odejść?”.

Czyżby na tym miało się skończyć? Rzeczywiście pozwoli mu odejść?

– Twoja kolej, szefie. – Adam dotknął ramienia Jacka.

Jack pokręcił głową.

– Nie tym razem, kolego. Musimy podkreślić tempo. Czas na wielki finał, panowie. – Powiedział to pełnym głosem, zwracając się do wszystkich. – Jak wiecie, jeden z nas zamierza dzisiaj rozstać się z nami.

Te słowa wzbudziły powszechne zainteresowanie, zwłaszcza Marka. Jack odwrócił się do niego – jego twarz w blasku świec przybrała złowieszczy wyraz.

– Wszyscy tu zebrani – Jack zatoczył łuk ręką – urodziliśmy się w szlacheckich rodzinach. Każdy z was jest tutaj, ponieważ tak postanowili jego ojciec i jego dziad. Oto są dzieje początków. Lecz jeden nie poczytuje sobie tego za zaszczyt tak jak inni. Jeden nie docenia hojności, jaką okazywałem wam,

tydzień w tydzień sprowadzając tu najdorodniejsze owoce Durham. Gardzi mocą, jaką wam nadałem. Być może teraz to pojmiecie.

Serce o mało nie wyskoczyło Markowi z piersi, kiedy Jack postąpił ku niemu kilka kroków, wsuwając rękę pod szatę i wyjmując mały srebrny przedmiot. Skinął na Marka, by ten podszedł z nim do dziewczyny leżącej na stole, twarzą w dół. Oddychała płytko, przykryte czarną szatą plecy lekko unosiły się i opadały, ale nie poruszała się przez godzinę, od chwili, gdy się tu znalazła. Mark nie mógł dostrzec jej twarzy, zasłoniętej kapturem, lecz nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna jest nieprzytomna.

– Co to jest, do cholery? – zapytał, gdy Jack podał mu ów przedmiot; był to nóż.

– Oto twoje dziedzictwo – oświadczył Jack, wskazując ręką każdego chłopca po kolei i na końcu dziewczynę. – Wydaje ci się, że możesz nas zostawić? Należysz do tego grona. Nasza krew płynie w twoich żyłach. Czas, żebyś przysiągł wierność i potwierdził to czynem. Zabij ją.

Kilku uczestników zgromadzenia mimo woli wydało stłumiony okrzyk. Jack odwrócił się do nich.

– Czy ktoś jest przeciwny temu, żeby nasz brat dowiódł swojej lojalności? Może wolałby zrobić to za niego?

Wszyscy zwiesili głowy. Milczeli, wstrząśnięci jego słowami. Żaden nie zaprotestował przeciwko temu bestialstwu. Oprócz Marka.

– Nigdy, Jack. Nie ma, kurwa, mowy. Odbiło ci? Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz?

– Odbiło mi? – Głos Jacka niósł się echem po całej hali. – Odbiło? Sprawiam, że dokonujesz cudów, gdy tu jesteś, a ty tak mi się odwdzięczasz? – Skinął na Adama, który przyniósł z kąta niewielki metalowy kosz. – Najwyraźniej muszę być bardziej przekonujący. – Jeszcze raz kiwnął głową i dwóch chłopców chwyciło Marka mocno za ramiona. – Ad...

Z mściwą satysfakcją Adam podsunął Markowi kosz, tak by ten, chcąc nie chcąc, zajrzał do środka.

– Prezerwatywy? – Zdumienie wyparło strach.

– Tak, prezerwatywy – potwierdził Jack z zadowoloną miną. – Dowód, że każdy z was, bez wyjątku, wyruchał tę dziewczynę. A teraz albo zrobisz to, co

powiedziałem, albo ja to zrobię. I wszyscy tu obecni będą zamieszani w jej śmierć. – Zwrócił się do pozostałych: – Głosujemy?

– Nie było potrzeby.

– Na miłość boską, zrób to, Webster – odezwał się jeden z chłopców stojących z tyłu. Mark nie widział, czy to był Turner, czy Thorpe. – Tkwimy w tym po uszy. Ta szmata nie może nas wszystkich pociągnąć na dno.

Natychmiast rozszedł się szmer poparcia. Mark wodził błędnym wzrokiem, szukając kogoś, kto go zapewni, że to są żarty. Ale nawet Matty wpatrywał się w swoje buty i wcale nie zamierzał przyjść mu z pomocą.

– Przestańcie się wygłupiać. Zdajecie sobie sprawę, co on każe mi zrobić? To morderstwo! Mam ją zabić!

– Nikt nie musi wiedzieć – odezwał się cicho Jack, znów podając mu nóż. – Zrobisz to i będziemy bractwem jak dawniej. Trzymamy się razem, Mark. Zawsze tego chcieliśmy. Ochronimy cię. Jeżeli od nas odejdziesz, już nigdy nie dostaniesz takiej ochrony. Wtedy będzie po tobie. Oskarżą cię o gwałt i wylądujesz w więzieniu. Koniec marzeń o wspaniałej karierze. A przyszłość z Beth? O tym też możesz zapomnieć.

Beth. Jak postąpi, gdy się dowie? Mark nie wątpił, że Jack mówi prawdę: jeżeli nie ulegnie, straci szansę na wspólne życie z Beth. Tego Jack chciał od początku i do tego doszło. Mark musiał się zgodzić. Ugłaskać Jacka. Z myślą o Beth.

Zrobił krok do przodu i wziął nóż. Usłyszał, jak ktoś gwałtownie nabiera powietrza, i gdy uniósł głowę, zdążył jeszcze uchwycić spojrzenie Matty'ego, który natychmiast znów wbił wzrok w podłogę.

– Dobra decyzja, Mark, bardzo dobra. Dla ciebie i dla Beth. Pozwól, że ci pomogę.

Jack podszedł do dziewczyny leżącej na stole. Odsunął kaptur i odsłonił jej białą szyję, po czym wskazał miejsce na lewo od tchawicy.

– Od lewej do prawej. Jednym ruchem. Proste.

Mark zacisnął palce na trzonku noża, starając się wygodnie ułożyć dłoń. Wykluczone, nie zdoła tego zrobić.

– Śmiało, Mark. Zrób to. Dla Beth.

Czuł ciepły oddech Jacka na policzku. W głowie kołatały się słowa: „Zrób to. Dla Beth”.

Wykonał polecenie. Od lewej do prawej. Jednym ruchem. Odebranie komuś życia okazało się łatwiejsze, niż sobie wyobrażał. Po jego rękach spływała ciepła, lepka krew. Odruchowo wytarł je o szatę, ale i tak wciąż były czerwone. Splamione. I uprzytomnił sobie, że takie już będą zawsze.

Jack wolno wypuścił powietrze z płuc. Wtedy Mark zdał sobie sprawę, że jego przywódca tak naprawdę wcale się nie spodziewał, że on to zrobi. Jak obuchem uderzyła go myśl, czego się dopuścił. Zabił kobietę. Czyjąś córkę, może i siostrę, kobietę taką jak Beth.

Jack szybko ochłonął. Serdecznie klepnął Marka po plecach.

– Brawo, przyjacielu!

Okrzyk rozdarł grobową ciszę. Mark wzdrygnął się pod dotknięciem ręki Jacka i odskoczył w bok.

– Nie dotykaj mnie! – warknął. – O Boże, o Boże...

Odwrócił się plecami do wszystkich i wymiotował żółcią i alkoholem.

– Rozumiem. – Jack uniósł ręce i cofnął się o krok. – To twój pierwszy raz, dużo wrażeń. – Spojrzał na pozostałych. – Zgotujmy naszemu towarzyszowi owację, panowie. – Nikt nie drgnął. – Oklaski, powiedziałem!

Bez entuzjazmu klasnęli w dłonie. Markowi znów zbierało się na wymioty. Osunął się na podłogę i zaczął trzeć oczy, jakby chciał wymazać wspomnienie tego, co się wydarzyło.

– Wstań – powiedział Jack. Widząc, że ten się nie rusza, kiwnął na Adama, który brutalnie poderwał Marka do góry. – Przyjacielu, dowiodłeś swojej lojalności wobec bractwa. Teraz trzeba po tobie posprzątać. – Wskazał na dziewczynę, która nadal leżała na stole, w kałuży krwi zbierającej się wokół niej i skapującej na podłogę.

– Mój... – Słowa uwięzły Markowi w gardle.

– Spokojnie, Matthew ci pomoże. Zapakujcie ją – pokazał mu wetknięty pod stół czarny worek na śmieci, którego wcześniej Mark nawet nie zauważył – i gdzieś wywieźcie. Samochodem Adama.

Adam bez zastanowienia wyjął z kieszeni kluczyki.

Jack znowu zwrócił się do wszystkich:

– Możecie się rozejść, ale pamiętajcie, że każdy brał w tym udział. – Wskazał palcem jednego po drugim. – Każdy wydymał dzisiaj tę dziewczynę. Ten nóż mógł mieć w ręce któryś z was. W takiej sytuacji bractwo musi trzymać się razem. – Spojrzał Markowi prosto w oczy. – Od tego są przyjaciele. Wszyscy byliśmy dziś wieczorem w klubie studenckim. Przez cały czas.

Chłopcy tępo kiwnęli głowami. W milczeniu opuścili halę. Zostali tylko Matthew, Mark, Adam i Jack.

– Jestem z ciebie dumny, Mark – oświadczył cicho i spokojnie Jack. – Gdy się dowiedziałem, że chcesz od nas odejść, bardzo mnie to zabolalo. Myślałem, że jesteście braćmi. Teraz widzę, że naprawdę jesteś jednym z nas.

– Jednym z was? – wykrztusił z goryczą Mark. – Nigdy.

Jack roześmiał się.

– I to mówi morderca. – Mark zeszywniał. – Och, przepraszam. Zapomniałem, że zrobiłeś to dla Beth. Nie udawaj, że kierowały tobą szlachetne pobudki. Wykonałeś moje polecenie, żeby ratować własną skórę. Na miłość boską, nawet nie zainteresowałeś się, komu podrzynasz gardło. Należało przynajmniej zapytać.

Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że strach ścisnął Markowi serce.

– Kto to jest?

Oczy Jacka się uśmiechały, ale usta nawet nie drgnęły.

– Kto to jest, Jack? – odezwał się milczący do tej pory Matthew.

Mark usłyszał w jego głosie zaniepokojenie i już wiedział to, czego prawdopodobnie domyślił się Matthew.

– Boże, nie, Jack, powiedz, że to nie...

Pobiegł do leżącej bez życia dziewczyny, jakby brnął przez wodę. Sięgnął do czarnego kaptura, który zasłaniał jej twarz. Nie chciał tego robić, nie chciał oglądać twarzy kobiety, której odebrał życie, ani otwartej rany pod materiałem, ale musiał mieć pewność. Wsunął drżące palce pod kaptur i go uniósł. Rude włosy rozsypały się po blacie stołu, martwe zielone oczy patrzyły wprost na niego.

Mark pada na bok, byle dalej od ściany buchającej żarem i ogniem. Ponieważ wciąż trzyma mnie za rękę, lecę za nim, czując, że bark zaraz wyskoczy mi ze stawu, i szaleńczo przebieram nogami, żeby nie stracić kontaktu z podłożem.

Jennifer stoi na środku hali, przyglądając się pomarańczowym językom, które pełzną w naszą stronę. Jej krzyk przebija się ponad ryk ognia.

Gdy macham ręką, starając się utrzymać równowagę, dotykam rozpalonej do czerwoności rury, która biegnie dołem. Przeszywa mnie parzący ból w nadgarstku i czuję swąd palonego ciała. Mark jednym szarpnięciem odrywa mnie od rury. Wolną ręką podnosi mnie na kolana i razem posuwamy się w stronę ognia.

– Żar nas zabije! – krzyczę.

W swoim głosie słyszę narastającą panikę. Przeważenie ściska mi gardło. Mark ciągnie mnie ku ścianie ognia. Nie damy rady, ani on, ani ja.

Płomienie wspinają się po ścianach, niczym strumyki przeczące prawu grawitacji. Mam wrażenie, że moja skóra pokrywa się pęcherzami. Wyobraźnia podsuwa mi obraz Marka, który kręci się niczym kula ognista, uczepiony mojej ręki. Wciąż czuję na twarzy zapach rozpuszczalnika; jeśli podejść za blisko ognia, będzie po mnie.

– Teraz! – krzyczy Mark.

Rzuca się do przodu. W ostatniej chwili chwytając wolną ręką za rurę i odrywa ją od ściany. Słyszę chrzęst, który brzmi w moich uszach jak najpiękniejsza muzyka. Mark szarpie mnie, upadam twarzą na zapiaszczoną podłogę. Udało się!

W uszach mam przejmujące krzyki Marka, niosą się echem i mieszają z dźwiękiem podobnym do jakiegoś pierwotnego ryku. Dym zatyka mi płuca, nie mogę wydobyć głosu, nie mogę krzyknąć, że nadbiega Jennifer i trzyma w ręce butelkę, wymachując nią jak trofeum.

– Mark!

Chwytam go za ramię i odwracam ku sobie, żeby nie patrzył na swoje rany i kobietę, która pędzi z wrzaskiem prosto na nas. Gdy zderza się ze mną, zimne krople ochlapują mi twarz i włosy, reszta płynu wsiąka w jej i moje ubranie. Znowu słyszę krzyk, niski, gardłowy, i widzę, jak Mark łapie Jennifer za włosy. Patrzę mu prosto w oczy i wrzeszczę: „Nie!”, ale on mnie nie słyszy. Trzyma ją obiema rękami i rzuca się z nią w kierunku rozżarzonego do białości ognia.

– Mark! – charczę.

Dym zatyka mi płuca. Kaszląc i ledwie łapiąc oddech, padam na podłogę.

Przez głowę przelatuje mi myśl: on nie żyje, ona też. Mój były mąż, jedyna nadzieja na odnalezienie naszego syna.

I nagle pojawia się, brnie w moją stronę. A jednak nie umarł! Żyje i znajdziemy Dylana.

– Susan – chrypi, zasłaniając dłonią usta przed dymem. – Drzwi.

Przenoszę wzrok na powyginane drewno, po którym pełzają płomienie. Tam, w tej pomarańczowo-czarnej chmurze, jest wyjście.

– Inna droga? – pytam, nachylając się ku niemu. Oboje kucamy jak najniżej, niemal przy podłodze, w kłębach dymu, ale bez porównania nie tak gęstego jak na wysokości stojącego człowieka. – Mark? Jest drugie wyjście?

Dym włazi mi w oczy i w usta, wnika przez nos do płuc. Kładę się na podłodze, na chwilę. Obok mnie kładzie się Mark.

– Przepraszam, Susan – szepcze mi do ucha. – Bardzo przepraszam. Kocham cię całym sercem.

– Ciii... Udawajmy, że jesteśmy razem. W domu. Dylan też jest tu z nami. Nigdy go nie opuścimy. Obiecuj mi, Mark, że nigdy go nie opuścimy.

Czekam, żeby mi to obiecał, ale nie pada ani słowo. Otwieram oczy i widzę, że Mark ma zamknięte powieki.

Jeśli tylko dam odpocząć oczom, na chwilę, zaraz nabiorę sił. Nie słyszę już syren, krzyków ani wrzasków. Dochodzi mnie tylko ryk ognia. Przewracam się na bok, ostatni raz w ramiona Marka.

Jack: 23 lipca 2009

– Jeżeli nadal będziesz zatrudniał donosicieli, Tony, nie zdołam ci pomóc. Czego, kurwa, oczekujesz? Że będę sprawdzał, czy na twojej liście płac nie ma informatorów? Jestem prawnikiem, a nie konsultantem do spraw rekrutacji. Za co ten kutas Donaldson bierze u ciebie pensję?

W komórce rozległo się pikanie. Przerwał swoją tyradę i spojrzął na ekran, wciąż słysząc biadolenie Tony'ego Wooda.

Dzwoniła Jenny. Wspaniale! Czego ona chce, do cholery?

– Muszę kończyć, Tony. Zadzwoń jutro i ustalę termin odwiedzin. Słuchaj, nie ma potrzeby używać takiego języka. Ubierz się tak, żeby współwięźniowie żółkli z zazdrości.

Rozłączył się, nie zważając na gwałtowny sprzeciw rozmówcy.

– Dzień dobry, Jennifer, moja piękna kuzyneczko, ulubienico mocy piekielnych. Z czym do mnie dzwonisz?

– Musisz przyjechać do domu Webstera. Natychmiast.

Hm, tego nazwiska nie słyszał od dawna.

– O co chodzi? Jesteś tam teraz? Co takiego zrobiłaś?

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili usłyszał:

– Powiedziałaam jego żonie.

Szlag! Szlag!

– Co jej powiedziałaś? Co ona na to?

Teraz nie mógł się tym zająć. Miał za dużo roboty w kancelarii, żeby jeszcze sprzątać bajzel po swojej psychotycznej kuzynce.

– Nie chciała słuchać, Jack! Rzuciła się na mnie, to ją odepchnęłam. Ona nie żyje, dla pewności wstrzyknęłam jej ketaminę.

Jack zaklął głośno.

– Mogę ci polecić dobrego prawnika – zaproponował sarkastycznie.

Ciarki przebiegły mu po plecach, gdy usłyszał śmiech Jennifer.

– Nie potrzebuję prawnika. Masz tu przyjechać i zrobić porządek, Jack. Teraz stąd wychodzę i wsiodam do samochodu, a ty zjawiasz się i załatwiasz sprawę.

– Niby dlaczego miałbym wchodzić w twoje bagno?

Włączył lewy kierunkowskaz i ostro skręcił w boczną uliczkę, zmierzając w stronę domu Marka.

– Oj, masz powód, masz. I to zrobisz – odparła. – A jeśli nie, załatwię cię i całe twoje bractwo. Ale będzie afera, gdy jeden z najbardziej poważanych prawników w kraju stanie przed sądem pod zarzutem zabójstwa.

Jack westchnął.

– Niestety, Jen, twoja karta przetargowa się przedawniła. Nie masz żadnych dowodów. To będzie słowo przeciwko słowu, a moje słowo znaczy obecnie dużo więcej niż twoje. Radź sobie sama.

Wpisał kod pocztowy domu Marka w nawigację samochodową. Dwadzieścia jeden kilometrów, zaczyna się odliczanie.

Połączenie urwało się na chwilę. Gdy znów doleciał go głos Jennifer, krew odpłynęła mu z twarzy.

– Słyszałeś, Jack? Byłam tam. Mam dowód, pstryknęłam parę fotek. I wróciłam na miejsce, gdy zrobiłeś swoje. Jestem w posiadaniu pewnych, by tak rzec, fantów. Więc albo przyjedziesz tu i załatwisz sprawę, albo zobaczysz mnie w sądzie. I tym razem nie będziesz zasiadał przy stole obrony. Ale nie przejmuj się, przecież znasz paru dobrych prawników, no nie?

– Niech ci będzie, Jen, załatwię to. Ostatni raz. Od tej pory jesteśmy kwita. Ty będziesz miała swoje dowody, a ja swoje. I nie chcę cię więcej słyszeć.

– Mnie pasuje. Powinieneś wiedzieć coś jeszcze, zanim tam się zjawisz.

– Co takiego?

Zapadła cisza.

– Mam chłopca. Syna Marka Webstera. Zamierzam go zatrzymać.

Niecałe dwadzieścia minut jechał do domu, w którym Mark Webster mieszkał przez ostatnie sześć lat. Choć po ukończeniu studiów Mark starał się trzymać od niego z daleka, koniec końców zamieszkał rzut beretem od jego kancelarii. Ironia losu.

Przez dziesięć minut jazdy dzwonił do różnych ludzi, żeby uprzątnąć ten bałagan. Z lekkim rozbawieniem uprzytomnił sobie, że trwało to krócej niż zamawianie poprzedniego wieczoru jedzenia na wynos w chińskiej knajpie.

Gdy zajechał na miejsce, uderzyło go, że dawnemu przyjacielowi tak się powiodło w życiu. Co prawda obserwował go z daleka, śledził w gazetach jego karierę, czytał zawiadomienie o ślubie w informatorze absolwentów Durham, ale nigdy nie przestąpił progu jego domu. Umknęła mu wiadomość, że Mark ma syna, którą najwyraźniej wychwyciła Jen. Musiała mocno się wkurzyć, widząc ten idealny rodzinny obrazek, zwłaszcza że jej własna sytuacja znacznie się pogorszyła w ostatnich latach. Podczas jakiejś kolacji, obficie podlanej alkoholem, na którą rodzice zaprosili go z żoną, wymknęło im się, że Jennifer od lat była niezrównowazona psychicznie. Zerwała narzeczeństwo, gdy się dowiedziała, że nie może mieć dzieci, i wróciła do Durham, woląc mieszkać w jakiejś norze niż przyjmować pieniądze od jego cioci i wujka. To pewnie była kropla, która przepełniła czarę goryczy.

Stanął u wlotu ulicy, przy której mieszkał Mark, i czekał w samochodzie. Wkrótce nadjechał drugi samochód; kierowca zaparkował przed Jackiem i wysiadł.

– O co chodzi, Bratbury?

Choć upłynęło tyle lat, ten głos poruszył w nim nostalgiczną strunę. Poczuł lekki żal, że tak się to wszystko potoczyło, że każdy z nich poszedł swoją drogą.

– Cześć, Matty. Miło cię znowu zobaczyć. – Opuścił szybę i uśmiechnął się. – Co słychać? Jak się miewa Krissy?

– Nie nazywaj jej tak – wycedził Matt Riley przez zęby. – W ogóle nie wypowiadaj imienia mojej żony. Co ty kombinujesz? Po co mnie tu ściągnąłeś?

– Powstał drobny kłopot, który tylko my dwaj możemy rozwikłać – oznajmił cicho Jack. – Jen zrobiła coś głupiego. Poszła do żony Marka i opowiedziała jej o naszych perypetiach z Beth.

– Że co? Jak to „opowiedziała”? Jak zareagowała Susan? Zawiadomiła policję?

Jack uniósł brwi.

– Dla ciebie już „Susan”? Zaprosili cię z Krissy na niedzielny obiad?

– Nie pierdol. Na oczy jej nie widziałem. Mark jest ciągle w strachu, że coś wyjdzie na jaw. Od dziesięciu lat spotykamy się ukradkiem. I niby czego oczekujesz ode mnie w tej sprawie? Mam przekonać nieznaną kobietę, żeby nie szła na policję?

– Susan nie żyje.

Sens tej informacji dotarł do Matta po dłuższej chwili, ale jego reakcja była całkowicie niespodziewana. Wydał dziwny dźwięk, ni to zdławiony krzyk, ni to ryk, i doskoczył do okna samochodu, usiłując wyciągnąć Jacka.

– No co ty, wyluzuj. – Jack odsunął się w głąb samochodu. – To nie ja. – Słowa „tym razem” zawisły w powietrzu, niewypowiedziane. – Ona i Jen się pokłóciły. Doszło do nieszczęśliwego wypadku. Ale to nie wszystko. Podobno Susan wpadła w szal, o mało nie zrobiła krzywdy dziecku, więc Jen zabrała chłopca.

Matt zaniemówił.

– Powiedz coś. Musimy rozwiązać ten problem, zanim zadzwonimy do Marka, bo inaczej on wpakuje nas wszystkich w bagno.

Jego stary kumpel poczerwieniał i zacisnął usta. Zamknął oczy, jakby uczestniczył w jakiejś wariackiej sesji psychoterapeutycznej. Jack niemal słyszał, jak w głowie tego idioty toczy się proces myślowy.

– Okay – odezwał się w końcu Matt. – Wiesz, gdzie ona jest? Musimy odebrać jej chłopca, zanim Mark wróci do domu. W żadnym wypadku nie może się dowiedzieć, że tu byliśmy.

Jack pokręcił głową.

– Nie możemy odebrać jej chłopca. Ma zostać u niej.

– O nie, za cholerę. Nie możemy zrobić tego Markowi. Kocha to dziecko nad życie. Myślisz, że zgodzi się oddać syna, żeby zadowolić tę wariatkę?

Jack westchnął. Wiedział, że nie będzie łatwo.

– Nie rozumiesz powagi sytuacji, Matt. Ona nas szantażuje. Ma zdjęcia z tamtego wieczoru w Durham. Wszyscy umoczymy, jeżeli Mark pójdzie na policję.

– Na to nie mamy wpływu. Niby co zrobisz, żeby mu przeszkodzić? Jego też zabijesz?

Przeleciało mu to przez myśl, gdy jechał do domu Marka. Ale w sumie byłoby z tym za wiele kłopotu. Wpadł na prostszy pomysł.

– Niekoniecznie. Posłuchaj, Susan nie żyje, tego już nic nie zmieni. Mark odpuści tylko wtedy, gdy powiemy mu, że chłopak też nie żyje. Pocierpi, a potem zajmie się swoim życiem.

– A taka drobna kwestia jak brak zwłok? No i kto zabił ich oboje?

– Zwłoki już skombinowałem. Potrwa to kilka godzin i dlatego potrzebuję twojej pomocy. Co do sprawcy, prosta rzecz. Powiemy Markowi, że Susan zabiła chłopca, a potem straciła przytomność i upadła, uderzając głową o kant stołu albo coś w tym rodzaju. Przedawkowała ketaminę, co już wskazuje na próbę samobójczą.

– Skombinowałeś zwłoki? – Matty walnął ręką w bok samochodu. – Kurwa mać, Jack! Co to ma być? Film gangsterski? Jak można skombinować zwłoki w prawdziwym życiu? Co ty w ogóle gadasz?

Jack się roześmiał.

– Och, przestań! Znam połowę przestępców w Yorkshire. Do diabła, pracuję dla połowy przestępców w Yorkshire! Twoim zdaniem to nie jest prawdziwe życie? Wyjdź z tego swojego kokonu. Chyba słyszałeś o chłopaku, który zaginął przed dwoma miesiącami i którego zwłoki wyłowiono z rzeki. Myślisz, że faktycznie to ten sam chłopak? Zwłoki zidentyfikowano na podstawie dokumentacji dentystycznej, a chłopak przejechał już pół Europy! Tak wygląda to, co nazywasz prawdziwym życiem, Matthew.

Matt nachylił się do okna, jakby znów zamierzał rzucić się na niego.

– Dziękuję Bogu, że to nie jest mój świat – powiedział.

– Raczej zanoś modły, żeby Jennifer, gdy już ją znajdziemy i sprowadzimy to dziecko do domu, nie złożyła na policji doniesienia o wszystkim, co o tobie wie. Bo jeśli to zrobi, mój świat stanie się również światem twoim, Kristy i waszych córek. Wyobrażasz sobie, jak strażnicy będą rewidować Tori i Terri podczas każdej ich wizyty u tatusia w więzieniu?

Matt spojrzał na niego z przerażeniem.

– Co mam zrobić?

Jack ledwie zdołał ukryć pogardliwy uśmiezek.

– Jedź do szpitala i czekaj na Marka na parkingu. W twoim samochodzie będzie Susan z tobołkiem z kocyków Dylana. Mark niech odstawi Susan na izbę przyjęć. Ty bierzesz „Dylana” i pędzisz z nim do szpitala, prosto na salę operacyjną, gdzie zastaniesz mojego człowieka ze zwłokami, które będą ci potrzebne. Nie kręć się po parkingu, nie odpowiadaj na żadne pytania.

Widząc, jak Matt krzywi się na słowo „zwłoki”, poczuł autentyczną satysfakcję. Co za cienias, pomyślał.

– Jak przekonasz Marka, że ma spotkać się ze mną pod szpitalem?

– Powiem mu tyle, ile trzeba. Że Jennifer zjawiała się u niego w domu i powiedziała Susan o Beth. Susan wpadła w szal i chciała zrobić krzywdę dziecku, więc Jen zadzwoniła do mnie. Gdy tu przyjechałem, oboje byli martwi. Zadzwoniłem do ciebie, bo jesteś lekarzem. Każę mu zeznać na policji, że zastał w domu nieprzytomną żonę i dziecko i zawiózł ich do szpitala. Wtedy policja nie zapyta, co tam robiła Jen i co powiedziała, wywołując tak gwałtowną reakcję Susan. Nas tam w ogóle nie było. Natknąłeś się na Webstera na parkingu pod szpitalem. Zwrócił się do ciebie o pomoc. Jasne?

Matt westchnął i potarł twarz.

– Jasne. Dzwon. Idę po Susan.

Targają mną torsje. Gęsta czarna żółć wylewa się na mokrą trawę. Płuca wciągają świeże powietrze łapczywie jak noworodek. Każdy oddech wywołuje gwałtowne skurcze w klatce piersiowej.

Trawa?

Znowu usiłuję otworzyć oczy i zorientować się w przestrzeni, ale ciało stawia opór. Czyjeś ręce mnie unoszą. Czuję coś twardego i zimnego na ustach. Między powiekami robi się szpara. Wjeżdżam do jakiegoś metalowego pudła... zaraz, zaraz, to chyba karetka pogotowia. Stoi przy mnie kobieta, przykłada mi do twarzy maskę... świeże powietrze wlatuje do płuc. Zatraskują się drzwi i karetka rusza na sygnale.

– Mark? – pytam. – Gdzie jest Mark?

Kobieta nic nie mówi, tylko głaszcze mnie po głowie i nabiera jakiegoś przezroczystego płynu do strzykawki.

– Gdzie jest Mark?

Dopiero teraz uprzytamniam sobie, dlaczego ona nie odpowiada. Słowa nie wydobywają się z moich ust tak, jak powinny, w gruncie rzeczy wcale się nie wydobywają. Nie mam siły dłużej unosić powiek. Same się zamykają.

Otwieram oczy i pierwszą osobą, którą widzę, jest mój ojciec. Już nie leżę na zimnej, mokrej ziemi. Mam pod sobą coś miękkiego i zaraz uświadamiam sobie, że jestem w szpitalu i że żyję. Do pasa jestem tak obolała, jakby obito mnie kijem baseballowym, a nogi są kompletnie do niczego, jak z papieru. Ale jestem na tym świecie. „Dylan”, szepczę. Sceny z tych ostatnich chwil, zanim straciłam przytomność, przelatują mi przez głowę niczym w filmie akcji:

Jennifer biegnie do nas, Mark chwyta ją za włosy i żeby ocalić własne życie, rzuca naszą ostatnią nadzieję do ognia.

– Cii, kochanie, odpoczywaj. Policja szuka Dylana, sprawdza miejsca, gdzie przebywała Jennifer, wypytuje ludzi, z którymi miała kontakt.

– Tylko Jennifer to wie – udaje mi się wykrztusić.

Ale przecież ona nie żyje, na moich oczach wpadła w ogień.

Tato ma zboląłą minę.

– Jeszcze jej nie znaleźli, ale przypuszczają, że nie żyje.

– A Mark? – chrypię.

– Tak mi przykro, kochanie. Gdy przyjechali, Mark już nie żył. Twój przyjaciel Josh powiedział, że nie zdążył go uratować.

– Josh?

Kto to taki?

– Bogu dziękować za tego człowieka. Przyjechał równo z policją, jeszcze przed strażakami. Zabronili mu wchodzić do środka, ale on jednak wszedł i wyciągnął was oboje.

Josh Connors. Starszy brat Beth. Czyli Nick.

– Dylan, tato – szepczę.

– Oczywiście, skarbie. Policjanci zbierają wszelkie informacje, zrobili rewizję w mieszkaniu Jennifer.

– I ani śladu? Nie ma ubranek, zabawek, niczego?

– Niestety. – Kręci głową. – Pójdę powiedzieć pielęgniarce, że się obudziłaś.

Personel zgadza się wpuścić do mojego pokoju jedną osobę. Przyjechała godzinę po przyjęciu mnie do szpitala i od tamtej pory siedzi w poczekalni. Kiedy staje w drzwiach, uprzytamniam sobie, jak bardzo pragnęłam ją ujrzeć.

– Susan! – Cassie podbiega do łóżka i zabawnym gestem obejmuje mnie za nogi, zapewne nie chcąc dotykać mojego uszkodzonego barku. – Byłam pewna, że już po tobie!

Nie jestem w stanie się roześmiać, stać mnie tylko na słaby uśmiech.

– Co za optymizm... Dzięki... że wezwałaś policję... i uratowałaś mi życie.

Nagle poważnieje i patrzy na mnie pośpym wzrokiem.

– Ale najpierw dopuściłam do tego, że prawie umarłaś. W żadnym wypadku nie powinnam była pozwolić, żebyś pojechała tam sama.

Przepraszam, Suze. Ledwie wyszłaś ode mnie, poczułam się koszmarnie. Żałuję, że cię nie zawołałam.

– To ja przepraszam. Masz głównianą przyjaciółkę.

– Nigdy nie byłaś głównianą przyjaciółką. W przeciwieństwie do mnie.

W myślach posyłam jej ciepły uśmiech, ale nie wiem, czy pojawia się na twarzy.

– Dzięki... myślałaś... że przystojniak... zabrał ci... przyjaciółkę?

Nadal ma poważną minę.

– Zamknij się. – Daje mi klapsa po ręce i zaraz przeprasza, widząc, że krzywię się z bólu. – A tak serio, mam tylko ciebie i wydawało mi się, że cię tracę. Bałam się, że już mnie nie potrzebujesz.

– Nigdy mnie nie stracisz – zaręczam. – Na pewno nie z powodu faceta. Gdzie on jest? Tato powiedział...

– Wyciągnął cię stamtąd. Niezły kawał bohatera. Zadzwoiłam na policję i zaraz potem do niego. Wszystko mi powiedział. Jest bratem Beth. Od początku podejrzewał, że istnieje jakiś związek między tym, co spotkało jego siostrę, a tym, co ty przeżyłaś, ale chciał się przekonać, ile wiesz o Marku. Podałam mu adres. Był na miejscu parę sekund po policji. Nawet zawiadomił mnie, dokąd cię zabrali. – Chryste Panie, ona chyba go polubiła. – Czeka, aż go do siebie wpuszczą.

– Dlaczego powiedział, że jest reporterem?

Cassie parska śmiechem.

– Twierdzi, że wcale tak nie było. To ty wzięłaś go za reportera, a potem, gdy chciałaś porozmawiać o jego artykule, on po prostu dostosował się do sytuacji.

Cholera. Usiłuję przypomnieć sobie naszą pierwszą rozmowę – o ile wydzieranie się na człowieka, który siedzi w samochodzie i coś duka w odpowiedzi, można nazwać rozmową – ale od myślenia zaczyna boleć mnie głowa. Josh Connors, dla mnie wciąż Nick Whitely.

– Co z Rachael? – pytam.

Cassie krzywi się.

– Zniknęła. Rachael, Bratbury, jego żona, wszyscy przepadli jak kamień w wodę. Gdy przyszła do niej policja, okazało się, że nie ma połowy jej

garderoby, paszportu, kosmetyków i paru innych rzeczy. Uważają, że wyjechała razem z nim. Nadal próbują skontaktować się z pozostałymi współnikami w kancelarii.

– Wcale mnie to nie dziwi – mówię.

Cassie kręci głową.

– Udusiłabym tę wredną małpę. Policja ma jej maile. Włamanie do twojego domu to robota jej i Bratbury’ego. Bratbury wynajął jakichś typów i kazał cię śledzić. Rachael poleciła zabić Jossa. Ona zarządziła też założenie podsłuchu w twoim telefonie, ledwie opuściłaś Oakdale, i wiedziała o albumie ze zdjęciami, bo był wymieniony wśród rzeczy, które odebrałaś, wychodząc z zakładu. Na wiadomość, że podrzucono ci zdjęcie, Bratbury wysłał jej kilka wściekłych maili, twierdząc, że nie może sprawić przykrości Rebecce, i w rezultacie Rachael musiała tak zadziałać, byś uwierzyła, że postradałaś zmysły i sama wysłałaś sobie to zdjęcie. Oboje zamierzali wsadzić cię z powrotem do zakładu. Bandzior, którego wynajęli, żeby zdemolował ci dom, zostawił tam zdjęcia... Jack był wściekły, że przyłapałaś zbira... facet miał poczekać, aż położysz się do łóżka, bo wtedy pomyślałabyś, że sama to zrobiłaś w nocy. Dlatego potem, gdy Jack zobaczył ciebie i Nicka w kancelarii, włamał się do domu Nicka; sądził, że was nie zastanie, ale widząc cię na kanapie, podarł dokumentację i starał się upozorować twoją próbę samobójczą.

Dobry Boże. A ja myślałam, że Rachael dobrze mi życzy, że jest po mojej stronie. Te odwiedziny, prezenty, słowa wsparcia i otuchy... Nawet gdy dowiedziałam się, co zataiła podczas procesu, nie chciałam wierzyć, że brała udział w tej intrydze. Teraz jestem w głębokim szoku, bo łapię się na tym, że życzę jej, by wpadła w ręce policji i spędziła resztę swego nędznego życia w więzieniu, dokąd to mnie chciała posłać. A Jackowi Bratbury’emu życzę śmierci.

Dwie godziny później pielęgniarka wyprowadza Cassie z mojego pokoju, nie zważając na nasz sprzeciw. Twierdzi, że muszę odpocząć, tak jakbym dopiero co nie przespała bitych osiemnastu godzin. Cassie obiecuje jak najszybciej przemyścić mi jedzenie z fast foodu. Na odchodne pyta, czy ma coś

przekazać Joshowi. Chciałabym mu powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale brak mi słów. Więc mówię, że nie.

Epilog

– Na pewno jesteś na to gotowa? – pyta Cassie, dotykając mojego ramienia.

Pomalowała paznokcie jaskraworóżowym lakierem, a jasnomiedziane włosy przefarbowwała na ciemnoczerwono z niebieskimi końcówkami. Nadal twierdzi, że nowa fryzura jest lekarstwem na wszystkie bolączki. Moim zdaniem do twarzy jej w tym uczesaniu.

– Nie.

Przyciskam do boków ręce, żeby nadinspektor Harrison nie zauważył, jak mi drżą.

– Niech pani jej tylko wysłucha – mówi policjant. – Chcę, żeby pani dowiedziała się tego wprost od niej.

Spoglądam na mężczyznę, który siedzi obok mnie na kanapie. Nick – nadal tak o nim myślę, przynajmniej na razie – uśmiechem dodaje mi odwagi.

Mark nie żyje. Ocalił mi życie, ale nie zdołał wydostać się z hali. Kiedy tato powiedział mi o tym, wylałam morze łez: z żalu za mężczyzną, którego kochałam, i z żalu za tym, co mogliśmy wspólnie przeżyć. Jego ostatni uczynek był dobry – Mark uratował mnie od śmierci w płomieniach. O tym starałam się pamiętać, nawet gdy zawiadomiono mnie o przeprowadzeniu ekshumacji, która wykazała, że w trumnie są szczątki dziecka, ale nie mojego synka.

Widzę, że policjant kiwnął głową, co oznacza, że ona już tu jest. Serce staje mi w gardle, twarz płonie ze zdenerwowania. Całe szczęście, że to spotkanie odbywa się u mnie w domu, w swojskim miejscu, przynajmniej na moich warunkach.

Pani Matthews wygląda tak samo jak wtedy, gdy widziałam ją ostatnio, zaledwie kilka tygodni temu, w dniu, kiedy dostałam zdjęcie, raz w kawiarni Rosie i drugi raz przy bibliotece. Jej długie blond włosy są zaczesane do tyłu.

Jest zdenerwowana, tak jak tamtego dnia, niespokojna, jakby przytłoczona ciężarem, który dźwiga na swoich barkach. Teraz już wiem, dlaczego tak się zachowuje. Wiem, kim jest.

Cassie wstaje, dając znak Nickowi; oboje posyłają mi uśmiechy i bez słowa wychodzą. Nadinspektor Harrison obiecał, że wysłucham tej historii bez świadków – on sam i tak o wszystkim już wie – mimo to jestem zdziwiona, gdy również kieruje się do drzwi.

Dłuższą chwilę siedzimy bez słowa.

– Straciłam córkę – mówi nagle pani Matthews, ku mojemu zaskoczeniu. Nie patrzy mi w oczy, tylko skupia się na skubaniu skórki przy paznokciu kciuka. – Miała dwadzieścia dwa lata, gdy zaginęła. Była chora. Czas nie koi takich ran. No tak, przecież pani to wie – dodaje z zażenowaniem. –

Pogodziłam się z myślą, że nie wróci. Mój mąż był zdruzgotany, nie potrafił zrozumieć, dlaczego nasza piękna dziewczynka po prostu opuściła nas, bez pożegnania. Ale przecież dorosły człowiek może o sobie decydować. Nie była zarejestrowana jako osoba zaginiona, po prostu nie chciała nas poinformować, gdzie przebywa.

W jej oczach widzę cierpienie. To, co teraz opowiada mi, zupełnie obcej osobie, musiała dzielnie znosić przez lata, uśmiechać się mimo bólu, gdy znajomi chwalili się sukcesami swoich dzieci.

– Proszę mówić dalej – odzywam się łagodnym tonem.

Nie chcę dać jej odczuć, jak bardzo się niecierpliwę, żeby przeszła do rzeczy. Moje słowa nie odnoszą skutku. Mam wrażenie, że ona przebywa gdzieś poza moim zasięgiem, w miejscu pełnym cierpienia. Chwilę później jednak nabiera powietrza i podejmuje opowieść:

– Po prawie czternastu latach całkowitego milczenia stanęła na progu naszego domu, jakby wróciła po tygodniowej nieobecności. Powiedziała, że wyszła za mąż i urodziła dziecko, ale jej mąż zmarł. Potrzebowała pomocy w opiece nad dzieckiem. Pięknym trzymiesięcznym chłopcem.

Serce bije mi szybciej. Dopiero teraz czuję, jak łomocze.

– Zapewne nie posiadała się pani z radości – wtrącam delikatnie, starając się na nią nie naciskać.

Na te słowa uśmiecha się promiennie, cała jej twarz jaśnieje.

– O tak. Chłopiec jest wspaniały, śliczny i taki zadziorny. Ma cztery lata. Ale o tym pani przecież wie. Chciałam powiedzieć to wprost, osobiście panią przeprosić.

Wiem wszystko. Policja zawiadomiła mnie, gdy tylko znalazła czteroletniego „syna” Jennifer Matthews, który mieszkał u swoich dziadków. Przeprowadzono testy, wyniki nadejdą wkrótce.

– Okoliczności, w jakich Simon do nas trafił, nie budziły żadnych podejrzeń – mówi monotonnym głosem, jakby czytała oświadczenie przed sądem. – Nie miałam powodu przypuszczać, że Jenny nas okłamuje i że Simon nie jest jej dzieckiem. Niczego nie podejrzewałam.

– Już to pani mówiła.

Staram się nie wpadać w złość. Głównie dlatego, że wszelkie emocje wciąż sprawiają mi fizyczny ból. Poza tym doskonale wiem, ile ją to kosztuje.

– Z początku Jenny zostawiała u nas Simona na weekendy – mówi dalej. – Z czasem weekendy zaczęły się przedłużać. Doszło do tego, że zamieszkał z nami, a ona przyjeżdżała w odwiedziny. W końcu odwiedziny też się skończyły. W najlepszym razie wpadała raz w miesiącu.

Zabrała mi dziecko, a potem dała je komuś innemu, przelatuje mi przez myśl. Zabrała mi dziecko, a potem... dała je komuś innemu.

– Miesiąc temu przyszedł do nas pewien mężczyzna. Szukał Jennifer. Powiedział, że nazywa się Mark i zna Jenny ze studiów. Mój mąż akurat wyszedł z Simonem na spacer. Z jakichś powodów oświadczyłam temu mężczyźnie, że od dawna nie widzieliśmy córki. Nie wiem, dlaczego skłamałam. Zapewne wyczułam, że stało się coś strasznego.

Jeżeli krew może zastygnąć w żyłach, to w moich bez wątpienia właśnie zastygła. Mam gęsią skórę na rękach i przechodzi mnie zimny dreszcz. Rebecca Matthews nie widzi, co się ze mną dzieje. Opowiada tę historię z wyrazem determinacji na swojej ładnej twarzy. Mark stał o krok od domu, gdzie mieszkał Dylan; prawdopodobnie kilka minut dzieliło go od spotkania z naszym utraconym dzieckiem. Gdyby pojawił się tam odrobinę później, może nadal by żył. Może ja teraz trzymałabym synka w ramionach.

– Co było potem?

Usiłuję nie okazywać wrogości. Jeżeli ta kobieta stąd wyjdzie, może już nigdy jej nie odnajdę.

– Powiedział, że dzień wcześniej Jennifer do niego dzwoniła. Chciał porozmawiać z nią o swojej żonie. Bał się, że popełnił ogromny błąd. Był bardzo zdenerwowany i szybko odjechał.

A więc Jennifer Matthews uległa pokusie, by znów usłyszeć Marka. Obsesja na punkcie mojego męża w końcu kosztowała ją życie.

– Gdy Mark pojechał, poszukałam go w internecie i dowiedziałam się, co panią spotkało. Wtedy, przed laty, byłam tak przejęta pojawieniem się naszego wnuka, że przestałam oglądać wiadomości, a nawet gdybym je śledziła, zapewne nie skojarzyłabym faktów. Nigdy nie słyszałam, żeby Jennifer wspominała o Marku. Teraz zdziwiła mnie tylko zbieżność w czasie: właśnie tamtego wieczoru Jenny zjawiała się z tym chłopaczkiem. Ale przecież nie mogła mieć z tą sprawą nic wspólnego, uznałam.

Z trudem mieści mi się to wszystko w głowie. Zaciskam zęby, żeby nie zarzucić tej kobiety pytaniami.

– A potem, przeglądając pewnego dnia internet, znalazłam zdjęcie Dylana w jakiejś starej gazecie. Powinnam była wtedy od razu zawiadomić policję, ale bałam się, co zrobi Jennifer i co zrobi mój mąż. Kocha Simona całym sercem. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym być wobec niego taka nielojalna. Potem, po śmierci Jennifer, zwyczajnie nie potrafiłam dalej w to brnąć. Ten chłopczyk jest naszym oczkiem w głowie, tylko on nam pozostał po naszej córce. Ucieszyłam się, kiedy znalazła nas policja.

– Pani podrzuciła mi to zdjęcie i wycinek z gazety – mówię z przekonaniem.

Rebecca Matthews potwierdza.

– Nie wiedziałam, co robić – przyznaje, załamując ręce. – Nieustannie spodziewałam się, że przyjdzie policja, ale nic się nie działo. Mąż zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, jak postąpiłam. Ale ja już nie mogłam udawać, że nie wiem, kim naprawdę jest Simon. Jestem matką i tylko matka potrafi zrozumieć pewne sprawy. Dlatego chciałam jakoś sprawić, by pani sama zaczęła dochodzić prawdy. Nie miałam pojęcia, co ci chłopcy przed laty wyczyniali z dziewczętami.

Kiwam głową i pozwalam jej płakać w ciszy. Historia tej kobiety nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.

– Skąd się wzięły szczoteczka do włosów i kocyk?

– Jennifer miała kocyk ze sobą, gdy przywiozła tu chłopca. Bez niego nigdzie się nie ruszał. Dopiero w zeszłym roku przestał pod nim spać.

Tak się cieszę, że jakaś część mnie towarzyszyła mojemu synkowi przez te lata.

– Widziałam panią. W kawiarni. I przy bibliotece. Przyjechała pani do Ludlow, żeby mnie odszukać. – Mam wrażenie, że to było wieki temu.

– Tak. Powiedziałam mężowi, że jadę spotkać się z Jennifer i nakłonić ją, żeby odwiedziła Simona. Wtedy podrzuciłam zdjęcie. I włożyłam wycinek z gazety do pani torebki. Chciałam, żeby nabrała pani wątpliwości co do tej historii, którą pani przedstawiono.

– Jak mnie pani odnalazła?

– Mój ojciec pracował w policji jako detektyw. Kilku jego kolegów wciąż żyje.

– Gdyby ujawniła pani prawdę, nie zginęłaby pani córka ani mój były mąż. Kobieta zaciska oczy, ale łzy i tak spływają jej po policzkach.

– Boże drogi. Wiem. Bardzo żałuję.

Trzeci raz wyglądzam przód swetra, żeby usunąć zmechacenia, których tam na pewno nie ma. Denerwuję się jak nigdy dotąd, ponieważ dzisiejszy dzień jest prawdopodobnie najważniejszy w moim życiu.

– Wszystko w porządku? – pyta Josh.

Opiekuńczym gestem dotyka mojego ramienia i natychmiast czuję, jak spływa na mnie spokój. Uwielbiam to, jak on na mnie działa, i tę świadomość, że przy nim nic mi się nie stanie. Kiwam zdecydowanie głową, niezupełnie szczerze.

– Posłuchaj – odwraca mnie twarzą ku sobie – muszę cię o czymś poinformować.

Siedzimy w jego samochodzie, przed domem, gdzie zmieni się całe moje życie, a on teraz chce mnie o czymś poinformować? Od razu wyjaśnia, jakby

czytał w moich myślach:

– Lepiej, żebyś nie była zaskoczona, gdy powie ci o tym Rebecca. W końcu on jest jej siostrzeńcem.

Jack Bratbury. Ten, który pociągał za sznurki w ohydny spektakl, jakim było życie mojego męża. Po tym, jak zniknął z Rachael, niewiele o nim słyszałam. Wiem, że kancelaria została zamknięta na skutek skandalu, ale najpierw zdołał wyczyścić firmowe konta. Wygląda na to, że znowu mu się upiekło.

– Co z nim? – Ręce mi drżą na wspomnienie człowieka, którego przelotnie poznałam.

– Został zatrzymany – odpowiada z uśmiechem Josh. – Złapali go, gdy wjeżdżał do kraju z fałszywym paszportem. Ten bezczelny skurwieli sądził, że wpuszczą go jakby nigdy nic.

– Po co on tu w ogóle wracał?

– Na pogrzeb Marka.

Na dźwięk tych słów wypuszczam powietrze z płuc. Postanowiłam nie iść na pogrzeb – to była trudna i ważka decyzja, ale słuszna, jestem tego pewna. Nie mieści mi się w głowie, że człowiek, który jest odpowiedzialny za to wszystko i który zburzył nie tylko moje doskonałe życie, lecz także życie Bóg wie ilu dziewczyn i ich rodzin, chciał uczestniczyć w pogrzebie Marka i udawać, że jest zupełnie niewinny.

– Co go czeka? – Cała się trzęsę i z trudem powstrzymuję łzy.

– Więzienie. Na długie lata. Zaręczam ci. – Kładzie ręce na moich ramionach, dodając mi otuchy. W ostatnich tygodniach robił tak nieraz. Nie do wiary, jak mnie to uspokaja. Zastanawiam się tylko, co będzie, jeżeli pewnego dnia nachyli się i mnie pocałuje. – Kiedy sprawa Beth wyszła na jaw, zgłosiły się kobiety, które jako młode dziewczyny, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, były napastowane przez Bratbury'ego i jego kolegów.

Napastowane przez Bratbury'ego i jego kolegów, odbija mi się echem w głowie. Przez mojego męża.

Zbieram się w sobie i naciskam dzwonek. Słyszę tupot małych stóp na schodach i w pierwszej chwili nasuwa mi się myśl, żeby nie zważając na Josha, odwrócić się i uciec.

Choć od spotkania z Rebeccą minął zaledwie tydzień, czuję się, jakbym znowu odbyła trzyletni wyrok.

Zwykła biała koperta, której zawartość miała moc zmienić całe moje życie, leżała na blacie w kuchni u mojego taty przez cztery godziny, zanim w końcu przełamalam się i zadzwoniłam do Josha. Przeżył koszmar i mógł zginąć, więc zrozumiałabym, gdyby nie chciał mnie więcej widzieć. A jednak przyjechał do domu mojego taty i siedział przy mnie, czekając w milczeniu, aż zdobędę się na otworzenie koperty. Potem przytulił mnie, a ja wypłakałam się w jego ramionach. Nie wiem, co z nami będzie, gdy to wszystko się skończy; wiem tylko, że nie jestem gotowa na to, by odszedł z mojego życia.

Podczas mediacji, gdy pracownicy opieki społecznej zastanawiali się, jak powinien przebiegać powrót dziecka do matki, państwo Matthewsowie nie robili żadnych trudności. Rebecca tylko poprosiła, żeby mogli uczestniczyć w życiu Simona. Zważywszy, że ich córka porwała mojego syna i zabiła mojego byłego męża, prośba Rebekki została odrzucona. Ja jednak stanowczo sprzeciwiłam się tej decyzji i obiecałam, że będą mogli regularnie widywać swojego wnuka. Ci ludzie nie zrobili nic złego, mój syn ich kocha, więc gdyby zostali odtrąceni, byłoby to nie w porządku wobec niego. Dziadków ze strony jego ojca raczej nie potraktuję tak życzliwie. Koronna Służba Prokuratorska wciąż rozważa, czy postawić Margaret i Richardowi Websterom zarzut utrudniania śledztwa w sprawie zabójstwa Beth. Jeszcze nie wiem, jak się zachowam w stosunku do nich.

Dzisiaj zobaczę syna pierwszy raz po czterech latach. Wszyscy uznaliśmy, że dla jego dobra to spotkanie powinno się odbyć w jego domu i przebiegać powoli, tak jak jemu będzie pasowało. Kiedy Rebecca otwiera mi drzwi, widzę, że przyjechała już Michelle, nasza doradczyni z opieki społecznej.

– Cześć.

Rebecca obejmuje mnie na powitanie i od razu prowadzi do salonu, gdzie czeka Michelle w towarzystwie Christophera Matthews. Przedstawiam wszystkim Josha. Michelle wita nas oboje miłymi słowami i uśmiechem,

Christopher zdawkowym skinieniem głowy. Panuje nad sobą, choć pęka mu serce. Mogę sobie tylko wyobrazić, co przeżywa ta rodzina po ujęciu ich siostrzeńca.

– No jak, Susan, jesteś gotowa? – pyta serdecznym tonem Michelle.

Nie jestem gotowa. Choćbym nie wiem jak długo przygotowywała się do tej chwili, nigdy nie byłabym gotowa. Mimo to potwierdzam. Michelle patrzy na Rebeccę, po czym wychodzi do holu i słyszę, jak mówi coś półgłosem do dziecka. Mojego dziecka.

Otwierają się drzwi. Zapiera mi dech w piersiach: piękny chłopczyk staje na progu i opuszcza wzrok. Rebecca lekko kiwa do niego głową i uśmiecha się, by dodać mu otuchy. Chłopiec wchodzi dalej i spogląda na mnie i Josha.

– Cześć – odzywa się wesoło.

Ściska mnie w gardle. Nie wiem, czy zdołam wykrztusić słowo, ale się staram.

– Cześć. – Uśmiecham się do chłopczyka, którego wydałam na świat, trzymałam na rękach i kołysałam do snu, gdy płakał. – Mam na imię Susan. A ty jak masz na imię?

– Simon – odpowiada i z dumą pokazuje nam ciężarówkę. – Podoba się wam?

– Jest fantastyczna. – Łzy stają mi w oczach. – Po prostu fantastyczna.

Podziękowania

Słowa wdzięczności kieruję przede wszystkim do mojej wspaniałej agentki Laetiti Rutherford. Żywiołowy entuzjazm, z jakim przyjęłaś historię o Susan, i twoje niezachwiane wsparcie sprawiły, że teraz piszę te podziękowania. Dzięki tobie spełniły się moje marzenia.

Serdecznie dziękuję Vicki i Darcy oraz całemu zespołowi Headline. Wzięliście do rąk kamień i wyszlifowaliście brylant. Jestem dumna, że przyjęliście mnie do swojego grona. Dziękuję za wszystkie rady i za to, że odnosiliście się do mnie tak, jakbym wiedziała, co robię, choć nie wiedziałam, i za waszą ciężką pracę.

Dziękuję najlepszym, wymarzonym przyjaciółkom – bo zawsze okazywałyście zapał, gdy ja się wahałam. Bo zapewniałyście mnie, że potrafię, i miałyście niezłomną pewność, że dam radę. Sarah, mojej pierwszej czytelniczce, która mówiła mi, że mam słuszność i, co ważniejsze, że jej nie mam, oraz Lornie, Jo i Laurze, ponieważ byliście zawsze przy mnie – minęło już ponad siedem lat, od kiedy trzymamy się razem. Emmie i dziewczynom z JN, które były ze mną, gdy rozpoczęłam to przedsięwzięcie, oraz paniom i panom z SFRS, którzy byli ze mną, gdy je skończyłam. Pewnie nie zdajecie sobie sprawy, jakie to niesamowite uczucie, gdy ktoś z was pyta: „Jak ci idzie praca nad książką?”.

Sumiennym recenzentom z YWO – bez waszych komentarzy ta książka byłaby zaledwie powieściem. Szczególne podziękowania niech przyjmie Notley – „pierwsze sito” dla wszystkich – nie tylko za rozłożenie tekstu na części, lecz również za złożenie ich potem w całość. Oraz Kay Leitch, Siobhan Daiko i Fred Hebbert za nieustające wsparcie i przekonywanie mnie, że zostanę „prawdziwą pisarką”.

Na koniec dziękuję najwspanialszej rodzinie, jaką można sobie wymarzyć. Mamie i tacie, którzy ciągle mi mówili, że zdołam osiągnąć każdy cel, i swoją obecnością zawsze mi w tym pomagali. Oraz mojemu dużemu braciszкови, którego naprawdę bardzo kocham. Mam nadzieję, najdrożsi, że jesteście ze mnie tak dumni jak ja z was.

Ashowi. Za dodawanie mi otuchy, za miłość i wsparcie. Za mojego cudownego syna i nasze nienarodzone dziecko. Za nocne pogawędki w szopie, gdzie powiedziałeś krótko i węzłowato, żebym się do tego zabrała, i za to, że niezmiennie jesteś tym mężczyzną, którego poślubiłam. Nie ma słów, by wyrazić moją miłość do ciebie i do syna.

Źródło inspiracji do napisania tej książki

W 2011 roku urodziłam pierwsze dziecko. Przedtem dysponowałam swoim czasem, pracowałam do późna jako kierowniczka sprzedaży detalicznej, a w weekendy z rozkoszą wylegiwałam się w łóżku i spotykałam z przyjaciółmi w restauracjach.

I raptem, z dnia na dzień, nie mogłam już decydować, kiedy zjem posiłek, kiedy się wyśpię czy kiedy pójdę do łazienki. Co więcej, przestałam być Jenny – byłam teraz mamą Connora. Kiedy cztery tygodnie po porodzie otrzymałam wymówienie, poczułam, że tracę nie tylko pracę, lecz również resztki swojej tożsamości – teraz określał mnie tylko mój syn.

Doznania związane z utratą tożsamości sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać nad kwestią poczucia własnego ja. Czy określa nas to, kim jesteśmy, czy to, co robimy? Skoro poczucie własnego ja jest tak wątłe, że zanika na skutek utraty pracy, jak łatwo inni ludzie mogą na nie wpływać albo nawet je niszczyć? A w ogóle, czy my naprawdę wiemy, kim jesteśmy albo do czego jesteśmy zdolni?

Zasadniczym tematem tej książki jest to, za kogo Susan dawniej się uważała i jak jeden czyn zaburzył jej poczucie siebie i skłonił ją do określenia własnego ja na nowo. Kim jesteś? Jak dobrze się znasz?

Jenny Blackhurst

Spis treści

O książce

Strona tytułowa

O autorce

Tej autorki

Strona redakcyjna

Dedykacja

1		2		3		4		5		6		7		8		9		10		11		12		13
		14		15		16		17		18		19		20		21		22		23		24		25
		26		27		28		29		30		31		32		33		34		35		36		37
		38		39		40		41		42		43		44		45		46		47		48		49
		50		51		52		53		54		55		56		57		58		59		60		61
		62		63		64																		

Epilog

Podziękowania

Źródło inspiracji do napisania tej książki